



AGNIESZKA GIL  
**UKŁAD NERWOWY**

cztery.pory.roku

Gil Agnieszka

Układ nerwowy

*Gabrysi Treli-Kilian*

*i wszystkim dziewczynom z Podwala*

## Sierpień

Nieruchomy staw bez jednej zmarszczki odbijał pochylające się nad nim drzewa. Zmęczone upałem wierzby zwieszały nad wodą pachnące włosy, tęskniąc za choćby lekkim powiewem. Szklista tafla, nieporuszona którąkolwiek z fontann, zwykle włączanych od samego rana przez obsługę ogrodu botanicznego, parowała w ciepłe popołudnia, ciężka, jakby polana olejem.

Ciszę ogrodu mąciły z rzadka głosy ptaków, częściej krzyki, śmiechy i nawoływania dzieci, dobiegające z placyku zabaw usytuowanego przy nieczynnej palmiarni.

Zza brudnawych szybek przeszklonej budowli widać było pousychane rośliny, dawniej bujnie się tutaj kłębiące. Jednak odkąd wypadające szyby zaczęły zagrażać zwiedzającym, palmiarnię zamknięto, a zagląających tu z zewnątrz straszły wyschnięte resztki.

„No sucho ma ta palma, no!”. Siedząca przy stoliku ogrodowej kawiarni Magdalena uśmiechnęła się do siebie. Poprawiła się na krześle, odrywając spocone uda od zielonego plastiku. Upał obezwładniał i oblepiał wszystko, nie pozwalał cieszyć się nawet cieniem ogromnych miłorzębów o wachlarzowatych liściach. Temperatura od kilku dni nie spadała poniżej dwudziestu siedmiu stopni Celsjusza i – może poza własną lodówką – trudno było znaleźć we Wrocławiu miejsce, w którym dałoby się bez trudu oddychać.

O ile nie było się dzieckiem, bo te – z kroplami potu spływającymi po skroniach, z wilgotnymi włosami i koszulkami mokrymi na plecach – bez ustanku uwijały się po całym ogrodzie z niezmaconą gorącym przyjemnością. Szczególnie atrakcyjnym miejscem wydawał się wyposażony w kilka kolorowych zabawek placyk zabaw, gdzie dzieciaki wspinały się, zjeżdżały i skakały.

Jedna z dziewczynek zeskoczyła ze zjeżdżalni i podbiegła do kobiety dopijającej kawę.

– Kupisz mi loda, mamuś? Prrroszęęę! – zajęczała.

– Gabrysiu, zjadłaś już dzisiaj dwa, potem nie będziesz chciała kolacji.

– Będę chciała, obiecuję!

– Akurat – mruknęła do siebie Magdalena i podniosła się z krzesła.

Poprawiła przyklejoną do pleców i pośladków sukienkę z cieniutkiej bawełny indyjskiej. Choć teraz, kiedy temperatura przekroczyła już z pewnością trzydzieści stopni, właściwie wszystko jedno, w co było się ubranym.

– To kupisz?

– Kupisz, kupisz – westchnęła i sięgnęła po torebkę. Z portmonetki wyjęła dwuzłotową monetę i podała małej.

– Ale sorbet, OK?

– OK! – Mała w podskokach podbiegła do kawiarenki, nie zauważywszy, że z drugiej strony nadbiega chłopiec, mniej więcej jej wzrostu. Niemal zderzyli się pod okienkiem. Magdalena z prawie stuprocentową pewnością oczekiwała awantury, jednak mały cofnął się i z galanterią przepuścił dziewczynkę. Po chwili także on kupił lody. Ramię w ramię z Gabrysią udali się w stronę kręcioły – usiedli na niej, usiłowali jednocześnie jeść lody i się obracać.

– O, nie! – Rozległ się protest kobiety kołyszącej głębokim wózkiem. – Albo jedzenie, albo zabawa!

– Chodź, córciu, zjesz i potem się pobawicie! – Mama skinęła na Gabrysię.

– Kacper, idziemy! – zawołała równocześnie tamta, a gdy z wózka dobiegło kwilenie niemowlęcia, pobujała trochę i wykręciła, by znaleźć się na alejce prowadzącej w stronę skamieniałego pnia. Chłopiec ruszył za nią, Gabrysia zaś, niewiele myśląc, pobiegła w ślad za nim. Magdalena westchnęła i ruszyła w ich stronę.

Wózek cicho szurał, tocząc koła po kamykach, a leżący w nim maluch umilkł. Nie było go widać zza cienkiej chusty chroniącej od owadów. Jego matka zwolniła i pozwoliła dzieciom się wyprzedzić. Zrównała krok z Magdaleną.

Dzieci minęły połączenie bluszczu rozścielonego między starymi drzewami tej części ogrodu i doszły do kamieni na Ścieżce Japońskiej. Skakały po nich w tę i z powrotem, poklepywały kamienną latarnię i kręcili się wokół azjatyckich roślin.

– Że też mają siłę na to bieganie!

– Właśnie. – Kobieta uniosła chustę i zajrzała do niemowlęcia. – No śpij, śpij, biedaku... – Znowu zakołysała wózkiem. – Z tego upału to

ani jeść, ani spać nie może.

– Ile ma? – spytała bez większego zainteresowania Magdalena.

– Cztery miesiące. Urodził się przed Wielkanocą. Duma w uśmiechu młodej matki była bardzo widoczna. Przebijało jednak przez nią zmęczenie, a lekko podkrążone oczy zdradzały nieprzespaną noc, pewnie więcej niż jedną. Pomimo to radość i szczęście rozjaśniały zmęczoną twarz, a figura kobiety, mimo niedawnej ciąży, prezentowała się wcale nieźle.

Maluch znów zapiszczał, więc podjechała do najbliższej ławeczki i wyjęła go z wózka. Machał rękami o cienkich, długich paluszkach i kręcił głową, szeroko otwierając różowy dzióbek. Kobieta uniosła trochę koszulkę i przystawiła go do piersi. Przyssał się chciwie i głośno przetykał, a dłoń wreszcie spokojnie ułożył na piersi matki. Po kilku chwilach spał jak aniołek.

– Gdyby tak w wózku chciał – westchnęła i cmoknęła go w spoconą główkę. – Ale zaraz się budzi. Przy mamuni najlepiej, co, łobuziaku?

Magdalena uśmiechnęła się i ze zrozumieniem pokiwała głową. Sama karmiła córkę przez dwa lata i doskonale wiedziała, że pierś oznacza nie tylko pokarm. Od tamtego czasu minęło już kilka lat – Gaba zaraz pójdzie do zerówki – ale za każdym razem, kiedy widziała karmione dziecko, czuła w piersiach mrowienie.

– Włączyli fontannę! – wrzasnął wyłaniający się zza szerokolistnego krzewu Kacper. Tuż za nim galopowała po ścieżce Gabrysia.

– Ciszej! Ledwie zdążył zasnąć! – Matka się zezłościła i znów zaczęła nerwowo bujać wózkiem.

– Zasnął nas skarbeczek? Zasnął nas Synek-Kminek? – Kacper pochylił się nad maluchem, który tylko uchylił powieki i zaraz zamknął je z powrotem, a grymas małych ust do złudzenia przypominał uśmiech.

„Po co ona tak trzęsie tym wózkiem – pomyślała Magdalena. – Nic dziwnego, że dzieciak nie może spać. A co mnie to właściwie obchodzi”.  
– Powstrzymała się od komentarza.

– Gabrysiu, pożegnaj się z kolegą, wracamy.

– Nie! Jeszcze troszkę! – prosiły dzieci, które najwyraźniej

przypadły sobie do gustu.

Nie widząc zdecydowanego sprzeciwu ze strony matki, Gabrysia złapała za rękę Kacpra i pociągnęła go na drewniany podest nad stawem.

Zrezygnowana Magdalena przycupnęła na brzegu ławki.

– Często tu pani bywa z córką? – zagaіła kobieta.

– Tak, choć w tym roku rzadziej. Gabrysi już się tu trochę nudzi. Ten plac zabaw bardziej się nadaje dla maluchów, a ileż można spacerować? Znamy na pamięć każdą alejkę, każdego krasnała...

– Otóż to – przytaknęła kobieta i zakołysała wózkiem. – Bez towarzystwa dzieciaki się tu nudzą. Z tym małym mogłabym tu siedzieć cały dzień, ale Kacper by nie wytrzymał. Zaraz się ożywił, jak tylko poznał pani córeczkę. – Uśmiechnęła się.

Słońce zaczęło już się chować za wieże kościoła, a dzieci wędrowały po ogrodzie, od czasu do czasu podchodząc do ławki, przy której stał wózek. Poza tym spoglądały z półokrągłej kładki na staw, skakały nad strumykami w alpinarium, a w alejce czytały nazwy na opakowaniach, na których pokazano, do czego można używać roślin.

– O, takiego szamponu używa moja mama. – Gabrysia wskazała zieloną plastikową butelkę z obrazkiem ogórka.

– A moja, a moja... to nie wiem. – Kacper uważnie przyglądał się pudełkom. – O, taki kremik mamy w domu! – ucieszył się.

– Mogę popchać wózek? – Gabrysia uśmiechnęła się przymilnie i z radością przejęła uchwyt.

– Ale kierujmy się już w stronę bramy. – Magdalena pomogła małej manewrować dziecięcym pojazdem i stanowczo zmierzała w stronę wyjścia. – Czas się żegnać. Pewnie się jeszcze kiedyś spotkamy...

– Mogłabyś mi urodzić braciszka. Albo siostrzyczkę – zachęcała Gabrysia. – Mówię ci, jaki ten Kminek jest słodki!

– Lizalaś go? – zażartowała matka.

– Nie, coś ty – zaśmiała się dziewczynka. – To po prostu widać.

– Dziwne imię – zauważyła Magdalena.

– Naprawdę nazywa się Pawełek, tylko tak na niego mówią. Synek-Kminek. Kacper mi powiedział.

– Fajnie.

– Przyjdziemy jutro do ogrodu?  
– Nie sądzę. Chce ci się wciąż chodzić w to samo miejsce?  
– Nie, ale Kacper będzie. On tam spędza prawie całe wakacje. Nie tak jak my.

– Zobaczymy...

„Nie tak jak my”. Magdalena się zamyśliła. Rzeczywiście, pół lipca i kawałek sierpnia spędzili poza Wrocławiem. Szymon wziął dłuższy urlop i wyjechali. To miały być wyjątkowe wakacje...

Kiedy mąż przyniósł do domu wiadomość o planowanym urlopie, Magdalena nie posiadała się ze zdumienia. On, który zawsze wybierał gwarne, pełne wczasowiczów miejsca, tym razem zdecydował, że spędzą kilka tygodni z dala od ludzi, zaszyci w domku letniskowym jakiegoś znajomego czy kontrahenta, który mu zaproponowano. W pierwszej chwili nie wiedziała, czy się martwić, czy cieszyć. Ostatecznie radość wygrała – trzy tygodnie bez obcych, za to z najbliższymi i mnóstwem czasu dla siebie nawzajem, pośród lasów, nad małym, czyściutkim, jak zapewniał Szymon, jeziorkiem – to brzmiało kusząco. Pakując się, planowała wspólne wędrowki po okolicy. Może pojawią się grzyby? A w czasie deszczu będą dużo czytać. Zapakowała też kilka rodzinnych gier planszowych – och, zapowiadało się wspaniale!

Wyjechali w połowie lipca, który dał im się cieszyć ładną pogodą. Dawno już minęły czerwcowe upały, nie nadeszły jeszcze sierpniowe gorące dni i zimne noce, było w sam raz. Domek zbudowano na wysokiej skarpie wznoszącej się nad brzegiem małego jeziora. Widok na nie roztaczał się z okien sypialni i zadaszonej werandy. Magdalena chętnie siadała tam w ciągu dnia, by dać odpocząć oczom, nawykłym do oglądania wrocławskich budynków. Tu mogła nasycić się zielenią, a jeśli i ta nużyła, kobieta trwała, zapatrzona w brązową, błękitną lub złotą, w zależności od pory dnia, powierzchnię jeziora.

Domek był parterowy, prosty, ale przestronny. Urządzony oszczędnie w skandynawskim stylu, zawierał tylko niezbędne wyposażenie. Większość czasu spędzali na dworze, gdzie wystawili stolik i kilka krzesełek. Gdy się ściemniało, siadali przy kominku. Spoglądanie na ogień podczas cichych wieczornych rozmów i czytania było czymś, co na pewno zostanie w pamięci po tych wakacjach.



Nie tylko to – wspólnie grali w badmintona, za siatkę mając drewniane ogrodzenie, spacerowali pośród niskiego poszycia okolicznych lasów, pluskali się w jeziorze. Gabrysia w nowych płetwach wypływała niemal na sam środek, co niezmiennie budziło lęk w Magdalenie. Jednak Szymon śmiał się i pozwalał małej na te wodne igraszki, widząc, że dziewczynka, jak to określiła kiedyś pewna instruktorka pływania, „lubi się z wodą”. Rzeczywiście, zaopatrzona w maskę i rurkę, śmigiała jak rybka. Wypływała z ojcem daleko od brzegu, a Magdalena brodziła u zbiegu wody i piasku, wypatrując kropel srebrzących się na przybrzeżnych trzcinach i pajęczyn rozciągniętych na pobliskich krzewach. Czasem do kostek nóg podpływały jej małe rybki i łaskotały delikatną skórę miękkimi dotknięciami. Jeziorko, powstałe w miejscu wydobycia jakiegoś surowca, było dość zimne. Woda ogrzewała się trochę w słońcu, jednak gwałtownie opadające dno nie gromadziło ciepła. Po kąpeli siadali więc przy kominku i pili herbatę pachnącą korzeniami. Było cudownie.

Dopieszczona słońcem i eterycznymi olejkami z sosen Magdalena dopiero po kilku dniach zorientowała się, że Szymon zachowuje się inaczej niż w czasie poprzednich urlopów. Ostrzegawcza lampka powinna się jej zapalić po tym, jak kategorycznie odmówił wyjazdu do jej matki. Nie musieli się kochać i jeść sobie z dzióbeków – ostatecznie to zięć i teściowa, tłumaczyła sobie w duchu Magdalena – ale od dawna miała nadzieję, że przynajmniej część spędzą w nowym domu rodziców. Nareszcie, po wielu latach, został wykończony w stopniu pozwalającym nie tylko na mieszkanie, lecz także na przyjmowanie gości. Gabrysia spędzałaby czas w mikroklimacie obornickim, tak różnym od wilgotnego, miejskiego powietrza Wrocławia, bawiłaby się z dziećmi sąsiadów, mniej więcej w jej wieku. Tu małej brakowało towarzystwa rówieśników, choć kilkoro przychodziło na plażę u stóp wzniesienia, na którym stał ich domek. Ale jednorazowe spotkania nie skłaniały do wspólnej zabawy, tym bardziej że miejscowi zwykle trzymali się we własnym, większym gronie. W związku z tym cały czas Gabrysia spędzała z rodzicami, od rana do późnego wieczora.

W pewnym momencie Magdalena uzmysłowiła sobie, że z Szymonem nie zostawała sama ani na chwilę. Rano jechał na zakupy,

co samo w sobie wyglądało dość dziwnie, wszak zawsze to ona była osobą dbającą zarówno o zaopatrzenie, jak i przygotowywanie posiłków. Jako żona i to żona niepracująca wносиła we wspólne życie wkład w formie prac domowych. Traktowała je i wychowanie dziecka jako oczywistość i święty obowiązek. Teraz zaś mąż, co prawda jedyny posiadacz prawa jazdy w rodzinie, chętnie zrywał się przed siódmą i jechał, a to po świeże bułeczki, a to mleko prosto od krowy (gdzie on znalazł takie gospodarstwo?!), a to po coś słodkiego, jeśli akurat mieli ochotę na łakocie. Dbał o drewno do kominka, które w małych wiązkach przywoził ze stacji benzynowej. O ile we Wrocławiu zwykle trudno było doprosić się go o podwiezienie dokądkolwiek, najwyżej do lekarza z Gabą, choć i wówczas wołał żonie dać na taksówkę, o tyle tutaj nie miał najmniejszego problemu z wykręcaniem na niewielkim podjeździe, odpalaniem samochodu nawet cztery razy dziennie i wyprawą po dwa pomidory, których zabrakło do wymyślonej spontanicznie sałatki.

Właściwie cieszyło ją, że na wyjeździe Szymon bierze na siebie jej codzienne obowiązki, nudnawe i często rutynowo wykonywane. Jednak ta nagła zmiana i zachowania, i preferencji – żaden urlop dotychczas nie mógł się odbyć nigdzie indziej niż w jednej z tłumnych i drogich miejscowości letniskowych! – powodowała, że Magdalena z uwagą zaczęła obserwować męża. Początkowo cieszyła się z jego aktywności i czasu poświęcanego Gabrysi. Córce na co dzień bardzo doskwierała nieobecność ojca pochłoniętego pracą.

Potem Magdalena zaczęła się zastanawiać. O ile Gaba była najlepiej zaopiekowanym wakacyjnie dzieckiem, o tyle ona czuła się nieco odsunięta na bok. Bo razem jedli, chodzili nad jezioro, grali w grzybobranie czy chińczyka. Szymon siedział z nimi, na ogół drzemiąc w fotelu, gdy Gabrysia słuchała bajek głośno czytanych przez Magdalенę. „Mój ty audiobooku!” – żartowała mała. Ale gdy zapadała noc, Gabrysia kładła się w pokoju z dwuosobową wersalką, gdzie, o ile nie zasnęła, czekała na matkę. Szymon nieraz kiwał się nad gazetą albo półsłówkami odpowiadał na pytania żony. Częściej jednak od razu szedł do małego pokoiku ozdobionego zasłonkami w postaci z bajek, gdzie stały półki na zabawki, po czym układał się na jednoosobowym tapczanie.

Magdalena myślała, że właściwie to rozumiała, mąż naprawdę potrzebował odpoczynku. Cały rok ciężkiej pracy, częstych podróży. Nawet we Wrocławiu, gdzie jego firma miała siedzibę, rzadko wracał do domu przed dwudziestą. Nic dziwnego – nowe japońskie klocki, których był jedynym w Polsce dystrybutorem, należało skutecznie wprowadzać na rynek, co wiązało się nie tylko z częstymi delegacjami, lecz także ze spotkaniami na miejscu. Szaleństwo osiągało szczyt mniej więcej dwa miesiące przed Bożym Narodzeniem i Dniem Dziecka, kiedy Szymon musiał spotykać się z wieloma potencjalnymi klientami. Bez biznesowych kolacji często zwyczajnie nie mogło się obejść. W czerwcu i lipcu już obmyślał strategię na następny rok szkolny, szukał partnerów i przedstawicieli handlowych, ze szczególnym upodobaniem do mniejszych placówek, sklepów z zabawkami i księgarni, bo omijając hurtownie, zostawiał sobie większą część marży. Tej marży, z której miał wyrosnąć ich dom. Ich własny dom.

Upał nie zelżał ani na jotę, a na parującym skwarem chodniku, którym szły do domu, stał się jeszcze dotkliwszy.

Magdalena, mocno trzymając za rękę Gabrysię, przystanęła na pasach przy Nowowiejskiej. Nie lubiła tego przejścia tuż przy skrzyżowaniu z Żeromskiego, bo nie było tu sygnalizacji świetlnej, a samochody gnały ze sporą prędkością.

Ruszyły dalej i minąwszy narożne stoisko ze skarpetkami, które handlarka rozstawiała zimą i latem, dotarły do domu. Po chwili wspinały się na drugie piętro starej kamienicy. Jej front był odrestaurowany i elegancki, ale od podwórza straszyla ścianą proszącą o odnowienie.

Magdalena nie była zachwycona obecnym mieszkaniem, a konkretnie jego lokalizacją. Co prawda śródmiejskie osiedle pełne było wszystkiego, co potrzebne na co dzień – sklepów, punktów usługowych, nawet małych knajpek, gdyby zechciała w takich bywać, pod bokiem miała przychodnię i bibliotekę – jednak każdy poranek uzmysławiał, że nie chciałaby spędzić tu reszty życia. Codziennie bowiem budziła się, patrząc na ścianę budynku po drugiej stronie ulicy. Było to kino, od wielu lat nieczynne. Przez jakiś czas działał tam Klub w Starym Kinie, jednak i on dość szybko został zamknięty, a budynek niszczał. Jego mury pękały i zupełnie nie rozpadły się chyba tylko dzięki farbie, którą

na całej długości ściany nad frontową elewacją ktoś wymalował postaci trykających się kozła i diabła. Gabrysia lubiła to malowidło, każdego ranka wołała: „Dzień dobry, koziołki! Znow się bawicie?”. Magdalena jednak patrzyła na nie coraz bardziej niechętnie. Z zewnątrz barwny obrazek, pod spodem odpadający tynk i obłaząca, popękana farba. Trochę jak jej życie. Nie wypowiedziałyby tego głośno, może nawet nie zdawała sobie sprawy z myśli kielkujących gdzieś z tyłu głowy. Wesoły motyw koziołka i diabełka jej kojarzył się bardziej z walką niż zabawą. Nie napawał optymizmem i wiarą w radość, szczęście i współpracę – na jakimkolwiek gruncie. Podobnie jak w życiu... Ale o ile dałoby się wyremontować mieszkanie, o tyle dużo trudniej byłoby coś zrobić z życiem. Na szczęście nie musi nic zmieniać, jest szczęśliwą żoną i matką, doprawdy nie miała pojęcia, skąd brały się w jej głowie te dziwne rozważania!

Zamknęła okno.

Ostatni miesiąc wakacji u swego schyłku dopieszczał piękną pogodą. By wynagrodzić chłód, coraz śmielej wślizgujący się wieczorami do mieszkań, nocami zrzucał gwiazdy na balkony, a w ciągu dnia grzał sierpniowym słońcem, zaczynającym już powoli zażółcać pierwsze liście.

Magdalenę cieszyła myśl, że niedługo rozpoczyna się rok szkolny i Gabrysia wróci do przedszkola. To będzie jej ostatnie dziesięć miesięcy, potem pójdzie do szkoły, ale zerówkę zaliczy tu. Uznała, że jeszcze nie czas na uczniowskie życie córki. Mimo że córeczka była rezolutna i mądra, od dawna potrafiła czytać, choć nie należało to do jej ulubionych zajęć, świetnie liczyła do dziesięciu i pośród innych dzieci jej prace plastyczne wypadały naprawdę znakomicie, zachowanie Gaby czasem martwiło Magdalenę. „Żywe sreberko” – tak mówiły o niej opiekunki w grupie, siostry józefitki. Czasami aż nadto żywe, po prostu hiperaktywne. Gabrysia nie potrafiła usiedzieć na miejscu, kręciła się i podskakiwała, zasypywała wszystkich tysiącem pytań, a chwile, gdy uwaga dorosłych nie była skupiona na niej, zносиła zazwyczaj dość źle. Na szczęście nie była pozbawiona wdzięku, co pozwalało innym w jakimś stopniu tolerować jej wybryki. Całe dni z córką sprawiały, że Magdalena z ulgą przyjmowała fakt jej niedługiego powrotu do

przedszkola. Przynajmniej przez te kilka godzin odpoczną od siebie.

Choć i teraz nie miała na co narzekać. Po codziennym powitaniu koziołków Gaba biegła przed telewizor w dużym pokoju i oglądając bajki, jadła śniadanie. Potem szły razem na zakupy, a gdy Magdalena szykowała obiad i sprzątała, dziewczynka bawiła się w swoim pokoju albo towarzyszyła matce w codziennych zajęciach. Rozdawane co chwilę całusy i uściski topiły serce Magdaleny i sprawiały, że zapominała o drobnych niedogodnościach związanych z dwudziestoczterogodzinnym przebywaniem z małą. Po obiedzie zwykle szły na spacer.

Dziś przyszedł czas na park Tołpy – „park z łabędziami”, jak nazywała go Gabrysia. Rzeczywiście mieszkało tu kilka par łabędzi, tak zadomowionych, że nawet jesienią nie chciały odlatywać do ciepłych krajów. Poza tym mnóstwo kaczek, wiewiórki, a wczesnym wieczorem udawało się zobaczyć nawet nietoperze. Najczęściej jednak spędzały tu popołudnia. Poruszały się wówczas między placem zabaw, niewielkim wzniesieniem, zimą będącym znakomitym torem saneczkowym, a stawem, pośrodku którego znajdowała się niewielka wyspa.

– Weźmiemy rower? Weźmiemy rower? Weźmiemy rower? – Gabrysia podskakiwała dookoła matki szykującej się do wyjścia.

– Płyta ci się zacięła?

– Ale weźmiemy?!

– Dobrze, tylko się uspokój.

Pokryte wakacyjnym kurzem liście drzew znów uzmysłowiły Magdalenie upływ czasu – przecież dopiero co nagie i chude gałęzie zaczęły pokrywać się pierwszą, seledynową zielenią! A tu wrzesień zaraz.

Alejki rozbrzmiewały nawoływaniem matek i śmiechem dzieci. Górka nad stawem zapełniona była opalającymi się ludźmi i psami lawirującymi między kocami w poszukiwaniu patyków i piłek rzuconych przez właścicieli. Co jakiś czas dawały się słyszeć krzyki i kłótnie, a potem wszystko wracało do normy. Magdalena nie mogła się nadziwić, jak można leżeć na trawie usianej psimi ekskrementami. Ona, dopóki Gabrysia była mała, nie pozwalała jej wbiegać na trawnik. Teraz, na szczęście, córka wolała spędzać czas na ogrodzonym placu zabaw albo

jeżdżąc po parkowych drózkach.

– Z drogi, śledzie, Gaba jedzie! – wołała i sprawnie wymijała spacerowiczów. Cudem uniknęła zaplątania się w wydłużoną smycz jamnika.

– Z drogi... O, Kacper! Zeskoczyła z rowerka i porzuciwszy go na środku alejki, pobiegła w cień wielkiego drzewa rozkładającego konary od strony ulicy Prusa. Przy ławce pod nim stał granatowy wózek i leżał dziecięcy rower, którego właściciel, z bardzo brudnymi kolanami, wysłuchiwał reprimendy kobiety z niemowlęciem na rękach.

– A gdybyś się wywrócił na szkło? Potem będzie płacz! Prosiłam, żebyś nie jeździł tak szybko!

– Wybacz, nie wyrobiłem na zakręcie... – Pociągnął nosem i już gotów był się rozplakać, gdy ujrzał dziewczynkę. – Gabrysia! – Uśmiech rozjaśnił mu twarz i natychmiast zapomniał o burze, którą dostał przed chwilą. – Pojeździmy dookoła stawu?

– Jasne, jedźcie. – Magdalena rozpoznała w matce niemowlęcia kobietę z ogrodu botanicznego, więc przywitała się i dosiadła do niej. – Można?

Maluch, jak to miał w zwyczaju, zamarudził, więc matka zakołysała lekko wózkiem.

– Kacper bardzo polubił pani córkę. Byliśmy potem kilka razy w ogrodzie, ale was nie widzieliśmy i trochę się martwił, że nie spotka już Gabrysi. Pani mieszka gdzieś w okolicy?

– Tak, na Żeromskiego, koło kina.

– A my zaraz przy szkole na Damrota. Jesteśmy więc sąsiadkami. – Kobieta ucieszyła się i znów zatelepała wózkiem. – Teraz pewnie będziemy się tu widywać.

– W wakacje często przychodzimy do parku. Gaba idzie teraz do zerówki w przedszkolu, a gdy jest ładna pogoda, zostajemy na przedszkolnym placu zabaw.

– Kacper też idzie do zerówki. W szkole. – Poprawiła Kminkowi przykrywającą go flanelkę i rozejrzała się za dziećmi. Zajęte rozmową, jechały wokół stawu i zakręcały właśnie przy szalecie na rogu Prusa i Nowowiejskiej.

– Dobrze, że się poznali. Kacper czuje się tu dość samotnie.

– Gabrysia też. Koleżanki z przedszkola się porozjeżdżały, a na naszym podwórku nie ma nikogo bliskiego. Zresztą te podwórka... Sama pani wie.

– Oj, tak, u nas niby powinno być dobrze, bezpiecznie, bo otoczone ze wszystkich stron budynkami, ale brudno, psy, a wieczorem młodzież urzęduje...

Nie zdążyła dokończyć, bo od strony placu zabaw z impetem podjechał do nich głęboki bordowy wózek, pchany przez drobną, ale bardzo dynamiczną postać. W pierwszej chwili Magdalenie skojarzyła się z Audrey Hepburn – niewysoka, krótko ostrzyżona. Jednak z bliska zupełnie jej nie przypominała – kwadratowa, jakby męska twarz o bladej skórze, cieniutkie, rzadkie włoski i świdrujące, ciemnobrązowe oczy w żaden sposób nie kojarzyły się z gwiazdą kina.

Kobieta zgrabnie wykręciła obok ławeczki i gwałtownie się pochyliwszy, wydobyła z siatki pod wózkiem plik czarno-białych czasopism. Wręczyła jedno z nich zdumionej Magdalenie i oznajmiła:

– Najnowszy numer „Poza Nawiasem”!

– Dziękuję, ale niekoniecznie... – nic więcej Magdalena nie zdążyła wyjąkać, bo paniusia (nie sposób było jej inaczej nazwać) aż się zachłysnęła:

– Proszę panią! Proszę panią, nie wygląda pani na kogoś, kto nie chce dowiedzieć się czegoś o życiu naszej społeczności! Każdy, powtarzam, każdy ma obowiązek wiedzieć, co się dzieje na osiedlu, a dowiedzieć się powinien nie ze skorumpowanych i zakłamanych mediów, lecz z PRAWDZIWEGO głosu Ołbina! „Poza Nawiasem” to jedyna w naszym rejonie niezależna gazeta, w której nie wahamy się pisać prawdy! A co piszemy, wiem doskonale, Julianna Mischczak, redaktor naczelna! – I wyciągnęła rękę.

Magdalena dyskretnie spojrzała na towarzyszkę, a zauważywszy, że ta śmieje się pod nosem, choć stara się tego nie okazywać, postanowiła nie dyskutować. Przyjęła podaną dłoń. Mischczak potrząsnęła nią energicznie, po czym ruszyła dalej, zatrzymując się przy kolejnych ławeczkach i wręczając spacerowiczom cienkie gazetki. Jeśli ktoś stawiał większy opór, kładła egzemplarze „Poza Nawiasem” na ławkach i pędziła dalej, aż kurzyło się spod kół wózka.

Magdalena, nie mogąc się otrząsnąć ze zdumienia, przełożyła gazetę z ręki do ręki i spojrzała na mamę Kminka.

– Co to było?

– Pijawka. – Zakrztusiła się śmiechem, a widząc zaokrąglone oczy Magdaleny, wyjaśniła:

– Mój mąż tak ją nazwał. Ja mówię na nią „Proszępanią”, a ona zawsze się przedstawia: Miszczak, redaktor naczelna, więc naczelna skojarzyła się mu z naczelnymi ssakami, a ssaki z pijawkami. Poza tym, jak się przyssie do człowieka, to nie puści, póki nie weźmie się tej gazety.

– Rzeczywiście. – Magdalena zachichotała.

Po godzinie, kiedy Kacper z Gabą bawili się w najlepsze i to bez żadnych kłótni czy przepychanek, a Magdalena i Joanna, bo tak miała na imię nowa znajoma, przeszły na ty, maleńki Kminek uznał, że dość już grzecznego spania, on też chce popatrzeć na świat poza wózkiem! I rozkrzyczał się na pół parku.

– Ale fajnie bawiliśmy się z Kacprem! – Zachwycona Gabrysia skakała po płytach chodnika, starając się nie następować na linie. – Umówiliśmy się, że następnym razem weźmiemy namiot i zrobimy sobie piknik w parku. Może też ognisko?

– Raczej nie. – Magdalena chwyciła córkę za rękę, zanim ta zsunęła się z wysokiego, ale pochylego w tym miejscu krawężnika na jezdnię. – Tam nie wolno palić ognisk, a poza tym nie wiemy, kiedy oni następnym razem przyjdą.

– To zadzwoń do nich!

– Nie mam numeru. Zresztą zaraz wracasz do przedszkola, nie będziemy tak często chodzić do parku.

– Chodźmy, chodźmy! – prosiła dziewczynka. – Kacper jest taki fajny! A Kminek, no wiesz, słodki.

Ale Magdalena już nie słuchała. Z czasem nauczyła się głuchnąć na dźwięki wydawane przez córkę, zwykle pod koniec dnia, kiedy liczba pytań i komunikatów przekraczała granicę pozwalającą na przyswajanie tego wszystkiego. Tym razem jednak zapatrzyła się na robotników wnoszących meble do pomieszczenia, które od pewnego czasu stało puste. Kiedyś był tam sklep z warzywami, wcześniej jeszcze coś innego.



Kobieta z zaciekawieniem przyglądała się, jak wynoszą różne rupiecie i przyrządy malarskie, a w ich miejsce wstawiają meble z ciemnego drewna, prawdopodobnie regały, choć trudno to było stwierdzić z całą pewnością. Nie miała jednak czasu przypatrywać się dłużej – Gabryśia ciągnęła ją za rękę, w drugiej Magdalena trzymała rowerek córki.

Zresztą niedługo może wróci Szymon, nie będzie zachwycony, gdy ich nie zastanie. Co prawda zwykle to one czekały na niego, lecz zdarzało się, że przyjeżdżał już koło osiemnastej, wtedy wołał, by były w domu, a Magdalena natychmiast podawała mu późny obiad. Może i dziś zjawi się wcześniej?

Nie doszukując się przyczyny, dla której nagły zimny dreszcz przebiegł jej po plecach, ujęła mocniej rączkę Gaby i szybciej ruszyła do domu.

– Umyj łapy! – krzyknęła w stronę dziewczynki biegnącej wprost do swego pokoju i sama też poszła do łazienki.

Jasne kafelki, niemal białe, ale przełamane nutą błękitu, rozjaśniały mrocznawe wnętrza, na tyle duże, by znalazło się miejsce na sporą wannę, umywalkę i toaletę. W poprzednim mieszkaniu, które wynajmowali przez kilka lat, zanim urodziła się Gabryśia, łazienka była tak mała, że pralkę musieli postawić w kuchni. Tutaj zaś wszystko znakomicie się mieściło, a przestrzeni wystarczyło nawet na ozdobienie pomieszczenia wąskimi półkami. Na nich Magdalena poustawiała butelki z niebieskiego szkła, których przybywało, jeśli Szymon znalazł odpowiednią w trakcie którejś z licznych podróży. Na gwoździkach wbitych w spoiny między kafelkami wisiały suszone rozgwiazdy, koniki morskie i różne marynistyczne drobiazgi. Od czasu, kiedy się tu wprowadzili, czyli jakieś osiem lat temu, Magdalenie zmienił się gust, postanowiła jednak nic tu nie przerabiać – ostatecznie ich nowy dom rośnie, tam urządzi wszystko tak, jak się jej będzie podobało. Nie musiała oszczędzać, bo Szymon zarabiał wystarczająco dużo, by stać ich było na wiele, ale marzyła o czymś tak minimalistycznym jak domek nad jeziorem, w którym spędzili urlop.

Cholera z tym urlopem. Co sobie o nim przypomniała, to zamiast radości, czuła smutek i niepokój.

Umyła szybko ręce i przeszła do słonecznej kuchni o ścianach

w ładnym odcieniu żółci i takim samym suficie. W nowym domu postanowiła urządzić ją podobnie, może tylko kafelki dobrać jaśniejsze, choć i ten brąz nie był zły. Zdjęła z suszarki naczynia umyte po obiedzie i wstawiła je do odpowiednich szafek. Starła niewidoczny pyłek z lśniącej płyty kuchenki i nastawiła wodę na herbatę.

Gdy rozległ się chrobot klucza w zamku, zeszywniała i z lękiem spojrzała na drzwi wejściowe, widoczne wprost z kuchni. Kilkanaście sekund, w ciągu których nie napotkała wzroku męża, zdawało się ciągnąć w nieskończoność, jednak gdy wreszcie ich spojrzenia się skrzyżowały, obawa znikła. Magdalena z uśmiechem podeszła, by powitać Szymona.

– Miałeś dziś mniej pracy? – zapytała przy wspólnym posiłku, który dla niej i Gaby był kolacją, a dla niego obiadem.

– Tak, spokojny dzień. Ale mam spotkanie o dwudziestej, więc nie poleżę przed telewizorem. Co tam dzisiaj dają? – Popatrzył na córkę, która zeskoczyła z krzesła i pobiegła po gazetę z programem telewizyjnym. – A, nic takiego...

– Późno wrócisz? – spytała Magdalena, nie podnosząc wzroku.

– Postaram się załatwić to jak najszybciej. Niby nic takiego dziś nie robiłem, ale to gorąco osłabia. Dobrze, że jutro sobota, odpoczniemy sobie. Ale czekaj, czekaj, to ostatni weekend sierpnia? Gabrysia, do zerówki!

Dziewczynka wskoczyła mu na kolana i się przytuliła.

– Moja mała córeczka już idzie do zerówki, jak to zleciało...

Uśmiechnął się tak ciepło, że Magdalenie zadrżało serce i impulsywnie przykryła dłoń męża swoją. Szymon był wspaniałym ojcem. A Gabrysia tuliła się to do niego, to do matki, jak szczęśliwy piesek, który z wielkiej radości nie nadąża merdać ogonem.

Ostatnia sobota sierpnia rozpoczęła się dla Magdaleny bólem głowy. Wiedziała, że nie pomogą kawa ani tabletki. Te zresztą działały coraz mniej skutecznie, odkąd zwiększyły się jej problemy z kręgosłupem, który – prosty i zasadniczo zdrowy – dokuczał jej czasami, jakby przerzuciła tonę węgla. Dzięki Bogu i piecom elektrycznym nie musiała tego robić, więc z dużym zaskoczeniem przyjęła pojawiające się nie wiadomo skąd bóle, które nawiedzały ją

mniej więcej od roku.

Zwlokła się z łóżka i podeszła do okna. Bardzo chciało się jej do łazienki, ale ta, sądząc po pustej poduszce obok, była zajęta. Mąż przypuszczalnie wrócił bardzo późno, bo nawet się nie obudziła.

Kozioł i diabeł niezmiennie walczyli na popękanej ścianie, a nad dachami wreszcie zamiast upalnego błękitu pojawiły się szare chmury. Może będzie padać, deszcz odświeży powietrze i zmyje z miasta cały wakacyjny kurz.

Po dłuższej chwili, kiedy czuła, że dłużej już nie wytrzyma, zapukała w drzwi łazienki. Cisza. Chwyciła za klamkę z nadzieją, że jednak zastanie tam Szymona.

Spał w dużym pokoju.

Ból głowy nie minął mimo nastania kolejnego ranka. Magdalena starała się o nim nie myśleć, co nie było bardzo trudne, bo głowę miała zaprzątniętą czym innym niż własne dolegliwości, które wolała bagatelizować. Sądziła, że jeśli się o czymś nie myśli, to problem znika w czarodziejski sposób; i rzeczywiście, nieraz ta sztuczka się udawała. Nie tym razem, więc musiała po prostu bardziej się postarać.

Deszcz wisiał nad miastem, ale jak dotąd nie spadła ani jedna kropla, atmosfera gęstniała i wyraźnie zanosilo się na coś ponurego i mało przyjemnego. Może na burzę.

Pranie zdjęła z balkonu już poprzedniego wieczoru, więc teraz zastanawiała się tylko, jak ubrać się do kościoła. Za ciepło na prewencję w postaci płaszczy przeciwdeszczowych, musi wystarczyć składana parasolka w torebce. Także i ta okazała się niepotrzebna, chmury skłębiły się tylko bardziej, więc po powrocie z mszy kobieta ucieszyła się, że obiad ma już niemal gotowy. Wystarczyło podgrzać uduszone wczoraj mięso i pokroić warzywa do sałatki. Nawet ziemniaki obrała z samego rana, więc z radością spędziła mniej czasu w kuchni rozgrzanej od słońca i gotowania.

Popołudnie przyszło leniwe i parne. Oczekiwany od wczoraj deszcz nie spadł, ale napięcie rosło coraz bardziej. Mimo prób zaklinania rzeczywistości Magdalena czuła, że tym razem to się może nie udać, bo problem nie leży w jej wyobraźni. Cały wczorajszy dzień, który Szymon spędził w łóżku, świadczył o tym, że piątkowy wieczór minął mu zgoła

inaczej, niż miała nadzieję i niż sam sugerował. Omijając go wzrokiem, snuła się między kuchnią a pokojem dziecka, starając się nie odzywać, a najlepiej nawet nie zaglądać do dużego pokoju, gdzie mąż przespał także kolejną noc. W niedzielę nie pojawił się nawet na śniadaniu. Nic dziwnego, po całodziennym gniciu przed telewizorem sobotni wieczór także musiał sobie umilić na swój sposób. Wymknął się z domu nie wiadomo kiedy i wrócił po północy. Słyszała, jak hałasował w przedpokoju, ale ani myślała iść i pytać, czy (a jeśli to gdzie) zjadł kolację. Dlatego w niedzielę obudziła się zła i zawiedziona. Wiedziała, że w związku z samopoczuciem męża nie pójdą wespół do kościoła, nie spędzą też tego dnia tak, jak najbardziej lubiła – razem. Jak prawdziwa rodzina. Magdalenę trochę zastanawiało, że Gabrysia zdawała się nie widzieć niedyspozycji ojca. Śmiała się i podskakiwała wokół stołu jak wróbel, włąziła Szymonowi do łóżka i dopominała się pieszczot. Czasem pogłaskała ją jak natrętnego psiaka, czasem żartobliwie odgonił, ale ona uporczywie wracała, pokazując w szerokim uśmiechu białe ząbki, wygłupiając się i próbując przypodobać się ojcu. Bardzo nie lubiła, gdy rodzice byli źli czy smutni, więc za wszelką cenę próbowała ich rozweselić. Gdy Szymon wreszcie zwłóknął się z łóżka, Gabrysia chciała rozbawić i mamusię.

– Popatrz, stoję na głowie! – wołała, podrzucając nogi i opierając je o ścianę.

– Upadniesz i się potłuczysz – prorokowała Magdalena, niespecjalnie rozśmieszona, a właściwie zupełnie poważna.

Gabrysia miała jednak cały arsenał minek i sposobów na topienie rodzicielskich serc i wywoływanie uśmiechów na ich twarzach. Nieraz udawało się jej rozładować atmosferę, nawet w sytuacjach, których nie rozumiała. Właściwie w większości przypadków nie była pewna, o co chodzi rodzicom, czemu warczą na siebie albo milczą godzinami. Tato wtedy żartował przynajmniej z córką, ale mama chodziła przygnębiona, przestraszona i czasem płakała. Gaba wiedziała o tym, choć mama udawała, że to katar albo że jej coś wpadło do oka. Ze wszystkich sił starała się wówczas zająć myśli mamy czymś, co odpędzi smutki.

O, zaraz pokaże jej coś śmiesznego! Odsunęła krzesło od stołu i weszła na nie, ustawiając się w pozycji jaskółki. Machając

wyciągniętymi rękami, udawała, że frunie, jednak już po chwili zachwiała się gwałtownie i spadła z krzesła, po drodze uderzając lekko ręką o blat stołu.

Magdalena zeszywniała. Raptownie zerwała się i szarpnęła córkę za rękaw:

– Uspokój się natychmiast! – Stała nad dziewczynką i dyszała przez zaciśnięte zęby. – Przestań! – Szarpnęła jeszcze raz, choć przerażone dziecko stało nieporuszone, nie próbując nawet złapać się za niespecjalnie bolący łokieć.

– Daj jej spokój. Przecież nic złego nie robi, bawi się.

Szymon stał w przedpokoju, oparty o futrynę drzwi i przyglądał się scenie, jaką zastał.

– Nic nie robi? – Nagła złość ogarnęła Magdaleny. – Oczywiście, dla ciebie to zabawa! A ona... A ja... – Emocje spowodowały, że zabrakło jej słów, za to gwałtownie wybuchła płaczem.

Szymon, wciąż w bezruchu, patrzył na żonę i zastanawiał się, o co, u diabła, tym razem jej chodzi. Jak nie nagle wrzaski, to znów musztrowanie dziecka, jak teraz. Albo płacz nie wiadomo o co. Starał się, jak mógł, zapewnić im wszystko. Magdalena nie musiała iść do pracy, nawet nie życzył sobie tego – sam zajmował się finansami rodziny. Ale jej wiecznie coś nie pasowało, jeśli tylko nie była akurat bardziej zajęta czymś w domu, snuła się skrzywiona, skłonna do płaczu i pretensji. Co ona właściwie robi przez całe dni? Trochę przejdzie się z Gabą, w domu na dobrą sprawę nie ma kto bałaganić, więc i roboty mało. No, gotuje, racja, ale ileż tego na trzy osoby, a zazwyczaj dwie, kiedy on wyjeżdża? Pokręcił głową i wzruszył ramionami.

– Łatwo ci wszystko bagatelizować. – Magdalena spojrzała oskarżycielsko. – Bo wpadasz do domu jak do hotelu i na co dzień nie zajmujesz się dzieckiem. Spróbuj spędzić z nią więcej czasu, zobaczysz, jak to jest!

– Według ciebie jestem złym ojcem? – Zdenerwował się. – Za mało zarabiam? Za mało dzieciak ma zabawek?

– Za mało spędzasz z nią czasu! Nie wiesz, co robi, jak się zachowuje. Powiedz, którą bajkę najbardziej lubi oglądać, mądralo!

– Którą? No, tę o królewnach. O królewnach czy konikach. Czy

obydwie... – Głos Szymona tracił siłę, w końcu mężczyzna zamilkł. Zwężił oczy i rzucił w stronę córki:

– Ubieraj się, pójdziesz z tatusiem na spacer.

– Mogę w rolkach? – Gabrysi obeschły już łzy przestrochu i z radością przyskoczyła do ojca.

– Możesz.

Wyszedł, nie spojrzawszy na żonę. Usiłował pomóc Gabrysi schodzić po schodach, chociaż sama świetnie sobie radziła.

Magdalena, z czerwonym nosem i zapłakanymi oczami, ostrożnie podeszła do okna. Gaba i Szymon powoli szli wzdłuż chodnika, kierując się w stronę ulicy Jedności Narodowej. Pewnie za pocztą skręcą w prawo i albo pójdą na boisko szkolne, albo miną szkołę i dotrą aż na Mosty Warszawskie. Część ich chodników, stanowiąca ścieżkę rowerową, była gładziutka – w sam raz do jazdy na rolkach. Często tam chodziły.

Teraz córka szła z ojcem – oboje wysocy, o podobnych sylwetkach. Szymon ostatnio chyba schudł bardziej niż zwykle, ale właściwie zawsze był szczupły, z długimi nogami i rękami o smukłych palcach. Gabrysia wyglądała jak jego mniejsza kopia, nawet fryzury mieli podobne – półdługie, krucze włosy sięgające do ramion, u dziewczynki dodatkowo z grzywką.

Magdalena przyglądała się im przez chwilę, potem weszła do łazienki. Przemyła twarz zimną wodą i zapatrzyła się w lustro odbijające niewielką, bladą twarz o zapuchniętych oczach. Prawie nie było widać, jak są zielone. Długie, sięgające pośladków włosy spięła klamrą, ale krótsze kosmyki nad czołem i uszami wysunęły się i sterczały na wszystkie strony. Ujęła grzebień i starannie doprowadziła fryzurę do porządku. Więcej jest spraw, które należałoby doprowadzić do porządku w tym domu. Zacznie od makijażu, potem pozmywa po obiedzie i...

Do diabła z tymi porządkami!

Do diabła i do ciężkiej cholery, mimo świętej niedzieli! Chyba czas najwyższy otworzyć oczy i przyjrzeć się temu, co wyprawia ze swoim... z ich życiem jej mąż. Bo wszystko wskazuje na to, że wbrew temu, co Szymon mówi i co ona sama usiłuje zepchnąć gdzieś w tył głowy – ale czuje to niezaprzeczenie – on od dłuższego czasu najwyraźniej sobie z czymś nie radzi! Nie jest tym wspaniałym mężczyzną, za którego

wyszła, ani cudownym ojcem, za jakiego ma go Gabrysia...

Magdalena wybiegła z łazienki i rozejrzała się po domu. Lśniące czystością trzy pokoje, każde pomieszczenie, także balkon, pokazywały, że mieszkają tu ludzie porządni, poukładani. Każda rzecz miała swoje miejsce i na nim się znajdowała. Krzesła stały w jednakowej odległości od stołu, książki na półce trzymano w pionie dzięki specjalnym podpórkom, dokumenty w szufladzie leżały w osobnych, dokładnie opisanych teczkach. Firanki miały równe fałdy.

To nie może być dom, w którym dzieje się coś złego. To dobra rodzina, a że czasem Magdalenie coś się wydaje – trudno. Może Szymon ma rację i powinna zrobić coś ze sobą...

Zawstydzona własnym brakiem równowagi i awanturą, jaką urządziła mężowi – przecież gdyby nie chciał pomagać jej w zajmowaniu się Gabrysią, nie poszedłby z nią na dwór! – rzuciła się w wir porządkowania kuchni po obiedzie. Z każdym umyтым naczyniem miała nadzieję zmyć z rąk – a tym samym z siebie – poczucie winy.

Z każdym kwadransiem poczucie winy Magdaleny zaczęło ustępować najpierw lekkiej obawie, potem coraz większemu lękowi o to, gdzie są jej najbliżsi. Wiedziała, że Gabrysia może jeździć na rolnkach i dwie godziny, jednak nie było ich już ponad trzy. Wiedziała, że na mężu można polegać – pewnie dał się namówić Gabrysi na jakieś lody czy ciastka, więc siedzą w cukierni po drugiej stronie ulicy... Stąd nie było jej widać, musiałyby wyjść przed dom, a nie chciała robić scen na ulicy i panikować bez sensu. Zadzwoiła do Szymona, lecz jego komórka odezwała się w przedpokoju. Kiedy Magdalena była już niemal gotowa do wyjścia, by szukać męża i córki, usłyszała ich idących po schodach. Odetchnęła z ulgą i szeroko otworzyła drzwi wejściowe.

Szymon, stojąc na moście, patrzył na córkę śmigającą w różowym kasku. Była bardzo zwinna, na pewno z wufu będzie miała same szóstki. Jej matka też kiedyś była zgrabną dziewczyną, o wielkich oczach w kolorze zielonego szkła. Pamiętał dzień, w którym zobaczył ją po raz pierwszy. Zaczynał właśnie klasę maturalną w liceum numer osiem i w małym stopniu interesowali go nowi uczniowie, a szczególnie świeżo upieczone licealistki z ostatniego rocznika starego systemu bez gimnazjum. Tak się jednak zdarzyło, że jedna z nich do tego stopnia

zwróciła jego uwagę, iż robił potem wszystko, by ją spotkać. Z pierwszego dnia pamiętał zwłaszcza białe podkolanówki na ładnie umięśnionych, sportowych, jak je nazywał, łydkach i koński ogon rozjaśniony wakacyjnym słońcem. Kompletnie nie w głowie były wówczas Szymonowi prace manualne, jednak zapisał się na kółko plastyczne, na którym ona bywała, i wypatrywał dziewczyny na każdej przerwie. Zmieniła się od tego czasu. Trudno się dziwić, nie jest już licealistką, lecz dorosłą kobietą, jego żoną, matką ich córki.

– Tatusiu, patrz!

Gabrysia wykręcała ósemki, sprawnie umykając przed nadjeżdżającymi w pędzie rowerzystami. Czas wracać, bo Magdalena znowu będzie zgrzytać...

– Gaba, lecimy?

– A pójdziemy na lody?

Właściwie czemu nie? Tak rzadko gdzieś z nią wychodzi.

– Jasne. Znasz tu jakąś lodziarnię?

– Na naszej ulicy jest Marcepan.

– Prowadź!

Pomógł córce przejść przez jezdnię przy stacji benzynowej i doszli do szkoły. Szymon automatycznie chciał iść po chodniku, ale mała pociągnęła go za rękaw:

– Przez boisko? Tatusiu, przez boisko! – Nawet na rolkach prawie udało się jej podskakiwać.

Boisko szkoły podstawowej, do której Gabrysia miała iść w przyszłym roku, było niedawno urządzone. Wyłożono je kolorową, bezpieczną nawierzchnią, a całość ogrodzono i obciążnięto na dużej wysokości czerwono-zieloną siatką. Skończyło się wybieganie po piłkę na ulicę. Między drzewami, w miejscu, w którym dotąd był pusty skwerek, powstał barwny i wesoły plac zabaw pełen huśtawek, zjeżdżalni, drabinek i równoważni. W czasie roku szkolnego do południa bawiły się tu dzieci z klas nauczania początkowego, potem z okolicznych kamienic schodziły się matki z wózkami i biegającymi kilkulatkami. Magdalena przyprowadzała tu czasem w dni wolne od przedszkola Gabrysię, ale wolały chodzić do parku albo na górkę Słowiańską. Szymon nie wiedział o tym wszystkim i zasadniczo niewiele



go to interesowało. Od zajmowania się dziećmi są matki.

Przeszli wzdłuż Miarki i skręcili w Daszyńskiego, jeszcze trochę i znajdą się na swojej ulicy. Płytki chodnikowe były tu nierówne, więc Gaba co chwilę hamowała, ale jakoś przeszli połowę tego odcinka, aż zatrzymała się przy oknie o szybie oklejonej kolorowym witrażem z folii samoprzylepnej. Dobiegał stamtąd gwar rozmów i niosła się woń czegoś słodkiego, jakby soku czy owoców, i kwaśnawy zapach piwa. Szymon spojrzął na drzwi wejściowe, czyste i ozdobione dużym napisem: JUŻ OTWARTE. Zastanowił się przez chwilę. Gabrysia, schylona, drapała się po łydce, wreszcie podniosła na niego oczy.

– Idziemy na te lody?

– Może tutaj będą? To chyba nowy bar?

– Ostatnio go tu nie było. Mają lody? – Gaba nie potrafiła myśleć o czym innym.

– Sprawdźmy.

Czynna od kilku dni knajpka, jeszcze świeża, o niezaplamionych obrusach, czystych ścianach, ale już charakterystycznym zapaszku jak spod budki z piwem, przeplatany aromatem czipsów i słodkości, mieściła cztery maleńkie stoliki nakryte obrusami w kratę i krótki bar. Ręcznie wypisane menu głosiło obecność napojów zimnych oraz wysokowych, a także ciastek, lodów, słonych i słodkich przekąsek.

Gaba wjechała wprost do stolika pod ścianą i klapnęła na krzeselku. Szymon podszedł do baru, za którym zobaczył małą lodówkę z przejrzystym wierzchem. Warstwami leżały w niej lody o różnych smakach na patykach i w wafelkach.

– Rożek truskawkowy? – odwrócił się do córki.

– Tak, tak!

Gabrysia z zachwytem oblizywała słodkości dość szybko topniejące i spływające po wafelku, a Szymonowi najpierw przyszła do głowy niedorzeczna myśl, by i sobie kupić lody, jak kiedyś, gdy był chłopakiem. Potem jednak załęgła się inna. Ostatecznie jest mężczyzną, nie dzieciakiem, więc może sobie kupić to, na co ma ochotę. Cholerny deszcz wisiał nad głową, nie spadła ani kropla, tylko to gorąco z nieba, od murów i rozgrzanych ulic. Nic dziwnego, że zasycha w gardle. Przez cały tydzień ciężko pracował, ale żona, siedząca w domu, nie ma pojęcia

o tym, ile to człowieka kosztuje. To nic, że nie pracuje na budowie czy przy kopaniu rowów. Wysiłek umysłowy, nawiązywanie kontaktów, ustalanie warunków umów czasami potrafi człowieka bardziej zmęczyć niż praca fizyczna. Skąd ona, wiecznie obrażona, miałaby wiedzieć o tym, jak mocno czasem człowiek potrzebuje odpocząć, nie myśleć, zresetować się? To nie jest zła dziewczyna (wciąż myślał o niej jak o dziewczynie, mimo że skończyła już trzydzieści dwa lata), ale ostatnio zmieniła się bardzo. Kiedyś codziennie chciał nosić ją na rękach. Teraz jednym słowem lub gestem potrafiła wyprowadzić go z równowagi, sprowokować do zachowań, których potem żałował. Nie wymagał od niej nic, miała tylko być strażniczką ogniska domowego, tymczasem nieraz sama wzniecała niepotrzebny pożar. A przecież w ich małym rajku brakowało jej chyba tylko ptasiego mleka. Nie dostanie go także w tym wielkim, który dopiero się buduje, ale całą resztę ma do dyspozycji.

„Nie jest taka zła – myślał dobrodusznie, otwierając kolejne piwo. – Czasem wystarczy ustawić ją trochę do pionu i będzie dobrze. Czego ten dzieciak znowu chce, wrębała już dwa lody i jeszcze piszczy. Ale chyba czas wracać”.

Wrzesień

Magdalena nalewała mleko do miseczki z płatkami kukurydzianymi, rozpryskując po ceracie mętne krople. Zanim wyjęła z suszarki ulubioną łyżkę Gabrysi, rozsypała widelce. Gdy połą szlafroka strąciła ze stołu kubek, stanęła w bezruchu i uniosła rękę. Wewnętrzną stroną dłoni ścisnęła skronie i zamknęła oczy. Po dłuższej chwili odetchnęła głęboko i schyliła się do szafki pod zlewem. Dokładnie zmiotła gliniane resztki, a kiedy myła ręce, w drzwiach kuchni stanęła zaspana Gabrysia.

– Co się stało? – ziewnęła, trąc oczy.

– Nic takiego, stłukłam kubek. Siadaj do płatków, bo rozmiękną.

Deszcz bębniący o blaszany parapet rozwiewał wszelkie wątpliwości w kwestii ubrania. Potwierdzał to słupek rtęci: siedemnaście stopni – to wykluczało sandały i lekkie sukienki. Mając w pamięci poprzednie lata, Magdalena bez większego zaskoczenia przyjęła dzisiejszą niepogodę, spokojnie wyjęła z szafy przygotowane już wczoraj nieco cieplejsze ubranie dla Gabrysi i płaszcze przeciwdeszczowe dla nich obu. Do przedszkola pomaszerowały, kręcąc kolorowymi parasolkami. Gaba była przeszczęśliwa – nie widziała kałuż od kilku tygodni, więc nie przepuściła żadnej.

Magdalena czekała tylko, aż wróci i będzie mogła zaszyć się w domu.

Siostry ze zgromadzenia świętego Józefa, józefitki, jak je nazywano, przy swoim domu prowadziły przedszkole mieszczące się w podwórzu kamienic przy ulicy Prusa. Jego lokalizacja była jednym z argumentów, dla których Magdalena wybrała dla córki właśnie to miejsce – spokojne, bezpieczne, w którym ogród był dla dzieci, a nie odwrotnie. Siostra Marianna z miłością pielęgnowała kwiaty i krzewy rosnące w małych kępach wprost na trawniku, między huśtawkami i piaskownicą. Nie odgradzała ich od dzieci, pozwalała wzrastać razem roślinom i przedszkolakom.

Gabrysia, stęskniona za koleżankami, za siostrą i świecką opiekunką, zajmującymi się ich grupą, w podskokach biegła przez mokry ogród wprost do drzwi wejściowych i nie czekając na matkę, sama przycisnęła guzik domofonu. Dobrze znane schody, szatnia i –

nowa sala, tym razem na pierwszym piętrze, nie na parterze, gdzie dotąd miały zajęcia pięciolatki.

– Halo, Gabrysiu, chcesz chodzić z młodszą grupą? – roześmiała się zakonnica, która ostatni rok miała się nimi opiekować, a wyjrzała na korytarz, słysząc rozmowy i tupot.

– Nie, nie! – Gaba niemal frunęła po schodach, tak bardzo nie mogła się doczekać przywitania z ulubioną siostrą, z którą i Magdalena lubiła porozmawiać, jeśli tylko ta znalazła chwilę.

Ktoś mógłby myśleć, że zakonnice nic nie robią, tylko chodzą i się modlą, tymczasem tutejsze, nie dość, że prowadziły przedszkole i naprawdę były zawsze znakomicie przygotowane do zajęć, to w większości studiowały lub się doksztalały. Poza tym zajmowały się domem zgromadzenia, starszymi siostrami, opiekowały się pobliskim kościołem pod wezwaniem św. Józefa i ogrodem wokół niego, a wszystko musiało być wykonane perfekcyjnie. Magdalena widziała kiedyś sprzątanie przedszkola przed Bożym Narodzeniem – zaskoczyło ją, do jakich zakamarków zaglądały i doprowadzają je do należytego porządku. Pomyślała wówczas, że nawet jej teściowa perfekcjonistka nie miałaby tu ani jednej uwagi – nie było szans!

Teraz Magdalena nie myślała o czystości w przedszkolu. Wystarczyła jej świadomość, że Gaba może dwa dni z rzędu iść na zajęcia w białych rajtuzach, które się nie brudziły, mimo przemieszczania się przez córkę na kolanach, bo dywany w salach prane są chyba co tydzień. Wracała do domu, starając się omijać kałuże, niektóre dość głębokie przez nierówności chodnika, i nie rozglądając się wokół, z dobrze osłoniętą parasolką twarzą. Nie chciała, aby ją ktoś zobaczył. Nie wiedziałyby, jak wyjaśnić, że mimo osłony jej policzki są całkiem mokre.

Cisza w mieszkaniu wydawała się dziś inna niż dotychczas. Zawsze, chociaż Gabrysia była w przedszkolu, a Szymon w pracy, często poza Wrocławiem, Magdalena wiedziała, że oboje prędzej czy później przyjdą. Tym razem nie miała pewności co do tego, że Szymon tu wróci, a jeśli – to kiedy.

Powiesiła płaszcz, a parasolkę rozłożyła w łazience. Odruchowo weszła do kuchni z zamiarem sprawdzenia, jakie zakupy do obiadu

zrobić, pomyślała jednak, że córka zje w przedszkolu, a ona sama jakoś nie miała ochoty na posiłek. W strugach deszczu za oknem kozioł i diabeł napierali na siebie, a Magdalenie przyszło do głowy, że w jakiś sposób ilustrują jej małżeństwo.

Poprzedniego dnia, kiedy otworzyła drzwi z nadzieją na wesołe opowieści o fikołkach na rolkach, zamiast nich dostała w twarz wonią piwa, wyraźnie płynącą od męża, który nie był w stanie utrzymać się na nogach. To nie był pierwszy raz, kiedy zachował się tak nieodpowiedzialnie, mając pod opieką dziecko. Zaczął nawet wcześniej, nim Gabrysia przyszła na świat. Na myśl o drodze, którą kiedyś Magdalena musiała pokonać w dziewiątym miesiącu ciąży, zrobiło się jej niedobrze.

Oderwała się od parapetu i rozejrzała po dużym pokoju. Narzuta na łóżku była zmięta, Szymon wczoraj usiłował się tu położyć. Jednak po tym, jak żona wykrzyczała mu, że sam może się zachlać na śmierć, ale ma się trzymać z dala od dziecka i kazała mu się wynieść, ostentacyjnie odłożył klucz na półkę w przedpokoju i wyszedł. Pobieгла wówczas na balkon, z którego widać było zaparkowany przed domem samochód. Jak przypuszczała – oderwał się od krawężnika i rozdarł parną ciszę uliczki wizgiem opon. Ze strachem myślała o tym, co się stanie, gdy Szymona zatrzyma policja. Usiłował jej wmówić, że nie pił, że to ona wymyśla nieistniejące problemy, jednak ani Magdalena, ani żaden policjant nie nabrałby się na to. Teraz, kiedy zaczęła się nad tym zastanawiać, przypominała sobie wiele sytuacji, w których prowadził nie całkiem trzeźwy.

Machinalnie poprawiła łóżko i usiadła przy stole, opierając łokcie o wykrochmalony obrus – nie z adamaszku czy płótna, jakie lubiła kłaść na niedzielę lub święta, tylko pracowicie wydziergany z cienkiej bawełny szydełkiem. Magdalena żałowała, że nie mają domu urządzonego w starym stylu, marzyły się jej klasyczne, ciemne, matowe meble, a na nich bibeloty poustawiane na koronkowych serwetkach. Prawdopodobnie taki salon powstanie w ich nowym domu, jednak nie wiedziała, czy to ona będzie układała drobiazgi.

Dziś, kiedy miała wszystkiego dosyć i brakowało sił do życia, wyraźniej do niej dotarło, że w jej małżeństwie jest coś nie tak. Jakby po

latach obudziła się z półsnu i zobaczyła w lustrze obcych ludzi – nie tego chłopaka, którego poznała w szkole, nie dziewczynę z końskim ogonem, którą niegdyś była. On zmienił się niepostrzeżenie w kogoś, komu do szczęścia potrzebne są tylko pieniądze i szklaneczka wieczorem. Komu niepotrzebna jest żona, bo wystarcza mu kucharka, gosposia i opiekunka do dzieci w jednym. Pomocy domowej nie trzeba kochać, nie trzeba się nią zajmować, troszczyć, bo ona nie zasługuje na uczucie. Wiecznie zapracowana, niezadowolona, coraz częściej nie radziła sobie z własnymi emocjami.

Kiedy ostatni raz tak naprawdę cieszyła się z czegoś? Skąd brał się smutek, który nie ogarniał jej, jak każdego, od czasu do czasu, lecz stale towarzyszył. Czy Szymon może być szczęśliwy z osobą, którą zżera poczucie beznadziejności? Czego ona właściwie chce? Jej podstawowe potrzeby są zaspokojone, nie musi się martwić, jak związać koniec z końcem od pierwszego do pierwszego, ma zdrowe, fajne dziecko, zaradnego, niezłego męża, który, jak dobry ogrodnik, sprawia, że wzrasta ich nowy dom. Powinna być zadowolona, że tylko ptasiego mleka jej brakuje, skąd więc nagłe ataki złości, wieczne poczucie rozczarowania? I czepianie się – sama już nieraz nie może siebie słuchać, tego gderania, skamlenia o zainteresowanie, próśb o szybki powrót, o niepicie...

Obrus był biały, wzory na nim regularnie ułożone w rozetę, której środek tkwił pośrodku blatu, a ramiona rozpływały się na zewnątrz, rozszerzając się na wszystkie strony. Jak myśl, która poraziła Magdalенę siedzącą na pozór spokojnie przy stole. Ta myśl zabłysła niczym centrum szydełkowej rozety i rosła, rozrastała się jak ramiona wzoru, już nie do pohamowania.

Szymon pił.

Pił często, choć rzadko doprowadzał się do stanu, w którym nie funkcjonował. Ale Magdalena nie mogła pozbyć się myśli, że to alkohol jest przyczyną – jeśli nie wszystkich, to znakomitej większości problemów między nimi.

O ile w ciągu roku mąż pił tylko od czasu do czasu – na wyjazdach, podczas biznesowych kolacji – o tyle cały urlop spędził na rauszu. Była pewna, choć sama przed sobą nie chciała tego przyznać i zamykała oczy

na fakt, że każda jego wyprawa z domku owocowała zakupem kolejnych zgrzewek piwa, może czegoś więcej. Nie wszystkie przywoził – podczas sprzątanía znalazła zaledwie kilka puszek i ze dwie ćwierćlitrowe butelki...

Pewnie coś zaniedbała. Może nie sprawdzała się jako żona, partnerka, prawdziwa kobieta, której rolą jest nie wieczne utyskiwanie, ale straż nad domowym ogniskiem, towarzyszenie w doli i niedoli. Zaślepią urojonymi obawami, zapomniała, że jej podstawowym obowiązkiem miało być łagodzenie, utulanie i pilnowanie, by w domu – ich domu – nie pojawił się nawet podmuch zimna. Tymczasem hulał tu mroźny wiatr. Czuła się za to odpowiedzialna.

Musi działać. Skoro alkohol jest sprawcą tego, co złe między nimi, Magdalena gotowa była zrobić wszystko, by go wyeliminować z ich życia.

– Szymon, wracaj... – wyszeptała. – Zobaczysz, że zasługuję na twoją miłość. Na to, byś nie szukał ukojenia w czym innym, byś czuł się ze mną bezpieczny i szczęśliwy.

Deszcz jak mroźne igły siekł parasole przechodniów, ich kaptury albo twarze, które z trudem osłonić podniesionymi kołnierzami. Mimo wczesnego popołudnia szare niebo przywodziło na myśl bliską noc, zniechęcając do wyjścia na dwór.

Szymon objął się ramionami i trwał, zapatrzony w ciemniejący prostokąt okna. Przygryzał wewnątrz policzków i intensywnie myślał o tym, w jaki sposób wrócić do domu. Mógłby to zrobić ot tak – ostatecznie jest właścicielem mieszkania. Czuł jednak, że problem nie leży we własności lokalu. Gryzł więc policzki, drapał się po głowie, mierzwiąc włosy, i poruszał ramionami. Wzdłuż kręgosłupa przebiegały mu dreszcze. Powinien wrócić. Magazynier prawdopodobnie i tak już się zorientował, że szef sypia w pracy, ale dopóki nic nie mówi i nie robi min, można udawać, że jest inaczej. W końcu Szymon ma prawo wychodzić i przychodzić do firmy, kiedy mu się podoba, nikomu nic do tego. Ale ciuchy wypadałoby zmienić, bo codzienny prysznic brany w firmowej łazience już nie pomoże... Trzeba wrócić do domu. Do Magdaleny.

Co się stało z tą kobietą? Czy jeszcze za mało robił dla domu, dla

niej? Czy był niewystarczająco dobrym mężem? To naprawdę taki problem, że raz wypił o jedno piwo więcej? Dobrze, miał pod opieką dziecko, ale byli pod samym domem, nie ciągał małej po knajpach – zjadła lody i wrócili, do jasnej cholery, czego więc ta dziewczyna chce?! Złość w nim zawrzała jak często – ostatnio coraz częściej – na myśl o żonie, a żołądek zacisnął się w paroksyzmie bólu.

Ona... Ludzie są dziwni. Na dobrą sprawę w całym życiu mógł się porozumieć jedynie z matką. Doskonale go pojmowała, nie musiał się tłumaczyć, wiedziała, że decyzje podejmowane przez dorosłego syna są słuszne i nie podważała ich, nie komentowała, nie narzekała. Cała reszta rodziny, nawet większość znajomych, często wynajdowała irracjonalne problemy, których istnienie jemu przypisywała. A on tylko chciał zwyczajnie i w miarę dobrze żyć, pracować, wracać do domu, gdzie czeka uśmiechnięta Magdalena, a rączki Gabrysi już od progu oplatają mu szyję. Ciężko pracował, aby to wszystko osiągnąć. I, do diabła, miał prawo wrócić do tego, co sam zbudował!

Ale choć na różne sposoby tłumaczył sobie, jak bardzo jest w porządku, od kilku dni nie miał odwagi wrócić do żony i córki.

Rozejrzał się po biurze. Srebrna obudowa telefonu leżącego na stole jaśniała w coraz mroczniejszym pomieszczeniu. Szymon przez chwilę bębnił palcami po blacie, znów przygryzał wargi i czochrał się po głowie. Gdy podniósł rękę, spod pachy doleciał go zapach przepoconej koszuli. Złapał komórkę i z obawą wybrał numer. Podczas kilku pierwszych sygnałów czuł, że zasycha mu w gardle, jednak Magdalena w końcu odebrała, a jej „słucham” zabrzmiało sucho, zimno i twardo jak zmrożony kamień, który zaległ w jego wnętrzu, nieprzyjemnie chłodząc żołądek, wskutek czego mężczyzna skurczył się i wtulił głowę w ramiona. Dopiero po chwili się opanował i starannie udawał spokój.

Nie chciała, by przyszedł do domu. zaproponowała spotkanie w małej knajpce przy stacji benzynowej, tuż nad Odrą. Sama nie wiedziała, dlaczego akurat tam, ale to pierwsze, co przyszło jej do głowy. Zresztą bliżej był tylko lokalik, do którego Szymon poszedł z Gabrysią, niezręcznie byłoby właśnie tam rozmawiać, z kolei klimat pizzerii kompletnie jej nie odpowiadał.

Magdalena poddała się, patrząc w lustro – najlepszy makijaż nie



ukryje spuchniętych od płaczu powiek. Zresztą dlaczego miałyby udawać, że nie jest jej źle? Czuła się koszmarnie. Rozczesała włosy i ułożyła je wzdłuż policzków – może trochę zasłonią zmizerowaną twarz z ciemnymi workami pod oczyma. Choć wewnątrz była rozdygotana, powoli i systematycznie dobierała części garderoby. „Po co się stroisz? – pytała siebie. – Ani nie będziesz od tego piękniejsza, ani on nie padnie u twych stóp, z zachwytem spoglądając na wytworną żonę”. Co najwyżej wreszcie nie wytrzyma i robi to, przed czym – jak odnosiła wrażenie – dotąd się resztkami sił powstrzymywał... „O czym ja myślę?!” – zapytała się nagle przerażona. Chyba że będzie trzeźwy. Obawiała się, jak przebiegnie dialog, jednak postanowiła nie prowadzić go, jeśli Szymon przyjdzie choćby po jednym piwie. To nie miałoby sensu.

Wczorajsza rozmowa telefoniczna rozstroiła ją bardzo. Dziś, chociaż w środku rozdygotana, ale na zewnątrz spokojniejsza, szykowała się do wyjścia. Gabrysię z przedszkola odebrała mama koleżanki, będą się bawiły aż do kolacji, dzięki czemu Magdalena miała czas i nie musiała myśleć o córce podczas rozmowy z mężem. Pójdzie po nią, kiedy wyjaśni się cokolwiek. I gdy na jej twarzy nie pozostanie ani ślad tego, do czego, jak przypuszczała, dojdzie podczas spotkania z Szymonem.

Ołowiane od wczoraj chmury uniosły się wysoko, nie opierały już tłustych brzuchów na kominach. Niebo pojaśniało i miejscami prześwitywał blask, sugerujący, że gdzieś tam, za coraz cieńszą warstwą, jest słońce.

„Może jest” – myślała z nadzieją Magdalena, skręcając z Wyszyńskiego w prawo, tuż przed Mostami Warszawskimi. Minęła myjnię i stację benzynową i weszła na schodki wiodące do niewielkiego lokalu znajdującego się na wysokim parterze bloku mieszkalnego. Drzwi knajpki były otwarte, przed wejściem na tarasie ustawiono kilka stolików z parasolami. Tylko jeden z nich był zajęty przez dwóch mężczyzn, więc Magdalena podeszła bliżej i zajrzała do środka. Było na tyle jasno, że lampy wewnątrz się nie świeciły, jednak pomieszczenie tonęło w mroku rozjaśnianym jedynie światłem dnia. Zajrzała głębiej i kiedy była już prawie pewna, że Szymona jeszcze nie ma, ten podniósł się od stolika

ustawionego w najdalszym kącie. Zobaczyła jego uniesioną rękę, a potem zmęczoną twarz pod rozwichrzonymi włosami. Zawsze je mierzwił, kiedy się denerwował albo myślał o czymś intensywnie. Krzesło nieprzyjemnie zaszurało, gdy je odsuwał. Magdalena podeszła i stanęła obok stolika.

– Siadaj. – Chrząknął i nabrał więcej powietrza. – Napijesz się czegoś?

Pokręciła głową i się rozejrzała. Oczy przywykły do mroku i teraz żałowała, że spotkanie umówili właśnie tutaj. Nie była tu wcześniej, więc miała inne wyobrażenie o knajpcie, która niespecjalnie przypadła jej do gustu – tak ze względu na niezachęcający wystrój, jak i zapachy odgrzewanych zapiekanki dochodzące z mikrofalówki za barem.

– Chodźmy stąd.

Spojrzał zdumiony, ale nie zaproponowała mu pójścia do domu, tylko spacer nad Odrą.

Rzeka połyskiwała jak płynny metal. Obserwowali ją przez chwilę z początku wschodniego mostu, nazywanego częściej nowym, w odróżnieniu od starego, jeszcze ponemieckiego. Czekali, aż minie ich grupa rowerzystów przechodzących w niedozwolonym miejscu przez jezdnię i powoli wsiadających na rowery – był to dość karkołomny wyczyn, bo między jezdniami ustawiono barierki. Jeśli chcieli ruszyć dalej wzdłuż wału, musieli przenieść ponad nimi sprzęt, ryzykując zderzenie z rozpędzonymi samochodami. W końcu i oni wkroczyli na czarną ścieżkę i nareszcie nieniepokojeni przez nikogo, z wahaniem odważyli się spoglądać na siebie.

Zanim wyszła z domu, Magdalena przygotowała sobie wiele słów, które zamierzała powiedzieć mężowi. Teraz uciekły gdzieś, pozostawiając tylko jedną myśl, tłukącą się jak uwięziony ptak: „Szymon, wróć!”.

Tak źle wyglądał. Pewnie okropnie się czuł. Od dłuższego czasu podejrzewała, że mąż ma jakieś kłopoty zdrowotne. Próbował to ukrywać, ale widziała, jak dyskretnie łykał tabletki przeciwbólowe, a niekiedy leżał na wersalce zwinięty nie dla wygody, lecz z bólu.

Szymon, wróć. Bądź dla nas dobry, kochaj mnie, pomogę ci, będzie dobrze! To wszystko jest jakimś koszmarem, zaraz się obudzimy

i będziemy się śmiali, że dobremu małżeństwu nawet śni się to samo!

Bez słowa doszli do ceglanego domku stojącego na wale na wprost czegoś w rodzaju spiczastego półwyspu. Na tej wysokości łączyły się dwa kanały rzeki – jeden głębszy, bardziej oddalony od nich, a ten bliżej nich wyposażono w jaz. Nieraz latem, kiedy poziom wody gwałtownie opadał, można było chodzić suchą nogą po dnie Odry, wyłożonym drewnianymi palami i ciasno ułożonymi między nimi, dużymi kamieniami. Teraz woda była mętna i gwałtownie przelewała się przez próg rzeczny.

Zeszli na sam brzeg i stanęli obok siebie, wciąż bez słowa. Szymon zadrżał i obserwując bacznie żonę, spytał półgłosem:

– Pozwolisz mi wrócić?

Przez chwilę milczała, zapatrzona w kotłującą się wodę, wreszcie zatopiła spojrzenie w jego twarzy. Gdyby potrafiła odczytać z niej prawdę, najlepiej cudowną prawdę na świetlaną przyszłość!

– Czemu to robisz? – rzuciła wreszcie. – Powiedz mi, bo zastanawiam się od kilku dni, ba, od znacznie dłuższego czasu i nie znajduję odpowiedzi. Dlaczego to robisz, sobie, nam...?

Szymon odgarnął nad czoło włosy, które natychmiast wróciły na poprzednie miejsce, zwieszając się czarnymi pasmami nad zmęczonymi oczyma mężczyzny. Otwartą dłonią otarł usta i brodę – Magdalena doskonale знаła ten gest, przywoływany zawsze w chwilach zagrożenia – w końcu westchnął, zbierając siły na odpowiedź.

– Mam drobne problemy w pracy. Czasami... czasami sobie nie radzę. To nic poważnego – rzucił szybko, widząc jej przestraszone spojrzenie. – Firma prosperuje naprawdę nieźle, tylko nieraz, rozumiesz, jestem zmęczony. Przecież wiesz, ile mam wyjazdów, ile spotkań. Godziny za kółkiem wykańczają, wciąż poza domem...

Sam nie wiedział, ile go będzie kosztowała ta rozmowa. Tęsknił za tym spokojem, którego już od dawna nie czuł. Za Gabą. Za Magdaleną, która – choć często zła, irytująca, roszczeniowa – ale jednak była jego żoną. Popatrzył na jej bladą buzię, zapłakane oczy, spuchnięte powieki. Jezu, jakakolwiek była, to przecież jego Magdalena, jego Misiątek! Nie pamiętał, kiedy tak do niej ostatni raz powiedział...

– Tak nie może być – rzekła stanowczo. – Nie możesz

odreagowywać, pijąc. Dużo o tym myślałam i uważam, że masz problem.

– Jaki problem?

– Alkoholowy. Powinieneś zgłosić się do specjalisty.

– Nie przesadzasz? – Spojrzał z niedowierzaniem.

– Nie, Szymon. Nie przesadzam. Mogłeś od pracy odpoczywać na urlopie, ale ty... Cały ten czas przepiłeś. Myślisz, że nie czułam, że nie widziałam tych ukrywanych po kątach puszek? – Mówiła spokojnie i pewnie, ale to były pozory. W środku trzęsła się z obawy, jak on zareaguje. – Te zakrapiane kolacje co chwila...

– No jaka ty jesteś! – Nie wytrzymał. – Uważasz, że w niektórych sytuacjach można tego uniknąć? Czasami się tak nie da. Ile umów podpisałem dzięki takim, jak to nazywasz, zakrapianym kolacjom! Przecież nic złego tam nie robię! Te kilka drinków... Myślisz, że wiesz, co robić, by doprowadzić do podpisania kontraktu? – Pochylił głowę w przód, wpatrując się w Magdalenę.

– Może tego nie wiem – odrzekła półgłosem. – Ale wiem – dodała głośniej – że powinieneś się zgłosić do poradni. Proszę cię o to, ale też... żądam – wykrztusiła. – W przeciwnym razie nie zgodzę się... Nie pozwolę na twój powrót.

„Zgódź się – myślała rozpaczliwie. – Zgódź się i wróc ze mną. Zrobię wszystko, by ci pomóc, obiecaj tylko, że się będziesz leczył. Odkupię każdy krzyk, jakim cię doprowadzałam do złości. Zrobię, co tylko trzeba, by nas uratować!”. Tak bardzo go potrzebowała, że była gotowa wziąć na swoje barki cały bagaż ich kłopotów.

A on milczał.

Nie patrzył na nią, nie musiał. Znał każdą jej minę, spojrzenie, każdy gest, wystarczająco długo byli razem. Wiedział, że potrafi być zawzięta. I choć nie ma – nie ma! – racji, będzie się upierała, że jej mąż jest alkoholikiem wymagającym leczenia. Miał nadzieję, że sama w to nie wierzy – czy to jakaś babska gierka? Chyba nie...

– Skarbie, uwierz mi, naprawdę nie mam problemu z piciem, doskonale to kontroluję i tak naprawdę w ogóle nie musielibyśmy o tym mówić. Nie chciałem cię martwić opowiadaniem o pracy, naprawdę poradzę sobie sam.

– Sam... Sam! – podniosła głos. – Zawsze sam, w pracy, w domu, na imprezach. Sam się martwisz, sam się cieszysz, więc powiedz... – Zmrużyła oczy. – Do czego jesteście ci potrzebne, skoro tak chętnie robisz wszystko sam?! Nawet... – Nie dokończyła, dyszała tylko, patrząc na niego z wściekłością i żalem.

– Ale chcę wrócić do domu! – Przyjrzał się jej uważnie, a w zielonych oczach ujrzął obawę. – Chcę być z wami. Kocham cię, Misiatku.

Gwałtownie chwycił Magdalenę w ramiona i wtulił twarz w ciepłe miejsca na jej szyi.

– Myślałem, że oszaleję bez was! Ostatnie dni dłużyły się strasznie, pójdę do poradni, pójdę, gdzie chcesz, tylko pozwól mi wrócić – szeptał i głaskał jej włosy, ramiona, policzki. – Zobaczysz, lekarz powie, że wszystko jest w porządku, i będziesz już spokojna, tak?

Kobieta spacerująca po wałach z psem, zapatrzyła się na parę ludzi stojących przy samej wodzie. Objęci ramionami, kołysali się lekko, jakby uspokajali się nawzajem. Tkwili tak przez jakiś czas, dopóki spoza chmur nie wychynął pojedynczy promień słońca. Po chwili znikł w kłębach szarej waty, wycofując się z zawstydzaniem, że się tak pomylił i zaświecił ni stąd, ni zowąd, u schyłku ponurego dnia, zupełnie nie pasując do powszechnej szarości i smutku.

Ale Magdalena wreszcie zdobyła się na cień uśmiechu – ten promień to dobry znak, była tego pewna! Nie miała pojęcia, co jeszcze ją czeka, ani świadomości tego, z czym przyjdzie się jej zmierzyć.

A Szymon, który ani przez chwilę nie wątpił, że wrócą dziś razem, był spokojny, że żona nie odważy się podjąć radykalnych kroków. Kochał go, a poza tym... Kto utrzymywał ją i dziecko? Uśmiechnął się i mocniej objął żonę.

Kiedy człowiek zrzuci z siebie wielki ciężar, czuje, że może wreszcie oddychać spokojnie. Kręgosłup przestaje boleć, prostując zgięte troskami plecy. Sztywne mięśnie z ulgą się rozluźniają. Sen nadchodzi, gdy tylko przyłoży się głowę do poduszki, i nie męczy koszmarami, ale snuje bajeczne wątki, od których rano trudno się oderwać. Jeśli jeszcze te sny stają się jawą, to doprawdy niczego więcej nie potrzeba do szczęścia!

Słońce przypomniało sobie, że jeszcze jest lato i wróciło, nadrabiając zaległości z deszczowego, zimnego tygodnia; rozjaśniło niebo, miasto i duszę Magdaleny, która niemal podskakiwała z radości. Kobieta dopiero teraz poczuła, jak bardzo się wcześniej dusiła w tyglu lęków i strachu, że to, co wspólnie z mężem budowała, runie przez jego jedno zdanie. Gdyby nie chciał się leczyć, nie wiedziałyby, co zrobić.

Tyle ich łączyło – nie tylko Gabrysia, wspólna przeszłość, lecz także terażniejszość, w której kobieta była mocno osadzona. Tak mocno, że gdyby naprawdę musiała coś zmienić, wiązałoby się to z dużym wysiłkiem i bólem. Zresztą... Nie uważała Szymona za złego człowieka. Pewnie trochę zagubionego. Z domu wyniósł przeświadczenie, że matka najlepiej wszystko ocenia, podejmuje najlepsze decyzje, więc jego samodzielność czasem przypominała butną postawę osiemnastolatka, który właśnie otrzymał dowód osobisty, ale o życiu niewiele wie. Z Magdaleną tworzyli niezłą parę i znakomicie się uzupełniali. Ona zajmowała się domem, zakupami, wychowywaniem córki, troszczyła się o mężowski wizerunek – lubił luz, ale jako prezes firmy czasami musiał wyglądać należycie. On dbał o regularne płacenie rachunków, organizował urlopy, decydował o budowie ich wymarzonego gniazda pod Wrocławiem (koniecznie usytuowanego po przeciwnej stronie miasta niż dom jego teściów, bo z rodziną... – jak śmiali się razem), o tym, na co wydają pieniądze. Sam zbudował i prowadził firmę, naprawdę świetnie prosperującą. Był odpowiedzialny i sumienny. Czasem... No właśnie czasami tylko zdarzały mu się gorsze dni, kiedy najwyraźniej nie ogarniał wszystkiego. Ale kogo nie dopadają kryzysy?

A teraz już będzie dobrze, Magdalena była tego pewna. Mąż zapisze się do poradni i może... Może rzeczywiście nie jest uzależniony? Właściwie skąd ona miałaby wiedzieć, na czym to dokładnie polega? Siedzi w domu i wymyśla problemy. Wszystko się zmieni! Zaczął się rok szkolny, jeśli tylko sprawnie obrobi się z obowiązkami domowymi, wygospodaruje trochę czasu dla siebie, by zająć głowę czymś sympatycznym i rozsądnym. Może zapisze się na jakąś gimnastykę czy zajęcia manualne? I będzie więcej spacerować, dotleniać mózg. Obejrzy miasto, w którym mieszka od urodzenia, a, wstyd przyznać, właściwie nie zna go zbyt dobrze. Boże, jak to dobrze, że wszystko układa się tak

wspaniale. Co prawda Szymon chwilowo nie miał możliwości znaleźć ośrodka dla siebie; taka praca, cóż, ale z pewnością jak najszybciej się tym zajmie. A świat jest piękny!

– Nie masz pojęcia, jak się cieszę, że spotkałyśmy się wtedy w ogrodzie botanicznym! Kacper jest zachwyconą twoją Gabą, naprawdę świetnie się razem dogadują. – Joanna poprawiła Kminkowi płaską poduszeczkę w wózku.

– Aż się dziwię – wyznała Magdalena i poprawiła się na ławce. – Niby są rówieśnikami, ale mam wrażenie, jakby Kacper był starszy od Gabrysi. Ona jest jeszcze taka dziecinna! Mało kto daje jej tyle lat, co ma, i to zarówno pod względem wyglądu, jak i zachowania.

– Śmieszka z niej, ciesz się z tego, zamiast się martwić. Kacper też daje mi popalić, jest żywy jak rtěć! Ale chyba wolę dzieci, które zachowują się jak dzieci niż jak lalki.

– Niby tak, ale czasem mogłaby być poważniejsza. Może przesadzam, jednak czasem odnoszę wrażenie, jakby emocjonalnie odstawała od reszty grupy w przedszkolu. Ma chwile, że mnie zaskakuje, ale... ech. – Machnęła ręką.

– Mówię ci, nie martw się na zapas. Najważniejsze, że jest zdrowa. – Joanna zabujała energicznie wózkiem. Maluch natychmiast zareagował krzykiem, więc zakołysała mocniej. Pawełek chyba zakrztusił się śliną i po chwili wokół rozbrzmiewał jego kaszel przeplatany usiłowaniami płaczu.

– O, Matko, co znowu? – Joanna poderwała się i chwyciła synka, przytuliła do siebie mocno, trzymając go w pionie. – Co, maluchu? Zakrztusiłeś się? To czemu tak ryczysz bez ustanku? – Kołysała się z nim lekko i obserwowała, czy wrócił mu oddech. – No, kochany, na rękach u mamy najlepiej, rozumiem, ale nie mogę cię wiecznie nosić! – Po czym zwróciła się do siedzącej obok Magdaleny:

– Nie wiem, o co chodzi. Najedzone, przewinięte i zdrowe dziecko nie powinno tyle płakać. A jeśli mam być szczerą, spacer z nim mnie wykańczają!

– Joasiu... – zastanowiła się Magdalena. – A może on nie lubi takiego bujania wózkiem? Nie zauważyłaś, że im mocniej huścisz, tym bardziej płacze? Przepraszam, nie chciałam... – zająknęła się, ujrawszy

wzrok koleżanki, ale ta, po krótkiej chwili zastanowienia, uśmiechnęła się blado.

– Może coś w tym jest. – Popatrzyła na trzymanego w ramionach oseska i się uśmiechnęła. – To jak, łobuziaku? Nie kiwamy? Och, ty skarbie! – Przycisnęła go do piersi gestem, który w Magdalenie obudził dawno nieodczuwane wzruszenie z czasów, kiedy sama tak tuliła maleńką Gabrysię.

Gaba była już dużą dziewczynką, co prawda przytulała się chętnie, ale raczej wtedy, kiedy sama miała na to ochotę. Zwykle próbowała wyswobodzić się z objęć matki, unikała czułości, choć z drugiej strony potrafiła przyssać się jak glonojad, w najmniej oczekiwanym momencie. Miała charakterek i go pokazywała! Magdalena czasem gubiła się w tym wszystkim, usiłując zaspokajać potrzeby dziecka, by dawać mu to, co ważne, niezbędne albo tylko trochę przydatne. Jednak Gabrysia często reagowała zupełnie inaczej, niż wyobrażała to sobie jej matka. Zwłaszcza ostatnio do myślenia dawały kobiecie chwile, jakie spędzały przy wieczornym czytaniu. Zastanawiała się, czy to ona robi coś wbrew swojej sześciolatce, czy raczej z małą jest coś nie tak. Niegdyś córka siadała na łóżku tuż przy mamie, a ta otwierała książkę. Czytała głośno, razem oglądały obrazki, czasem Gaba przerywała jakimś pytaniem. Ostatnio zaś miłe, kameralne i ciepłe chwile przy zapalanej małej lampce i przytulaniu się do ramienia mamy Gabrysia zmieniła w czas szaleństw. Wyrывała Magdalenie książkę, wracała do poprzednich stron, zmieniała decyzję i podbiegała do półki, wyciągała inną książeczkę, albo po prostu kręciła się, wiła i robiła fikołki na łóżku, rozrzucając poduszki i kompletnie ignorując lekturę. Na zwracane uwagi reagowała śmiechem albo gwałtownym przytulaniem się do matki w jakimś rozpaczliwym geście. Magdalenę irytowały te sceny, nie rozumiała zachowania dziecka, czytanie przestawało jej sprawiać przyjemność. A takich sytuacji w ciągu dnia było więcej... Oj, dobrze, że przedszkole się już zaczęło! W przypadku synka Joanny – szkoła.

– A jak Kacper w szkole, podoba mu się? – Kminek zasnął, Gaba i jej kolega poszli na huśtawki, więc miały chwilę na spokojną rozmowę.

– Tak, bardzo jest zadowolony. Wczoraj byłem na pierwszym zebraniu.



– U nas też wczoraj... No i co, jakaś sensowna nauczycielka?

– Wychowawczynie w porządku, widać, że zna się na rzeczy, nie przedłużała, przedstawiła konkrety i tego samego oczekiwała od rodziców, ale ci rodzice. – Joanna pokręciła głową i machnęła ręką. – Niektórzy to naprawdę nie wiem, z jakiej choinki się urwali!

– Nie wiem, czy będą lepsi od naszych – roześmiała się Magdalena. – Zaraz ci opowiem! Ale mów.

– Zaczęło się od tego, że pani co chwilę pytała: „czy wyrażają państwo zgodę?”. Na to, na tamto, nawet czy może dzieci przytulać! Z jednej strony rozumiem, bo teraz niektórzy mają hopla na punkcie molestowania, wolą, żeby nauczycielka nie pocieszała dziecka, kiedy płacze. Ale w pewnym momencie zapytała, czy wyrażamy zgodę na ocenianie zachowania dzieci przez system słoneczek i chmurek. Pomyślałam, że to zupełnie niezły pomysł, może być skuteczny, zwłaszcza dla Kacpra, który potrafi pobrykać, ale zaskoczyło mnie samo pytanie o to. I wiesz, co się okazało? W poprzedniej grupie, którą pani prowadziła, jakiś rodzic napisał skargę do kuratorium, że jego dziecko dostało chmurkę i PŁAKAŁO!

– O, Matko! Rzeczywiście niezłe... U nas obyło się bez skarg na siostry, za to zebranie trwało prawie dwie godziny, bo każdą pierdołę trzeba było rozpatrywać ze wszystkich stron. Mistrzem okazał się ojciec, który stanowczo zażądał, żeby nie otwierać dwóch okien naraz, bo od przeciągu dzieci się poprzeziębiają. Z kolei jedna z matek oświadczyła, że w sali jest strasznie duszno i aż dziw, że dzieci nie chorują z braku tlenu. I ponad dwadzieścia minut trwały rozważania, czy uchylenie okna spowoduje śmiertcionośny tajfun, czy ożywczą bryzę. Kabaret. A dyskusja gorąca i argumenty, jakby wymyślali lekarstwo na raka.

– O, to u nas rozpętała się polemika przeciwdeszczowa. Czy lepsza jest kurtka plus kalosze, czy może peleryna plus kalosze. A może najbardziej funkcjonalne są parasolki? I żeby dzieci nie obciążać, warto byłoby wygospodarować w szkole jakiś kącik na przechowywanie tego. Po dwudziestu minutach żałowałam, że nie mam jakiejś deseczki, żeby móc w nią walić czołem...

– Następnym razem wyślij męża – powiedziała ze śmiechem Magdalena.

– Każdy kwadrans bez Kminka jest cenny. – Joanna puściła oko, zdecydowana jednak pójść na kolejne zebranie bez względu na innych rodziców. – A poza tym... – dodała. – Z niektórymi to naprawdę można pęknąć ze śmiechu. Jeden z ojców siedział, słuchał uważnie przez cały czas, kiwał głową, wyraźnie uczestniczył w zebraniu. Potem pani rozdała pierwsze obrazki, jakie dzieci wykonały, i brakowało pracy jego córki. Myślałam, że pęknę ze śmiechu – całe zebranie przesiedział w obcej klasie!

– A Kacper do którego przedszkola chodził?

– Do żadnego – Joanna powiedziała to w taki sposób, że Magdalena nie odważyła się zapytać dlaczego; czy koleżanka była z nim w domu, czy prowadziła do jakiegoś klubiku...

Powiew wiatru przyniósł z nad stawu zapach wody, który chyba doleciał aż do placu zabaw, bo zwabił Kacpra i Gabrysię. Przebiegli obok ławki matek, nawet się nie zatrzymawszy, przystanęli dopiero na trawie porastającej łagodne, nieznacznie tylko wzniesione brzegi.

– Hej, Gaba! Niedługo wracamy! Mała podniosła rękę na znak, że usłyszała, i wróciła do ciskania patyczków do stawu, urządzili z Kacprem zawody, kto trafi dalej.

Słońce zaczęło zachodzić, podświetlając z boku ciemnozielone, z lekka tylko tu i ówdzie okraszone złotem, jeszcze nie całkiem jesienne liście. Powietrze otulało ciepłem, które można było gromadzić na późniejsze dni, bure, bez nadziei na słońce.

Magdalena zbierała to ciepło w skórze, włosach, w sercu. Cieszyła się nim prawie tak samo, jak spokojem, który od kilku dni władał jej duszą. To poczucie było wręcz nieprawdopodobne, bo Magdalenie wydawało się niemożliwe, by tak łatwo i długo dało się żyć w harmonii i z niesłabnącą nadzieją, bo za najbliższym zakrętem najprawdopodobniej czyhał cios.

Na razie nie widziała jeszcze zakrętu. Nie chciała zapeszać, denerwować się na zapas, chociaż Szymon wciąż jeszcze nie powiedział: „byłem u lekarza”. Tłumaczył się obowiązkami, ale... Ach, nie ma co gdybać. Nie pije, to najważniejsze. Dużo pracuje, dość często wyjeżdża, a kiedy wraca – jest trzeźwy.

Zresztą, być może jego picie odbiega od ogólnie przyjętej normy,

ale z drugiej strony, czy rzeczywiście jest takim zagrożeniem, jakim ona je widziała? Ten urlop, lody z Gabrysią – niby tak, ale więcej to się nie powtórzyło. Przecież to naprawdę dobry człowiek! Jeśli się nad wszystkim głębiej zastanowić, to najgorszym rozwiązaniem, prowadzącym do zniszczenia rodziny, mogłoby się okazać postawienie przez nią sprawy na ostrzu noża. Szymon z pewnością zdumiał się, gdy Magdalena tak stanowczo z nim rozmawiała wtedy, nad rzeką. Pewnie pomyślał, że zwariowała, skoro chce wszystko zepsuć, zburzyć ich dom. Dom! Nie miała poczucia, że to domek z kart. Ojciec jej córki ostatecznie jest odpowiedzialnym człowiekiem, zaspokaja potrzeby rodziny. Magdalena była spełniona jako żona, kobieta, matka, pod względem bezpieczeństwa, a problemy wiązania końca z końcem jej nie dotyczyły. Myślała z dumą, że odkąd Gabryś przysłała na świat, ona nie musiała pracować. Była przekonana, że niewielu mężczyzn tak chętnie przystałoby na to, by żona siedziała w domu, zamiast dorabiać do skromnej pensyjki partnera nieudacznika!

Oczywiście, zdarzały się momenty, w których czuła się zmęczona. Trochę rutyną codzienności, trochę brakiem czegoś, co mogłaby robić tylko dla siebie, dla własnej przyjemności. Ale też obowiązkami, które wykonywała sumiennie, bo musiała, choć nie do końca jej odpowiadały, jak chociażby cotygodniowe telefony do teściowej... Prawdę mówiąc, zupełnie ich nie lubiła, ale w imię dobrych stosunków na linii synowa–teściowa oraz wnuczka–babcia dzielnie i z uśmiechem wysłuchiwała wiązańki porad, krytyki, ocen jej poczynań. Kiedyś dzwoniły do siebie na przemian – w jednym tygodniu Magdalena, w drugim Helena, ale zdarzyło się kilka takich piątków, podczas których telefon milczał uparcie do późnych godzin, wówczas Magdalena, sądząc, że być może u starszej pani wydarzyło się coś złego, sama dzwoniła. Z czasem piątkowe telefony stały się jej obowiązkiem...

E, tam! Brudna rączka Gabrysi była ciepła jak zachodzące słońce, droga powrotna powinna być miła, niezmacona przykrymi myślami! A w domu czekały na podgrzanie zapiekanki – będzie pyszna kolacja!

## Październik

Pierwszy jesienny miesiąc, choć z białawym słońcem na jasnym niebie, nie rozpieszczał ciepłem. Magdalena z rozkoszą otulała się ciepłym ponczo, które zeszłej zimy zrobiła sobie na drutach. Szymon, co prawda, śmiał się, że nie musi dłubać, skoro stać ją na zakup każdego ciucha nawet w droгим sklepie, ale wytłumaczyła mu, że to specjalny wzór, nie do kupienia. Nie znał się na tym i przecież było mu wszystko jedno, jaki ścieg ozdobi okrycie żony, cała ta rozmowa wydała mu się śmieszna. Ale jedno wiedział – z szydełkiem czy drutami kojarzyły mu się staruszki siedzące pod halą targową, dziergające kapcie i skarpetki. Nie chciał, by ktoś z nimi porównywał żonę prezesa. W końcu uznał, że skoro nikt jej nie widzi przy robótkach, niech się nimi zajmuje, pod warunkiem że nie zaniedbuje obowiązków. Magdalena nosiła więc czekoladowe ponczo z frędzlami, do którego świetnie pasowały obcisłe dżinsy w kolorze ciepłego, jasnego brązu, ładnie eksponujące jej zgrabne nogi. Gabrysia, która od roku miała fazę na wszelkie odcienie różowego, doczekała się liliowego okrycia, świetnego do fioletowych spodni. Ponczo córki Magdalena ozdobiła maleńkimi „brylancikami”, dzięki czemu mała strojnisia najchętniej by go nie zdejmowała – ledwie się udało ją na to namówić z początkiem lata, przez wakacje o nim zapomniała, a teraz, gdy matka wyjęła je z półki z zimowymi rzeczami, dziewczynka oszalała ze szczęścia.

Lecz Magdalena, pomimo nadejścia ulubionej pory roku, powodów do radości miała mniej. Może zresztą znalazłyby się, ale na pierwszym planie wciąż – w dzień, w nocy, w domu czy w delegacji – był Szymon. Początkowa euforia związana z tym, że jednak znalazł sobie miejsce, w którym mógł coś zrobić ze swoim prawdziwym czy, jak twierdził, wymyślonym przez żonę alkoholizmem, z czasem zaczęła opadać. Od ostatniego tygodnia września chodził do grupy Anonimowych Alkoholików i w pierwszej chwili, widziała to wyraźnie, spotkania robiły na nim duże wrażenie. Niechętnie opowiadał cokolwiek, zasłaniając się tajemnicą, jednak kilka razy zdarzyło mu się westchnąć, że bardzo się cieszy, iż nie jest sprawcą takich rzeczy, o jakich tam słyszy. „Ci ludzie – mówił – są boleśnie szczerzy”. To mogło mocniej zadziałać na alkoholika – gdyby nim był – niż jakiegokolwiek inne

perswazje. I cieszył się, że nie jest jednym z nich.

Chodził jednak na spotkania, żeby uspokoić żonę. Był dobrym mężem.

Mimo to odczuwała niepokój, nie do końca uświadamiając sobie jego przyczyny. Jak korale na jedwabnej nici przesuwiała dni, które Szymon spędzał na trzeźwo, lecz, chociaż nie zdawała sobie z tego sprawy, każdego ranka budziła się z lękiem rosnącym aż do wieczora, do powrotu męża z pracy. Rzut oka na twarz, spojrzenie w oczy, dyskretne powąchanie – i mogła odetchnąć z ulgą. Nie wiązała tego z bólami kręgosłupa i mięśni, nie podejrzewała, że całodzienne obawy i oczekiwanie przygniatają ją jak wór węgla. O wiele lepiej czuła się, gdy wyjeżdżał do odległych miast na spotkania z kontrahentami. Wówczas nie musiała czekać – dzień, dwa, trzy mijały spokojnie, pozwalały się rozluźnić, odetchnąć pełną piersią, uśmiechać się szczerze i bez strachu patrzeć na drzwi. Miała nadzieję, wierzyła, że mąż w tym czasie nie pije.

Jednak coraz częściej zdarzały się jej chwile zwątpienia. Spoglądała wstecz i obserwowała swoje małżeństwo z innej perspektywy. Jej życie z Szymonem przestawało się jawić jako pasmo szczęścia przeplatane drobnymi dyskomfortowymi epizodami, spowodowanymi przez jej niestosowne zachowanie, gdy marudziła, czepiała się, narzekała na wydumane problemy.

Ostatni urlop, podczas którego Szymon tak często pił, stał się dla niej punktem zwrotnym. Teraz zaczęła widzieć to, na co dotąd zamykała oczy. O wiele łatwiej było wszystko dostrzegać, kiedy była sama. Przy mężu czuła się dezorientowana, ogłupiała, gdy patrząc jej prosto w oczy, mówił: „Nie mam problemu, wymyślasz go. Jestem dorosły, kontroluję sytuację. Nad wszystkim panuję”. Gdy się oddalał, znikła matowa szyba chroniąca ją przed rzeczywistością.

Szymon coraz częściej sięgał po alkohol. Jeśli wcześniej miała jakieś wątpliwości, to po urlopie, który powinien być rozrywkowy i rozluźniający, ale nie był – nie był! – zwróciła uwagę na to, że mąż pije naprawdę dużo. Jego zachowanie, nawet po niewielkiej ilości trunku, zaczęło pozostawiać coraz więcej do życzenia. Z trudem przypominała sobie, że nerwowy, z miesiąca na miesiąc bardziej agresywny człowiek

to ten delikatny i wrażliwy chłopak, który urzekł ją przed laty. Musiała mocno się starać, by nie zapomnieć. Nie chciała, aby z pamięci uleciały dobre czasy, cudowne chwile, gdy wyznawał jej miłość, opiekował się nią i obiecywał, że będzie im razem wspaniale. Teraz miała wrażenie, że najbliższy człowiek opuszcza ją. Opuszcza z dnia na dzień, choć niby jest tuż obok.

Czy on ją w ogóle kochał? Kiedyś, teraz? Mówił, że tak, a ona bardzo potrzebowała tych deklaracji. Ale gdyby tak było, to przecież by nie pił! Może dawniej... A dla niej wciąż pozostawał tym Szymonem z klasy maturalnej, którego pierwszy raz zobaczyła wsiadającego do autobusu niedaleko szkoły i odtąd widywała na każdej przerwie, na kółku, na przystanku tej samej linii, choć – jak się później dowiedziała – chłopak mieszkał w zupełnie innej części miasta.

„O czym ja myślę? Szymon chce mnie uspokoić, chodzi na spotkania z tymi nieprzyjemnymi ludźmi, stara się, a ja...” – Magdalena zaczęła się w duszy strofować i odpędzać niewesołe myśli, co przyszło jej dość łatwo – wszak przez lata specjalizowała się w spychaniu trudnych emocji w najdalsze zakamarki umysłu.

Połowa października nadeszła nie wiadomo kiedy i Magdalena przestała się czuć powakacyjnie. Gładko weszła w rutynę przedszkolno-jesienną i każdy dzień zaczął wyglądać tak samo – poranek z córką (Szymon nie jadał śniadań w domu, jedynie w weekendy, kiedy przygotowywała coś specjalnego), odprowadzenie Gabrysi na zajęcia, powrót do domu, w którym zawsze było coś do zrobienia, więc sprzątanie, prasowanie... Była to jeszcze pora robienia ostatnich przetworów, więc i nad nimi spędzała trochę czasu. Cieszyła się, gdy Szymon wyjeżdżał, bo odpadało wówczas gotowanie. Córka miała posiłki w przedszkolu, a ona zjadała cokolwiek.

Po południu wracały z Gabą do domu, w ciepłe dni zachodząc do parku. Kiedyś stosunkowo rzadko tam bywała, bo jeszcze przez jakiś czas po skończeniu zajęć siostry udostępniały przedszkolny plac zabaw; dzieci korzystały więc z huśtawek, zjeżdżalni i czyściutkiej, przykrywanej na koniec piaskownicy. Matki (bo to głównie one odprowadzały dzieci, nieliczni ojcowie wpadali dosłownie na chwilę, w biegu zakładali pociechom bluzy czy kurteczki i pędzili do

samochodów) siadały na ławkach albo stawały pod okazałym cisem i rozmawiały. Wymieniały się poglądami na temat wychowania, karmienia, leczenia. Zdarzały się też plotki. Zwłaszcza jedna z matek wpadła Magdalenie w oko jako wyjątkowo złośliwa osóbka. Kilkunastocentymetrowymi obcasami lub koturnami nadrabiała brakujące centymetry. Była zaledwie półtorametrową postacią, żałośnie wyciągającą trochę pomarszczoną, jakby żółwią szyję, co w jej mniemaniu pewnie też miało dodać wzrostu. Zeszłego roku była w ciąży, więc zwykle siadała na jednej z ławek, teraz zaś z widoczną lubością wystawała pod cisem, nie zostawiając suchej nitki na każdym, kto mijał skupioną wokół niej grupkę i posuwicie wprowadzała w ruch wózek z gondolą, większy niż ona sama. W tym wózku spał Bilansik. Magdalena pamiętała nawet, jak powstało to słodkie przezwisko. Kiedy kobieta była już w końcówce ciąży, mawiała: „Och, żebym tylko ten bilansik zdążyła zrobić i mogę rodzić!”. Chyba była sprawną księgową, bo zdążyła przed porodem. Kołysała więc Bilansika i obgadywała wszystkich dookoła, ile weszło, także świeckie opiekunki i siostry zajmujące się grupami. Jednak Magdalenę najbardziej śmieszyło to, że każde słowo kobiety było doskonale słyhać w otwartym oknie gabinetu siostry dyrektor schowanym za zieloną kurtyną włosów wierzby tulącej się do domu zgromadzenia. Magdalena wyobrażała sobie, jakim źródłem rozrywki, ale i wiedzy, są dla sióstr te zgrupowania pod drzewem. Nic się nie ukryło!

Teraz jednak, skoro miała Joannę, zamiast mamuszkowego kręgu wybierała koleżankę.

Joanna zjawiła się w życiu Magdaleny jak niespodzianka – normalna, fajna kobieta, łapiąca w lot drobne żarty, nienarzucająca się, ale wyraźnie ciepła i otwarta. Czasami zdarzało się, że Magdalenie coś w niej nie pasowało – jak z tym bujaniem Kminka. Dziwiło ją też, że pozwala, by Kacper zwracał się do niej po imieniu – matka to matka, w domu Magdaleny coś podobnego było nie do pomyślenia. Pozwalała sobie też na złośliwość, choć nigdy w stosunku do koleżanki. Ale tak naprawdę to wszystko były drobiazgi, na które łatwo przymknąć oko. Magdalenie pozostawało więc cieszyć się z rozmów z kimś, kto najwyraźniej nadawał na tych samych falach. I jeszcze coś – przy

Joannie czuła, że to, co mówi, ma sens, że jest słuchana i akceptowana. Dziwne wrażenie. Dotąd stosunkowo rzadko zdarzało się jej wyrażać swoje opinie, nawet o zwykłych sprawach, bo ani nie uważała, że zna się na czymś specjalnie, ani że kogokolwiek może interesować to, co mówi.

Zresztą o czym niby miałyby opowiadać? O zakupach, sprzątaniu, przedszkolu? Szymona na przykład zwykle sprawy kompletnie nie interesowały. Koleżanek nie miała, a mąż wolał nie zapraszać gości, nie był aż tak towarzyski. Chyba że zależało mu na kimś szczególnie, ale to zwykle dotyczyło partnerów biznesowych. Wtedy przygotowywała specjalny obiad lub kolację, ubierała się elegancko i nakładała wyjątkowy makijaż. Potem płynnie zmieniała talerze, podawała kolejne potrawy, pilnowała, aby nikomu niczego nie brakło, a przy tym uśmiechała się i prawie nie odzywała, żeby niczego nie zepsuć. Uśmiech Szymona oraz przyniesiona kilka dni później informacja o podpisaniu kontraktu były największą nagrodą.

Podczas takich spotkań Gaba siedziała w swoim pokoju, z którego nie wolno jej było wyjść, z wynajętą na godziny nianią, dwudziestoletnią szatynką z gęstwiną z trudem upinanych włosów i wielkim biustem. Wzbudzała wybitnie macierzyńskie uczucia, może dlatego Gabrysia zaakceptowała Agnieszkę bez wahania, choć spotykały się dość rzadko.

Z Joanną Magdalena czuła się swobodnie. Czasem podpowiadała jej coś w kwestii pielęgnacji Pawełka, trochę tylko się dziwiąc, jak bez takiej wiedzy koleżanka wychowała Kacpra. No, ale niektóre rzeczy się podobno zapomina. A może drugie dziecko było na tyle inne, że nie dało się przykładać tej samej miary? Magdalena postanowiła w to nie wnikać. Przyjemnie było spoglądać na biegające w pobliżu dzieci i spacerować razem z Joanną, tak bliską, choć zupełnie inną. Różniły się nawet strojem. Magdalena dbała o siebie, dopracowywała każdy szczegół garderoby i makijażu, zanim wyszła z domu. Joanna zaś wkładała na siebie cokolwiek, byle było czyste i wygodne, nie malowała się wcale. Mimo to, co ze zdumieniem zaobserwowała Magdalena, zupełnie nie wyglądała na zaniedbaną, burą matkę Polkę z tłustymi kłakami wiszącymi w źle ostrzyżonych strąkach. Buzię miała ładną i świeżą, wyjąwszy dni, kiedy górę brało zmęczenie po nieprzespanych z powodu Kminka nocach, gęste włosy spięte kłamrą lub splecione w gruby



warkocz sięgający ramion, dresy i obuwie niezłych marek, noszone w sposób nieprzywodzący myśli o snobizmie. Centrum zainteresowania, punktem, wokół którego kręcił się jej świat, był z całą pewnością Kminek i to, co potrzebne, by się nim najlepiej zająć. W tym także wygoda mamy.

– Ty, maluchu, będziesz spać wreszcie czy nie? – pogadywała Joanna, idąc wolno wzdłuż stawu. A on w uśmiechu pokazywał bezzębne dziąsła i ani myślał usnąć. Lepiej było rozglądać się wokoło, machać rękami, wkładać piąstki do buzi i tylko od czasu do czasu przymykać oczy, by zmylić czujność matki.

– Kiedy na was patrzę... – Magdalena przyspieszyła kroku, bo koleżanka tempo spaceru miała zbliżone do marszu – przypomina mi się mała Gaba. Ale ona miała cudowną właściwość zasypiania niemal natychmiast po włożeniu jej do wózka. Teraz widzę, jakie miałam szczęście!

– Chyba idą mu zęby. Zaraz ogryzie sobie te łapy aż do kości.

– Dawałaś mu gryzak? Gabie pomagały te z płynem, chłodzone.

– Nie, nie chce mieć w buzi nic innego niż cycuś i własne ręce. Nawet smoczek nie wchodzi w grę, bo jak próbowałam mu podać, to krztusił się i pluł dalej, niż widział.

– W sumie lepiej, odpadnie ci potem oduczanie... – Magdalena nie skończyła mówić, bo jej uwagę odciągnęło jakieś zamieszanie; niedaleko, chyba za krzakiem oddzielającym ławeczki od alejki. Odruchowo obejrzała się za Gabrysią i Kacprem, ale widząc ich kilka metrów dalej, spokojnie odwróciła głowę w stronę, skąd dobiegały hałasy. Wreszcie również Joanna je usłyszała i wielce zaciekawiona skierowała wózek w kierunku krzewów oddzielających małą, wysypaną jasnym żwirkiem zatoczkę, w której często na ławkach zbierali się emeryci. Tam, nieniepokojeni przez dzieci okupujące większość przyjemnych miejsc w parku, swobodnie rozmawiali, grali w karty albo w szachy, a czasem siedzieli, wystawiając twarze ku jesiennemu słońcu. Nieraz pod ławką znalazła się i butelczyna, ale wszystko odbywało się kulturalnie i bez ekscesów. Tym bardziej zdumiewające były podniesione głosy dobiegające zza gęstych śnieguliczek.

Zaskoczenie minęło natychmiast, jak tylko ujrzały powód

zamieszania – stojącą pośród ławek Pijawkę, wygłaszającą coś ostrym, przenikliwym tonem pełnym niedoskonale maskowanego poirytowania.

– Proszę pana – perorowała. – W naszym, jedynym całkowicie wolnym głosie Ołbina prezentujemy sylwetki kilku znaczących kandydatów do rady osiedla. I to właśnie na nich należy głosować! Wybory do rad już niebawem, a pan – cóż, zamiast myśleć o przyszłości naszej społeczności, pan woli grać w pokera, popijając piwo!

Z oburzeniem potrząsnęła dopracowaną fryzurą i dla podkreślenia wagi swych słów tupnęła dodatkowo nogą. Wózek, którego uchwyt trzymała dłonią, zakołysał się i dobył się z niego płacz niemowlęcia, z każdą chwilą przybierający na sile.

Magdalena patrzyła jak zaczarowana, dopiero słysząc płacz dziecka, ocknęła się i obejrzała na roześmianą Joannę. Spojrzały na siebie porozumiewawczo, ale nie zdążyły uciec. Pijawka, widząc znajome z widzenia twarze, wykręciła wózkem ze zgrzytem żwiru i spracowanych osiek i podeszła szybkim krokiem.

– A pani, proszę panią, czy ma już ostatni numer? – Kołysząc wózkem, sprawnie wyłuskała spośród swoich rzeczy dwa egzemplarze „Poza Nawiasem”, zastanowiła się, sięgnęła jeszcze raz i wręczyła po kilka sztuk każdej z kobiet.

– Panie są jeszcze młode, a nasze społeczeństwo potrzebuje młodych, zaangażowanych ludzi myślących inaczej niż skostniaли w poprzednim systemie staruszkowie. Choć i oni – podnosząc głos, zwróciła twarz w stronę ławeczek – mogliby coś jeszcze w życiu zrobić!

Udała, że nie słyszy rechotu dobiegającego z tamtej strony i z wyniosłą miną znów zwróciła się do matek:

– Niedługo wybory do rad osiedla. Nie zależy nam, by z trudem pozyskanymi, niewielkimi funduszami zarządzali cwaniacy i złodzieje. Niestety, także i oni za tych dziwnych rządów mają prawo startować...

Joanna uśmiechała się, jak to ona, pod nosem, a Magdalena znów nie mogła znaleźć słów, którymi dałoby się odpowiedzieć redaktor naczelnej. Ta zresztą najwyraźniej wcale tego nie oczekiwała i kontynuowała wywód na temat czasopisma, przedstawiając jego zalety i szeroką tematykę, nie tylko pogładową, lecz także kulturalną. Przerzucała kartki krzyczące tytułami: *Muzeum Sztuki Medalierskiej*

albo: *Stadion – kto się wzbogacił, kto stracił*. Mówiła, mówiła i mówiła, aż ślina pryskała z pracowicie umalowanych ust. W jakiś sposób, pewnie poprzez intensywny odcień pomadki, skojarzyła się Magdalenie z kobietą znaną jej z mediów, równie bladą i czerwonoustą, o ile pamiętała, nawet z tej samej frakcji politycznej. Tyle że tamta była starsza, a ta mogła mieć ze czterdzieści pięć lat albo była świetnie się trzymającą pięćdziesięciolatką. To małe w wózku, to pewnie jej wnuk.

– Mamuniu, siku! – Gaba wyskoczyła na ścieżkę tuż przed matką i potarła kolanem o kolano. Nadbiegający za nią Kacper wyminął Joannę i pobiegł w stronę kwadratowego budyneczku usytuowanego z drugiej strony stawu, u zbiegu Nowowiejskiej i Prusa:

– Tam, Gabrysiu, tam!

Joanna szybko zawróciła i skubnęła za rękaw znieruchomiłą, wpatrującą się w Pijawkę jak królik w węża Magdalenę. Ta wreszcie ocknęła się i spojrzawszy przepraszająco na nieprzerwanie mówiącą kobietę, ruszyła za córką.

Wracały inną drogą, żeby nie natknąć się znów na Pijawkę, będącą dziś najwyraźniej w superformie.

– Boże, myślałam, że się nie odessie! – Magdalena westchnęła z ulgą. – Co za babsztyl.

Złotozielone drzewa, już tylko z jednej strony oświetlone były zachodzącym słońcem. Matki zagarniały dzieci jak kwoki kurczęta, usiłując w miarę bezboleśnie, czyli bez płaczu, wydostać je z placu zabaw, co nie zawsze udawało się tak gładko. Im młodsze, tym gwałtowniej protestowały przeciwko wyrwaniu ich z piaskownicy lub zdjęciu z huśtawki. Kiedy przechodzili obok furtki na plac zabaw, minęli ojca z krzyczącym w jego objęciach trzylatkiem, gwałtownie domagającym się powrotu na zjeżdżalnię. Swój protest wyrażał kopniakami, których mężczyzna sprawnie unikał. Powoli zagłębiali się między drzewa, a tuż za nimi szła kobieta niosąca w obu rękach wielkie foliowe torby. Z każdej z nich wyglądało bujne kwiecie chryzantem.

– Patrz, to już zaraz Wszystkich Świętych – zreflektowała się Joanna. – Za tydzień! Ależ ten czas leci – dodała odkrywczo.

– A leci, leci. Przed chwilą wróciliśmy z wakacji, a tu zima za pasem.

– Bez przesady z tą zimą, patrz. – Wskazała biegające po alejkach dzieci. – Wszystkie bez kurtek, skąd ci się wzięła myśl o zimie?

– Przez tę babkę z donicami chyba. – Magdalena się zastanowiła. – Chryzantemy to takie bardziej zimowe kwiaty. Zresztą nieraz pierwszego listopada prószył już śnieg.

– Wolę to niż pluchę i błocko. Nie znoszę łązić po cmentarzu w tłumie, dymie, z setką ludzi na plecach i jeszcze ślizgając się w błocie po kostki. Właściwie to skandal, że od tylu lat zarząd cmentarza nie zadba o wyłożenie kostką alejek. Rozumiem, nowe pola, mogą nie nadażać, ale te, których od kilkudziesięciu lat nie są w stanie zrobić? A kasę drą, aż trzeszczy. Zimą zmarł mój ojciec... – Joanna przerwała.

Milczała tak długo, że Magdalena zaczęła się zastanawiać, czy w ogóle zamierza kontynuować wypowiedź. Minęły górkę i skierowały się w stronę widocznego już stąd przejścia dla pieszych.

– Kiedy więc zmarł, przekonałam się, ile to kosztuje. Wyobraź sobie, gdy kupujesz miejsce na dwadzieścia lat, a kolejny krewny umrze, powiedzmy po sześciu, to i tak musisz płacić od nowa za dwadzieścia! Zdzierstwo. I to do czyichś kieszonek, bo na pewno nie na inwestycje! Zresztą, ech... – westchnęła, a grymas smutku i złości zastąpił nieco wymuszony uśmiech. – Nie ma o czym gadać, to i tak od nas nie zależy.

– Pani naczelną pewnie by się z tobą nie zgodziła, wystarczy dobrze wybrać – zakpiła Magdalena i obie wreszcie serdecznie się roześmiały.

– A wiesz... – Joanna śmiała się coraz głośniej. – Muszę ci coś opowiedzieć, to à propos cmentarza. Niedawno zmarła moja sąsiadka. Staruszcza, miała już dobrze po dziewięćdziesiątce. Trzymała się nieźle do ostatnich chwil, zawsze żywa, ciekawa, elegancka. Mieszkała z córką, wdową. No więc po krótkiej chorobie umarła i pogrzeb odbył się w zeszłym tygodniu. Na Osobowicach, też mam tam pochowaną rodzinę.

– Ja również – wtrąciła Magdalena.

– Ceremonia miała się zacząć w kaplicy w południe. Zapakowałam Kminka do wózka, Kacpra za rękę i lecimy do tramwaju, bo one jakoś rzadziej jeżdżą w środku dnia. I jak się zaczął wlec, to myślałam, że wyjdę i na piechotę prędzej dotrę. Korki masakryczne! Już się zaczęłam

gotować, Kminek się zdrzemnął pół godziny, a potem obudził i chciał possać, więc kwękał w wózku, Kacper co chwilę pytał, kiedy dojedziemy, mówię ci, szal. Pod bramą cmentarza byłam może ze trzy po dwunastej, no to wyciągam nogi, żeby chociaż na koniec zdążyć. Dobiegłam do kaplicy – pusto. Myślę sobie, cholerka, chyba tak szybko nie skończyli? A może nie było tu nabożeństwa, tylko sama msza w naszym kościele? Wcześniej rano, to się nie wybierałam. Ale co teraz? Gdzie są wszyscy? Tak szybko by się uwinęli z wyniesieniem trumny? Niemożliwe, widziałabym ludzi, przecież kaplica na wprost bramy, choć daleko. Tam obok jest taka kanciapka. Pomyślałam, że zapytam pracowników, może wiedzą, na którym polu pochówek i jeszcze tam dojdę. I co się okazało? Że pogrzeb owszem, miał się odbyć o dwunastej, ale następnego dnia! To się tylko przeleciałam po jesiennym cmentarzu...

Magdalena z niedowierzaniem i lekkim opadem szczęki spojrzała na koleżankę.

– Nawet nie pytaj – ciągnęła Joanna – co ja wówczas o sobie pomyślałam...

– I co, poszłaś następnego dnia? – zaciekawiała się mama Gaby.

– Najpierw poszłam do sąsiadki, by złożyć jej wyrazy współczucia, i opowiedziałam, co się stało. Śmiała się, jak nie wiem co. Powiedziała, że według niej mam już zaliczone i mogę nie iść na właściwy pogrzeb. Zajrzę tam na Wszystkich Świętych. Kacper – zwróciła się do chłopca. – Oderwiesz się w końcu od Gaby? Idziemy!

Ostatni tydzień października świecił bladym słońcem, które dawało coraz mniej ciepła, szykując świat na nadejście prawdziwej jesieni. Nie tej złotej, wieszającej na krzewach nitki babiego lata i malującej ciemną zieleń liści na ciepłą czerwień, wspinającą się po murach budynków wraz z dziką winoroślą albo na złoto rozjaśniającej pochmurne dni. Nie ciepłej i pachnącej, lecz pełnej zimnych porywów wiatru, deszczu, zgniłych liści w rynsztokach i przymrozków o świcie.

Jeśli tylko pogoda na to pozwalała, Magdalena jak najszybciej uwijała się z pracami domowymi i szła na – jak to na własny użytek nazywała – wagary. Czuła niezwykłą potrzebę ruchu, spacerów odbywanych najczęściej nad Odrą, bo miała tam po pierwsze blisko, po drugie – znajdowała tam spokój. Oczywiście napotykała innych – nieraz

całe grupy biegaczy czy osób maszerujących z kijkami do nordic walkingu. Ale nikt jej nie zaczepiał, była im obojętna. Czasem miała wrażenie, że niewidzialna – na pewno taka się wydawała rowerzystom śmigającym zaledwie parę centymetrów obok. Słaba i niewidzialna.

Zwykle jednak włóczyła się po uliczkach Ołbina i okolicznych osiedli, zagłębiając się w nieznane dotąd zakamarki. Odkrywała zachwycające secesyjne kamienice, jak choćby ta sprzed ponad stu lat na rogu Świętokrzyskiej i Prusa, którą do tej pory, gdy wracały z Gabrysią z ogrodu botanicznego, mijała obojętnie. Tymczasem była jedną z piękniejszych i efektownych kamienic w mieście – narożna, ale wyjątkowa przez półokrągły kształt elewacji frontowej w przeciwieństwie do innych, wykończonych zwykle klasycznym narożnikiem z wieżyczką pośrodku. Magdalenę ciekawiły również malowidła zamieszczone pod samym gzymsem. Wyczytała gdzieś, że początkowo miały przedstawiać półnagie kobiety w swobodnych pozach, ostatecznie jednak zrezygnowano z tego pomysłu na rzecz banalnego błękitu zdobnego w białe – a jakże – chmury i wijący się pomiędzy oknami bluszcz. Mimo to, jak też mimo promienistego słońca pogłębiającego jeszcze wrażenie trywialności, Magdalena z przyjemnością przypatrywała się teraz budynkowi, kształtom okien oraz ozdobnym metalowym elementom na balkonach, bo przywodziły na myśl oglądane dotąd jedynie na zdjęciach paryskie kamienice stworzone przez architekta Hectora Guimarda, prekursora art nouveau – francuskiej secesji.

Czasem oczy otwierały się jej na coś niespodziewanego – wyjątkowe szczegóły architektoniczne czy pięknie rzeźbione drzwi wejściowe do nieładnego budynku. Dużym zaskoczeniem okazała się niepozorna tablica pamiątkowa na jednym z brzydkich, zaniedbanych gmachów, których świetność minęła może jeszcze przed wojną. Na zapuszczonej kamienicy przy Poniatowskiego 27 wisiała tablica mówiąca, że zaraz po wojnie właśnie tu rezydowały władze Wrocławia. Był więc ten budynek tuż po wyzwoleniu miasta pierwszą siedzibą polskiego prezydenta Wrocławia oraz delegata ministra oświaty. Dziewiątego maja 1945 roku zatrzymali się tam także przedstawiciele grupy naukowej i administracyjnej w osobach profesora doktora

Antoniego Knota i inżyniera Kazimierza Kuligowskiego. Tutaj też swoją działalność rozpoczęły pierwsze grupy pionierskie, w tym właśnie miejscu zaczął się powojenny polski Wrocław.

Ale najczęściej, by nie zaniedbywać obowiązków domowych, Magdalena poruszała się wyłącznie w najbliższym otoczeniu, między domem a przedszkolem. Jak się okazało, także i tu odkryła w końcu coś, co – była tego pewna – stworzono specjalnie dla niej.

Tego dnia, który zaczął się jak każdy poprzedni i niczego zaskakującego się po nim nie spodziewała, coraz większy chłód ciągnący znad rzeki rozprzestrzeniał się po ulicach osiedla. Ludzie stawiali kołnierze kurtek, spieszili się, nikt nie przebywał na zewnątrz dłużej niż to konieczne. Wiatr przywiewał pierwsze zwiastuny mrozu, choć temperatura wciąż przekraczała zero co najmniej o kilka stopni. Zaledwie parę dni temu w parku dokazywały liczne dzieci w koszulkach. Teraz większość z nich siedziała w domu, a te, których matkom, nianiom czy babciom niestraszne było trochę większe zimno, miały kurteczki.

Magdalena odprowadziła Gabrysię do przedszkola, a wracając, zrobiła zakupy. Wędrowała tą co zawsze stroną ulicy Żeromskiego, przed oczyma mając stragan ze skarpetkami za skrzyżowaniem, gdy po drugiej stronie jezdni zadzwieczał dzwonek. Nie był to telefon, z pewnością także nie klakson samochodowy. Delikatny i wysoki, rozbrzmiewał przez chwilę, po czym zamilkł jak ucięty nożem i rozległo się trzaśnięcie drzwi. Rozejrzała się uważnie, szukając źródła tych dźwięków i odnalazła je w nowo otwartym przybytku, tam, gdzie jeszcze niedawno był sklep warzywny. Teraz nad wejściem pyszniła się biała tablica ozdobiona nienachalnymi zawijasami wokół napisu: „Błękitny Kuferek”. Za szybą drzwi widniała makatka z niewyraźnymi z tej odległości godzinami otwarcia, a na wystawie piętrzyły się kolorowe kłębki. Magdalena poczuła rozchodzące się po ciele ciepło i radość. Jak dziecko oczekujące wizyty Świętego Mikołaja albo urodzinowych gości. Nie teraz, bo obowiązki zawsze były na pierwszym miejscu, ale wiedziała, że koniecznie, ale to koniecznie musi odwiedzić sklepik!

Dzwonek zadzwieczał delikatnie, gdy Magdalena przekraczała próg Błękitnego Kufereka. Ostrożnie zamknęła za sobą drzwi, przypatrując się delikatnemu instrumentowi zawieszonemu nad nimi –

tak nietypowemu w okolicy, a tak bardzo pasującemu do niezwyklego wnętrza. Czowała się jak dziecko wstępujące do sklepu z zabawkami, jednocześnie onieśmielona i zachwycona.

Czasami Magdalena bywała w pobliskiej pasmanterii, która urządzona była w tak magazynowym stylu, że kobieta nie czuła chęci do buszowania między zimnymi, metalowymi regałami. Chodziła tylko po konkretne, zaplanowane zakupy, jak w sklepie mięsny, bez przyjemności – białe nici do wiązania warzyw w rosole, zamek błyskawiczny, wstążeczka do prezentu... A ten sklepik zachęcał już od progu do wizyty.

Na wprost wejścia postawiono prawie dwumetrową szklaną gablotę wypełnioną drobiazgami pasmanteryjnymi. Po lewej znajdował się regał pełen leżakujących niczym stare wino plastikowych tub z guzikami – na wieczku każdej drucikiem przymocowano jeden na wzór. Wyglądały trochę jak kamyki przywiezione z egzotycznej plaży i ułożone pracownie przez dokładnego kolekcjonera. Z prawej strony, tuż za kolejną wysoką i wąską szklaną witryną, pod oknem wystawowym, stał prosty wiklinowy fotel. Taki, w którym siada się wygodnie z drutami lub szydełkiem, by na kolana spłynął strumień kolorowej włóczki. Wzdłuż ściany piętrzyły się regały z ciemnobrązowego drewna, sprawiające wrażenie mebli niemal domowych. Na ich półkach kłębiły się zwinięte motki najróżniejszych włóczek – od cieniutkich jak pajęczne sieci, do grubych, w sam raz do dziergania wyrazistych, konkretnych splotów, zdobiących swetry warkoczami lub chusty ażurowymi, mięsistymi rozetami. Gładkie, puszyste, matowe i błyszczące – tylko wybierać i kupować. Magdalena z zachwytem przesuwiała wzrokiem po barwnych niciach, aż doszła do końca pomieszczenia, gdzie za zasłoną z połyskliwego, oliwkowego materiału ukryto niewielkie zaplecze, i odwróciła się znów na lewo.

Niewidoczna od wejścia, bo przysłonięta szklanymi półkami, stała potężna, drewniana lada, zza której uśmiechała się wysoka blondynka. Bez słowa patrzyła na potencjalną klientkę – może zechce coś kupić, a może przyszła tylko pooglądać. Spokojnie czekała, jak rozwinie się sytuacja, nie narzucając się z nachalnym i nielubianym przez Magdalenę: „w czym mogę pomóc?”. Z miejsca ją tym ujęła. Kontuar, na którego



jednym końcu stał komputer i kasa, a bliżej gabloty poustawiano koszyczki z kolorowymi wstążkami i małąkimi pudełeczkami pełnymi koralików, cekinów oraz guzików z dziecięcymi motywami, był duży, masywny. W połączeniu z niewielkim, lecz pięknie inkrustowanym metalowymi zdobieniami drewnianym kuferkiem, stojącym tuż obok, przywodził na myśl sklep Wokulskiego. Sprzedawczyni daleko jednak było do starego subiekta – najzupełniej współczesna, z włosami ledwie sięgającymi ramion okrytych szydełkowym szalem, ręce miała częściowo zasłonięte blatem, ale wyraźnie było widać, że nimi rusza. Magdalena podeszła do lady i stanęła koło otwartego kuferka, z którego wyglądały druty wbite w kłębki w różnych odcieniach niebieskiego. Dopiero wtedy zobaczyła, że sprzedawczyni siedzi na wysokim stołku, a spod jej rąk, zaopatrzonych w szydełko, wypływa kwiatowy wzór dziewczęcego szaliczka. Napotkawszy jasny wzrok ekspedientki, ocknęła się i odwzajemniła uśmiech.

– Jak tu ładnie – powiedziała po prostu.

– Dziękuję. Błękitny Kuferek ma sprawiać przyjemność także estetyczną, nie tylko użytkową – roześmiała się tamta.

– Och, z całą pewnością tak właśnie jest, nie mogę się napatrzeć! – wyznała szczerze i już wiedziała, że będzie tu przychodzić jak najczęściej.

Listopad

Noc poprzedzająca Wszystkich Świętych przypomniała Magdalenie niedawną rozmowę z Joanną – sypnęło odrobiną śniegu, który od rana okrywał cienką warstwą dachy, samochody i balustrady balkonów.

– Śnieg, śnieg! – wołała Gabrysia, widząc kilka roztańczonych płatków na tle ściany kina. – Gdzie sanki? Pójdziemy na górkę Słowiańską?

– Oj, nie, jeszcze jest go za mało, by jeździć – hamowała ją matka. – Patrz, nawet na chodnikach prawie nic nie ma.

Gabrysia przylepiła nosek do szyby i posmutniała.

– Nie martw się, pójdziemy dziś na długi spacer po cmentarzu, to się chociaż napatrzymy na śnieg, na pewno tam będzie go więcej niż w centrum miasta.

– Dlaczego?

– Bo tam jest zimniej. Chodź na śniadanie, będziemy jechać tramwajem, trzeba się pospieszyć.

– Może jeszcze dopada – pocieszyła się Gabrysia. – I jak wrócimy, to...

– Dlaczego tramwajem? – wtrącił się Szymon, zmarszczywszy brwi.

– Przecież to uzgodniliśmy. – Magdalena spojrzała na niego zaskoczona. – Wiesz, jakie zawsze w tym dniu są korki, po co jechać dwie godziny w jedną stronę i potem jeszcze przez pół cmentarza iść od parkingu, skoro tramwaj podwiezie nas pod samą bramę w dwadzieścia minut? Kwiaty już kupiłam, bardzo ładne chryzantemy, nawet znicze przyniosłam, facet tu niedaleko miał niebrzydkie i niedro...

– A mama?

– Co mama? – Nie zrozumiała.

– Musimy ją zawieźć. Potem może zaprosimy ją na obiad.

– Szymon!

– Chyba znajdzie się jeszcze jedna porcja? Czy może wyliczyłaś kotlety? – zażartował, ale zabrzmiało to jak kpina. – Zresztą już postanowione. Pojedziemy po mamę, a potem, po cmentarzu do nas. Wieczorem ją odwiozę.

Oślupiała Magdalena nie znalazła dość słów, by cokolwiek odpowiedzieć mężowi. Stała bez ruchu, niezdolna do jakiegokolwiek reakcji, czując tylko napływające do oczu łzy bezradności. Przecież się umówili!

– Fajnie, będziemy z babcią jeść paluszki! – ucieszyła się Gaba. – Upiekłyśmy je z migdałami! – I w podskokach pobiegła do swojego pokoju.

– Szymon. – Magdalena odzyskała wreszcie mowę. – Mieliśmy ten dzień spędzić razem...

– A czy ja się gdzieś wybieram? – Wzruszył ramionami. – Przecież będziemy razem. Cała rodzina.

Helena z niecierpliwością krążyła między oknem a drzwiami wejściowymi. Słyszac jakikolwiek ruch na klatce schodowej, miała nadzieję, że to jej syn, jednak brak samochodu na parkingu pod oknem raczej wykluczał tę możliwość. Może jednak podjechał z drugiej strony, może jednak to właśnie jego kroki rozbrzmiewają. Nie, schodzi ktoś z góry... Znów podeszła do okna.

Byli umówieni na jedenastą, a skoro ta za kilka minut wybije, Szymon powinien już wspinać się po schodach. Nie znosiła niepunktualności i syn doskonale o tym wiedział. Jedyłą zatem jej przyczyną mogła być Magdalena, jego, pozał się Boże, żona...

Do dziś nie zapomniała, jak kiedyś umówiła się z synową na obiad. Wyjątkowo bez Szymona, który wówczas wyjechał na dłużej. Jej samej nie przyszłoby to do głowy, ale dziewczyna uparła się na spotkanie, bo jak mówiła: „Gabusia stęskniła się za babcią”. Gabusia miała wówczas kilka miesięcy, więc Helena nie miała złudzeń co do tej „tęsknoty” – jej matce pewnie nie chciało się gotować, postanowiła zatem skorzystać z okazji. Przyjechała wówczas niemal trzy kwadranse później! Ziemniaki wystygły, a ona mętnie tłumaczyła się snem Gabrysi i przewijaniem jej w ostatniej chwili. Nic nie umiała zaplanować, nic!

I jeszcze przywiozła wtedy biednego dzieciaka w jakimś urządzeniu, z którego nóżki małej wystawały na boki, w jakimś nowomodnym nosidle. Po wizycie, kiedy znów wybierała się do tramwaju, Helena zaproponowała, że zniesie jej toto, a synowa niech zejdzie NORMALNIE, z dzieckiem na rękach, ale oczywiście się nie

zgodziła, twierdząc, że tak jest wygodniej i bezpieczniej. Szkoda, że nie włożyła małej do plecaka ze stelażem!

Helena pokręciła głową z irytacją i sięgnęła po buty – czas się ubrać. Najwyżej się zgrzeje, a potem przeziębci, trudno, lecz nie zamierzała zmieniać planów tylko dlatego, że jej syn wybrał sobie taką niezorganizowaną, wiecznie guzdrającą się kobietę. Jeśli dostanie zapalenia płuc, wiadomo, z czyjej to będzie winy!

Jeszcze raz przeszła trasę od przedpokoju do kuchennego okna, z którego miała widok na parking i ubrała się pierwszy raz w tym roku w długie futro z nutrii. Wszystkich Świętych to dzień, w którym niezależnie od pogody dla Heleny rozpoczynała się zima. Jeśli był lekki mróz czy trochę śniegu, jak dziś, to tym lepiej dla aury, inaczej kobieta złościła się i utyskiwała, patrząc w słoneczne niebo.

Zza okna dobiegło trzaśnięcie drzwi samochodu i Helena ze zwinnością, o którą trudno ją było podejrzewać, skoczyła do okna. Jest! Jest jej synek. Przez szyby widać było też poruszające się sylwetki Magdaleny i Gabrysi. Jeszcze raz popatrzyła na zegarek i uznała, że tym razem może się obejść bez wyrzutów – właściwie zdążył...

Magdalena aż się wzdrygnęła, gdy Szymon trzasnął drzwiami, wychodząc po matkę. Skuliła się na tylnym siedzeniu – było oczywiste, że teściowa siądzie z przodu, bo jak twierdziła: „z tyłu mdli ją od jazdy” – więc od razu zajęła miejsce przy Gabrysi. Temperatura oscylowała w okolicach zera, raczej ciut poniżej, ale ona czuła się, jakby siedziała na dużym mrozie w cienkiej bluzce. Zła, że znów coś ustalili, a potem mąż zmieniał wszystko nie tylko bez konsultacji, lecz także bez wcześniejszego poinformowania żony, i że znów plany wspólnego spędzenia czasu biorą w łeb z powodu Heleny, zacisnęła usta, mieląc w zębach wyrazy, których z pewnością nie wypowiedziałyby przy córce.

Co gorsza, wściekała się głównie na siebie, bo kolejny raz nie potrafiła przeciwstawić się teściowej – była dziwnie spokojna, że to nie Szymon wpadł na pomysł wspólnej jazdy na groby. Czekala więc, zimna na zewnątrz i od środka, a jej żołądek kurczył się na myśl, co tym razem może usłyszeć od matki Szymona. Niesympatyczne komentarze i krytyka większości pomysłów Magdaleny sprawiały, że młoda synowa dość szybko zrezygnowała z prób zaprzyjaźnienia się i zyskania

w Helenie drugiej mamy, o tym nie mogło być mowy. Nie dlatego, że teściowa była zła, o nie – cały problem tkwił w Magdalenie, bo przecież nie w Helenie Wspaniałej...

Trzasnęła brama i po chwili Szymon wpuścił matkę do auta. Wysoka, dostojna, z trudem zginała się w długim futrze o sztywnych, kojarzących się ze szczeciną włosach. Na głowę nasadziła jasny, przewiązany wstążką kapelusz z grubego filcu, a w dłoni trzymała białą torebkę. Czuła, że jest wytworna i elegancka, ale poruszała się z trudem, więc przywitała się z wnuczką i synową, patrząc w lusterko wsteczne.

Magdalena nie była zaskoczona czasem dotarcia do cmentarza. Setki samochodów podążały w tę samą stronę w gigantycznym korku, robiąc susy po kilka metrów. Zanim dojechali do Obornickiej, Gabrysia zdążyła się zgrzać i znudzić, a Magdalenie, mimo czujności ze względu na obecność teściowej, zaczęły się zamykać oczy. Helena snuła jedną z opowieści o zmarłym mężu, tę samą co roku o tej porze. Szum ogrzewania zlewał się z jej głosem w szeleszczącą melodię kołysanki, powodującą, że głowa Magdaleny opadała coraz niżej, a ciało jedynie odruchowo utrzymywało równowagę w co chwilę ruszającym i hamującym samochodzie. Gdzieś na granicy jawy i snu ujrzała Helenę siedzącą na wysokim ozdobnym krześle, odzianą w długi, gronostajowy płaszcz, trzymającą dłoń Szymona siedzącego na podobnym tronie. Mocnym, dźwięcznym głosem perorowała, że nie powinien się angażować w układ z pałacową posługaczką, tym bardziej że ona bardzo źle wykonuje obowiązki. Nie dalej jak wczoraj zostawiła na środku sali balowej zestaw do sprzątania, taki sam, jakich używa się w szpitalach – prostokątne wiadro i różnego rodzaju mopy, szczotki do zamiatania, środki czyszczące i ścierki z mikrowłókien, a wszystko na małej platformie na kółkach. Szymon usiłował przekonać matkę, że jako mamka Magdalena sprawdza się lepiej, ale królowa wyjaśniła, iż to nieprawda, bo odwadnia królewskie dziecko, karmiąc wyłącznie piersią, a wiadomo, że mleko kobiece to tylko jedzenie, dziecko zaś musi także pić! Klasnęła w dłonie, a po chwili wniesiono zawinięte w koronkowy becik niemowlę i wręczono je Magdalenie, która zdążyła zdjąć brudne, gumowe rękawice i odruchowo chciała przystawić maleństwo do piersi. Ze zdumieniem zauważyła, że to nie Gabrysia, lecz mały Kminek, coraz

głośniej domagający się czegoś.

– Dziecko trzeba przepajać, trzeba przepajać! – krzyknęła Helena głosem jak z Krainy Czarów i w tej samej chwili zjawilo się dwóch paziów, niosących bukłak z rumiankiem i gumowy wężyk. Jeden jego koniec wetknęli do skórzanego bukłaka, drugi zaś przykleili plastrem do małych ust Kminka i rozpoczęło się pojenie. Niemowlę rosło i pęczniało, aż nie było w stanie poruszać kończynami, a Magdalena na próżno usiłowała przerwać proces przepajania.

– Rumianek dla królewskiego dziecka pochodzi ze specjalnej uprawy – mówiła królowa. – I nie jest konfekcjonowany w torebki. Królewskie dziecko nie będzie piło zaparzonego papieru!

Wreszcie maluchowi jakoś udało się wypluć wężyk, po czym wrzasnął wysokim, strasznym głosem tak raptownie, aż Magdalena wzdrygnęła się i ze zdumieniem skonstatowała, że siedzi w samochodzie męża, mając przed sobą tył głowy teściowej. Byli już na parkingu, na terenie poligonu przyległego do szkoły oficerskiej. Miała nadzieję, że to nie własny krzyk ją obudził – ale nie, Helena na pewno skomentowałaby to mniej lub bardziej zjadliwie.

Kiedy wysiedli i dochodzili do bramy cmentarza, śnieg nie padał, lecz na okolicznych krzewach i połaciach trawy niezadeptanych przez ludzi, widniała jego cienka warstewka, więc Gabrysia podskakiwała swoim zwyczajem, ciesząc się jego widokiem. Magdalena trzymała rękę córki, by mała nie zgubiła się w gęstniejącym tłumie, a Szymon i Helena kroczyli obok siebie, rozglądając się za kwiatami i zniczami, których kobieta nie kupowała wcześniej, „żeby nie nosić”. Nie nanosiłaby się, skoro została przywieziona, a syn nie pozwoliłby, by dźwigała, idąc od samochodu do grobu, jak zgryźliwie myślała Magdalena, ale się nie odezwała. Za to z mściwą radością stwierdziła brak handlarzy kwiatów – wyglądało na to, że doniczki z chryzantemami da się kupić jedynie przed głównym wejściem, może jeszcze gdzieś, ale nie tu, na poligonie. Tutejsi sprzedawcy na drewnianych skrzynkach i rozkładanych stolikach mieli jedynie lampiony, jeden kilka pęków sztucznych bukietów. I co teraz? Ani myślała lecieć przez cały cmentarz! Ciekawe, jak Szymon i jego matka to rozwiążą... Magdalena kupiła kwiaty, także na grób teścia, czy nie wystarczą te, od nich razem? A wybrała szczególnie urodziwe –

pełne, o mięsistych płatkach w kolorze budyniowej żółci. Takie same chciała postawić na grobie dziadka i babci, będą ładnie wyglądały na tle czarnej płyty. Do tego złociste znicze w grubym szkle.

– Trudno – zgodziła się majestatycznie Helena. – Tym razem muszą wystarczyć wspólne kwiaty. Nie mam siły iść przez cały cmentarz, tak mnie dzisiaj bolą nogi...

Magdalena nie wiedziała, na co tak konkretnie choruje teściowa, ale dolegliwości miała całe mnóstwo, dotyczyło to także kolan. Ucieszyła się więc, że nie muszą wszyscy maszerować, nadkładając drogi, tym bardziej że robiło się coraz zimniej. Gabrysi poczerwieniał nos, a jej zmarzły dłonie, choć miała rękawiczki. Włożyłaby ręce do kieszeni, ale jedną trzymała córkę, a w drugiej dźwigała zgrzewkę zniczy.

Szymon nie włożył czapki, uznawszy, że włosy ochronią mu głowę przed zimnem, jednak i on lekko poczerwieniał na twarzy. Postawił kołnierz kurtki i skuliwszy ramiona, stawiał długie kroki, dzierżąc reklamówki z kwiatami w dłoniach odzianych w czarne skórzane rękawiczki. Żona sugerowała, by ubrał się cieplej, ale zrobił po swojemu. A teraz żałował.

Żałował i złościł się, że znów miała rację. Było coś takiego w Magdalenie, że potrafiła zirytować go jednym słowem, ba, jednym spojrzeniem nawet! A chyba najbardziej denerwująca była, usiłując grać rolę jego matki; nakazując, zakazując, pouczając i kontrolując. Znalazła się wychowawczyni...

Skurczył się w sobie jeszcze bardziej i chuchał na nos, aby chociaż sprawiać wrażenie, że go ogrzewa, sunął u boku matki aż do grobu ojca. Szara płyta z pięknego granitu lśniła jak wypolerowana; tym ładniej wyglądała na tle pobliskiego nagrobka wykonanego z lastriko, po latach szorowania i wystawienia na wiatry i mrozy, poszarzałego i matowego, z maleńkimi kamyczkami wystającymi ponad zaprawę. Widział dumne spojrzenie matki, zadowolonej z pomnika na grobie męża. Jego ojca.

Jak zza mgły albo ściany z matowego szkła rozległ się głos – mocny, choć niezbyt głośny i niewyraźny. Ciszej odpowiedział mu wyższy, trochę zachrypnięty.

Mały chłopiec we flanelowej piżamce wyskoczył z łóżka i zajrzał

do przedpokoju. Matka, w koszuli nocnej wykończonej turkusową koronką, tak niepasującej do sytuacji, klęczała przed mężem i z trudem rozsypawszy węzły zbyt mocno zaciśniętych sznurówek, zdjęła mu buty i na spoczone stopy nałożyła kaptcie. Wstała, dysząc lekko, nie wiadomo – ze zmęczenia czy strachu. Chłopiec drżąc, patrzył jednym okiem przez szparę między futryną a drzwiami, mając nadzieję, że nie zostanie zauważony. Matka wzięła płaszcz ojca i powiesiła go na wieszaku. Lękliwie wycofała się do swojego pokoju. Za chwilę przybiegła do dziecięcej sypialni, słysząc ostre polecenie:

– Marsz! Liczę do trzech. Raz, dwa... Wstajesz!

– Po co go budzisz?! Środek nocy, zostaw go! – prosiła.

Zachwiała się od silnego uderzenia, zatoczyła na regał, z którego zleciało kilka zabawek. Chłopiec, wyglądający spod kołdry, wyskoczył z łóżka i podbiegł do matki.

– Siedem razy osiem? – Głos ojca brzmiał bełkotliwie, myśli nie dały się zebrać. W pierwszej klasie nie przerabia się jeszcze tabliczki mnożenia, ale za brak odpowiedzi groziło lanie.

Słońcu nie udało się przebić przez szare chmury, temperatura wciąż spadała, a śniegu przybywało, choć o sankach nie mogło być jeszcze mowy.

Magdalena otworzyła szeroko drzwi na klatkę schodową i czekała, aż teściowa wygramoli się z samochodu. Trwało to dość długo, w końcu jednak wszyscy znaleźli się w mieszkaniu.

Rozcierając zmarznięte dłonie, Magdalena krzątała się po kuchni, zadowolona, że przygotowała dziś apetyczne potrawy – zupę cytrynową i gulasz z makaronem, do którego zwykle podawała sałatkę z ziemniaków ze szczypiorkiem. Gdy Helena o tym usłyszała, zaprotestowała przeciwko jedzeniu „klusek z ziemniakami”, lecz ostatecznie postanowiła spróbować. I nie żałowała, bo musiała przyznać, że mimo wszelkich swoich wad Magdalena gotowała nieźle. To, co prawda, nie wystarczało, by zaakceptować ją jako odpowiednią partnerkę życiową dla Szymonka, ale przynajmniej biedak głodny nie chodził.

Po obiedzie, przy kawie, której picie upływało w milczeniu, Gabrysia podskoczyła na krześle.



– A paluszki?

Magdalena spojrzała na małą z zastanowieniem. Zwykle, kiedy zapraszała teściową, serwowała jakieś tradycyjne wypieki – sernik czy jabłecznik. Tym razem, jako że wizyty nie było w planach, upiekła z Gabrysią paluszki więdźmy, bo tak nazywały się kruche ciasteczka w kształcie palców. Grube, nierówne, ale bardzo realistycznie wykonane, z paznokciami z połówek migdałów przyklejonymi powidłami, wyglądały jak świeżo wykopane z ziemi. Lekkie nacięcia z wierzchu sprawiały wrażenie skóry pomarszczonej na wyprostowanych stawach. Paluszki były bardzo smaczne; zarówno Gaba, jak i jej rodzice przepadali za ciasteczkami, jednak teściowa dotąd ich nie widziała. „A co tam, ostatecznie to tylko ciastka, na dodatek wcale niezłe” – pomyślała Magdalena i podniosła się z krzesła.

– Chodź, Gabrysiu, pomożesz mi.

– Przyniosę talerzyki! – Mała pobiegła do kuchni.

– Zaraz wracam – rzekła Magdalena, ale nikt nie zwrócił na nią uwagi.

Szymon zajęty był słuchaniem matki opowiadającej o tym, jak to elegancko jest mieć na każdym meblu serwetki wyszywane haftem richelieu. A narzutę na wersalce należy rozścielić równo – JEJ dziecko, nawet gdy było tak małe jak Gabrysia, wiedziało o tym! Magdalena też o tym wiedziała. Ale choć sama uważała, że jeśli ktoś ma porządek w domu, to ma także porządek w życiu i bardzo dbała o własny dom, to serdecznie współczuła małemu chłopcu, który musiał żyć w mieszkaniu, gdzie rogi narzuty były przypinane szpilkami do wersalki, a miejsce na zabawę i zabawki było ściśle określone i wymierzone. Wyjście poza wyznaczony obszar groziło surowymi konsekwencjami. Ona sama, gdy przychodziła do teściowej z malutką Gabrysią, skupiała się nie tylko na uważaniu, by córka czegoś nie zniszczyła lub nie zmieniła miejsca jakiejś rzeczy w wymuskanyim pokoju, lecz także, by mała nie skaleczyła się owymi szpilkami.

Gabrysia z hałasem otworzyła szufladę ze sztućcami.

– Wziąć łyżeczki czy widelce?

– Do paluszków? – zdziwiła się jej mama.

– A, prawda! – Dziewczynka stuknęła się w czoło i wyrecytowała:

*Zawsze mnie ciekawi wielce,  
czy też mogą jeść widelce...  
Czy mniejszymi widelcami,  
czy po prostu paluchami?* <sup>[1]</sup>

I podskoczyła kilka razy w miejscu.

Mimo wszystko Magdalena uznała miniony dzień Wszystkich Świętych za nie najgorszy. Helena, co prawda, mało nie zemdląła na widok talerza pełnego poobcinanych palców, ale w końcu i ona z zamkniętymi oczami spróbowała wypieku i go nie zgała. Gabrysia chichotała, nawet Szymon uśmiechał się nieznacznie, co w jego wykonaniu oznaczało szeroki uśmiech.

Magdalena obserwowała dyskretnie męża i jego matkę, tak różnych – nigdy w życiu nie wyszłyby za kopię TAKIEJ kobiety! – ale też szalenie podobnych. Nieczęsto okazujących emocje. W ich domu nie mówiło się o uczuciach, należało je chować, nie daj Boże, by ktokolwiek odkrył, co dzieje się w rodzinie! Tam obowiązywało hasło: „Co ludzie powiedzą?”, jak w angielskim serialu komediowym. Ale w życiu nie było zabawnie, prześmiewczo, tym bardziej należało dbać o pozory. Nie odkrywać się, nie wystawiać miękkiego podbrzusza, bo to skutkowało ciosem.

Nie tylko z zewnątrz. Przypomniała sobie pewne wyznanie Szymona, gdy nie był całkiem trzeźwy, dawno temu, jeszcze przed urodzeniem Gabrysi. Opowiedział wówczas, jak traktował go ojciec, gdy wracał do domu po pijaku. Do dziś burzyła się w niej krew na wspomnienie tego, co mówił swemu nastoletniemu wtedy synowi, jak wyśmiewał jego zdenerwowanie i niepokój. Cieszyła się, że nie zdążyła poznać teścia, bo chyba wygarnęłyby mu wszystko!

A może nie, w końcu Helenie też się nie postawiła; wołała po wielekroć mleć w zębach przekleństwa, zamiast wdawać się w jałowe, generujące jedynie nowe konflikty, dyskusje. Czasem zastanawiała się, czy nie na tym właśnie bazuje ta kobieta, wiedząc, że synowa jest zbyt dobrze wychowana, by wyklócać się ze starszą panią. Albo zbyt słaba.

Deszczowe chmury wymyły z miasta resztki śniegu i zalały je potokami wody. Głębokie kałuże, zbyt zimne, by w nich bezkarnie brodzić, albo zbyt błotniste, by bez uszczerbku stąpać po nich butami

niebędącymi kaloszami, rozpanoszyły się na alejkach parkowych, chodnikach i jezdniach. Szybciej robiło się ciemno i na spaceru pozostawało niewiele czasu.

Magdalenę cieszyło każde spotkanie z Joanną i jej dziećmi. Gabrysia, co prawda, chętnie przebywała w przedszkolu, ale skończyły się popołudniowe spotkania i wystawanie w ogrodzie. Zwykle nawet w ładniejsze dni rodzice szybko zabierali pociechy i pędzili z nimi do domu. Tym chętniej więc dziewczynka od czasu do czasu spotykała się z Kacprem, pogodnym chłopaczkiem o śmiesznym fisiołku nad czołem, gdzie włosy rosły mu w kółko, tworząc zabawne gniazdko. Jeśli nawet miał gorszy dzień, czy Joasia była z niego niezadowolona, na widok Gabrysi natychmiast się rozjaśniał i uśmiechał, mimo łez płynących jeszcze po policzkach. Kształt oczu i brwi odziedziczył chyba po mamie, byli bardzo podobni. Magdalena czuła, że mogłaby mieć takiego synka i czasem dziwiła się zdenerwowaniu Joanny, w jej ocenie niewspółmiernemu do zaistniałych sytuacji. Może to prawda, że młodsze dzieci traktuje się lepiej, a może Kacper przy ludziach zachowywał się inaczej niż tylko z mamą? Ale trudno było podejrzewać go o takie wyrachowanie. Chyba że to kwestia hormonów Joanny. Lecz... Kminek miał już dobrze ponad pół roku, chyba najwyższy czas na stabilizację? Tymczasem nie mówiła nic, nie znajdując w sobie prawa do wyrażania głośnej oceny, ale nieraz miała ochotę tak po prostu przytulić chłopca.

I zastanawiała się, czy to nie sygnał, że chciałyby urodzić kolejne dziecko. Ale to było niemożliwe, tak bardzo niemożliwe, że nie chciała o tym nawet wspominać, dusząc w zarodku wszelką myśl na ten temat. Magdalena żyła więc trochę jak maszyna do sprzątania, gotowania i zajmowania się córką, która od czasu do czasu tylko wyłączała autopilota i uciekała na spotkanie z Joanną albo wizytę w Błękitnym Kufierku – kradła wtedy chwile, kiedy czuła się dobrze, na miejscu, sobą.

Mała pasmanteria miała ściany pomalowane na niebiesko – nie był to intensywny błękit i wbrew pozorom wcale nie zimny, choć jasny; kontrastował z głębokim brązem mebli wypełnionych kłębkami kolorowych włóczek, niezmiennie przywodzącymi Magdalenie na myśl swetry dziergane przez babcię – najcieplejsze, najmiłsze w dotyku wspomnienie z dzieciństwa. Pamiętała jeden z wieczorów, który spędziła

z babcią. Rodzice poszli wtedy do znajomych, a one zostały w domu. Było już po kolacji, dziewczynka leżała w łóżku, jak zwykle przed snem rozmyślając o minionym dniu i patrząc w prostokąt okna. Bezwiezdne, zimowe niebo wyglądało jak rozciągnięty na jasnej ramie kawałek granatowego aksamitu. Z zewnątrz nie dochodziły żadne odgłosy, ale zza uchylonych drzwi pokoju dobiegało delikatne, sama nie wiedziała – stukanie czy dzwonienie? Wysunęła się spod kołdry i wyjrzała do przedpokoju tonącego w półmroku. Dźwięki dochodziły z dużego pokoju, w którym jadano i oglądano wspólnie telewizję albo po prostu razem spędzano czas. Tutaj sypiała babcia, gdy u nich nocowała.

Teraz siedziała przed włączonym telewizorem emitującym sam obraz, bez dźwięku. Z góry rozlewało się na nią ciepłe światło stojącej lampy, otulając żółtawym blaskiem postać owiniętą kraciatym, miłym w dotyku i mięciutkim kocem. Z przeciwległego rogu pokoju dochodził kolorowy blask światełek choinkowych odbijający się w metalowych drutach do robótek. Babcia wywijiała nimi w zawrotnym tempie, nabierając oczka, spuszczać, splatając ścieg i rozplatając. Co chwilę dobierała kolejne metry nitki z tańczącego wokół jej stóp kłębka.

Na ekranie zjawili się żołnierze na koniach, wąsaci i sztywni, jadący przez zaśnieżony las i prawdopodobnie śpiewający, bo ich usta poruszały się w jednym rytmie. Magdalena zorientowała się, że to nieprawdziwy śnieg, nawet las był sztuczny, a owi żołnierze to aktorzy. Pewnie śpiewali kolędy, pora była po temu, ale to niespecjalnie interesowało dziewczynkę – podeszła do fotela i trwała przez chwilę, zapatrzona w dzierganą robótkę.

– Nie śpisz, córciu? – Babcia tak samo zwracała się do wnuków i do dzieci. – Boli cię co czy może głodna jesteś?

– Nie jestem. Co robisz? – Wskazała na dość długi kawałek dzianiny.

– Sweter dla twojego taty. Ładny?

Rozpostarła przed dzieckiem prawie ukończony rękaw, który właśnie robiła. Włóczka była niebytnie gruba, lekko kosmata, ale nie tak jak moher. Wyglądała jak brązowa, ale kłębki leżące pod samą lampą zdradzały jej prawdziwy, bordowy odcień.

– Nauczysz mnie?

- Córciu, już późno, wracaj do łóżka.
- Jutro sobota, nie ma przedszkola – poprosiła dziewczynka.

Babcia zastanowiła się przez chwilę i sięgnęła do czegoś w rodzaju małego piórnika. Wyjęła z niego szydełko. Było duże, dobre na początek.

Później siedziały obie przy włączonych już kolędach, niemal do samego powrotu rodziców. Do końca życia zapamięta ten wieczór, podczas którego wykonała szydełkiem chyba ze dwa metry łańcuszka. Wieczór pachniał ciastem, którego woń dochodziła z kuchni, rozjaśniony barwnymi lampkami przypiętymi do choinkowych gałązek, sycący poczuciem bezpieczeństwa i nadziei, że kiedyś ona także będzie podzwaniała drutami. Jak babcia – sprawnie, szybko, pewnie wyczarowując fragmenty dzianin, które po zszyciu staną się swetrami, bluzkami, ubrankami dziecięcymi, serwetkami czy czapkami.

Błękitny Kuferek był miejscem, w którym budziły się miłe wspomnienia i chwilowe, lecz rozkoszne, poczucie bezpieczeństwa. Magdalena zaglądała tu przy każdej okazji, często specjalnie wychodziła po Gabę wcześniej, aby mieć czas na buszowanie pośród półek i zakamarków sklepiu wypełnionego teraz asortymentem kojarzącym się ze świętami Bożego Narodzenia. Nie brakowało chętnych na fantazyjne wstążki w kratkę, używane zarówno do pakowania prezentów, jak i wykonywania ozdób, stroików, a także na styropianowe kule, okręgi i stożki, z których za pomocą cekinów, wstążek i szpileczek powstawały bombki, wieńce i choinki – doskonałe jako ozdoba czy wykonany własnoręcznie prezent dla najbliższych. Niektóre klientki kupowały większe ilości, prawdopodobnie na sprzedaż, by podreperować skromne domowe budżety splatały, wbijały, formowały i sklejały nitki, wstążki, koraliki, kawałki filcu.

Sprzedawczyni, a zarazem właścicielka Błękitnego Kufereka, niemal od początku zwróciła uwagę na długowłosą blondynkę, która długo wpatrywała się w wyłożone na półkach towary, dotykała włochatych motków moheru, grzechotała guzikami i przebierała palcami w koralikach, a czasem, myśląc, że tego nie widać, przytulała policzek do miękkich zwojów akrylu albo nawiniętych na tekturowy prostokąt frędzli. Widać było, że czuje się tu dobrze, zna się zarówno na

robótkach, jak i samych włóczkach. Zdarzało się jej nawet doradzać innym klientkom, przy czym robiła to nienachalnie, nie popisując się znajomością rzeczy, lecz zwyczajnie, pomocnie. Wiedziała, która włóczka może farbować, w jaki sposób rozciągnie się dzianina przy konkretnym wzorze, ile kupić wełny na sweterek dla trzyletniego dziecka, a ile bawełny na bluzeczkę w rozmiarze 42 dla mamy. Nieraz siadała w wiklinowym fotelu i długo przeglądała gazety z wzorami robótek, haftów. Czasami kupowała niewielkie ilości śnieżki czy chmurki, a potem, wracając z córką z przedszkola, pokazywała nową czapeczkę, splecioną z warkoczy opaskę na uszy, trójkątną chustkę z miękkiej włóczki chroniącej przez zimnem dziecięcą szyję lub śmieszne skarpetki z wrobionymi wzorami zwierzątek wystającymi ponad buciki.

Magdalena przepadała za robótkami ręcznymi. Często zaglądała na forum internetowe z galerią zdjęć, z których czerpała inspiracje, wzbogacając cudze pomysły własnymi, choć sama nie wstawiała do galerii fotografii swoich prac, na dobrą sprawę nawet nie brała udziału w dyskusjach, nie wystawiała ocen innym. Kiedyś myślała, że sztuka dziewiarstwa ręcznego, jak wiele innych, umarła śmiercią naturalną, dlatego odnalezienie w sieci dużej grupy osób o podobnych zainteresowaniach bardzo ją ucieszyło. Dawało poczucie, że to, co robi, nie jest niepotrzebne i głupie, że tworzenie nowych, własnych wzorów oraz fasonów daje satysfakcję i wielką przyjemność, którą potrafią docenić kobiety z tym samym hobby. Dlatego też tak chętnie przebywała w Błękitnym Kufunku – jednym z niewielu miejsc, w którym czuła się jak u siebie.

Magdalena gromadziła w sercu miłe przebłyски wspomnień z wizyt w pasmanterii tak sumiennie jak kolejne dni, kiedy Szymon nie pił. Ze zdumieniem skonstatowała jednak, że równie mocno jak chwil abstynencji męża oczekuje, kiedy Szymon znów sięgnie po alkohol. Już kilka tygodni minęło od ostatniego epizodu, a ona nie mogła się uspokoić i codziennie przygotowywała się, że mąż w końcu zjawi się w progu, stojąc niepewnie i patrząc mętным wzrokiem spode łba. Zła była na siebie, że nie potrafi się cieszyć, iż Szymon potraktował serio to, co mu powiedziała wtedy, nad szarą Odrą. Że wszystkie kłopoty już za

nimi, a on wcale nie musi być alkoholikiem – po prostu kilka razy przeholował i tyle... Irytowała się na siebie i oskarżała o głupotę, wymyślanie sztucznych problemów, a on przecież tak się starał! Czują, że czasem miał ochotę na piwo w sobotni wieczór, ale ze względu na nią się powstrzymywał – a gdyby naprawdę musiał, nie oglądałby się na żonę. W podróży służbowych z pewnością też nie pił, jego głos w słuchawce brzmiał trzeźwo. Niepotrzebnie tworzyła czarne scenariusze. Ależ była niemądra, wymyślając jakieś historie, zamiast doceniać to, co ma!

A może uczcić jakoś fakt, że ich problemy małżeńskie się rozwiązywały i mimo nadciągającej zimy, w ich domu zaświeciło słońce? Zaprosiłaby znajomych... Jakichś ich wspólnych, żeby się komfortowo czuł. Dla pewności niepijących. Właściwie nie dla pewności, tylko dlatego że żadne z nich nie potrzebuje alkoholu, by miło spędzić czas! Przygotuje coś pysznego, pobawią się, a potem może... Może kupiłaby nową bieliznę? Zarumieniła się na samą myśl i pobiegła do kuchni układać menu.

Szymon wszedł do biura i podniósł rolety, opuszczone poprzedniego wieczoru, kiedy wychodził z pracy długo po zapadnięciu mroku. Pomieszczenie było wysprzątane, lecz nie sprawiało zbyt miłego wrażenia. Nie było w nim drobiażdżków porozstawianych kobiecą ręką, na ścianach brakowało prywatnych fotografii, okna pozbawione firanek były dziwnie nagie. Ale to było miejsce pracy, nie musiał się tu czuć tak przytulnie jak w domu, choć... Ostatnio i tam czuł się coraz gorzej. Nie mógł zarzucić Magdaleny, że nie dba o dom. Dopóki chodziło o porządek, opiekę nad Gabą albo inne prozaiczne problemy czuł zadowolenie i współpracę żony, tym bardziej że nie była aktywna zawodowo. Ale od pewnego czasu coś się zmieniło. Magdalena sprawiała wrażenie przyczajonej w oczekiwaniu – nie wiedział, na co.

...Te kilka drinków czy piw od czasu do czasu – do cholery, przecież jest dorosły! Nie słyszał, żeby komuś coś się stało tylko dlatego, że z rzadka zrelaksuje się w ten sposób. Czy to on jeden? Zresztą Magdalena sama czasami piła wino i nikt nie robił z tego afery. Gdyby zakazał jej pić, podejrzewając o alkoholizm z powodu kieliszka wina, popatrzyłaby pewnie na niego jak na chorego psychicznie. Albo gdyby

chowal jej butelke, czy wylewal zawartość, jak ona potrafiła, myśląc, że jest taka dyskretna i sprytna.

Jednak dla dobra rodziny postanowil nie denerwować żony. Umiała obrazić się lub zasmucić z tak irracjonalnych powodów, że wolał dmuchać na zimne i oszczędzić sobie – i jej także! – konfliktów związanych z wydumany problemem. I jak najmniej czasu spędzać w domu, bo im dłużej byli razem, tym bardziej rosła jego irytacja z powodu spłoszonego spojrzenia żony, jej układności i tak bardzo widocznej chęci udawania, że wszystko jest perfekcyjne – dom, dziecko i oni sami. Czuł fałsz i powierzchowność, a choć nie zamierzał tego analizować ani tym bardziej nic zmieniać, z coraz większym trudem nawet przed sobą udawał, że rodzinne gniazdko kojarzy mu się z ciepłem i spokojem.

Nękające go od czasu do czasu myśli wolał odrzucać, nie zauważać ich. Co pomoże stwierdzenie, że nie jest szczęśliwy? Że zawiódł się na żonie, na tym wszystkim, co z mozołem budował, na co pracował? Jego znajomi wiedli spokojne życie, choć może nie zarabiali tyle co on, ale przynajmniej osiągnęli to, czego jemu brakowało w życiu najbardziej – spokój. Stabilizację nie tylko finansową, lecz także to, do czego dążył od zawsze, początkowo usiłując wydostać się spod kurateli ojca – jego śmierć nagle ucięła proces wydostawania się z tej klatki – potem wyrwawszy się spod opiekuńczo-kontrolnych skrzydeł matki. Związek z Magdaleną miał dać mu swobodę i poczucie bezpieczeństwa, tymczasem zmieniła się tylko osoba trzymająca klucz do kajdan.

Ciężko westchnawszy, usiadł za biurkiem i uchylił szufladę. Właściwie sam nie wiedział, dlaczego dotąd nie powiesił leżącego tam, oprawionego w grubą, drewnianą ramkę, zdjęcia, z którego uśmiechały się do niego przytulone do siebie Magdalena i Gabrysia. Czyżby tak długo nie znalazł odpowiedniego gwoźdźca?

Córka miała wtedy chyba ze cztery lata i krótkie, śmieszne kucyki, a żona już wówczas nosiła włosy zaplecione w warkocz spływający po ramieniu aż na kolano. Niegdyś, dawno temu, często nosiła je rozpuszczone...

Jego dziewczyny. Pogodne i jasne. Kiedy Magdalena tak szczerze uśmiechała się do niego ostatnio? Nie pamiętał.



Przez dłuższy czas wpatrywał się w fotografię, wreszcie zasunął szufladę i usiłował wziąć się do pracy. Coś musiało być w powietrzu, może nieodpowiedni biomed, bo nie mógł się skupić. Przeglądał strony internetowe, po chwili wstawał, przeciągał się, wyglądał przez okno, wracał za biurko, nadal rozkojarzony i coraz bardziej rozdrażniony.

Znów usiadł i kiedy już prawie udało mu się skoncentrować na korespondencji z kontrahentami, przypomniał sobie o planach na dzisiejszy wieczór. Goście. Cholera. Ta smętnawa parka, z którą – na szczęście – od dawna się nie spotykali. Co też Magdalenie przyszło do głowy? Od dawna nie wykazywała się taką inicjatywą, zgodnie za nim powtarzając, że jeśli organizować spotkania u nich w domu, to wyłącznie służbowe – czyli niezbędne. Wystarczy, iż czasem rodzina się pojawiała, to dość, jeśli chodzi o gości... Albo mówiąc wprost, natrętów.

Uśmiechnął się, ale nerwowo zadrgały mu mięśnie uda. Przez moment usiłował się opanować, gryząc wewnątrz policzka i przeczuwając, co lada chwila nastąpi, i rzeczywiście, po kilku minutach gwałtowny skurcz żołądka zgiał go wpół. Szymon zacisnął splecione przedramiona na stwardniałym brzuchu i znieruchomiał na kilka minut. Kiedy ból zelżał, ostrożnie i pomału wysunął szufladę biurka. Starając się nie patrzeć na leżącą w niej fotografię, sięgnął po to, co leżało głębiej.

Magdalena rozejrzała się po pokoju – pięknie nakryty stół oczekiwał przybycia gości zastawą, kwiatami i świecami, zachęcając, by przy nim usiąść; będzie cieszył nie tylko podniebienie, lecz także oczy. Z kuchni napływały smakowite zapachy – kilka popisowych atrakcji kulinarnych Magdaleny czekało w piekarniku i w lodówce. Obok kuchenki mikrofalowej furczał ekspres z kawą, której aromat mieszał się przyjemnie z zapachami potraw. Na stole, tuż obok patery pełnej owoców, w towarzystwie miseczek z przekąskami lśniły dzbanki z sokami i wodą mineralną. „Właściwie paterę też już mogę zanieść” – pomyślała Magdalena i chwyciła oryginalne naczynie z zielonego szkła, by postawić je w pokoju.

W tej samej chwili ktoś zadzwonił do drzwi – to Agnieszka przyprowadziła z przedszkola roześmianą Gabrysię, która najpierw zamierzała rzucić się do próbowania przysmaków, ale opiekunka ją przed tym powstrzymała, sprawnie kierując do łazienki.

Pełna nadziei na miło spędzony czas, Magdalena krążyła po mieszkaniu, sprawdzając, co jeszcze zostało do zrobienia przed przybyciem gości. A Szymon? Rzuciła okiem na zegarek – powinien już być! Uśmiechnęła się na myśl o czekającym ich wieczorze i podeszła do okna. Ściemniło się, więc nie widziała, czy jego samochód stoi w zwykłym miejscu, podniosła więc oczy na niebo – czarne bez jednej gwiazdy – pod którym w pomarańczowym świetle sodowej latarni widać było tylko dwa rogate stwory trwające w nieprzerwanej walce. „Do diabła – pomyślała z nagłą złością Magdalena – któryś w końcu musi wygrać!”. I pobiegła do drzwi, bo ktoś zadzwonił.

– O, nie, nie, nie, moja droga. Nic z tych rzeczy. Jestem po prostu zmęczony – bełkotał Szymon, z trudem utrzymując równowagę. – Człowiek się stara, zarabia, wraca do domu, do żony i córki i co? Nic, tylko wyrzuty! – poskarżył się płaczliwie. – A czy ja coś komuś złego zrobiłem? No, powiedz, zrobiłem ci coś złego? – Wpatrywał się czerwonymi oczami w żonę, a nie doczekawszy się odpowiedzi, pokiwał ze smutkiem głową, aż ujrzał wyglądającą zza drzwi swojego pokoju córkę.

– A może ty mi powiesz, Gabusiu, czy tatuś jest niedobry? Czy cię nie kocha? Nie kupuje ci zabawek? O, patrz, co mam dla ciebie! – Z triumfem sięgnął do kieszeni, z której oprócz używanej chusteczki higienicznej, listka z lekiem na zgagę i wymiętego paragonu, wyleciały kluczyki do samochodu.

– Przyjechałeś samochodem? – Magdalena się zdenerwowała. – Czyś ty do reszty oszalał?!

Chwyciła kluczyki, jakby mąż jeszcze wybierał się jeździć i ze złością wrzuciła je za szafkę z butami. To był solidny, ciężki mebel, w tym stanie Szymon na pewno go nie odsunie.

Tymczasem on sięgnął do drugiej kieszeni płaszcza i wyjął z niej małe pudełko w pastelowych kolorach. Nowy wzór japońskich klocków specjalnie dla dziewczynek. Gaba pisnęła zachwycona i rzuciła się ojcu na szyję, zanim ktokolwiek zdążył ją powstrzymać. Niespodziewający się tego ojciec runął na podłogę przedpokoju i teraz próbował wstać, łapiąc się tego, co miał pod ręką. Ściągnął na ziemię płaszcz Magdaleny i kurtkę Agnieszki, po czym, szalenie tym rozbawiony, niezdarnie

gramolił się do góry, puszczając oko do córki.

– Widzisz, ty jesteś Gaba, a tatuś jest gapa, ha ha ha!

Magdalena nie wiedziała, czy ma większą ochotę wyrzucić męża za drzwi, czy go uderzyć. Z całych sił powstrzymywała płacz i gorączkowo myślała, jak wybrnąć z tej sytuacji.

Po chwili już obie, wraz z Agnieszką, taszczyły roześmianego, ale niemal bezwładnego Szymona do sypialni, gdzie ułożyły go na łóżku przykrytym narzutą. Magdalena pomyślała, że w razie czego łatwiej wyprać tylko ją, niż zmieniać całą pościel. Modliła się już tylko o to, by zasnął, zanim przyjdą goście.

Kolacja minęła jej jak we śnie – ręce Magdaleny nakładały kolejne potrawy, usta zabawiały rozmową Marzenę i Roberta, od dawna niewidzianych znajomych, a także tłumaczyły nagłą chorobę męża, być może początek grypy, która zwała go z nóg niewielką jeszcze na szczęście gorączką, jednak na tyle wysoką, że nie powinien ryzykować zdrowia gości i pozostał w łóżku. Ona sama dzielnie i z uśmiechem reprezentowała niekompletną rodzinę, ale myślami tkwiła w małżeńskiej sypialni i wyobrażała sobie, że patrzy z wyrzutem na pijanego męża.

„Dlaczego – pytała bezgłośnie – dlaczego nam to robisz? Dlaczego tylko po wypiciu, kiedy nie jesteś w stanie, próbujesz być wesołym i dobrym ojcem? Gabrysia nie chce twoich klocków, ona chce ciebie! Czemu nie wygłupiacie się, kiedy trzymasz się na nogach, nie czytacie, kiedy ci się język nie płacze?”

Szymon niewątpliwie kochał córkę, ale na ogół był dość oschły, zupełnie niepodobny do spotykanych w parku ojców, godzinami tarzających się z dziećmi na trawie, grających w piłkę. Najlepiej bawił się po kilku głębszych – wtedy się rozluźniał, śmiał, próbował grać w chińczyka, rozsypując pionki po całej planszy i tocząc kostkę daleko poza blat stołu.

Rozpaczliwie zastanawiała się, co może zrobić z całą sytuacją, była szczęśliwa, że zasnął na tyle mocno, by nie wejść tu nagle, zataczając się i gadając bez sensu. Tymczasem dolewała herbaty, wносиła półmiski i sprawnie sprzątała niepotrzebne już naczynia. Co za szczęście, że goście niczego się nie domyślili, cóż to byłoby za wstyd! Koło jedenastej pożegnała ich z ulgą, choć wciąż – podobnie jak przez ostatnie godziny –

szeroko się uśmiechała.

Na godzinę przed północą ulica Żeromskiego była spokojna i pusta. W bezwietrznej ciszy kroki odbijały się echem i słychać było nawet prowadzone półgłosem rozmowy. Gdyby Magdalena wychyliła się z balkonu, mogłaby usłyszeć końcówkę rozmowy Roberta i Marzeny, którzy milczeli, zanim nie wyszli z bramy gospodarzy. Nie musieli dużo mówić, wystarczyło spojrzeć na siebie.

– Szymon znowu zapił.

Marzena podniosła kołnierz płaszcza.

– A ona znów go tłumaczy.

Było ciepło, jak na listopadową noc, więc chwyciła męża pod rękę i spacerem wrócili do domu. Nie mieli daleko do Magdaleny – to raczej ona z każdym rokiem picia męża zwiększała dystans.

Poranek po poprzednim wieczorze, który dla Szymona zaczął się i skończył w zasadzie po południu, nie napawał optymizmem. Mężczyzna ostrożnie odwrócił się z pleców na bok i leżał tak przez dłuższą chwilę, czekając, aż błędnik nadaży za pozycją ciała. Co za pustynia – poruszył sztywnym językiem, usiłując oblizać wyschnięte usta. Całe szczęście, że zasłony zasunięte, bo nawet ta wąska smuga światła, która dostała się do pokoju, dość boleśnie raziła w oczy. Przez jakiś czas zbierał siły na kolejny ruch, wreszcie, znów bardzo ostrożnie, podparł się i walcząc z niemocą, usiłował podnieść się do pozycji siedzącej. Białe błyski bólu rozsadzały mu czaszkę, więc jeszcze zwolnił i dopiero po kilku minutach udało mu się usiąść na brzegu wersalki. Starając się nie kręcić głową, samym ruchem gałek ocznych rozejrzał się po pustym pokoju. Która to godzina? Prawie południe, nic dziwnego, że Magdalena już wstała.

Magdalena.

Znowu się zacznie.

Poruszając się niby w gęstym soku, dotarł do drzwi pokoju i zastygł, z trwogą myśląc o wyjściu z niego. Cholera, że też nie wytrzymał jeszcze kilku dni, wyjechałby spokojnie w delegację i obeszloby się bez tego całego jazgotu, którego spodziewał się natychmiast po wychyleniu głowy do przedpokoju.

Ale jak to się stało? Wypił przecież zaledwie kilka łyków. To

musiał być jakiś trefny towar, z pewnością zatruty alkohol albo w ogóle z przemytu. Niemożliwe, by czuć się tak po zwykłej czystej. I jak tu wierzyć sklepikarzom! Co prawda tamtego dnia nie jadł wiele, a jego żołądek... znów skurczył się boleśnie i spowodował nagły skłon ciała, co z kolei rozjaśniło mózg błyskawicą. Zachwiał się, z lekkim stukiem uderzając skronią o futrynę. Boże... Sam już nie wiedział, co bardziej mu w tej chwili doskwiera – ból głowy, brzucha, pełny pęcherz czy szalone pragnienie.

Odczekał jeszcze chwilę i zdecydował się przemknąć do łazienki. Przemknąć to za dużo powiedziane – kołysząc się jak paralytyk, dobrnął do upragnionych drzwi i zamknął je za sobą na zamek.

Kilkanaście minut spędzonych w łazience tylko trochę pomogło Szymonowi w powrocie do rzeczywistości. I nie był pewien, czy o tym właśnie marzył – sam widok własnej twarzy w lustrze powodował mdłości, a na myśl, co – do diabła, słusznie... – miała mu do powiedzenia Magdalena, również robiło mu się słabo. Jaki był głupi, jaki głupi!

Głupi, ale nikt nie wmówi mu choroby. Bo jeśli tak, to... Potarł spocone czoło ręką, przez chwilę masował skronie i zastanawiał się, jak mógłby nadal funkcjonować, prowadzić firmę, być mężem i ojcem, gdyby żonie udało się wmówić mu alkoholizm. Nie, nic z tych rzeczy. Nie może się poddać. Będzie walczył.

Szkoda tylko, że tak cholernie mu się nie chciało.

Czy on nie może żyć jak inni? Być nie tylko wojownikiem, obrońcą, twardym mężczyzną, lecz także przyjacielem? Nie wrogiem, który musi się zbroić wobec ataków wybujałej fantazji żony. Nie może na niej polegać, jest zdany wyłącznie na siebie, samotny...

Cichy szloch wyrwał się z jego wnętrza, a zaczerwienione oczy zaszkliły się, aż stracił całkowicie ostrość obrazu.

Trudno, przeczeka i to. Tyle już w życiu przeszedł, że jeszcze jeden nieprzyjaciel, w postaci tej, która miała być najbliższą na świecie osobą, nie powinien stanowić dużo większego balastu. Chociaż to boli, bardzo boli.

Zrezygnowany, wyszedł z łazienki, spojrzął z żalem na stojące w progu kuchni Magdalenę i Gabrysię wpatrujące się w niego, po czym

pełen smutku, ze łzami wzbierającymi w oczach, wrócił do zaciemnionego pokoju, do łóżka.

Ostatni tydzień listopada zalany był deszczem, który jeszcze w sobotę pozostawił po sobie wielkie plamy kałuż i błota na parkowych alejkach. Ale przynajmniej chwilowo nie padało. Ogołoczone z liści drzewa wilgotniały w zimnym powietrzu, które nie zachęcało do spacerów i Magdalena zastanawiała się, co właściwie tutaj robi. Nie ucieka przecież od Szymona, bo od kilku dni nie było go we Wrocławiu – służbowy wyjazd w odpowiednim momencie, by zdążył wytrzeźwieć i nie musiał porozmawiać z żoną o ostatnim wybryku. Została więc rozedrgana, niepewna, co powinna zrobić, jak rozmawiać z mężem, wściekła, że problem, który, miała nadzieję, nie istnieje lub jest prawie rozwiązany – przecież on chodzi na spotkania AA – zabiera jej tyle czasu, energii, nerwów.

Dlaczego więc, zamiast wypoczywać w ciepłym domu, snuje się między mokrymi ławkami, pustym placem zabaw i chłodem ciągnącym od stawu po całej burobrązowej okolicy, w której jedynym wesołym akcentem były różowa parasolka i kalosze córki? Gabrysia też od kilku dni przycichła, więc nastrojem bardziej niż ubiorem pasowała do późnojesiennego parku.

Wyczuwając chyba, że matka pomyślała o niej, Gaba zatrzymała się gwałtownie i z zaledwie cieniem uśmiechu na buzi zapytała:

– Wrócimy przez działki?

W ciepłe dni bardzo lubiły wracać z parku „na skróty”, które w rzeczywistości były blisko trzykrotnym nadłożeniem drogi,

– Tam błoto straszne.

– A tu nudno. Nikogo nie ma... Czemu Kacper nie przychodzi?

– Nie wiem. – Magdalena wzruszyła ramionami. – Może nie mają kaloszy, a może Kminek zachorował? Rzeczywiście, od kilku dni się nie spotkaliśmy.

– To zadzwoń! – zaproponowała dziewczynka, zupełnie jak kiedyś latem.

„Jak to było dawno temu – pomyślała jej matka. – Wtedy, gdy jeszcze wierzyłam – jak to w ogóle możliwe? – że mogę być szczęśliwa”.

– Zadzwoń. Ale może z domu, co? Bo trochę zmarzłam. Wracamy?

Dochodziły już prawie do swojej bramy, kiedy rozbrzmiała komórka Magdaleny.

– Joanna! Co z wami? Właśnie Gaba pytała... Tak, po przedszkolu, zdążyłyśmy się nawet po parku przelecieć. Dobra, to zaraz będziemy. Kupić coś po drodze? OK, pa!

Schowała aparat do torebki i uśmiechnęła się do córki.

– Gabrysiu, idziemy do Kacperka!

– Naprawdę? Och, marzyłam, żeby go kiedyś odwiedzić! Gdzie mieszka?

– Tu, bliźniutko, zaraz koło boiska szkolnego. Chodź, wejdziemy jeszcze do Marcepana po jakieś ciastka.

Zaopatrzone w wielkie kawałki tortowego ciasta i karton soku, wędrowały wzdłuż ulicy Miarki; na jej końcu skręciły w prawo i przeszły na drugą stronę Damrota. Joanna mieszkała w pierwszej bramie budynku będącego bokiem otwartego czworokąta, utworzonego przez Damrota, Wyszyńskiego i Mosbacha. Z czwartej strony, w podwórku przylegającym do boiska szkolnego znajdowała się okolona ogródkiem willa, przed wojną należąca podobno do właściciela Browaru Piastowskiego.

Zanim zdążyły nacisnąć guzik domofonu, brzęczyk zaterkotał i Magdalena pchnęła drzwi. Kacper, który nie mógł się doczekać koleżanki, wyglądał przez okno, a teraz wybiegł aż na schody, podskakując z radości. Po chwili znikli razem w pokoju dziecięcym.

– Co się z wami działo? Gabrysia wypatrywała Kacpra w parku od jakiegoś czasu. – Magdalena zamieszała kawę i odłożyła łyżeczkę na spodek od filiżanki.

– Ach, kurczę, mam teraz atrakcję. Codziennie przez dziesięć dni roboczych latam z Kminkiem na rehabilitację do Marciniaka.

– To ten szpital na Traugutta? – Magdalena pokiwała głową. – A co mu jest? – zaciekawiała się.

– Ma już siedem miesięcy, a ani myśli siadać. Zapytałam o to naszą rodziną, skierowała mnie do ortopedy, który uznał, że Pawełek ma nieodpowiednie, w końcu nie zrozumiałam za małe czy za duże, napięcie

mięśniowe. I wymaga rehabilitacji. Jeszcze przez tydzień.

– Co ty mówisz? Napięcie? – zdziwiła się Magdalena. – Jak oni to sprawdzają, woltomierzem?

– Nie wiem, ale Kminek jest wściekły. On w ogóle nie przepada za dotykaniem, szczególnie przez obcych, ryczał okropnie na każdym zajęciach, a tej babki, która się nim zajmuje, chyba nienawidzi.

– Jak to okazuje? – Magdalena nie potrafiła sobie wyobrazić nienawiści w wykonaniu niemowlęcia.

– Na przykład jak go trzymałam na piłce, obok siedziała ta pani, swoją drogą bardzo miła, nie wiem, czego on chce – zaśmiała się Joanna – rozglądał się dookoła, a kiedy trafił na nią oczami, opuścił wzrok i podniósł go dopiero kawałek dalej. Taki cwaniak.

– Niesamowity! – Magdalena przyjrzała się małemu, który wzorem Rambo czołgał się po dywanie, sprawnie i szybko dosięgając do wypatrzonych zabawek, a nawet goniąc piłeczkę, co wyglądało bardzo śmiesznie.

– Na dodatek – kontynuowała Joanna – dojazd tam mam beznadziejny, więc zerówką, do której najpierw muszę kawałek dojść, podjeżdżam do placu Wróblewskiego, a potem, ponieważ znów nie opłaca mi się czekać na tramwaj, by przejechać jeden przystanek, lecę z wózkiem pełną spalin, ohydną i brudną ulicą Traugutta.

– O, to zapewne energetyzujące przeżycie. Ale czekaj, nie byłoby ci łatwiej dojeżdżać tramwajem do Dominikańskiego? Stamtąd masz dwa przystanki, to już warto wsiadać. I wiesz, mam nosidło po Gabrysi, podeślij męża, to ci dam. Zobaczysz, od razu staniesz się bardziej sprawna komunikacyjnie.

Joanna poszła zmienić pieluszkę synkowi, a jej koleżanka rozglądała się po pierwszy raz widzianym pokoju. Z ciemnymi meblami, urządzone na zielono i biało, był przytulny, jednocześnie elegancki i bardzo ciepło rodzinny. Na półkach stało sporo książek, albumów ze zdjęciami, tu i ówdzie elementy świadczące o tym, że w tym domu mieszkają dzieci – rzucony pod szafę klocek, zapomniany obrazek rysowany kredkami, grzechotka, w kilku miejscach rzucone tetrowe pieluchy – też tak miała, gdy Gaba ząbkowała, śliniła się okropnie, łatwiej było reagować, mając je pod ręką w każdym miejscu.



– Nie będzie ci przeszkadzało, że go nakarmię? Chyba jest zmęczony.

Joanna usiadła wygodnie w fotelu obitym tapicerką w kolorze srebrzystego mchu i rozpięła bluzkę. Przystawiła małego tak sprawnie, że ani przez chwilę nie było widać nic, co mogłoby zgorszyć postronnego obserwatora. Chyba tylko ludzie mający złe intencje potrafią zżymać się na temat publicznego karmienia, jego obrzydliwości czy niestosowności. Magdalenie nie udało się nigdy trafić na matkę obnażającą całą pierś czy nieprzysłaniającą się choćby pieluszką. O wiele mniej stosowne wydawały się jej majtki wystające ze spodni u różnych modniś. Albo tłuste boczki ponad biodrówkami.

– Trochę się martwię – mówiła cicho Joanna, kiedy synek już się najadł i leżał przytulony do mamy, posapując słodko przez sen. – Rzeczywiście inne dzieci w tym wieku już raczej siedzą. A on nie. Wygląda na zdrowego, rozwija się prawidłowo, czemu nie siedzi? Nie chce leżeć, w wózku sama widzisz, co nieraz wyprawia, nie lubię go obkładać poduchami, a sam kiwa się i leci na bok, kiedy go posadzić. No martwię się...

– Joasiu, wiesz, porównywanie do innych dzieci nie ma sensu. Jedno siada, jak ma sześć miesięcy, inne jak osiem, a kiedy będą miały po pięć lat to i tak żadne nie będzie fruwać. Wyrówna się.

– Myślisz? – zastanowiła się Joanna, smutniejac jeszcze bardziej. – Masz rację, ale jako matka czasem czuję się beznadziejnie.

– Daj spokój! – Magdalena aż podskoczyła. – Teraz znowu przesadzasz. Nikt nas nie uczy rodzicielstwa. A szkoda – dodała także na własny użytek.

Przyjrzała się śpiącemu Kminkowi, który wtulił nosek w mamę; spokojny, bezpieczny i ufny śnił być może o samodzielnym bieganiu.

– Masz fajne, zdrowie dzieciaki, wesołe, Kacper to mój ulubieniec – zaśmiała się. – A właśnie... Kacper kiedy zaczął siadać?

– Nie wiem.

Przez chwilę myślała, że się przesłyszała.

– No nie wiem, Kacper nie jest moim synem – oświadczyła spokojnie Joanna.

– Adoptowany? Ale... Przecież to skóra zdarta z ciebie, te same

oczy, brwi, nosy macie takie same!

– Podobny, bo to mój brat.

Oślupiała Magdalena wpatrywała się w koleżankę, której słowa z trudem do niej docierały. Brat? Chyba ze dwadzieścia lat młodszy!

– Tak to się nieraz w życiu układa. – Joanna się uśmiechnęła. – Moi rodzice rozeszli się dawno temu, jeszcze byłam dzieckiem, no i ojcu po latach udał się strzał. – Puściła oko. – Z matką Kacpra szybko się rozstał, ale to on zajmował się synem. Mieszkali w Tarnowskich Górach, nieczęsto się widywaliśmy. Czasem ojciec przywoził go tutaj na kilka dni, raz, rzadziej dwa razy do roku. Ale zimą ojciec zmarł.

Przez chwilę obie milczały, Magdalena, trzymając w dłoni filiżankę z zimną już kawą, a ona automatycznie głaszcząc synka po plecach.

– Nie wiem, gdzie jest jego matka. Z nią, zdaje się, było coś nie w porządku, wiem, że piła. I tak ma odebrane prawa rodzicielskie, więc w zasadzie wszystko jedno. – Milczała przez jakiś czas, wreszcie podjęła wątek.

– To nie była łatwa decyzja. I początkowo nie byłam zachwycona. Ale trochę się już nawet do niego przyzwyczaiłam. – Znowu się uśmiechnęła.

Jakiś hałas w przedpokoju spowodował, że Kminek prawie się obudził, poruszył rękami, jednak zaraz z powrotem wtulił się w Joannę i smacznie chrapnął. Magdalena, zaniepokojona, że to dzieci rozrabiają, poszła sprawdzić, co z nimi.

W przedpokoju natknęła się na mężczyznę – to mąż Joasi wrócił do domu. Przywitała się i razem zajrzeli do pokoju Kacpra. Żółto urządzone, jasny i duży, teraz pełen porozrzucanych po dywanie klocków, z których Gabryśia z kolegą układali fantastyczne budowle.

– Piotr! – Chłopiec ucieszył się, widząc szwagra i rzucił mu się na szyję. Chyba nieźle się rozumieli.

– Tylko nie za głośno – rzekła półgłosem. – Pawełek zasnął.

Piotr wszedł do dużego pokoju i pocałował żonę w policzek, a potem cmoknął małego w czółko.

– Odłożę go i zaraz odgrzeję ci obiad...

– Nie trzeba. – Powstrzymał ją gestem ręki. – Rozmawiajcie, ja

sobie poradę.

Jeszcze raz podszedł do maluszka i pochylił się nad nim z miłością. Pocałował małą, zwisającą bezwładnie rączkę.

Ten obraz chwycił Magdalenę za gardło. Zdusiła próbujący wydobyć się z niej szloch, ale Joanna zauważyła załzawione oczy. Już od pewnego czasu odnosiła wrażenie, że w życiu Magdaleny wydarzyło się coś niezbyt dobrego, ale dotąd nie miała odwagi pytać. Może nadszedł czas? Przez chwilę przyglądała się najwyraźniej walczącej z emocjami kobiecie, wreszcie, kiedy Piotr wyszedł, spróbowała:

– Kochanie, jeśli chciałabyś mi się zwierzyć, to śmiało. Widzę, że coś się dzieje.

Magdalena milczała, wreszcie jednak podniosła zapłakane oczy na przyjaciółkę. Opowieść popłynęła szeroką strugą.

<sup>[1]</sup> Adam Świć, Plotki z kuchni  
(<http://agnieszkagil.blox.pl/2009/11/Smakowite-Brombowanie-II.html>).

## Grudzień

Jesień, kończąc się ładnie, choć zimno, nie skąpiła słonecznych dni. Place zabaw i parkowe alejki znów wypełniły się spacerowiczami dużymi i małymi, a nawet wspomnieniem lata – rowerkami dziecięcymi.

Gabrysia starała się jak najszybciej wychodzić z przedszkola, błyskawicznie przebrawszy się w szatni. Potem wraz z mamą pędziły do parku, gdzie zwykle już była Joanna z Kminkiem i coraz bardziej lubianym towarzyszem zabaw Gaby, Kacprem, dość wcześnie kończącym zajęcia w szkolnej zerówce. Czasem jedno z nich, a zwykle oboje mieli torebki z pokrojoną w kostkę bułką, pokarm dla sprytnych łabędzi, które wiedziały, że nie muszą trudzić się lotem do ciepłych krajów, bo i tu, dzięki dobrym sercom okolicznych mieszkańców, doskonale spędzą zimę. Przyzwyczajone do ludzi, podpływały tak blisko, że dzieci czasem próbowały je głaskać. To się nie udawało, ale karmiły ptaki niemal z ręki. Najedzone łabędzie odpływały, krążąc po zimnej powierzchni wody w pobliżu małej wysepki, znajdującej się niemal pośrodku stawu.

– Już się nie mogę doczekać, aż będzie zima, śnieg i lód – rozmarzył się Kacper, pociągając zmarzniętym nosem, pasującym kolorystycznie do czerwonej kurtki.

– Chciałbyś pojeździć na łyżwach? – Gabrysia uśmiechnęła się na tę myśl.

– Nie. Albo też, ale najbardziej chciałbym pójść na tę wyspę! – Wskazał ręką porośnięte głównie krzakami, płaskie miejsce z czterema drzewami.

– I co byś tam robił? – zainteresowała się Joanna, odwracając wózek z Pawełkiem w stronę słońca, by łapał ostatnie promienie.

– Może znalazłbym jakieś ukradzione rzeczy.

– Co ty mówisz? – Joanna się skrzywiła.

– Jakie rzeczy? – Gabrysia otworzyła szeroko oczy.

– Nie wiecie, kto tam kiedyś mieszkał? – Tym razem Kacper wydawał się zaskoczony. – To posłuchajcie.

Usiadł na schodkach prowadzących do wody i zaczął opowiadać:

– Dawno, dawno temu wcale nie chciało mi się spać. Postanowiłem pójść na nocną wędrowkę. Włożyłem dres i czapkę, bo trochę wiało,

wziąłem latarkę, a na wszelki wypadek, gdybym zgłodniał, też słodką bułeczkę do kieszeni, i poszedłem. Kiedy byłem już przed domem, wiatr zerwał mi z głowy czapkę i zabrał gdzieś daleko, daleko, pod niebo. Strasznie się zmartwiłem i zacząłem szukać wiatru, żeby mu odebrać czapkę. Chodziłem, chodziłem aż nagle usłyszałem głos nie wiadomo skąd: „Dlaczego taki mały chłopiec sam chodzi po ulicach nocą?”. Zdziwiłem się, bo nie widziałem nikogo, tylko prążkowanego kocura, który siedział na okienku do piwnicy.

– To kot mówił? – zapytała przejęta Gabrysia, sadowiac się obok chłopca.

Magdalena przez chwilę patrzyła na dzieci, wreszcie zreflektowała się, że temperatura oscyluje w okolicach zera, a oni siedzą na zimnych schodach! Dalsza część historii Kacpra została opowiedziana i wysłuchana na stojąco.

– Tak. Wyjaśniłem, że szukam wiatru, a kot powiedział, że mi pomoże. I wiesz, wreszcie trafiliśmy do naszego parku! Zaspana wiewiórka powiedziała, że wiatr czasem sypia na wyspie pośrodku stawu. Zeszliśmy schodkami i zastanawialiśmy się, jak się dostać na wyspę, bo to było lato i woda nie była zamrznięta. Staliśmy tu i rozmawialiśmy, zupełnie jak teraz. – Uśmiechnął się. – Wreszcie, zwabiony światłem latarki, podpłynął jeden łabędź. Zapytał, co tu robimy, i powiedział, że może nas przewieźć na grzbiecie, tylko musiałyby coś zjeść, żeby nas obu udźwignąć.

– A ty miałaś bułeczkę! – przypomniała sobie Gabrysia.

– Tak – potwierdził chłopiec. – I dzięki temu popłynęliśmy na wyspę. A tam znaleźliśmy całe mnóstwo różnych rzeczy, które wiatr, straszny łobuziak, zabierał ludziom. Czapki, chustki, papierowe samoloty, latawce, a nawet prześcieradło z balkonu sąsiadki!

– Zabraliście to wszystko?

– Nie. Wziąłem tylko swoją czapkę. Zobaczyłem też, że wiatr śpi zwinięty na krzaku. Obudziliśmy go i kazaliśmy mu rano wszystko pooddawać.

– Pewnie się zawstydził, co? – Gabrysia zaszurała butem po schodku i strąciła do wody kamyczek.

– Jasne. – Kacper pokiwał głową. – Od tej pory nawet głupio mu

było się tu pokazywać i zaczął sypiać w ogrodzie botanicznym. Też na wyspie. A zimą... O, patrz jakie ładne! – I pobiegli w stronę grupki dzieci, które w pobliżu puszczały bańki mydlane.

– Skąd on zna takie bajki? – spytała z uśmiechem Magdalena.

– Nie mam pojęcia. Chyba sam sobie wymyśla. A może ojciec mu opowiadał? Ale wątpię. Chodź, przejdziemy się wokół stawu. Kminek śpi, to pogadamy.

Wykręciła zgrabnie wózkami i ruszyły wzdłuż słonecznej alejki.

– Kacper to chyba nie jest typowe dziecko, chociaż niewiele w sumie znam sześciolatek. Wyobrażnię ma, jak widać, sporą. Czasami go nie rozumiem. Dotąd myślałam, że dlatego, iż się nie znamy, za życia ojca widywaliśmy się naprawdę bardzo rzadko. Jednak w tym dziecku jest coś dziwnego. Niby stara się nie sprawiać kłopotów, nieczęsto o coś prosi, ale jakby żył w swoim własnym świecie. W szkole radzi sobie z nauką, lecz społecznie chyba niespecjalnie jest przygotowany. Zamyka się w sobie i z trudem, może nawet z lękiem, wychodzi ze świata swoich fantazji. Wydaje mi się, że dzieci nie zawsze rozumieją, o co mu chodzi, ma jakieś takie swoje specyficzne żarty, powiedzonka, no i te opowieści. Czasem powie coś takiego albo tak patrzy, że nie wiem, co robić. Piotr lepiej go rozumie. – Zapatrzyła się gdzieś ponad drzewa.

– A twój ojciec... Chyba nie był jeszcze stary? – zapytała ostrożnie Magdalena, nie wiedząc, czy rana po stracie zabiłniła się u przyjaciółki już wystarczająco, by mogła o tym mówić.

– Nie, ale chorował. Był alkoholikiem, a to, jak być może wiesz, jest choroba śmiertelna. Pił już jako nastolatek. Z tego, co wiem, przez to rodzice szybko się rozstali, miałam wtedy kilka lat. Ale nie przestał, nie zmienił trybu życia. Nawet gdy się urodził Kacper. Sam go wychowywał, przez dłuższe okresy nie pijąc, a kiedy czuł, że już musi, oddawał dzieciaka do znajomej, jakiejś cioci Marzeny, która samotnie wychowywała niepełnosprawne dziecko, i wtedy przez kilka tygodni chlał na umór. Po wytrzeźwieniu znów stawał się dobrym i kochającym ojcem, bo podczas picia był straszny.

– Jezu, dobrze, że nie musiałaś z nim dłużej mieszkać... – Magdalena była wstrząśnięta.

– Dobrze czy nie, bardzo mi go brakowało. Chyba nawet byłam o to właśnie najbardziej zła, jak mi tu z Kacprem przyjeżdżał, i oczekiwał, że będę się zachwycała jego synem... Ojcu wydawało się, iż kontroluje swój nałóg. A tak się nie da. Wypił wreszcie tyle, że zmarł wskutek zatrucia alkoholem. Jeszcze zanim to nastąpiło trafiłam do ośrodka, w którym przeszłam terapię DDA. Nie miałam pojęcia, jak bardzo jestem obciążona, mimo że rodzice stosunkowo wcześniej się rozeszli. Odkopałam w sobie głębokie pokłady przeszłości. Ale mam to za sobą i chociaż jeszcze dużo pracy własnej do zrobienia, wiem, w jakim iść kierunku. A tobie – spojrzała uważnie na koleżankę – radzę iść na terapię dla współuzależnionych. Nie marszcz się, wiem, co myślisz, ale ja wiem, o czym mówię. Jak będziesz gotowa, to dam ci numer telefonu. Nic teraz nie mów. – Podniosła rękę, by tym goręcej zaprotestować przeciwko cemukolwiek, co chciała powiedzieć Magdalena.

„Współuzależniona”? Co ona gada? Magdalena maszerowała, twardo stąpając, zdenerwowana i w poczuciu zagrożenia.

Ta Joanna. Skoro zgłębiła temat alkoholizmu tak dobrze, jak twierdzi, to powinna się zorientować, że pijaństwo jej ojca nie jest tym samym, co okazjonalne picie Szymona! Zresztą nawet go nie zna, skąd miałyby wiedzieć, czy pije często, jak dużo? W porównaniu z tym, co opowiadała, z jej mężem wcale nie jest tak źle, no naprawdę, przesadziła z tymi komentarzami! A taka ładna przyjaźń się kroiała! Teraz Magdalena żałowała, że się tak przed Joanną otworzyła, zwierzyła. Niepotrzebnie za dużo powiedziała, a teraz ponosi konsekwencje.

Szymon jest dobrym człowiekiem, dobrym mężem. Tak naprawdę, w głębi serca, Magdalena nie wierzyła, że jest uzależniony. Pracował, opiekował się żoną i córką, nikt, z pewnością nikt, patrząc na niego, nie oskarżyłby go o alkoholizm! Kochała męża i z pewnością nie pozwoli na bezpodstawne oskarżenia wysuwane pod jego adresem. Jest lojalna w stosunku do niego, do rodziny, musi ich osłaniać.

Szymon nie jest zły, przeciwnie – kiedy ostatnio wrócił z trasy z wielkim bukietem kwiatów, wytłumaczył jej, co się stało. Tak naprawdę chciał ją chronić, nie mówiąc wszystkiego. Oskarżała go o najgorsze, a on po prostu był chory. Coś się działo z jego żołądkiem,

być może stresy w pracy i w domu – w domu, wiedziała o tym! – spowodowały, że najprawdopodobniej pojawiły się wrzody. Jeszcze nie poszedł u lekarza, lecz sygnały były wyraźne, a on, zamiast ją denerwować, próbował sobie sam z tym poradzić. Wiedział, że wrzody zasusza się lekami, ale po co truć się chemią, skoro równie dobrze działa wódka z pieprzem. I to właśnie była przyczyna jego ostatniego zachowania. Przeprosił ją i obiecał, że pójdzie do przychodni.

O, nie, dość rozmówek z Joanną na ten temat! Bardzo, bardzo źle się stało, że Magdalena dała się złapać, co za głupia wpadka... Sama nie wiedziała, co właściwie nią powodowało, że tak się nagle zaczęła zwierzać obcej osobie.

Zła na siebie, niemal ciągnąc frunącą za nią Gabrysię za rękę, przebiegła przez ostatnią jezdnię i pognała po schodach na górę.

Mieszkanie było ciche i puste – Szymon miał dziś wrócić później, o czym ją nawet zawiadomił, żeby się nie denerwowała. Rozejrzała się po pomieszczeniach, z ulgą stwierdzając, że tego właśnie potrzebowała – po irytującej rozmowie z Joanną wrócić do siebie, do poukładanego, uporządkowanego domu, w którym każda rzecz miała swoje miejsce, w którym panował ład, jakiego życzyła sobie Magdalena.

Szybko zagrzała obiad i choć nie była głodna, zjadła go razem z córką. Gabrysi nie przeszkadzało, że jadła w przedszkolu – to było kilka godzin temu, a pełen bieganiny i podskoków spacer zaostriął apetyt. Szymonowi odgrzeje na kolację, a tymczasem chyba odpocznie – czuła się tak znużona, jakby przez cały dzień zrzucała węgiel do piwnicy. Ułożyła się na wersalce i patrząc na ścianę kina za oknem, zagapiła się na splekane i jakby łatanne przez kiepskiego krawca barwne ubrania kozła i diabła.

A oni trwali w niezmiennym pojedynku, nie widząc ani Magdaleny, ani nikogo wokół, skupieni na wytężaniu sił w wyrównanej walce bez przegranych. I bez zwycięzcy.

– Bo dzisiaj Barbórka, wesoły to dzień, zabawa górnicza, więc ciesz się i śmieję! – Gabrysia wróciła z przedszkola w wyśmienitym humorze i górniczej czapce z brystolu na głowie. Biały pióropus, wykonany z papierowych serwetek, podskakiwał i kiwał się zawiadacko, gdy wyśpiewywała o dzisiejszym święcie.



Magdalena, zadowolona z dobrego nastroju córki, która nieraz potrafiła mocno dawać się we znaki, poszła do kuchni, ciesząc się, że Gabrysia zajęła się sobą – robiła dla taty obrazek przedstawiający kopalnię.

– Jak myślisz... – Dziewczynka weszła do kuchni z pudełkiem kredek pod pachą. – Czy skarbnik musi mieć brodę? A jak jest młody, to też ma? Od urodzenia? Jak krasnoludki?

– „Krasnoludek, gdy jest młody, wcale nie ma jeszcze brody. Żadnych ważnych spraw nie miewa, tylko bawi się i śpiewa!” – matka z uśmiechem zacytowała Brzechwę.

– A skarbnik?

– Myślę, że może nie mieć brody. To kwestia upodobań – powiedziała poważnie.

– Właśnie! – zgodziła się Gaba i wróciła do swojego pokoju.

Magdalena popatrzyła na torebki z przyprawami wyjęte przed chwilą z szafki i wybrała kilka, których potrzebowała. Szklanka zmieniła się w ścianę, na której widniał przekrój gleby, jak w alpinarium ogrodu botanicznego. Brunatne, rdzawe i żółte warstwy kardamonu, cynamonu i innych przypraw, układały się w nieregularny melanz żłotawych pasm. Jak swetry dziergane w zamierzchłych czasach przez babcię Magdaleny – z jednej strony kolczaste jak kasztany, od związanych w supełki końców wełny, z drugiej barwne, kolorami łagodnie przechodzącymi z jednego w drugi, ceglaste czerwienie wymieszane z brązami, odcienie zieleni mchu z pistacjowymi, ciepłymi oliwkowymi czy zimnymi jak mrozy na klombie. Tu i ówdzie całość rozświetlały żółte promienie, bez początku i końca, splecione z resztą barw nierozzerwalnie, bez wyraźnych granic.

Podniosła szklanekę do twarzy i przez chwilę chłoneła piernikowy zapach, wreszcie wsypała całość do miski z mąką. Przyprawy rozpląnęły się w białym proszku po kilku zaledwie ruchach ręki kobiety, znikły żłotawe i kasztanowe pasma gałki muszkatołowej, imbiru i goździków, zatoneły w mączastej bieli – już nie całkiem białej, przełamanej beżem. Jeszcze jajka, soda rozpuszczona w mleku i wystygły w tym czasie złocisty ulepek miodu z masłem – odurzająca masa, przylegająca do palców, kusząco słodka, niosąca w sobie zapowiedź niedalekich świąt.

– Mmm... Jak pięknie pachnie. – Zwabiona cudną wonią Gabrysia przywędrowała do kuchni. – Pieczemy?

– Za dwa tygodnie – obiecała Magdalena. – Musi się przegryźć.

Gaba roześmiała się, słysząc to określenie, i w podskokach pobiegła do pokoju, a jej matka jeszcze raz zamieszała masę piernikową i z trudem powstrzymując się przed podjadaniem, przykryła miskę i całość włożyła na samo dno wbudowanej w ścianę szafki – tam powinno być wystarczająco chłodno.

Ledwie zdążyła umyć naczynia po robieniu ciasta na pierniki, gdy rozległ się dźwięk otwieranych drzwi wejściowych. Właściwie próby ich otwarcia. Wytarła ręce i pobiegła do przedpokoju, przekonana, że to Szymon wraca. Przez chwilę czekała z uśmiechem, już planując serdeczne powitanie, ale drzwi wciąż pozostawały zamknięte, a ten, kto stał za nimi, chrobotał kluczem, postukiwał w powierzchnię drzwi i futrynę i – choć tego nie mogła widzieć – odnosiła wrażenie, że czasem opiera się o nie całym ciałem.

Kto to może być? Przełękła się mocno, jednak postanowiła sprawdzić. Cichutko podeszła do drzwi i przesunęła klapkę wizjera. Najpierw coś zasłaniało okrągłe szkiełko, lecz już po chwili zobaczyła męską dłoń, odrywającą się od drzwi, i kawałek ramienia i głowy.

Szymon – dlaczego nie wchodzi?

Może coś się stało z jego kluczem. Albo któryś z mieszkających tu nastolatków wepchnął coś do zamka? A jeśli jest chory, czuje się tak źle, że nie może sobie otworzyć, by szybko wejść i położyć się do łóżka?

– Już, już! – zawołała i odblokowała zamek.

Szymon, oparty lewą ręką o ścianę, w prawej trzymał klucz, mniej więcej na wysokości zamka. W pierwszym momencie nie zrozumiał, co się stało i usiłował trafić kluczem do dziurki, której nie było tam, gdzie znajdowała się jeszcze przed chwilą. Znieruchomiał, kiwając się lekko i wpatrując w Magdalенę, a na jego twarzy pomału zaczęło pojawiać się zdumienie, a potem, uśmiech – ospały, rozciągający się jak na filmie w zwolnionym tempie.

– Aaa, to ty...

Klucze z hałasem upadły na podłogę.

Magdalena zastygła i z bez słowa patrzyła na męża. Potem cofnęła

się w głąb mieszkania i pociągnęła Szymona za sobą. Szybko podniosła klucze, zawiesiła je na miejscu i ściągnęła z męża kurtkę tak gwałtownie, że omal go przy tym nie przewróciła. Skrzywiona, pociągnęła nosem – mężczyzna śmierdział jak gorzelnia, nie ma mowy, by spał w czystym łóżku. Umyć się go pewnie nie da, bo ledwie trzymał się na nogach, więc pociągnęła go do salonu i ułożywszy na skórzanej kanapie, zdjęła mu buty, które zaniósła do przedpokoju i ustawiła równo pod lustrem. Wyczuwając jakąś nieprzyjemną woń, płynącą od strony wieszaków, sięgnęła po jego kurtkę. Cała kieszeń wysmarowana była brązową, cuchnącą mazią, jakby ktoś w nią wytarł ręce po sprzątaniu trawnika. Z obrzydzeniem sięgnęła i usiłując przy tym nie oddychać, opróżniła kieszenie, po czym wrzuciła kurtkę do pralki. Dokładnie wyszorowała ręce, włączyła pralkę i weszła do pokoju Gabrysi, która – jak rzadko – nie wybiegła z pokoju na powitanie ojca.

Dziewczynka w skupieniu kolorowała kartkę. Trudno to było właściwie nazwać kolorowaniem – czerniła ją sukcesywnie, miejsce po miejscu. Nawet nie podniosła głowy na wejście matki, pracowicie mażąc czarną kredką, z koniuszkiem języka wysuniętym z ust.

– Gabuniu...

Brak reakcji.

– Gabrysiu, słyszysz mnie?

Różowy czubek języczka schował się, a ręka szybciej zaczęła mazać po kartce, na której nie zostało już ani kawałka jasnego miejsca.

– Gaba! – Magdalena złapała córkę za szczupłe ramię i dopiero to spowodowało, że mała oderwała wzrok od rysunku. Spojrzała na matkę ze złością i sapnęła, ale nie odezwała się, przez dłuższą chwilę wytrzymując wzrok kobiety.

Magdalena opuściła wreszcie oczy i zapatrzona w ciemny obrazek zapytała:

– Co to jest?

– Kopalnia.

– A Skarbnik?

Nie odpowiedziała, wzruszyła tylko wolnym od uścisku ramieniem i opuściła głowę.

– Pewnie poszedł do innego korytarza, tak? – Magdalena usiłowała

rozmawiać jak gdyby nigdy nic, choć w środku czuła coraz większy chłód. Jakby zamarał jej organ po organie, żołądek, wątroba, płuca, wszystko, aż do serca.

– Gabrysiu, tatuś... Tatuś zachorował.

– Nie mów do mnie!

Zaskoczona kobieta patrzyła na córkę, która zaciśnięte powieki zakryła pięściami, po dziecięcemu odcinając się od niej, od świata, od wszystkiego. Sama często miała ochotę to zrobić, ale nie była małą dziewczynką, u niej to już nie działało.

– Chciałam tylko, żebyś do niego nie szła, bo źle się czuje i śpi – wyszeptała.

Gabrysia wiedziała, że tatuś choruje. Nieraz tak bardzo, że długo po tym, jak one wstały, leżał w łóżku, spał albo jęczał. Chyba bolał go brzuch, bo trzymał się za niego i krzywił się strasznie. A czasem chyba miał to, co i Gabrysię dopadało od czasu do czasu, kiedy zaraziła się w przedszkolu jelitówką – wtedy tak samo tkwiła nad toaletą albo miską i wymiotowała, mając wrażenie, że nic już jej w środku nie zostanie. Wiedziała, bo kiedy mama nie patrzyła, zaglądała do łazienki przez dziurkę od klucza i widziała, jak tatuś się męczy. Bała się dźwięków wydawanych przez niego, lękała się jego spojrzenia, brzydziła dotknięcia.

Ale rozmawiać o tym nie chciała. Okropnie nie lubiła, kiedy mama mówiła o chorobie taty do niej, a jeszcze gorzej, jeśli do obcych ludzi. Niedawno były u Kacpra, bawili się fajnie, ale Gaba wiedziała, że mama rozmawia o tacie z ciocią Joanną. Mówiąc o nim, często płakała. Nieraz właśnie po tym córka rozpoznawała, o kim mówi albo rozmyśla mama. I bardzo nie chciała sama o tym myśleć, więc zupełnie nie potrafiła mamusi pocieszyć. Łatwiej było nakrzyczeć, uciec do pokoju albo na drugą stronę stawu, łatwiej było się złościć, choć ta złość czasem rosła do takich rozmiarów, że nie wiedziała, co z nią robić. Siostry w przedszkolu mówiły, że nieładnie się jest złościć, tupać albo kogoś uderzyć, że lepiej swoją złość narysować. Nie zawsze się to udawało, ale warto było próbować, to sprawiało chociaż chwilową ulgę. Mama też czasem mogłaby rysować, zamiast krzyczeć na tatę. Przecież on jest chory... Chory strasznie. Strasznie. Ale to tatuś i trzeba go kochać, mama

często to powtarza, więc Gabrysia nie będzie o tym wcale mówić, może już wreszcie będzie dobrze, bez tego całego gadania.

Magdalena przez dłuższy czas przyglądała się córce, wreszcie jej zeszywniały kark przypomniał o sobie i podniosła się z kucek.

– Kończ to rysowanie i przyjdź do kuchni, zaraz dam ci kolację.

Gdy Gabrysia gmerała widelcem w sałatce, Magdalena zajrzała do śpiącego męża. Leżał tak, jak go zostawiła, nie zmienił pozycji, ale chrapał, więc nie podchodziła, jak zazwyczaj, by sprawdzić, czy oddycha. Wróciła do kuchni i przekonawszy się, że Gaba nic nie zjadła, tylko rozpaprała wszystko na talerzu, a z chleba została sama skórka, bo środek wydlubała, krusząc na pół stołu i podłogi, gwałtownie zabrała naczynie sprzed nosa córki i spojrzała na nią z rosnącą irytacją.

– Jeśli nie jesz, to koniec zabawy. Proszę iść się umyć i do spania!

Po kilkunastu minutach zaróżowiona Gabrysia wyszła z łazienki i na paluszkach podeszła do matki.

– Poczytasz mi?

– Gabuś, nie dzisiaj, jutro ci poczytam.

– Ale proszę cię, chociaż kawałek.

Podniosła na kobietę oczy Szymona i wpatrywała się z miną psa proszącego o kawałek kiełbasy. Zamiast ją wzruszyć, to spojrzenie wywołało w Magdalenie jeszcze większe zdenerwowanie i z trudem się hamując, wycedziła przez zęby:

– Czy ja mówię niewyraźnie? Jestem zmęczona. Nie zmuszaj mnie! Poczytam ci jutro, a dziś włącz sobie bajkę-grajkę, dobrze? I szybciotko wskakuj w piżamę.

Zmrożone nocnym zimnem drzewa na podwórku trwały w nieruchomym powietrzu, przyodziawszy się w pierwsze zwiastuny prawdziwej zimy – igiełki szronu, kojarzące się nieodparcie z ażurową, delikatną dzianiną, dłonią artystki pracowicie wyszydełkowaną z cienkiego jedwabiu.

Mrok niechętnie ustępował miejsca szaremu światłu, jednak Magdalena stała przy oknie tak długo, że w końcu mogła uznać, iż dzień się zaczął. Po nieprzespanej nocy bolały ją wszystkie mięśnie, a w głowie pulsowało, jakby ściśnięto ją metalową obręczą. Wieczorem, gdy Gabrysia wreszcie usnęła po kilkukrotnych wyjściach do łazienki, by się

napić i przytulić „ostatni raz”, kobieta marzyła o tym, by wreszcie położyć się do łóżka. Ale kiedy już się tam znalazła, sen odszedł, niestety, nie zabrawszy ze sobą zmęczenia. Co chwilę trafiała ręką na pustą poduszkę Szymona, a myśli kłębiły się pod jej czaszką jak splątana wełna, którą koty rozwłóczyły po całym pokoju, zanim gospodyni zdołała luźne motki zwinąć w równe, ciasne kule. Oczami wyobraźni wracała do widoku Szymona chwiejącego się w drzwiach, do jego czerwonej twarzy, kiedy już spał.

Do wystraszonych i proszących oczu córki.

Była zła na siebie, na swoje zdenerwowanie, na niechęć do tego cholernego czytania przed snem, które przecież tak naprawdę bardzo lubiła! To chwile, podczas których obie znajdowały się we wspólnym, innym niż zwykle świecie – pełnym czarów, radości, bohaterów radzących sobie z codziennością za pomocą magii, życzliwości, uśmiechu. Chwile tak inne od rzeczywistych. Dlaczego nie chciała zagłębić się w inny świat, przytulić do córki? Planowała to przecież, jeszcze oblizując palce po piernikowej masie, z przyjemnością myślała o wieczorze z książką u Gabrysi, a potem miłym czasie z mężem...

Cokolwiek by zrobiła, jakkolwiek dobrze by planowała, jej starania nie przynosiły oczekiwanego rezultatu. Cokolwiek przedsięwzięcie – to bierze w łeb. Nawet tak proste sprawy jak organizacja życia domowego. Przecież fakt, że Szymon jednak wciąż popija, nie bierze się przecież z niczego! Gdyby był szczęśliwy, może zachowywałby się inaczej? A skoro po nerwach w pracy i dodatkowo problemach z żołądkiem nie odnajduje w domu spokoju, to woli się wyciszać i relaksować alkoholem. Zawsze wtedy ma dobry humor i uśmiech na twarzy, wtedy chętniej bawi się z Gabrysią, żartuje. Na co dzień wygląda to zgoła inaczej. A ona, zamiast wyrozumiałości i miłości, ostatnio serwuje mu wciąż pretensje i dąsy, po prostu za mało się stara...

Cholera, nawet jako człowiek jest nikim – bez pracy, bez poczucia, że robi cokolwiek, coś, co mogłoby mieć znaczenie większe niż nawet smaczny, ale zjedzony i natychmiast zapomniany obiad. Bezwartościowy babiszon, odtwórczy i nudny.

Poczucie winy kłójące się ze świadomością, że przecież naprawdę robi, co może, by życie ich rodziny było szczęśliwe, a atmosfera dobra,

oba te uczucia, siłujące się jak kozioł i diabeł na ścianie kina, prawie do piątej sprawiały, że przewracała się z boku na bok. Nie mogła znaleźć sobie pozycji, bo mięśnie bolały, kręgosłup sztywniał, a głowa pękała. Wstała, bardziej zmięta i zmęczona niż poprzedniego wieczoru – jeszcze dwie godziny i będzie można budzić Gabrysię.

Dwa tygodnie przed świętami Bożego Narodzenia miasto zasypał śnieg. Puchową kołdrą okrył wszystkie dachy, chodniki i jezdnie, rozsiadł się na nagich gałęziach drzew, ucieszonych, że już ich lodowaty wiatr nie wykręca na wszystkie strony i nie zmarzną pod tą miękką pierzynką. Krzewy w parku wyglądały jak kryjówki świetne do zabawy w zbójców – dołem nagie, z miejscem do schowania się między rzadkimi grubszymi gałęziami, z wierzchu w czapach ze śniegu. Ulice wyładniały, wszędzie zrobiło się pięknie i czysto.

Nadszedł czas kupowania ostatnich prezentów, więc cały Wrocław drgał rozbieganymi pomocnikami gwiazdkowego aniołka, poszukującymi odpowiednich upominków dla najbliższych. Szczególnie wielu kłębiło się ich w Rynku, gdzie od końca listopada rozpanoszył się na jeszcze większej niż w zeszłym roku powierzchni, wrocławski Jarmark Bożonarodzeniowy. Magdalena myślała, że właściwie powinno się go nazywać adwentowym, bo trwał mniej więcej tyle co adwent właśnie, czyli do dwudziestego trzeciego grudnia. W ostatnim numerze „Poza Nawiasem” wyczytała, że tradycja pierwszych wrocławskich jarmarków bożonarodzeniowych sięgała XVI wieku, kiedy to zaczęto wzorować je na niemieckich Christkindlmarkt, organizowanych tuż przed świętami, by nabywać głównie to, co służyło do ozdabiania choinek – szklane kule, jabłka, orzechy, zabawki oraz świece. Legenda mówiła, że to Marcin Luter zapoczątkował obyczaj przystrajania choinek świecami, gdy pewnego razu wracał przez las i ujrzał gwiazdy połyskujące pośród gałęzi. Ten widok ponoć zrobił na nim takie wrażenie, że gdy usiłował opowiedzieć o tym swej rodzinie, zabrakło mu słów, więc by to lepiej zobrazować, posłużył się świeczkami. Tak się narodził początek tradycji, wedle której najstarszy członek rodziny zapalał na bożonarodzeniowej choince świecę.

Można więc było na wrocławskim jarmarku kupić świecę, elektryczne lampki choinkowe i całe mnóstwo najróżniejszych ozdób, na

miejscu ręcznie malowanych i suszonych suszarką do włosów bombek, łańcuchów i drewnianych zabawek.

Owinięta grubym, wełnianym szalem, błękitnym jak niebo, z którego dziś nie spadł ani płatek śniegu, bo cały zapas z chmur już pokrywał miasto, Magdalena dochodziła ulicą Oławską do Rynku. Z daleka słyszała muzykę z ośmiometrowego wiatraka, stojącego w Bajkowym Lasku przed ratuszem. Jarmark rozciągał się wzdłuż całej Świdnickiej, z drugiej strony sięgał niemal do połowy Kuźniczej. Trzecia odnoga, pełna drewnianych, stylowych budek jarmarcznych, usytuowana była między Pręgierzem a wielką choinką stojącą u zbiegu Rynku i placu Solnego. Zbliżyła się do wiatraka i przez chwilę patrzyła na szopkę, wokół której trzech pięter poruszały się drewniane figury i rozbrzmiewała muzyka. Kilka kroków dalej dźwięki mieszały się z innymi, płynącymi z Bajkowego Lasku, gdzie pomiędzy dziesiątkami zielonych, cudnie teraz przysypanych śniegiem żywych świerczków to tu, to tam można było natknąć się na drewniane domki; w każdym jedna ściana była szklana i widać było postaci z bajek czytanych przez lektorów, a tu odtwarzanych z płyt. Och, Gabrysia by się zachwyciła! W bajce *Dukaty z gwiazd* pieniążki lśniły jak prawdziwe, domek Baby-Jagi z *Jasia i Małgosi* aż się prosił o skosztowanie piernikowej ściany lub choćby polizanie lukrowego dachu. Do tego jeszcze kolejki przejeżdżające po wąskich torach przez urokliwy las. Magdalena wiedziała, że Gaba zwariowałaby z radości. Ale teraz była w przedszkolu, a jej mama czuła się trochę jak na wagarach, krocząc po grubej warstwie śniegu ubitego tysiącami nóg i wsłuchując się w coraz większą kakofonię dźwięków melodii płynących z różnych zakątków lasku i kramów.

Ona sama patrzyła na wszystko z trochę innej perspektywy. Lalki z ekspozycji, duże, z szeroko otwartymi szklanymi oczami, częściej kojarzyły jej się z horrorem niż miłą bajeczką; pociągi były brudne, zabawki na nich poobijane, a karuzele skrzypiące i wzbudzające obawę, czy wytrzymają ciężar siedzącego. Strzelnica pełna pluszaków w ostrych, żywych kolorach nie zachęcała jej do zabawy, przywodząc na myśl jakiś stary film, w którym właściciel takiej budy specjalnie wyginał lufy strzelb, by klienci nie zdołali trafić do celu.



Odwróciła się więc w stronę przejścia Świdnickiego i rozglądając się za prezentami, ruszyła wzdłuż ustawionych w dwóch rzędach budek. Z roku na rok na jarmarku przybywało wystawców, teraz było ich pewnie ze stu, jeśli nie więcej. Zjeżdżali się z całej Polski i różnych krajów europejskich, by w tym niepowtarzalnym, wrocławskim, magicznym klimacie, w świątecznej scenerii pachnącej cynamonem, piernikami, kiełbaskami i grzany winem, wystawiać swe towary: artystycznie wyszywane, świąteczne obrusy i serwety, polskie bursztyny opracowane w srebro, szklane lampy, wyroby z drewna i lnu, ręcznie dziergane góralskie swetry. Przy kramach z wyrobami wełnianymi Magdalena przystawała najdłużej, obserwowała i zapamiętywała sploty, wzory, łakomie chłonęła zestawienia barw malowane drutami czy szydełkiem, podpatrywała pomysły.

Nie brakowało tu także słodczy, nic dziwnego – początkowo jarmarki świąteczne aranżowane były po północnej stronie Rynku, zwanej Targiem Łakoci. W 1904 roku jarmark przeniesiono na plac Nowy Targ, skąd do Rynku wrócił dopiero po wojnie. Wystawiali więc kupcy zdobione kolorowym lukrem pierniki, prażone migdały i orzechy w słodkich polewach, cukrową watę, ułożoną tęczowymi warstwami w wiaderkach i foliowych rożkach, oraz różnego rodzaju inne świąteczne smakołyki.

Magdalena zmarzła, bo spacerowała już jakieś trzy kwadransy. Chłód płynący od zimnych palców stóp wspinał się coraz wyżej, obejmując kolana, uda i biodra, powoli zmierzając ku chłodowi od dłuższego czasu mieszkającego w klatce piersiowej. Postanowiła zapobiec ich spotkaniu i wróciła pod ratusz, by się ogrzać gorącą, pachnącą czekoladą lub chałwą do picia. A może spróbuje ciepłutkiego naleśnika. Wokół Domu Mikołaja oszałamiająco pachniało placuszkami – pięciometrowy konterfekt świętego widniał na dachu domku stojącego obok sań, tuż przy pomniku Fredry.

Wizyta na jarmarku i spacer po Bajkowym Lasku oraz między straganami miały być corocznym uroczym preludium świąt Bożego Narodzenia. Ale tym razem wnętrza Magdaleny nie ogrzały gorące słodkości ani korzenne napoje. Zamiast radości w jej sercu rodził się żal i potężniał smutek. Kobieta pozornie sprawiała wrażenie wesołej, bo usta

automatycznie oddawały uśmiechy szczęśliwym ludziom, którzy ją mijali, a oczy, pełne ogarniającej ją coraz bardziej rozpaczy, schowała pod głęboko nasuniętą czapkę.

Święta muszą być szczęśliwe i piękne, dlatego mimo wszystko wybrała prezenty dla tych, którzy zjawią się w jej domu na wigilii. Ozdobi mieszkanie, powysyła kartki, przygotowane już kilka tygodni temu – maleńkie choinki i anioły pracowicie wydziergane na szydełku podczas oglądania seriali i naklejone na kolorowe, sztywne kartoniki. W ten sposób nadawała sens gapieniu się w telewizor; ręce nie pozostawały bezczynne – tworzyły świąteczne wzory. Nagotuje, nasmaży i napiecze, czego trzeba. Jak zawsze. A że w środku zimno i pusto? Kogo to obchodzi.

Nikogo nie interesują jej odczucia, czy jest zadowolona, zdrowa. Jest, bo musi. Nieważne, że mięśnie ma napięte do ostatnich granic, a pulsujące bólem gardło to jedyna gorąca część jej ciała, że budząc się każdego ranka, doznaje uczucia, jakby właśnie się kładła po całym dniu ciężkich, fizycznych robót. To wszystko nie jest istotne, bo święta muszą być ładne.

Z tej samej przyczyny nie będzie komentowała ostatnich wyczynów Szymona – brakowało jej na to sił. Cóż zresztą mogłoby pomóc wracanie do tematu? Nic. Szymon najpierw obrazi się za to, że żona niesłusznie oskarża go o alkoholizm – choć zapytany, czy wciąż chodzi na spotkania AA, nie zaprzeczył, ale i nie potwierdził, zwyczajnie nie odpowiedział – potem przeprosi, przez jakiś czas będzie spokojny, a przy najbliższej okazji znów się upije. Choćby nie wiadomo jak bardzo się starała temu zapobiec. Choćby płakała i prosiła, powoływała się na ich miłość, o której już mogli tylko mówić pustymi słowami, bo to, co najważniejsze, zaginęło gdzieś podczas drobnych małżeńskich burz. Wywiązał je nawet nie huragan, bo to łatwiej byłoby zrozumieć, ale częste, lecz skuteczne podmuchy obojętności. I choć wciąż gdzieś w głębi głupiego serca liczyła na to, że doczeka się znaku, czegoś, co pozwoli jej wierzyć w miłość męża, jednak spychała to pragnienie coraz głębiej. Ale co tam, nadchodzą radosne święta, trzeba z uśmiechem szykować się do nich...

Śnieg utrzymywał się już ponad tydzień, dając nadzieję na białe

święta. Gdyby wytrzymał jeszcze kilka dni, można byłoby oglądać śnieg za oknem, mając w domu rozświetlone drzewko, za czym Magdalena przepadała. Po rozebraniu choinki drugiego lutego płatki za szybą wydawały się jej zbędne, spóźnione. Ostatnimi laty, niestety, zwykle cała biel znikwała, odsłaniając wszelką burość, a Gwiazdka nie była biała, lecz szara, brązowa i błotnista.

Tymczasem jednak, robiąc ostatnie zakupy przedświąteczne, wydeptywała ścieżki w kolejnych pokładach śniegu usypujących się sukcesywnie. Pierniki, upieczone i ozdobione białym lukrem, czekały w dużych puszkach na parapecie, przejmując wilgoć i zapach od włożonych tam również kawałków jabłek i cząstek pomarańczy. Śledzie na trzy sposoby już przegryzały się na balkonie, suszone grzyby nabierały wody, by jeszcze tego popołudnia mogła je ugotować do farszu – będą jutro lepily uszka z Gabrysią – a schab na drugi dzień świąt, wypchany suszonymi śliwkami i morelami, leżakował na najniższej półce lodówki, zaprzyjaźniając się z przyprawami. Oцениwszy swoje dotychczasowe przygotowania na szóstkę, Magdalena zostawiła torby w domu i postanowiła wcześniej odebrać Gabę z przedszkola. Wzięła sanki, wiedząc, jak mała się ucieszy.

Zimowy ogród pełen był bałwanków ulepionych przez przedszkolaki. Miały krzywo zapięte guziki z kamyków i szaliki z pasków polaru o nierównych końcach, ale były najpiękniejsze na świecie. Pełniły wartę pośród przysypanych śniegiem krzewów siostry Marianny, wierzb, cisów i stojącej w milczeniu Matki Bożej w kamiennej grocie.

Magdalena zostawiła sanki przed wejściem, pod dachem łącznika rozpiętego między ceglany budynek przedszkola a nowym domem zgromadzenia zdobnym w mozaikę przedstawiającą świętego Zygmunta Gorazdowskiego, założyciela józefitek. Wiedziała, że gdy tylko wspomni o sankach, Gabrysia nie będzie się ociągała. I rzeczywiście – w kilka chwil córka wskoczyła w grube spodnie i śniegowce, zasunęła suwak, aż świsnął, i wybiegła na dwór.

– Pójdziemy na górkę? Na Słowiańską? – zapytała mamę, sadowiąc się na sankach.

– A może dziś do parku?

– Chętnie! Dawno tam nie byliśmy! – I popędzając swojego konika, rozsiadła się wygodnie na sankach.

Park Tołpy tonął w bieli, którą rozświetlały barwne ubranka dzieci biegających po całej górcie, wszystkich alejkach, a nawet stawie – nie brakło odważnych, stąpających po nie do końca jeszcze zmrożonej sadzawce. Pośród niebieskich, fioletowych i czerwonych kurteczek z czapkami i kapturami opadającymi na oczy dzieciaków Gabrysia sprawnie wypatrzyła przyjaciela.

– Kacper, Kacper!

I podbiegła do postaci w wielkiej, puchatej kurtce. Nie minęła chwila, kiedy oboje wspinali się na górkę, ciągnąc za sobą sanki Gaby.

– Muszę mu kupić własne, ciągle jakoś mi to umyka, żeby powiedzieć Piotrowi, przypominam sobie dopiero przy wyjściu na dwór. – Joanna poprawiła Pawełkowi czapkę, która mimo wiązania pod brodą wciąż zsuwała się na oczy, i odwróciła się w stronę zjeżdżających z górki dzieci. – Albo chociaż jabłuszko, widziałam gdzieś takie z izolacją z gąbki.

Magdalena dyskretnie popatrywała na koleżankę, czując się trochę nieswojo, choć przecież kobieta nie mogła wiedzieć, co sobie o niej pomyślała. Kiedyś, dawno temu, chyba już ze trzy tygodnie, gdy przez chwilę wydawało jej się, że Joanna jest wrogiem nastawionym przeciwko jej mężowi. Ostatnie dni przyniosły refleksję, że może koleżanka ma rację. Nigdy jeszcze Szymon nie pił tyle w tak krótkim czasie. Zdawała sobie sprawę, że czas był trudny, pracy bardzo dużo, a sama atmosfera przygotowań do świąt, która dla niej, gospodyni domowej, mogła co najwyżej spowodować spiętrzenie prac porządkowych, zakupów i gotowania, a dla niego, w związku ze specyfiką branży, stanowiła czas wytężonej pracy i większej nerwowości. Jednak czuła wewnętrzny sprzeciw na myśl o sposobie relaksowania się Szymona. I gdzieś z tyłu głowy coraz silniej kołatało się, że jak radziła Joanna, powinna zwrócić się do kogoś, kto pomoże jej sobie z tym poradzić. Czy była gotowa na przyznanie, że jej mąż jest alkoholikiem? Wahała się wciąż, z trudem nawet artykułowała te słowa w duchu, nie miała pojęcia, czy zdoła wypowiedzieć je głośno.

No dobrze, pójdzie do jakiegoś ośrodka i powie, co leży jej na

sercu. A jeśli się okaże, że tak naprawdę to ona jest źródłem problemów w rodzinie? Że to przez jej nieudolność, niecierpliwość, bezradność rodzina nie funkcjonuje jak należy, dziecko jest nerwowe, a mąż ucieka w picie? Co wtedy?

– Patrz, za dwa dni Wigilia – westchnęła Joanna. – Święta spędzacie u siebie, czy gdzieś jedziecie?

– U nas. W pierwszy dzień pojedziemy do moich rodziców na obiad, a teściowa będzie u nas na wigilię.

– My też u siebie. Strasznie nie chce mi się jeździć po mamach i teściowych, więc zaprosiłam je do siebie, będą pewnie aż do pasterki.

– To się narobisz – zauważyła Magdalena ze współczuciem.

– Coś ty! To będzie składkowa kolacja. Piotr usmaży ryby, pyszne karpie robi, ja przyrządzę kapustę z grochem i grzybami oraz barszcz, moja mama przywiezie uszka i ciasto, teściowa śledzie i też jakieś wypieki, luzik. – Roześmiała się głośno.

– To tylko porządki ci zostaną.

– Eee, bez przesady. – Joanna znowu się uśmiechnęła. – Nie zamierzam się umartwiać, tylko świętować. Wiesz, Piotr ma bratową, Gosię, strasznie zasadniczą osobę, która zawsze wszystko stara się zrobić sama, bo najlepiej i najdokładniej. Natyra się, natyra, naplanuje, naprzygotowuje, wszystko musi być ściśle tak, jak wymyśliła. I tak bardzo chce, żeby wszystko wyszło idealnie, tak się spina, tak się spina, że z tego spięcia w końcu puszcza bąka. Ani myślę być jak ona!

Magdalena roześmiała się do towarzystwa, ale zastanowiło ją, czy przypadkiem sama nie postępuje nieraz tak jak bratowa męża Joasi.

– Ta Gośka jest w ogóle niezła, mamy z nią uciechę przy spotkaniach, właściwie głównie na imieninach teściowej czy jakichś innych uroczystościach rodzinnych, poza tym się nie widzimy. Pamiętam, jak przyszła do nas pierwszy raz w odwiedzinie. Była bardzo serdeczna i cała w uśmiechach, miałam nadzieję, że zyskamy nową siostrzyczkę w rodzinie, ale trzymała się tylko do momentu, kiedy zeszło na rozmowę o wieku. I – sama nie wierzę w to, co mówię – nie mogła się doliczyć, ile ma lat!

– Żartujesz? – Magdalena stanęła jak wryta.

– Naprawdę! Myślała, że ma o rok mniej niż w rzeczywistości,

zaczęła liczyć dziesiątkami, nie wychodziło jej, bo nie miała pełnych. Wreszcie zapytała swojego męża, a on potwierdził, że Gosia się myli. Zdenerwowała się okropnie, więc podałam jej w końcu zeszyt i ołówek. Wypisała sobie lata od urodzenia w kolumnie i zaczęła sumować. Śmialiśmy się jak norki, w duchu oczywiście, bo widać było, że się dziewczyna gotuje, mimo prób utrzymania fasonu. No i często ma takie różne. A wracając do tematu, w święta, pierwsze Boże Narodzenie z moim synkiem, chcę myśleć o tym, co ważne, a nie czy mam kurz pod szafą!

„Jaka ona jest inna!” – pomyślała Magdalena. Jak lekko podchodzi do różnych spraw. Ale, zauważyła ze zdumieniem, wcale ich przez to nie umniejsza. Bo czy rzeczywiście w świętach ważne jest to, czy pod szafą są kurze, a między kuchennymi szafkami okruszki? Może i nie? Jednak nie wyobrażała sobie gościć teściowej, która miałaby partycypować w przygotowywaniu wieczery wigilijnej. Jedyne kompot z suszu zawsze przywoziła, bo jak twierdziła, robi najlepszy. Był inny niż ten, do którego przywykła Magdalena, skromny, składający się tylko z suszonych jabłek, gruszek i wędzonych śliwek oraz dużej ilości cukru. Helena lubiła takie ulepiaste smaki, w przeciwieństwie do synowej, która przepadała za własnym kompotem, w którym śliwki nie śmierdziały dymem z ogniska, a oprócz podstawowych owoców trafiały do niego rodzyнки, żurawina i dużo suszonych moreli, tak słodkich, że wcale nie potrzebował dosładzania. Dodatkowo łamała jego słodycz sokiem z cytryny. Ale wystawiała go na stół dopiero następnego dnia, żeby się teściowa nie obraziła...

Sprawdziły się obawy wrocławian, przyzwyczajonych już do dżdżystej Gwiazdki. Od samego rana padał zimny, jakby tłusty deszcz, dokładnie splukując resztki śniegu, uporczywie trzymające się zakamarków ulic i podwórek – ten z dachów i drzew spłynął najszybciej. Krople miarowo dzwoniły o parapet, gdy Gabrysia wraz z Arką Noego wyśpiewywała kolędy i wycinała ostatnie ozdoby choinkowe z papieru. Jej łańcuch z tęczowych kółek miał już około pięciu metrów, co roku przybywał kolejny kawałek.

Magdalena, początkowo spięta i podenerwowana, rzuciła się w wir ostatnich przygotowań, pozostawiając mężowi wyjście po ostatnie

zakupy i ubranie choinki. A ta królowała w największym pokoju, rozsiewając wokół żywiczny zapach, najpiękniej łączący się z dochodzącym z kuchni aromatem grzybów i ryb, pomarańczowych plasterków, przygotowanych do zawieszenia na choince, i pierników, które Gabrysia cichcem podzerała, uchylając odrobinę wieczka puszek na parapecie, z których ulatniała się lekka korzenna woń.

Przekonawszy się, że Szymon ze sklepu wrócił szybko i trzeźwy, Magdalena nabrała otuchy i pomyślała, że może te święta jednak będą dobre i spokojne. Kiedy więc mąż pojechał po matkę, raźniej zaczęła krzątać się po kuchni; co trzeba stało już na małym gazie, reszta w piekarniku, a stół był zastawiony potrawami, które nie wymagały odgrzewania. Zdażyła jeszcze, z niewielką pomocą Gabrysi, zrobić stroiki do każdego nakrycia: przywiązywały wstążeczką filigranowe bombki do krótkich gałązek jemioly i ozdabiały je kokardkami. Świece stały w świecznikach z jablek, w które wetknęła także po gałązeczce świerku, opłatek spoczywał na złoconym, zielonym talerzyku w sąsiedztwie nabitej goździkami pomarańczowej kuli, krzesła okryte zielonymi pokrowcami, przymocowanymi wielkimi kokardami do oparc, czekały na rodzinę i niespodziewanego gościa, gdyby się taki pojawił.

Magdalena rozejrzała się jeszcze raz po mieszkaniu i uznawszy, że nic nie wymaga już poprawek, pobiegła do sypialni, by się przebrać.

– Aniołek, małeńki jak wróbelek, przyleciał do szopy, do Betlejem!  
– Gaba wyśpiewywała nad talerzem, nie mogąc skupić się na jedzeniu, bo pod choinką w tajemniczy sposób znalazły się prezenty – góra prezentów! W pudełkach, workach, a jeden taki malutki, że ledwie go było widać, w papierowej torebce ozdobionej złotą choinką. O, nie, to na pewno nie dla niej. Gdy tylko pozwolą jej odejść od stołu, pobiegnie po ten największy, ledwie mieszczący się pod zielonym, a teraz tak barwnym drzewkiem! Tymczasem jednak, po tym jak zjadła porcję smakowicie pachnącego barszczyku i kawałek ryby, mama nałożyła jej na talerzyk łyżkę kutii, z którą mała nie bardzo wiedziała, co zrobić.

– Nałóżże jej więcej – mruknęła, maskując niezadowolenie, Helena. – To dobre, słodkie! – zachęcała wnuczkę. – Lubisz słodczy, prawda?

Gaba jednak dziobała widelcem po talerzu, bo zasadniczo nie

przepadała za rodzinami, których potrawa była pełna, a pszenica w ogóle nie kojarzyła się jej z czymś, co jedzą ludzie. Nabrała wreszcie odrobinę i lekko skrzywiona, wystękała:

– Lubię, ale może niekoniecznie...

– Nie grymaś. Trzeba zjadać wszystko, co jest na talerzu, nic nie zostawiać! – Helena była stanowcza.

Magdalena zastanawiała się, jak by tu uratować córkę. Sama spróbowała słodkiej pszenicy, suto doprawionej miodem i bakaliami, a po kilku kęsach poczuła, że wystarczy, jeśli chce uniknąć mdłości. Gaby też wolała nie zmuszać, ale i na kłótni z teściową jej nie zależało. Co też tej Helenie wpadło do głowy, by przywozić kutię? Nigdy dotąd ani Magdalena, ani matka Szymona nie serwowały tego dania, nie jadano go w żadnej z rodzin... Zerknęła na męża, który zrozumiał jej spojrzenie i szybko zareagował.

– Dajcie to, skończę za Gabunię, a ona sobie potem dołoży, tak? Zjadła wielką porcję karpia, nic dziwnego, że już więcej nie zmieści. Zresztą... Pewnie czeka, żeby wreszcie wstać od stołu, co? – I mrugnął do żony jak dawny, kochany Szymon.

I chyba stał się cud tej nocy deszczowej, błotnistej i zimnej, bo Helena nie robiła min, otwarłszy swój prezent, a potem, już w okolicach dwudziestej, poprosiła o odwiezienie. Magdalena nie mogła się nacieszyć, jak gładko wszystko poszło, obeszło się bez skrzywionych ust i spojrzeń pełnych wyrzutu, bez długiego wysiadania przy stole, choć dawno już brakło tematów do rozmowy, a telewizji nie wypadało włączać przy gościu.

Inny cud zdarzył się przy dzieleniu opłatkiem, kiedy Szymon szeptął jej wprost do ucha życzenia świąteczne i obietnicę, że znów zacznie chodzić na spotkania AA, które, za co serdecznie ją przeprosza, zarzucił. Żałuje tego, co się stało, ale kocha ją i chce, by między nimi było jak kiedyś, zanim tak bardzo oddalili się od siebie. Dziękował jej za cierpliwość, którą ma dla niego, i przyrzekał jej nie nadużywać. Pełna wzruszenia i z ukrywaniem przed teściową łzami w oczach, wyszeptala mu swą gotowość do wsparcia i wybaczyła potknięcia, rozumiejąc, jak bardzo jest mu potrzebna.

Spędzili więc czas po wigilijnej kolacji we trójkę, spokojni



i szczęśliwi, pełni nadziei na to, co przyniosą kolejne dni. Gabrysia wtulała się to w matkę, to w ojca, biegała podjadać słodczyce przyniesione przez gwiazdkowego aniołka i zachwycała się podarkami od niego. Gdy Szymon wrócił, obejrzelili razem rodzinny film świąteczny, wzruszający i napawający optymizmem, a w środku nocy, czego Magdalena zupełnie się nie spodziewała, poszli razem na pasterkę.

Dawno temu, jeszcze przed narodzinami Gabrysi, podczas świąt u rodziców Magdaleny chodzili na to wyjątkowe nabożeństwo, ale potem Gaba była zbyt mała, by ją zabierać. Szymon nie przejawiał wielkiej ochoty na taką eskapadę, więc zostawał z córką, a żona sama szła wyśpiewywać radośnie na powitanie maleńkiego Syna Bożego. Teraz zaś, z inicjatywy Szymona, zabawą i żartami pomogli Gabrysi wytrwać do tak późnej pory i ubrawszy się ciepło, ruszyli mokrą ulicą, trzymając się za ręce.

Prosty, gotycki kościół stał ciemny i cichy, choć park wokół roił się od ludzi, głównie młodzieży, roześmianej, rozgadanej, której niestraszna była lepka mżawka sącząca się z czarnego nieba. W środku już był tłum ludzi, ale udało im się jeszcze znaleźć siedzące dwa miejsca, które zajęły Gabrysia z mamą. Dziewczynka rozglądała się wokoło, wreszcie wyszeptała:

– Ciemno jak na roratach!

Rzeczywiście, przecież cały adwent przechodziła na nabożeństwa roratnie z przedszkolem. Siostry, parafianki z „okrągłaka”, czyli kościoła pod wezwaniem świętego Józefa przy ul. Jedności Narodowej, od poniedziałku do piątku prowadziły tam dzieci wymachujące lampionami, zdobnymi w świąteczne motywy. Oświetlały tak drogę na przyjście małego Jezusa.

A On zaraz się zjawi wśród oczekujących go ludzi, stłoczonych w kościele św. Michała Archaniola. Już zabrzmiały organy, a setki wiernych unisono zawołały: „Bóg się rodzi!”. Długa procesja księży ze zgromadzenia salezjanów i wszystkich ministrantów, którzy mogli się dziś zjawić, wyszła z zakrystii i minawszy konfesjonały w bocznym przejściu, przy kaplicy Edyty Stein skręciła i główną nawą podeszła do ołtarza i szopki po prawej stronie. Figury Marii, Józefa, pasterzy i zwierząt tkwiły wśród pachnących żywicą drzewek w niemym

oczekiwaniu, aż proboszcz włoży do żłóbka wyścielonego siankiem posążek Dzieciątka. Zapaliły się lampki na najbliższych choinkach, potem na kolejnych, wreszcie cała świątynia zaśniła od świateł i blasku bijącego z twarzy ludzi, głośno radujących się na przyjście Pana.

A potem Gabrysia zasnęła i Szymon niósł ją na rękach do domu. Magdalena otwierała drzwi i pomagała rozbierać córkę, bo ta nie ocknęła się ani na chwilę.

Wreszcie i oni spoczęli w małżeńskim łożu, w którym ostatnio sypiała sama Magdalena, przytuleni i nieśmiało liczący na to, że los wreszcie pozwoli im się sobą cieszyć i być spokojnymi i bezpiecznymi. Razem, jedynie przy dźwiękach trąbki kasiarza Kwinty, w świąteczną noc płynących z telewizora.

Magdalena spędziła następne dni jak we śnie, bojąc się, że zaraz się obudzi i nie znajdzie obok siebie mężczyzny, którego twarz wreszcie przestała być szara jak posypana popiołem, ustąpiły z niej obrzęki, a sylwetka zaczęła się prostować. Który jest z nią codziennie, bo wziął sobie wolne nawet między Bożym Narodzeniem a sylwestrem – bawili się z córką, grali razem w gry planszowe i wspólnie oglądali telewizję. Na spacerzy nie wybierali się z powodu aury, uporczywie nękającej ich deszczem, Magdalena wyskakiwała jedynie na krótkie zakupy i wracała do domu jaśniejącego światełkami na choince oraz szczęściem.

Szymon zachowywał się jak kiedyś, raz ją tylko zaniepokoił chęcią wyjścia na krótko, na co zareagowała niemal histerycznie. Odkryła, że cieszy się tylko do czasu, dopóki widzi męża, a wizja stracenia go z oczu powoduje natychmiastowy napad lęku, że czar pryśnie. To dlatego nie oddychała pełną piersią, choć Szymon wciąż udawał, że jest gotów się poprawić...

– Misiatku, wrócę niedługo – powiedział, podnosząc palcem jej brodę, by spojrzeć mu w oczy. – Gdyby nie naprawdę pilna sprawa, wcale bym nie wychodził, wierz mi! Czy mi tu z wami źle? – spytał, całując ją po poblądłej twarzy.

Drżała więc z trwogą, nie mogąc skupić się na niczym, przerażona, że chwilowe szczęście i spokój pękną jak ponad miarę nadmuchany balon. Sama odczuwała narastające napięcie, nie potrafiąc się cieszyć tym, co jest, a wypatrując tego, co nieuchronnie musi nastąpić.

Kiedy Szymon wrócił po godzinie, trzeźwy i uśmiechnięty, z kopertą, którą wręczył jej już w progu, osłabła tak, że aż oparła się o ścianę. W trzęsącej się ręce trzymała list, czy cokolwiek to było, i nie mogła się poruszyć. Mąż wziął z powrotem podłużną kopertę i otworzywszy ją, wyjął dwa złożone druki na kredowanym papierze – zaproszenia na sylwestra!

– Dzwoniłem do Agnieszki, ma wolny wieczór, więc chętnie zaopiekuję się Gabrysią, choćby i do rana – szepnął, przytulając ją mocno i całując w to ciepłe miejsce na szyi, którego tak bardzo lubił dotykać wargami.

Ostatni dzień roku – koniec udręk, początek nadziei, nikt nie czeka na to złe, co może się wydarzyć, bo Nowy Rok ma przynieść tylko radość, pomyślność i uśmiechy od losu. Dlatego trzeba go tak powitać, by zechciał z całym dobrodziejstwem, odrzuciwszy wszelkie troski, panować przez kolejne dwanaście miesięcy. A on odwdzieczył się tuż przed nadejściem i sypnął szczerze śniegiem chociaż po wierzchu, kryjąc szare i brunatne miasto pod delikatnym całunem zimnego puchu. Od razu weselej wyjrzały przez okna strojne choinki, mrugając do siebie nawzajem lampkami przez podwórka czy wąskie jezdnie. Czyściej, wyraźniej rozblęły nawet światła komunikacji miejskiej, daleko, poza centrum ozdobionym wyjątkowo bogato.

Agnieszka minęła ostatnie duże skrzyżowanie i po chwili skręcała już w Żeromskiego. Zaparkowała tuż pod starym kinem i wspięła się do domu jednej ze swoich podopiecznych, Gabrysi. Lubiła dzieci, a skoro sama nie mogła ich mieć, dzieliła się całym zgromadzonym w sercu matczynym ciepłem z obcymi maluchami, obdarowując je promykami, które nigdy nie spłyną na jej własne małństwo. Zwykle z każdym spędzała około trzech lat jego życia, czasem dłużej, gdy w pierwszym roku przedszkola chorowało, a zapracowana matka nie mogła co chwilę brać zwolnień. Odchowowała, jak potrafiła najlepiej, i szła do następnego. Nie musiała nawet szukać pracy, bo matki przekazywały sobie kontakt do niej jak bezcenny skarb. Z trudem przyjmowały odmowy, kiedyś nawet zdarzyły się dwie, które postanowiły dzielić się Agnieszką, tak bardzo zależało im na jej opiece. To były dwa lata, w czasie których rodzice przywozili swoje pociechy do niej, podczas gdy

zwykle jeździła do ich domów. Ale wołała dopieszczać jedno dziecko, by skupiać uwagę tylko na nim, a z innymi maluchami bawiła się na spacerach czy w salach zabaw klubików, do których czasem także zaglądała w deszczowe dni.

Na wszelki wypadek miała klucze od mieszkania pani Magdaleny, ale nigdy ich dotąd nie użyła. Teraz także zadzwoniła do drzwi, które otworzyła podskakująca Gabrysia. Dziewczynka rzuciła się Agnieszce na szyję i pociągnęła ją do dużego pokoju.

– Patrz, jaką wielką choinkę mamy!

Pani domu wyszła właśnie z łazienki i Agnieszka aż zacmokała z podziwu. Magdalena jasne włosy upięła w kok, a po obu stronach jej głowy migotały małe, ale ostro skrzące się kolczyki, pięknie kontrastujące z granatem sukienki – dopasowanej, długiej, szalenie wytwornej. Wyglądała pięknie – wysoka, smukła, o postawie królowej. Agnieszka patrzyła z podziwem, choć sama zadowolona była ze swojego wyglądu – wołała pełniejsze kształty.

Po kilku minutach rodzice Gabrysi wyszli: on jak zwykle poważny, ona cała w uśmiechach – i na twarzy, i w oczach, co się zdarzało dużo rzadziej.

– To co, świętujemy? – zwróciła się do wystrojonej dziś w cyklamenową sukienkę Gabrysi, która właśnie pracowicie zdrapywała brokat ze stosownej do swego stroju torebki.

– Tak! – wrzasnęła dziewczynka i zakręciła się w kółko, aż zafurkotała spódnica. – Tańczymy!

Gaba nie była zwyczajnym dzieckiem. Nie znały się co prawda bardzo dobrze, gdyż Magdalena sama opiekowała się córką, a z pomocy opiekunki korzystała tylko w szczególnych sytuacjach, ale Agnieszka wyraźnie widziała, że to nie jest zwykle dziecko w zwykłej rodzinie. Dobrze sytuowani, znać to było wyraźnie choćby po wyposażeniu mieszkania, ale nie obnosili się z tym. Ona zawsze grzeczna, niemal serdeczna, choć nie do końca przekonująco, on mrukliwy, może nawet gburowaty. Śmiejącego się widywała pana Szymona tylko czasem, gdy wracali z jakichś rautów czy kolacji, a żona prowadziła go ledwie trzymającego się na nogach. Zdaje się, że mieli jakiegoś trupa w szafie i wszystko wskazywało, że była nim właśnie skłonność pana domu do

wypitki. Agnieszka wyczuwała takie rzeczy na kilometr. Ale nie odzywała się – ostatecznie to nie jej sprawa. Dziecka z pewnością nie bito, wyglądało na zadbane. Było może trochę mało tak szczerze otwarte, choć wyraźnie pragnące uczucia i pieszczot. Gabrysia witała Agnieszkę zawsze gorącymi uściskami, zawisaniem na szyi i mnóstwem pocałunków, ale nie należała do dzieci, które potrafią dłużej posiedzieć na kolanach, na przykład przy czytaniu bajek. Gabę roznosiła energia, biegała i skakała, nawet kiedy stała, nie trwała spokojnie – podrygiwała i kręciła się, jakby ją coś swędziało. Wśród wszystkich swoich zabawek wyglądała na dość samotną dziewczynkę, która stara się zwrócić na siebie uwagę nadaktywnością i hałasowaniem.

Agnieszka obawiała się, że pod maską wesołkowatości kryje się strach – może przed odrzuceniem? Czy Gaba nie jest jednym z tych dzieci, które dostają wszystko, co można kupić, ale nie to, co trzeba dać od siebie, czas? Czy nie jest tylko dodatkiem do tego ładnego mieszkania, eleganckich mebli, ubrań? Agnieszka nieraz słyszała, jak rodzice wracający po kilku godzinach nieobecności do stęsknionego dziecka mówili głównie: „daj mi spokój, musimy odpocząć, pobaw się samo”? To wyraźne odepchnięcie. Może tu tak nie jest, przecież pani Magdalena nie pracuje, ale jeśli rodzice małej są uwikłani w alkohol, jeżeli ojciec pije, a matka usiłuje stwarzać pozory, że wszystko jest w porządku, to dziecko z pewnością nie czuje się bezpieczne. Nieraz Agnieszka widziała minę Gabrysi, kiedy rodzice wracali, gdy jeszcze nie spała i biegła na ich powitanie do przedpokoju, gdzie zastawała bełkoczącego ojca i matkę tłumaczącą, że tatuś źle się czuje, bo zachorował.

Mimo że była rezolutna, umiejętności miała nieco mniejsze niż znane Agnieszce dzieci w tym wieku, w ogóle zachowywała się czasem, jakby miała cztery lata, a nie sześć. Miała problemy emocjonalne, z całą pewnością. Ale co opiekunka mogła zrobić? Nie odważyłaby się rozmawiać o tym z matką małej, bo i z jakiej racji? Do jej obowiązków należało przypilnować Gabę w czasie nieobecności rodziców i tyle, nawet nianią trudno ją było nazwać.

Tańczyły więc tej szalonej nocy, robiły sobie makijaże specjalnymi kosmetykami dla dzieci i jadły różne pyszne rzeczy pozostawione przez

mamę. Agnieszce szczególnie przypadła do gustu sałatka z czerwonej fasoli z jajkiem, z aromatem szczypiorku unoszącym się nad salaterką i makowiec – taki prawdziwy, drożdżowy makowiec, zwinięty w roladę, z pachnącą wanilią masą pełną rodzynek i kawałków orzechów. A Gabrysia wcinała sałatkę owocową aż miło.

O północy wyszły na balkon. Całe podwórze jaśniało od sztucznych ogni, fajerwerki strzelały i wylatywały ze świstem ponad dachy domów, zimne ognie trzeszczały w rękach dzieci machających nimi na balkonach i w oknach. Gabrysia skakała i piszczała, czasem ze strachem chowała twarz w kurtce Agnieszki, ale zaraz znów się ośmielała i ze śmiechem obserwowała noworoczne szaleństwo. Tuż przed pierwszą padła ze zmęczenia, ledwie dając się umyć – w piżamę już trzeba było ją przebrać, bo przelewała się przez rękę. Ułożona w łóżku, westchnęła i po sekundzie spała jak zabita.

Agnieszka nie wiedziała, o której wrócą rodzice dziewczynki, więc zrobiła sobie kawę i usiadła w pokoju z choinką. Była imponująca, wysoka niemal do sufitu, do którego głową sięgał słomiany anioł. Okręcona tęczowym łańcuchem jak szalem, błyszcząca srebrzystymi pajęczkami, lśniąca od wytwornych bombek, a jednocześnie swojska dzięki zabawkom wykonanym ręką Gaby – pawim oczkom i koszyczkom z papieru kolorowego – bardzo podobała się kobiecie. Upiła łyk kawy i rozglądała się po pokoju, przytulnie urządzonego, a teraz dodatkowo przyozdobionego na czas świąt. Tu i ówdzie Magdalena poustawiała stroiki – te z jemioly upiększyła rajskimi jabłuszkami (skąd je wzięła o tej porze roku?) i złotymi kokardkami. Świerkowe zaś, pachnące mimo upływu czasu, przystroiła śnieżynkami wykonanymi na szydełku i usztywnionymi roztworem soli. Pod pewnym kątem nawet miejscami pobłyskiwały od słonych kryształków. Agnieszka przyglądała się im z podziwem, sama nigdy nie potrafiłaby wykonać tak delikatnej, misternej robótki. Z ciemnozielonego talerzyka, stojącego na środku stołu, roznosił się aromat pomarańczy, złamany zapachem powbijanych w nią goździków, a całości dopełniały ułożone wokół złocistej kuli gwiazdki wycięte foremkami do ciastek ze skórek mandarynkowych i ususzone na piecu.

Kobieta potarła zaczynające się zamykać oczy i włączyła telewizor,

do którego natychmiast się uśmiechnęła – sylwester, coroczny czas Maksa i Alberta, bohaterów *Seksmisji*.

Nawet nie wiedziała, kiedy zmęczenie wzięło górę i wygodnie ułożona w przepastnym fotelu zasnęła wzorem Gabrysi. Obudziło ją lekkie dotknięcie w ramię. Zdezorientowana otworzyła oczy i ujrzała stojącą nad sobą mamę Gaby. W półmroku ledwie było widać jej twarz, dopiero gdy odwróciła się w stronę rozświetlonej choinki, Agnieszka zauważyła smugi tuszu płynące po policzkach i spuchnięte, zaczerwienione oczy.

– Oj, chyba zasnęłam, która to już godzina? – Zerwała się z fotela.

– Wpół do czwartej. Pościeliłam pani to rozkładane łóżko w pokoju Gaby, może tam pani przespać się do rana.

Magdalena mówiła tak cicho, że ledwie dało się ją słyszeć. Nie podnosząc głowy, gestem zachęciła Agnieszkę, by przeszła do pokoju Gabrysi. Opiekunka wstała i idąc do łazienki, dyskretnie rozejrzała się po mieszkaniu, które wydawało się dziwnie puste – ależ tak, brakowało pana Szymona. Czyżby pani Magdalena sama wróciła z zabawy? Ale przecież holowała go zawsze, w jakimkolwiek był stanie! Ciągnęła za rękę, popychała na schodach, by wszedł. Musiało się chyba coś stać...

Coś się stało.

Styczniowy ranek wszedł w głowę Magdaleny wraz z potwornym bólem głowy. Gdybyż to tylko sylwestrowe szaleństwo, miłe zmęczenie, mogłaby wówczas poleżeć w łóżku, wstać potem tylko po coś do picia albo żeby zrobić Gabrysi śniadanie... Chociaż nie – Agnieszka nie poszła jeszcze, słyhać było, jak z Gabą krzątają się po kuchni.

Magdalena zwinęła się w kulkę, nie wiedząc, jak się ułożyć, by choć odrobinę zmniejszyć sztywność karku i górnych partii pleców, ale i to nie pomogło – mięśnie miała twarde jak kamień, w czasie pulsowało, jakby krew z całego organizmu tam znalazła sobie najlepsze miejsce na urządzenie wodospadu. Ledwie udało się jej otworzyć powieki spuchnięte od długiego płaczu, zamknęła je więc z powrotem, dziękując w duchu opiekunce, że nie zostawiła jej samej, że jeszcze trochę może zostać w łóżku, udając sen, który nie nadszedł ani na chwilę w ciągu kilku godzin, od kiedy wróciła do domu.

Leżała, zastanawiając się, jak wybrnąć z sytuacji, w której ustawilo

ją życie, a na którą, jak czuła, nie ma wpływu. Odnosiła wrażenie, że wszystko dzieje się poza nią, że jakkolwiek próbowałyby panować nad swoim losem, on sprzyścił się przeciwko niej i serwuje to, co sam uznał za stosowne, niezależnie od tego, ile ona jest jeszcze w stanie udźwignąć. Szymon – mimo swoich zapewnień – pił nadal, a jej wysiłki klejenia popękanej rodziny zdawały się na nic. Pomimo zignorowania własnych potrzeb i inwestowania wszelkich sił, tytanicznej pracy w to, co było najważniejsze, w spokój, porządek i bezpieczeństwo ich trójki, mimo odsunięcia emocji, z których teraz pozostały tylko złość, żal i gniew, nie udało się jej stworzyć warunków do tego, by szczęście gościło w ich domu. Chyba wciąż nie wiedziała, że sama nie jest w stanie tego uczynić.

Bo że jest sama, zaczynało do niej dopiero powoli docierać. Z trudem – przecież miało układać się dobrze, znów byli z mężem tacy szczęśliwi!

Już dawno nie byli nigdzie razem tylko po to, żeby się pobawić, bez rozmów Szymona o pracy, bez nadziei na kontrakty czy inne zyski. Sylwestrowy bal, na który kupił bilety, miał być początkiem nowej drogi, po której poszliby ramię w ramię, zostawiając wszystko, co złe, w starym roku. Tymczasem z imprezy wróciła sama. Nie była w stanie dłużej patrzeć na jego coraz szerszy uśmiech, coraz bardziej rozbiegane spojrzenie, bełkotliwe komentarze, zaczepki i wygłupy. Bawił się w istocie szampańsko, a dopóki nie zaczął się wywracać, został uznany za niekwestionowanego króla parkietu. Ale wiedziała, jak to się skończy. Nie zarejestrowała tylko początku – popijał w ukryciu, podczas gdy ona, patrząc na roztańczone pary, z uśmiechem spoglądała w przyszłość.

– Agnieszko, mogę już obudzić rodziców? – dobiegł głosik z przedpokoju.

– Mamusia jeszcze śpi, poczekajmy, aż sama wstanie.

– A tatuś?

– Nie ma go.

– A gdzie jest?

– Nie wiem.

Magdalena zastygła. Skupiła rozbiegane myśli i próbowała zrozumieć, co ją tak zdziwiło w odpowiedzi opiekunki. „Gdzie jest



tatuś? Nie wiem”. Ona sama wyjaśniłaby – jest chory, pracuje, nie mógł wrócić.

A Agnieszka powiedziała prawdę.

Kobieta usiadła na łóżku. Zapatrzona w przebijające się przez zasłony światło dnia, podniosła ręce do skroni i masowała je przez chwilę. Wstała i uchyliła ciemną tkaninę. Postaci na murze toczyły nieustającą walkę. Sądziła, że także toczy swoją, ale nie była ani kozłem, ani diabłem. Była oślicą. Uważała, że kłamstwami chroni rodzinę, a osłaniała jedynie nałóg Szymona. Nigdy nie mówili o tym, o czym nawet myślało się z trudem, to było ich tabu. W lęku o rozpad tego układu oraz by nie zdradzić męża, ale i własnego wyobrażenia o ich wizerunku, zaprzeczała alkoholizmowi męża, wmawiała zarówno sobie, jak i dziecku, że wszystko jest OK, że ich rodzina trwa, broniąc się przed zewnętrznym, złym światem. Podczas gdy od środka toczył ją robak, którego istnieniu zaprzeczali wszyscy, każde z nich! Kto wie, czy nie najbardziej ona... Czuła coraz większą złość. Nie chce i nie dopuści do tego, by w ten sposób rozpocząć nowy rok, który miał być dobrym rokiem. Całe zło chce zostawić w poprzednim. To będzie jej rok, jej i Gabrysi, a ten drań – niech robi, co chce!

Styczeń

Kolejny rok dla Magdaleny rozpoczął się trzeciego stycznia. Postanowiła zostawić balast, którego nie była już w stanie dłużej holować, i spróbować zbudować swoje życie, siebie, na nowo. Co prawda łatwiej postanowić, niż zrobić, rzeczywiście bronić się przed tym, co ją rani, bo strach przed odrzuceniem przez męża był w niej silnie zakorzeniony i szczerze mówiąc, niespecjalnie czuła się na siłach, by stawić mu czoło, ale bunt trwał – może wystarczy go na realizację planów?

Szymon od kilku dni nie pojawiał się w domu. Ze zdumieniem przyjęła, że ani się o niego nie martwi, ani nie boi, że może nie wrócić – nie to nie. Przynajmniej jest spokój. Nie wyobrażała sobie, co mógłby jej teraz powiedzieć – żadne usprawiedliwienia nie wchodziły w grę, żadne obietnice nie będą wiarygodne, niczym nie mógł jej zaskoczyć ani zachęcić do tego, by próbowała od nowa budować z nim cokolwiek.

Ze wstydem przypominając sobie złość na Joannę, którą silnie odczuła kilka tygodni temu, teraz zapragnęła powrócić do tamtej rozmowy. Okazja nadarzyła się dość szybko, bo już po kilku dniach od sylwestra spotkały się w parku – tym razem bezśnieżnym i suchym, umożliwiającym spacer, a nawet zabawę na placu. Było chłodno, więc dzieciaki rozgrzewały się, biegając po alejkach i zmrożonych brzdach trawników. Kminek wreszcie zrozumiał, że funkcjonowanie wyłącznie na brzuchu nie sprawdza się w zimowym kombinezonie i pozwolił się układać w pozycji półsiedzącej. Z zainteresowaniem rozglądał się po parku, obserwując zebrzące o okruchy gołębie i łabędzie na stawie, bawiące się dzieci i przechodniów. Rozdawał uśmiechy na prawo i lewo, co bardzo śmieszyło Magdaleny. Czasem bawił się grzechotkami i różnymi przedmiotami przywiązanymi do wózka na kolorowych sznurkach. Dzięki temu, że miał zajęcie, jego mama odzyskała trochę spokoju.

Tego dnia, przytupując, bo było naprawdę zimno, kobiety dreptały zwykłą trasą wokół stawu. Kacper został konikiem Gaby. Poganiała go wierzbową witką, więc galopowali daleko od przyjaciółek, które zeszły w końcu w rozmowie na temat, który Magdalena tak bardzo miała nadzieję poruszyć.

– Wiem, jak banalnie to zabrzmie, ale miało być tak pięknie! Pokochałam Szymona, ale nie od pierwszego wejrzenia, trochę potrwało, zanim mnie poderwał, zanim w ogóle dałam się namówić na spotkanie poza szkołą. Kończył wówczas liceum, w którym ja dopiero zaczęłam się uczyć, wydawał mi się taki dorosły, dojrzały. Inny niż te rżące konie w naszej klasie wygłupiające się na przerwach jak w podstawówce. Spokojny, ważył słowa, a kiedy się uśmiechnął, świat stawał się jaśniejszy, jakby nagradzał rozmówcę tym uśmiechem. Gdy się zbliżyliśmy, zakochałam się bez pamięci. Tak bardzo mu zaufałam. Początkowo wszystko wyglądało dobrze, oboje staraliśmy się nie ranić, nie było zresztą ku temu powodów. Właściwie nie wiem, kiedy zaczęły się problemy, nie umiem znaleźć tej granicy.

– Bo jej nie ma. Takie procesy trwają. Nie da się znaleźć dnia czy tygodnia, w którym ktoś nagle stał się alkoholikiem.

– Tak odważnie to nazywasz... – zająknęła się Magdalena.

– Po imieniu. Bo już potrafię i ty też się nauczysz. – Spojrzała ciepło, mimo powagi na twarzy. – No więc było w waszym małżeństwie cudownie, księżę z bajki przyjeżdżał na karym rumaku, aż wreszcie zwymiotował na twój złoty pantofelek, czy tak?

Magdalena sama nie wiedziała, jak traktować tego rodzaju określenia – dość obcesowe, ale, do diabła, prawdziwe!

– Przez długi czas do głowy mi nie przychodziło, że z nim jest coś nie tak. Usiłowałam jakoś odnaleźć się w tym wszystkim, nie drażnić go, gdy miał gorszy dzień, przystosować do nowych sytuacji... A może to nie było nic ważnego, tylko chwilowe załamania? Przecież ludzie piją, czasem się upijają, nawet robią większe sceny, a nie są chorzy! Dlaczego miałam o to podejrzewać Szymona? Zresztą... – Uniosła nieco głowę i wysunęła lekko do przodu dolną wargę. Joannie skojarzyła się z dziewczynką, trochę obrażoną, ale nieznajdującą argumentów w kłótni z koleżanką.

Milczały przez chwilę, a kiedy Magdalena przeniosła wzrok na przyjaciółkę, zobaczyła trochę kpiący uśmiešek.

– Co? Śmiejesz się, że mam wątpliwości? Ale pewności, że jest chory, też nie mam!

– Mhm. I nie będziesz miała, dopóki nie pójdziesz po pomoc.

Bardzo łatwo jest uwić sobie gniazdko w oku cyklonu i nie dostrzegać, co się dzieje dookoła. Przerabiałam to gruntownie na terapii, przerabiała moja matka z ojcem. Łatwiej jest udawać, że nie widzi się zagrożenia, bo wstyd, bo co ludzie powiedzą, bo to mój mąż... Gdybyś go nie kochała, prawdopodobnie rzuciłabyś to wszystko w diabły już dawno. Ale jeśli go kochasz i chcesz mu pomóc, zrób wszystko, by zaczął się leczyć. Zaczynaj od siebie.

– Od siebie? Ja jestem zdrowa. Chciałabym tylko wiedzieć, jak skłonić do leczenia kogoś, kto nie ma na to najmniejszej ochoty!

– Nie skłonisz, póki sam nie zechce, Magdaleno. – Joanna zatrzymała wózek i stanęła na wprost niej. – Zajmij się sobą. Dopóki sama będziesz ustawiała się w roli ofiary tego układu, przyznaj, mocno nerwowego, to się nie skończy.

– To co mam robić?! Przychodzi pijany, krzyczę, następnego dnia się nie odzywam, żądam obietnic, że to ostatni raz, składa mi je i po jakimś czasie zaczyna się od nowa! Przecież nie mogę chodzić za nim i pilnować. W domu nie ma ani jednej butelki, wylałam wszystko, co znalazłam, przekopałam też półki w piwnicy, gdzie znalazłam... Nieważne zresztą. Powiedz, CO JESZCZE mogę zrobić?

– Nic. Już i tak robisz za dużo. Fajnie byłoby z pewnymi rzeczami dać sobie spokój.

– Z jakimi rzeczami? – Magdalena czuła taki zamęt w głowie, że chwilami zastanawiała się, czy rozmawiają na ten sam temat.

– Przestań mu ułatwiać picie, to na początek. – Joanna wzruszyła ramionami.

– Tak po prostu? – Magdalena zakpiła z niepewnym uśmiechem.

– Właśnie tak. Powiedz, co robisz, kiedy przychodzi w ubłoconych ciuchach? Kiedy zarzyga łazienkę? Choć raz pozwoliłaś mu sprzątnąć po sobie? Zostawiłaś go kiedykolwiek nieprzytomnego w przedpokoju czy zawsze taszczysz do łóżeczka i sprawdzasz, czy nie udławił się wymiocinami?

– On wcale... W każdym razie rzadko... To jest mój mąż – ostatnie słowa wypowiedziała szeptem. Drżała – z oburzenia albo ze strachu, co Joanna wyczyta w jej myślach.

– Właśnie. Kryj go i udawaj, że jest dobrze. Sam się zmieni.

Pomyśl o tym, a teraz już skończmy, bo zaraz się pokłócimy. – I najzwyczajniej w świecie puściła do Magdaleny oczko.

Słońce coraz dłużej gościło nad Wrocławiem, nawet jeśli schowane za grubą warstwą chmur, zza których wyglądało jak srebrny pieniążek. Nie ogrzewało zmarzniętej ziemi, zimno ciągnęło od niej, przenikając po jakimś czasie nawet podeszwy butów. Chyba że było się dzieckiem – rozskakanym i rozgrzanym zabawą.

– Pójdziemy na skróty, pójdziemy? Proooszęę! – zajęczała Gabrysia, podbiegając do matki.

– Oj, nie. Nad rzeką urwie nam głowę, popatrz, wiatr coraz większy.

– To może chociaż kawałeczek, do działek, co? I odprowadzimy Kacpra, dobrze? Dobrze? Dobrze?!

Magdalena pokręciła głową, ale zachęcona spojrzeniem Joanny zgodziła się w końcu – i tak nie miała nic innego do roboty. Ruszyły więc w stronę przejścia dla pieszych, łączących park Tołpy ze Skwerem Ludzi ze znakiem „P” – kilkunastoma drzewami rosnącymi u zbiegu Nowowiejskiej i Prusa. Tuż obok znajdowały się szkoła podstawowa i dwa przedszkola, wszystko w jednym, zbudowanym z czerwonej cegły kompleksie.

Minęli osłonięty rzadkimi krzaczkami pomnik tych, których imię nadano skwerowi, a który latem obsikiwały zarówno psy, jak i dzieci – i szli dalej, dopiero przed samymi działkami skręcili w lewo.

– Dobrze, że Gabrysia i Kacper pobiegli przodem, bo chciałam pogadać. Zastanawiam się, co zrobić. – Joanna sprawnie manewrowała wózkiem, omijając leżące na każdym metrze kwadratowym chodnika psie kupy. – Wczoraj dowiedziałam się, że matka Kacpra nie żyje od dwóch miesięcy.

– Co się stało? – przejęła się Magdalena.

– Miała raka. Udało mi się skontaktować z rodziną Kacpra. Z jego starszym bratem.

– Myślałam, że nie ma nikogo?

– Ja też. Ojciec nie był wylewny, o rodzinie Kacpra w ogóle nie mówił, ba, on nie opowiadał nawet o własnej! O tym, że moja babka miała rodzeństwo, dowiedziałam się dopiero kilka lat po jej śmierci.

– O, to masz więcej cioć i wujków czy tam kuzynów – ucieszyła się Magdalena.

– Nie żyją. Wojnę przeżył jeden z jej braci, ale umarł w latach osiemdziesiątych jako stary kawaler. Nie wiem, czy zostawił jakieś dzieci. W każdym razie... – kontynuowała. – Kacper ma dorosłego brata. Znalazłam go przypadkiem, kiedy wpadł mi w ręce stary notes ojca, gdzie był zapisany numer telefonu do niego. Nazwisko takie samo jak matki, pomyślałam, że to jakiś krewny, więc znalazłam go w internecie, mieszka w Tarnowskich Górach. Rozmawialiśmy przez telefon. Właśnie od niego się o wszystkim dowiedziałam.

– I co teraz? – Poruszona Magdalena z uwagą wpatrywała się w Joannę.

– Właśnie nie wiem.

– Myślisz, żeby oddać chłopca pod opiekę bratu?

– Oni się nie znają. Ten człowiek od dawna ma swoją rodzinę, żonę i dziecko. Wychowywał go biologiczny ojciec, z którym matka dość szybko się rozstała, nie utrzymywali kontaktów. Z matką spotykał się częściej jako dziecko, potem były tylko telefony od czasu do czasu. Jego ojciec ma firmę, handluje sztucznymi kwiatami czy czymś tam, co przywozi z Holandii, syn pracuje z nim. Często wyjeżdża. Zresztą... O ile na początku miałam duże wątpliwości, teraz już nie chciałabym rozstawać się z tym dzieckiem. – Uśmiechnęła się z lekkim zawstydzeniem, jakby sama myśl o miłości do tego strasznego, małego braciszka była czymś niewłaściwym. – Przyzwyczyłam się do gówniarza...

– Ale i on się przyzwyczył! Nie wyobrażam sobie, że po tym wszystkim, co przeszedł, jego życie znów miałoby się wywrócić do góry nogami – Magdalena pokręciła głową.

– Ja też – przyznała Joanna. – Rozmawiałam z Piotrem, zresztą już dawno to ustaliliśmy, Kacper jest teraz częścią naszej rodziny. Choć nieraz... mam ochotę go zagryźć.

– Zupełnie jak ja Gabrysię – zwierzyła się szeptem Magdalena i obie się roześmiały.

– Czyli wiesz, o czym mowa. – Joasia puściła oko. – Nie wiem tylko, czy mówić mu o śmierci matki. W zasadzie nigdy o niej z nim nie

rozmawialiśmy.

– Trudna sprawa – przyznała. – Ale wiesz, tyle zmian dotknęło go w zeszłym roku, śmierć ojca, przeprowadzka, narodziny dziecka to przecież też przewrót w życiu domowym. Chybabym sobie darowała. Może dopiero gdy zaczniesz pytać? Na razie ciebie traktuje jak mamę.

– W zerówce czytają już czasem: „Ala ma kota, Ola ma mamę”, czy coś takiego, ale nie wiem, czy „matka” to dla niego pojęcia abstrakcyjne, czy zwyczajnie mu jej nie brakuje, skoro nigdy na dobrą sprawę nie była jego opiekunką. Poza kilkoma pierwszymi miesiącami życia. Potem zaczęła pić, urywać się z domu. Ojciec niechętnie, ale czasem mi o tym mówił. Z kolei Kacper – ani słowa. Może masz rację, poczekam, aż sam zaczniesz pytać.

Pieniążek słońca całkowicie schował się w chmurach, a może obsunął tak nisko, za budynki, że nie prześwitywał już zza szarej waty. Gabrysia, szczęśliwa, że mogła odprowadzić przyjaciela pod samą bramę, podskakiwała na chodniku, usiłując nie następować na linie między płytami. Doprawdy, życie sześciolatki bywało wspaniałe, zwłaszcza gdy mama nie krzyczała na tatusia – może dlatego, że znowu na dłużej wyjechał, a może po prostu miała od kilku dni lepszy humor – i nie krzywiła się na większość propozycji córki. Wcześniej zdarzało się, że nawet propozycja spaceru dłuższą drogą albo prośba o wspólną zabawę potrafiły ją zdenerwować... Czasem Gabrysia nie wiedziała, czego mama od niej oczekuje, nie potrafiła przewidzieć, jak się potoczy sytuacja. Ale teraz, skoro było tak fajnie, wołała skakać, niż się martwić.

Magdalena szła powoli za córką, a jej myśli dalekie były od skoków i radości. Czula w środku ciężar decyzji, jaką podjęła, no i zupełnie nie miała pomysłu na to, jak ją zrealizować. Po pierwsze, z pewnością najważniejsze było, że musi się uniezależnić. Mieszkanie jest wspólne, więc tymczasem ma gdzie spać, dostęp do konta na razie też ma, ale przydałoby się znaleźć coś swojego. Pieniądze, po które nie będzie wyciągała ręki do męża, tym bardziej że nie miała pojęcia, jak on może zareagować na planowane przez nią zmiany. Najchętniej wyprowadziłaby się jak najszybciej i jak najdalej, ale to jeszcze długo nie mogło wchodzić w grę. Nie chciała zwałać się na głowę rodzicom, choć pewnie by ją przyjęli, ale kosztem swoich i jej nerwów,

a rodzeństwa nie miała. Postanowiła nie podejmować pochopnych decyzji ani szarpać się z Szymonem, lecz powoli i systematycznie pracować nad polepszeniem swojej sytuacji. Koniecznie musiała znaleźć pracę, a z czasem jakieś mieszkanie, może na początek wynajem?

Na myśl o szukaniu pracy zrobiło się jej trochę nieswojo, bo raczej nie była najlepszą kandydatką na dobrze opłacane stanowiska – Gabrysia dość często chorowała, jak to w przedszkolu, skupisku zarazków i niedoleczonych, zakatarzonych dzieci, więc już samo to mogłoby zniechęcić potencjalnego pracodawcę. Poza tym wypadła z rynku pracy siedem lat wcześniej. Zanim znajdzie sensowny etat, będzie musiała chyba rozejrzeć się za czymś mniej ambitnym, może niezbyt atrakcyjnym, za to przynoszącym zarobki.

Rozmyślając smętnie, dopiero pod bramą zorientowała się, że już doszły do domu. Cofnęła się jeszcze, by sprawdzić, czy nie świeci się światło w ich mieszkaniu – o tej porze ściemniało się na tyle, że trzeba było zapalać lampy. Wszystko wskazywało jednak na to, że Szymona nadal nie ma.

– Kiedy wróci tatuś?

Gabrysia chyba potrafiła czytać w myślach.

– Nie wiem. – To powinno wystarczyć, jednak dodała: – Pojechał bardzo daleko...

– Zagramy dzisiaj w chińczyka? – Dziewczynka tańczyła wokół matki w jednym bucie, drugi zzuwszy i kopnąwszy go pod szafkę.

– Zakładaj kapcie.

– Zagramy?

– Nie wiem. No zdejmij wreszcie ten but!

– Ale zagramyyy?

– Nie denerwuj mnie. – Zirytowana powtarzaniem przez Gabę tego samego pytania Magdalena podniosła głos. – Jak nie przestaniesz, to również nie poczytamy! – krzyknęła ostro i szybko weszła do łazienki.

Zwariować można z tą dziewczyną. Wiecznie prośby, roszczenia i potrzeby. A zagraj, a zaśpiewaj, a poczytaj, a zrób tosty, kiedy matka przygotowała twarożek. Albo marudzi, albo popłakuje, albo patrzy z wyrzutem, ciągle coś!

Oparła dłonie o umywalkę i spojrzała w lustro. Włączone było



tylko górne światło, więc jej blada twarz ledwie jaśniała w półmroku. Nie miała jednak ochoty patrzeć w oczy jędzy, która odreagowuje na dziecku własną złość.

Styczeń rozkwitał bielą i słońcem, które dawało poczucie nadziei na lepsze czasy, rozświetlając codzienność, ale nie grzało zbyt, by dać dzieciom radość z saneczkowania. Zmrożony śnieg, co jakiś czas przysypywany kolejną warstwą puchu, nie topniał w promieniach, jedynie skrzył się cudnie jak srebrne pajęczki na choince. Ostatnio niemal codziennie Magdalena szła po Gabę z sankami, a w plecaku niosła termos z herbatą. Z przedszkola wracały przez park, gdzie mała wraz z Kacprem, który zwykle już tam jej oczekiwał, szalała na sankach. Od czasu do czasu podbiegali do kobiet, snujących się wokół stawu, żeby napić się czegoś ciepłego – Joanna najczęściej przynosiła kakao. Kminek, widząc, jak dzieci piją z kubeczków, też koniecznie chciał spróbować, więc często kończyło się głośnymi awanturami w wykonaniu dziewięciomiesięcznego krzykacza. Ostatecznie zatem to Magdalena – w oddali albo za drzewem – poila starsze dzieci z termosu, Pawełek zaś pozostawał na razie przy piersi, o którą dopominał się już w domu.

– I dobrze – wzdychała Joanna. – Nie wyobrażam sobie karmienia go tutaj teraz, zimą, w tych wszystkich kombinezonach i kocach. Zresztą ja bym przy tym raczej zmarzła. Jaka ta natura mądra, że starsze niemowlęta nie muszą już ssać co chwilę.

– Podziękuj też mężowi. – Magdalena się uśmiechnęła. – Gdyby Kminek miał teraz dwa, trzy miesiące, długie spacery nie wchodziłyby w grę!

Dobrze było tak spacerować i żartować, cieszyć się miłym, niewielkim mrozem i słońkiem, z przyjemnością słuchać dziecięcych pokrzykiwań na górze i zamarznętym stawie, przyglądać się przemykającym obok zaprzęgom saneczkowym z konikami w postaci mam, niań czy dziadków. I ojców.

Tato Gaby nie przychodził z nią na sanki, bo w tym czasie pracował. W domu bywał najczęściej dopiero wieczorem.

Kiedy pojawił się pierwszy raz tego roku, Gaba wybiegła z pokoju i rzuciła się mu na szyję, niemal łamiąc kwiaty, które trzymał w ręce. Ogromny bukiet trzydziestu pąsowych róż ułożonych tak, że środkowe

były najdłuższe, a im dalej od centrum, tym łodygi się skracały i wtulały w błyszczące liście jakiejś rośliny, których nazwy Magdalena nie знаła.

– Tatuś! – wrzasnęła mała i zawisała mu na szyi. Nie widziała go już prawie trzy tygodnie.

Magdalena stała w progu kuchni. Szymon nie użył własnych kluczy, tylko zadzwonił, więc otworzyła mu i stanęła bez ruchu. Nie oczekiwała niczego specjalnego, zastanawiała się tylko, czy przyszedł po rzeczy, czy z kwiatami. Z zaskoczeniem przyjęła opanowanie, które ją ogarnęło, jeszcze zanim mąż pojawił się w drzwiach. Gdy myślała o spotkaniu z nim po sylwestrowych szaleństwach, obawiała się, że nie wytrzyma, zacznie płakać, krzyczeć. Tymczasem ogarnął ją ten dziwny spokój graniczący z apatią, ale tej nie zamierzała się poddać. Opanowanie, to wszystko, na co mogła sobie pozwolić. Zarzewie buntu w jej sercu płonęło coraz silniejszym blaskiem.

Gabrysia nie mogła się nacieszyć ojcem, obskakiwała go ze wszystkich stron, wciskała głowę pod pachę, przytulała się do płaszcza, którego nie dał rady zdjąć. A on gładził ją po włosach, głaskał po policzkach i przyciskał do siebie, jednocześnie z napięciem wpatrywał się w jej matkę.

Dotąd Magdalena sądziła, że pojmują się w pół słowa, porozumiewają jednym spojrzeniem, przecież właśnie dlatego wybrali siebie spośród milionów innych ludzi. Teraz patrzyła w brązowe oczy Szymona i czuła, że nie wie, co kryje się za jego spojrzeniem. Każda teoria, którą dotąd tworzyła, okazywała się nieprawdą. Nie miała pojęcia, czego on chce, o czym myśli. Nie znała go.

Zanim strach zdążył wkraść się na dobre w duszę kobiety, Szymon uwolnił się wreszcie z okrycia i podszedł do żony. Stanął bez słowa, trzymając przed sobą kwiaty pachnące lakierem, którym kwiaciarka obficie spryskała ciemne liście. Głównie to czuła teraz Magdalena – zapach kwiaciarni. Żadnego drżenia, nadziei na pogodzenie się i dalsze słodkie życie – nic z tych rzeczy. Skorupa, zaczynająca tworzyć się wokół jej zranionego serca, rozpoczęła ochronne działanie.

– Nie wyrzucisz mnie? – Ledwie usłyszała jego szept. – Mogę zostać?

– To również twoje mieszkanie... – Przestraszyła się własnej

oschłości. – Ale nie zgadzam się na dalsze picie. Jeśli chcesz z nami mieszkać, musisz zacząć się leczyć.

– Zacząłem.

Milczał przez chwilę, potem odchrząknął i cicho mówił dalej:

– Zapisałem się do grupy AA.

– Zapisałeś? Aha. – Magdalena wiedziała od Joanny, że spotkania AA to nie terapia, tylko raczej coś w rodzaju grupy wsparcia. Nie ma tam prowadzącego, terapeuty, specjalisty. Jedynie wyleczeni bądź nie alkoholicy z bagażem doświadczeń. Nie ma też listy, na którą można się zapisać, bo nikt nie sprawdza obecności. Kłamał.

– Dowiedziałem się tam o ośrodku, w którym można się leczyć – kontynuował. – Zapisać na terapię. Na Korzeniowskiego. Chcę tam pójść w tym tygodniu.

Pokiwała głową i odsunęła się w bok, przepuszczając go do pokoju. Przechodząc, usiłował ją objąć, ale wywinęła się zgrabnie, bez ostentacji.

– Już wracamy? – Kacper był trochę zawiedziony, ale jego czerwony nos i policzki najlepiej świadczyły o tym, że zmarzył porządnie.

– Tak. I żadnych skrótów dzisiaj – oświadczyła Joanna, kierując wózek w stronę skrzyżowania z Wyszyńskiego.

Nierówne wieże kościoła wyglądały spoza drzew przykrytych śniegiem. Słońce świeciło coraz bardziej blado, a zimne podmuchy niosły zapach ciężkich chmur, nadciągających z oddali, którymi pewnie przez noc zasnuje się niebo. Może znów zacnie sypać? Najwyższy czas do domu!

Gabrysia wpadła do mieszkania i Magdalena sprawnie zakrzętała się w kuchni. Jeśli Szymon przyjdzie w miarę szybko, zjedzą razem kolację. A ponieważ dzisiejszy dzień był piękny od samego rana, skończył się także ładnie – zasiedli do stołu we troje, co ostatnio zdarzało się nader rzadko. Po kąpieli Gaba wskoczyła do łóżka – wybiegała się dziś, ale i wychłodziła, nawet świetne buty nie pomogły na zmarznięte paluszki stóp. Po szklance mleka z miodem zasnęła jak aniołek.

Szymon, pętający się po mieszkaniu z miną zbitego psa, nie budził w żonie współczucia. Raczej trochę ją drażnił. Wyczuwała, że uważa na

to, co i w jaki sposób mówi, stara się, by jej czymś nie wyprowadzić z równowagi. Zastanawiała się, czy nie wolałaby, by było po staremu, kiedy wiedziała, co się może wydarzyć, kiedy oczekiwał zwykle kilka dni, a potem znów sobie dogadzał. Teraz, kiedy podjął decyzję o leczeniu, niczego nie była pewna. Jego poczucie winy zamiast cieszyć, irytowało. Magdalena czuła się w tej sytuacji nienaturalnie, nie miała pojęcia, jak się zachować.

Tym bardziej że przez niespotykaną dotychczas uległość Szymona chwilami popadała w zwątpienie. Kiedy tak niewinnie i żałośnie próbował zaglądać jej w oczy, nie urazić, nie dotknąć, zastanawiała się, czy problem alkoholowy to efekt jakichś kłopotów pozostających poza nią, czy może jednak ona jest przyczyną? Czy gdyby czasami powściągnęła język, nie prowokowała go pretensjami, jakimiś swoimi żalami, nie byłoby im – jemu – łatwiej? Może to nie alkoholizm, tylko zwykle odreagowanie po nerwówce w pracy, w domu...

Ale wtedy słyszała gdzieś w głębi siebie lekko złośliwy śmieszek Joanny. Zaciskała więc zęby i próbowała nie myśleć o picciu Szymona, lecz mieć oczy szeroko otwarte na to, co dobrego może ją spotkać. Czy zdarzy się jakaś praca na pół etatu, choćby opieka nad dzieckiem gdzieś w pobliżu? Mogłaby się jej podjąć, gdy Gaba jest w przedszkolu...

Tymczasem jednak trzeba jakoś żyć, ostrożnie mijać się z Szymonem w mieszkaniu, spać, jeść, kąpać. I starać się panować nad sobą, tylko skrytymi łzami podlewać skorupę w środku. To nie było trudne – większość czasu spędzała sama, właściwie dopóki nie odebrała Gabrysi. Ale też w ciągu dnia trudniej roztkliwiać się nad sobą – poranne wędrówki do przedszkola, zakupy, gotowanie i sprząatanie... Teraz, gdy mąż od dłuższego czasu nie wyjeżdżał, obiady szykowała właściwie codziennie. A jeśli na dwa dni – to ten drugi przeznaczala na większe porządki, prasowanie. Czas mijał niepostrzeżenie, logistyka codzienności wygrywała z rozmyślaniami – rozterki dopadały ją dopiero późnym wieczorem, gdy córka już spała, a Szymon... też spał.

Szła wtedy do łazienki, by wziąć prysznic. Ciepły strumień zmywał z niej troski dnia codziennego, drobne pyskówki z Gabrysią, szarpaninę przy ubieraniu, kładzeniu się spać, jedzeniu. Omywał ciało z wiadomości docierających z telewizora, z przedszkolnej szatni, zaśnieżonego ogrodu

siostry Marianny, ścieżek w parku. Spłukiwał informacje wyczytane w internecie, zasłyszane od sprzedawczyń w pobliskich sklepach.

A kiedy ciało Magdaleny było już różowe i rozgrzane wodą, łagodnie pieścił i pozwalał na moment zapomnieć, jak bardzo, bardzo była samotna. Wynagradzał brak pieśczoć dłońmi męża, zastępował jego usta i twarz wtulając się w miękkie miejsca całego ciała, wygładzał zmarszczki zmartwień i gładził włosy, ramiona, piersi i brzuch...

Ciepły strumień, którego nie miała ochoty przerywać. Kilka minut pozwalających jakoś przetrwać samotność, jednocześnie tak straszliwie ją podkreślających. Wołała nie wiedzieć, ile po jej twarzy płynęło wówczas wody, a ile łez.

Wracała do łóżka, w którym jej mąż, odwrócony w stronę ściany i zgięty wpół, pochrapywał albo jęczał od czasu do czasu przez sen, obejmując się za brzuch. Kładła się ostrożnie obok, wzdychając i starając się go nie obudzić – już od dawna nie było powodu.

Czasem tylko ogarniała ją złość tak wielka, że mogłaby zrzucić Szymona na ziemię i bić, kopać, aż polałaby się krew. Potrząsać nim, aż ocknąłby się ze snu, trwającego już – ile? Dwa lata, trzy? Nie potrafiła policzyć. Nie pamiętała, kiedy ostatni raz czuła się przy swoim mężu kobietą, kiedy nią przy tym człowieku była. Usiłowała więc kłaść się ostrożnie, tak delikatnie, by nie dotknąć Szymona, by nie poczuć ciepła jego ciała, bo ten dotyk palił i rozgrzewał, wzniecając nagle pożądanie, którego w żaden sposób nie mogła ugasić. Zasypiała wtedy, tłumiąc łzy i drżąc, a jej mięśnie sztywniały i nie rozluźniały się aż do rana.

Ciężkie chmury nadciągnęły z północy i zasnuły niebo szarą pierzyną – nocą znów zaczął z niej prószyć śnieg. Sprzedawczyni skarpetek ze stoiska na rogu Nowowiejskiej i Żeromskiego owinęła się szalem, spoza którego ledwie ją było widać. Błyskała jedynie czarnymi oczami, pełnymi tęsknoty za gorącym latem Armenii, z której przyjechała tutaj, do tej dziwnej, chwilami strasznie zimnej Polski. Gdy dzieci były w szkole, ona kilka godzin dziennie spędzała na zachęcaniu przechodniów, by choć spojrzeli na ciepłe rajstopy, miękkie długie podkolanówki, kolorowe czapeczki. Pod ich parasolem można było kupić także słodczyce – oryginalne, niemieckie czekolady, marcepany i mnóstwo innych, na które teraz, w coraz intensywniej padającym

śniegu, nikt nie patrzył. Cofnęła się do plastikowej budki, wokół której porozkładano stoły z towarem, i potarła rękami zmarznięte ramiona. Przed południem niewielu było kupujących, ale właścicielka upierała się, by nawet zimą otwierać tak wcześnie.

Ormianka westchnęła, wzięła łyk herbaty z termicznego kubka, stojącego w kącie kiosku i znów wyrzała na zewnątrz. O, babka, która zawsze tędy przechodzi z małą podskakującą dziewczynką. Mieszkają naprzeciwko kina i warsztatu samochodowego ukrytego za murem i metalową bramą, widziała je nieraz nawet w oknie, jak sama szła do domu, do swoich córek. Pewnie tamta teraz wracała z przedszkola, bo bez dziecka. Zawsze taka elegancka, zadbana, nigdy nie pokazywała się bez makijażu. Dzisiaj pewnie też, choć ledwie ją było widać za zasłoną puchu sypiącego się nieustannie z nieba. Stała przy przejściu dla pieszych na Nowowiejskiej. To niedobre miejsce do przechodzenia, ale pasy są, a do świateł w obie strony strasznie daleko. Tutaj rozpędzają się zarówno tramwaje, jak i samochody, niejedną raz sprzedawczynie skarpetek widziała, jak hamowały ze zgrzytem kół na szynach, z piskiem opon. Elegancka blondynka stała przez chwilę na krawężniku, wreszcie naprężyła się i uniosła wyżej głowę, jakby sobie o czymś przypomniała, i skręciła do drugiego przejścia, przez Żeromskiego. Jeszcze chwila i znikła za drzwiami Błękitnego Kufereka. Dzwonek pewnie zadźwięczał, ale z tak daleka nie było go słychać.

W takie dni, gdy powietrze było szare od braku słońca, a wszędzie biało od śniegu, wejście do przytulnej pasmanterii bardziej niż zwykle kojarzyło się Magdalenie z przekroczeniem progu bajkowego świata. Porozwieszane na żyłkach frywolitkowe i szydełkowe śnieżynki nie kojarzyły się już ze świętami, które przeminęły, lecz z baśniowym, zimowym lasem. To wrażenie pogłębiały stulone na półkach po prawej grube, mięsiste włóczki w różnych odcieniach ciemnej zieleni – zupełnie jak schowane pod śniegiem gałązki świerków i sosen. U stóp lady, jak zawsze, stał kuferek wypełniony błękitami, a nad blatem widniała złamana i usztywniona gipsem ręka właścicielki sklepika.

– Co się stało?!

– Ech, ta zima. – Kobieta się skrzywiła. – Wracałam z pracy dwa dni temu, wszędzie zasypane, nie zauważyłam, że brakuje płyty

w chodniku, tu niedaleko, za fotografem. Nie dość, że skręciłam nogę, to upadając, złamałam rękę.

– Co za pech. – Magdalena współczuła jej serdecznie. – I to jeszcze prawa! Długo będzie pani musiała nosić gips?

– Kilka tygodni. Najgorsze, że boli strasznie i niewygodnie mi robić cokolwiek. Komputer i kasę obsługuję jedną ręką, ale to na nic, wczoraj cały dzień się męczyłam, dziś przyjechałam pozamykać. Ale, oczywiście, jeśli pani czegoś potrzebuje, to proszę wybierać.

– Przyszedł mi do głowy wzór na chustę. Taką rzadką, ażurową. Pomyślałam, że może z wełny albo niezbyt cienkiej mieszanki mogłabym ją zrobić na grubym szydełku.

– A jaką? – Właścicielka wyszła zza lady i pokuśtykała do regału. – Może coś z tych brązów? – Zdrową ręką chwyciła motek w ciepłym kolorze karmelu, połyskujący w blasku świetlówki złotawymi kłaczkami.

– Myślałam o czerwonym. – Magdalena pośród tęczowych włóczek usiłowała wypatrzyć taką, jaka się jej zamarzyła. – Ale nie strażackim i nie bordo, raczej coś pomiędzy.

– Może taka ceglasta? To właściwie ciemnorudy. – Sprzedawczyni podniosła do światła puchatą kulę. – Albo nie, proszę poczekać, przedwczoraj przyszły śliczne wełenki, jeszcze nawet nie rozpakowałam! – I znikła za zasłoną na zapleczu.

Po chwili wróciła z trzema foliowymi opakowaniami pełnymi podłużnych, niewielkich motków.

– Proszę zobaczyć. Zaraz otworzę...

Bardzo chciała sobie poradzić, ale jedną ręką nie potrafiła rozerwać worka opinającego kilogram wełny. Rozejrzała się za nożyczkami, choć ucięcie czegokolwiek lewą ręką także przekraczało jej możliwości.

– Może ja to zrobię. – Magdalena wyjęła jej włóczkę z ręki i sprawnie rozerwała folię na spawie. – Jaka mięciutka. – Zaskoczona ścisnęła motek i przyłożyła do policzka. – Jaka miła!

– Wzięłam na próbę tylko trzy kolory, ale jestem pewna, że spodoba się klientkom. To stuprocentowa wełna, a wcale nie jest szorstka. I podobno nie traci fasonu po praniu, można robić w ciemno.

– Piękna.

Zachwycona Magdalena podeszła do drzwi, by w świetle dziennym przyjrzeć się oliwkowej zieleni, którą oczyma wyobraźni widziała już jako wzorzyste ponczo, gołębi zaś, a może bardziej dżinsowy błękit w sam raz by się nadał na sweterek dla Gabrysi, natomiast najpiękniejsza czerwień, jaką mogła sobie wyobrazić, na chustę. Tak, to był dokładnie ten kolor – niezbyt żywy, lekko stłumiony, ale mocny, wyraźny. Poręczne, niewielkie motki, niezwykle miłe w dotyku, zachęcały, by natychmiast chwycić za szydełko, nawet stąd nie wychodząc – zagłębić się w wiklinowym fotelu i dziergać, aż dzianina pokryje ramiona. I frędzle! Koniecznie z frędzlami.

– Biorę! Dwa na razie, a gdyby zabrakło, to zgłoszę się za kilka dni.

– Tylko że... przecież zamykam. – Blondynka spojrzała ze smutkiem na jedną z ulubionych klientek.

– Oj, rzeczywiście. – Magdalena się stropiła. – To chyba wezmę więcej na wszelki wypadek.

– Chociaż... Trochę szkoda mi zamykać, bo przecież za wynajem płacę, a bez utargów z czego? Moja siostra mogłaby pomóc, zastąpić mnie tutaj przez te kilka tygodni, ale tylko popołudniami. Jest w ciąży, lecz czuje się dobrze. Tutaj praca jest przecież lekka, dźwigać nic nie trzeba, spokój. Dopiero w połowie lutego zacznie się większy ruch przed Wielkanocą.

Kobieta mówiła dalej, ale widać było, że intensywnie myśli o czymś innym, wpatrując się w kupującą. W końcu zamilkła ze zmarszczonymi brwiami i zastygła na moment. Wobec przedłużającej się ciszy Magdalena zaczęła się czuć trochę nieswojo. Wreszcie sprzedawczyni się ocknęła.

– A pani, pani Magdaleno – znała jej imię z kuponu rabatowego wręczanego stałym klientom – nie chciałyby wesprzeć mnie przez ten czas? Nie znalazłaby pani paru godzin od dziesiątej do drugiej? Akurat pół etatu!

Coraz bardziej zapalała się do tego pomysłu. Poznała trochę Magdalenę, wiedziała, że świetnie orientuje się w tej branży. Z pewnością bez trudu poradziłyby sobie przy obsłudze nawet najbardziej wymagających klientek.



– Ja? – Magdalena zamrugła oczami. – Ja...?

Oszołomiona, wpatrywała się w blondynkę z ręką w gipsie. Zdumiona nie wiedziała, czy bardziej ją ta propozycja ucieszyła, czy wystraszyła.

– Proszę! Proszę przynajmniej to przemyśleć...

Nie wiedziała, jak znalazła się pod domem, dopiero tu spostrzegła, że włosy, na które nie naciągnęła kaptura, ma całkiem zasypane śniegiem. Stojąc w progu bramy, strzepywała z siebie śnieg i popatrywała na kozła i diabła, ledwie widocznych za kurtyną białych płatków. Weszła do budynku, minęła pustą skrzynkę na listy, nawet na nią nie spojrzawszy; w ściśniętej dłoni trzymała wizytówkę z ładnym logo Błękitnego Kufierka, numerem telefonu i nazwiskiem właścicielki wypisanym brunatną czcionką: *Beata Czajka*.

Mogłaby pracować. Tylko kilka tygodni – jeśli ręka pani Beaty szybko się zrośnie, to może wystarczy cztery. To właściwie tylko pęknięcie. Nie zarobiłaby dużo, ale może byłby to dobry początek? Przeszedł ją dreszcz, bo sama myśl o wyrwaniu się spod skrzydeł męża wydawała się okropna.

Podeszła do okna, za którym przez płachtę śniegu ledwie prześwitywali jej towarzysze ze ściany starego kina. Niewyraźni, bez widocznych rys i ubytków w elewacji, prezentowali się lepiej niż kiedykolwiek. Czy i ona chciała tkwić tu jak kozioł i diabeł na ścianie? Codziennie wykonywała mnóstwo czynności, ruszała się, przemieszczała, a jednak czuła się jak oni – wciąż w jednym miejscu, jednej pozie, bez możliwości jakiegokolwiek zmiany, co dzień równie sobie bliscy jak dalecy.

Co powiedziałyby na to Szymon? Och, pamiętała wiele komentarzy, często wygłaszanych tonem nieznośnym sprzeciwu, na temat pracy Magdaleny. Jego żona nie musi pracować. Jego żonę stać na to, by „siedzieć w domu”. On dbał o finanse i stać go było na niepracującą żonę.

A jej potrzeby? Jakie potrzeby? Te podstawowe przecież zostały zaspokojone. Najważniejsze miały być szczęście i ciepło rodzinne, porządek i smaczne posiłki. I piękna, wypielęgnowana kobieta, z którą od czasu do czasu bez wstydu mógł się pokazywać jej właściciel...

„O czym ja myślę?”. Przestraszyła się. Jak mogła w ten sposób, nawet w środku, w duszy, określać Szymona? Przecież to był jej ukochany, jej wybranek. Czy mogłaby rzucić ten dom, wspólnie od lat urządzany i wyprowadzić się gdziekolwiek indziej niż pod Wrocław, gdzie powstawało ich nowe gniazdo? Pieprzyć to wszystko i rozpocząć samodzielne życie? Bez niego?!

Ale czy on sam nie oddalał się od niej, nie odchodził coraz dalej od domu, od rodziny? Umykał gdzieś w swój świat, a ona, chcąc płynąć za nim, w końcu przestała już widzieć jego plecy, a i brzeg zniknął w oddali. Czy jednak właśnie teraz nie powinna jednak wspierać Szymona? Ostatecznie nieraz sama podgrzewała atmosferę, wyzłośliwiała się, chociaż mogła powściągnąć język, prowokowała jego agresję wybuchami złości i pretensji. Kto wie, jak często sama przyczyniła się do tego, że szedł się napić... A gdyby jednak spróbowała z tą pracą, to czy przypadkiem nie pogorszyłaby niewesołej, choć chwilowo w miarę stabilnej sytuacji w domu?

Ktoś się zaśmiał? Rozejrzała się lękliwie po pustym pokoju, znów podeszła do okna i podejrzliwie przyjrzała się ledwie widocznemu freskowi na ścianie kina, bo coś zabrzmiało jak diabelski chichot. Albo śmieszek Joanny w jej głowie.

W ręce wciąż ścisnęła wydrukowaną na gładkim kartoniku wizytówkę. Zadzwoni! To jest prawdziwie dobra okazja, praca bliźutko, akurat jak Gaba będzie w przedszkolu, więc nie odbędzie się to jej kosztem. A Szymonowi powie... Nic. Zupełnie nic!

Dwa kolejne dni minęły Magdalenie w pędzie – rano biegła z Gabą do przedszkola, wracała, robiąc po drodze zakupy, w domu szybko szykowała coś do obiadu i pędziła otwierać sklep. Po zakończeniu pracy leciała do domu kończyć obiad, by podać go Szymonowi i wygłodniałej po spacerze Gabrysi, kiedy tylko wracali do domu – a mąż nabrał zwyczaju wracania zaraz po pracy, czasem nawet wcześniej się zrywał.

Zmiana trybu życia była lekko szokująca, więc myślała, jak by tu wszystko usprawnić, by po pierwsze – nadażać, po drugie – nie dać poznać Szymonowi, że coś się zmieniło. Ale poza tymi, niewielkimi ostatecznie, obawami, coraz bardziej wypełniała ją radość. Kilka godzin w pasmanterii spędzała w spokoju, do południa ruch był naprawdę

niewielki. Zapoznawała się więc gruntownie z asortymentem i cenami, by nie szukać wszystkiego już przy klientkach – chciała być postrzegana jako fachowiec. Profesjonalna – już dawno nie użyła w stosunku do siebie tego określenia. Teraz nadrabiała to, za czym tęskniła bardziej, niż przypuszczała.

Jednak trzeciego dnia prawie nie myślała o pracy, żyła tym, co ma się wydarzyć po południu – o jasełkach na Dzień Babci w przedszkolu. Rodzice przyjadą, umówiła się już z nimi, lecz kilkanaście dni wcześniej prosiła Szymona, by zadzwonił z zaproszeniem do Heleny i nie była pewna, czy mimo kilkukrotnego przypominania w końcu to zrobił. Magdalena pomyślała, że to okropne być osobą, którą odwiedza się i zaprasza wyłącznie z poczucia obowiązku. Gabrysia chyba jako jedyna z rodziny biegła do Heleny z uśmiechem i szczerą radością – jak dotąd. Magdalena nie miała większych wątpliwości co do tego, że z czasem i córka zorientuje się, jaka naprawdę jest babcia, i stanie się mniej wylewna. Tymczasem jednak należało zaprosić teściową na uroczystość w przedszkolu i najlepiej, gdyby zajął się tym jej Szymon.

– Dzwoniłeś do mamy?

– Po co?

Zmełła w zębach słowo, którego nie powinna wymawiać przy Gabrysi i siłąc się na cierpliwość, przypomniała mu o Dniu Babci.

– Zaraz zadzwonię.

Znała to mężowskie „zaraz”.

– Szymon, to już za osiem dni. Jak się z nią nie umówisz odpowiednio wcześniej, to nie przyjdzie, nie wiesz, jaka jest?

– No jaka? – rzucił zaczepnie, ale zaraz się zreflektował. – Zasadnicza i tyle. Dobra, zadzwonię.

W dniu imprezy Magdalena nerwowo czekała na telefon od męża, który odpowiednio wcześniej miał dać znać, czy da radę wyjść z pracy, by przywieźć Helenę do przedszkola. Zżymała się na myśl, że teściowa nie porusza się samodzielnie po mieście – do diabła, tramwaj miała pod samym domem i dojeżdżała bez przesiadek na tyle blisko przedszkola, że mogłaby dojść sama bez problemu. Tym bardziej że mimo wmawiania sobie – a może tylko wszystkim dookoła? – mnóstwa schorzeń, była sprawna! Gdyby Magdalena miała prawo jazdy, sama

mogłaby przywieźć Helenę, ale wybranie się po nią tramwajem wykraczało poza granice dobrej woli synowej.

Dlaczego ten Szymon nie dzwoni? Dreptała po Błękitnym Kufunku w tę i z powrotem, nerwowo przygryzając policzki. Strasznie nie lubiła sytuacji, w których czuła się odpowiedzialna za zorganizowanie czegoś, co zupełnie od niej nie zależało. Zapatrzyła się przez okno, machinalnie poprawiła kłębek kordonka na wystawie i aż podskoczyła, kiedy komórka wreszcie zadzwoniła. Przez chwilę słuchała, a później z rezygnacją wyłączyła telefon i odłożyła go na półeczkę pod ladą. Szymonowi wyskoczyło nagle służbowe spotkanie, nie będzie mógł pojechać po matkę. Powiedział, żeby zamówiła jej taksówkę i po kłopotcie. Lecz Magdalena nie miała złudzeń, że to się skończy dobrze – na pewno nie z Heleną. Jednak posłusznie wystukała numer korporacji taksówkowej.

Dzień po jasełkach był równie mroźny jak poprzedni – temperatura tak się obniżyła, że zdaniem Magdaleny zamarzał nawet lód. Najłżejszy oddech zmieniał się w kłęby pary wolno toczącej się w zmrożonym powietrzu, a szron osiadał na szalikach w pobliżu ust. Śnieg pod stopami chrząścił i skrzypiał, ręce zaś marzły nawet w grubych rękawiczkach.

Gabrysia została w ciepłym przedszkolu, a Magdalena w nie najlepszym humorze wróciła do domu. Za godzinę powinna iść do pasmanterii, więc powinna szybko brać się do przygotowania do obiadu, ale wcale nie miała na to ochoty. Snuła się po mieszkaniu z kąta w kąt i dopiero gdy wskazówki zegara w pokoju uświadomiły jej, że ma najwyżej kwadrans do wyjścia, złapała się za głowę. Ale teraz i tak nic nie mogła wymyślić, tym bardziej że zaprzątnięta była wczorajszymi jasełkami...

W Błękitnym Kufunku było tak zimno, że okutana w sweter i dodatkowo ponczo, Magdalena postanowiła włączyć grzejnik. Starła się nie robić tego zbyt często, zdając sobie sprawę z kosztów energii elektrycznej, które ponosiła skromnie jak dotąd prosperująca właścicielka pasmanterii, lecz teraz, zanim nie zaparzyła na maleńkim zapleczu herbaty, musiała się trochę dogrzać. A kiedy ręce już odtajały, rozpoczęła buszowanie pośród worków zgromadzonych z tyłu – wczoraj po południu siostra pani Beaty przyjęła dostawcę, ale odbiór towaru

należał do obowiązków Magdaleny. Sprawdziała wykaz włóczek i nici na fakturze, po czym rozdzielała foliowe worki na osobne sterty. Potem rozejrzała się po sklepie – wszystko poukładała tak, że bez trudu można się było zorientować, w których miejscach podokładać brakujące kłębki, szpulki i motki.

Zakończywszy przyjmowanie towaru, wzięła do ręki nową, cienką bawełnę i przyjrzała się jej uważnie. Niewielki kłębek, mniejszy od kobiecej pięści. W blasku jarzeniówki biel włóczki wyglądała prawie jak błękitna. Podeszła do drzwi i przyjrzała się jej w świetle dziennym. Nitka była matowa, a po naprężeniu nie naciągała się. Wyglądało na to, że po wykonaniu robótki ta również nie będzie się rozciągać. Ani kurczyć – Magdalena nie lubiła wymagających prasowania dzianin wykonanych z bawełny. Zrobiła kiedyś z takiej elastycznej włóczki, niby stuprocentowej bawełny, ale chyba z jakimś dodatkiem, bluzkę, która po praniu kurczyła się i pierwotne wymiary osiągała dopiero po pracowitym rozprasowaniu każdego elementu. Jeśli chodzi o Magdaleny, to prasowanie ręczników mogło wchodzić w grę, ale już prasowanie patchworków było czymś okropnym, czaso- i pracochłonnym. Ta zaś bawełenka wyglądała atrakcyjnie, nadawała się zarówno do robótki, jak i do użytkowania.

Zanim się obejrzała, wyobraziła sobie białą, letnią sukienusię na kilkuletnią elegantkę. Gabrysia już wyrastała z takich słodkich ciuszków, we wrześniu pójdzie do szkoły, więc trudno ją będzie nadal ubierać jak malucha, ale taka wytworna sukienka wizytowa latem jeszcze by się przydała. Spódniczkę mogłaby uszyć z jakiejś lekkiej tkaniny, widziała gdzieś ostatnio satynę, białą, w nieznacznie tylko połyskujące grochy. Górę zrobiłaby regularnym wzorem szydełkowym, z raglanowymi krótkimi rękawkami. I do tego kapelusik ze zwykłych półsłupków, ciasno splatany, żeby dał się ładnie modelować.

Usiadła za ladą z ołówkiem w ręku i szkicowała, aż zadzwonił dzwonek nad wejściem i zza gabloty, zasłaniającej wejście od strony lady, wysunęła się trudna do rozpoznania postać kobieca z dziwnym garbem z przodu. Kaptur szerokiej kurtki miała zasypany na białą, tak samo wystającą spod niego, zsuniętą niemal na oczy czapkę i końcówki grzywki, zbyt długiej, by ukryć ją pod ściągaczem. Klientka potrząsnęła

głową, strącając resztki szybko topniejącego śniegu i spod grubej czapki spojrzwały na Magdalenę zdumione oczy Joanny:

– Magdalena? Co ty tu robisz?!

– Pracuję. – Uśmiechnęła się szeroko. – Czym mogę służyć?

– Naprawdę tu pracujesz? Nic nie mówiłaś. Ale to się świetnie składa, bo ja nie wytrzymam do domu... Jest tu toaleta? – I odkryła rzekomy garb, którym okazał się wtulony w matkę Kminek. Chyba niedawno się obudził, bo patrzył mało przytomnie, wyglądając z chusty.

– Jasne, chodź. Potrzymam Pawełka.

Po powrocie z zaplecza Joanna wzięła synka na ręce i posadziła go sobie na kolanach.

– Nosidło od ciebie świetnie się sprawdzało, gdy było ciepło, ale w takie mrozy wolę go mieć bliżej ciała. W sam raz przydała mi się teraz kurtka z ciężki, mieścimy się pod nią oboje – zaśmiała się. – Jak dostałaś tę pracę?

– Przez przypadek. Kupowałam tu czasami i polubiłyśmy się z właścicielką, to naprawdę świetna kobieta. Złamała rękę i jakoś tak się zgadałyśmy, że będę mogła ją zastąpić na pół etatu, a po południu przychodzi jej siostra. Na kilka tygodni tylko.

– Fantastycznie! – Przez chwilę sadowiła się w wiklinowym fotelu, ale był przeznaczony dla jednej, w miarę spokojnej osoby, a nie dla matki z dzieckiem, które wyprawiało sztuczki, by dostać się jej pod bluzkę.

– Usiądź tu, z tyłu – zaproponowała Magdalena, widząc zabiegi Kminka.

– Och, dziękuję. Lecieliśmy do domu z piekarni, tej za fotografem, on już piszczał, bo głodny, ale przysnął, to pomyślałam, że wpadnę tu jeszcze po zamek błyskawiczny. No i tak się spotkałyśmy...

Miarowe ssanie połączone z cichutkim pomlaskiwaniem rozległo się w ciszy sklepiku. Magdalena z rozrzewnieniem patrzyła na miękkie włoski Kminka, przytulonego do mamy.

– A w ogóle co u ciebie? – zagała Joanna. – Z pracy chyba jesteś zadowolona, ale na wejściu nie widziałam u ciebie uśmiechu?

– Właściwie wszystko w porządku, ale wczoraj trochę mnie teściowa wytrąciła z równowagi. Właściwie nawet nie ona, tylko

taksówkarz. W sumie ona też... – Zamyśliła się i zapatrzyła w kordonki na półeczce tuż nad gościem.

– Aha. – Joanna pokiwała głową wobec nagłego i lekko się już przedłużającego zamilknięcia koleżanki. – A konkretniej?

– Moja teściowa tym razem nie zawiniła, ale pecha ma jak mało kto. Przede wszystkim nie chce nigdy i nigdzie sama jeździć. Zawsze woził ją wszędzie mąż, potem Szymon, jak już miał prawo jazdy, a ona była ich „dziewcinką do opiekowania się”. Baba jak piec, a robi z siebie niunię-lalunię. Ona nawet do lekarza potrafi powiedzieć: „Panie doktozie, ja jestem głędną pacjentką i tsimałam dietkę”. I taka z niej cholerna księżniczka, że nawet jak ją mój mąż zapraszał na jasełka tydzień temu, to namawiał tak długo, aż w końcu powiedziała: „No, jak tak bardzo chcecie...”. Kurczę, WCALE mi na tym nie zależało, niech sobie siedzi sama jak niedźwiedź w gawrze, ale wiedziałam, że przy lada okazji podkreśli, że moi rodzice przyszli, a ona nie... będzie siąkanie nosem i dąsy.

No więc zamówiłam jej taksówkę, podałam adres, pod który ma przyjechać i czekam, żeby teściową odebrać i zapłacić. Po czterdziestu minutach – rozumiem korki, zasy, trudne warunki na drogach, ale bez przesady – dzwonię do korporacji. Kierowca twierdzi, że ją już dawno wysadził. Pytam gdzie? Nie pod przedszkolem, bo stoję na warcie, nie było szans mnie ominąć, jest tylko jedna brama wjazdowa pod tym adresem. No i okazało się, że dureń, który po nią pojechał, jakiś stary taksjarsz, nie sprawdził na wyświetlaczu, dokąd ma ją zawieźć i kiedy wsiadła, zapytał: „Dokąd?”. A teściowa na to, że synowa mówiła, iż wszystko jest ustalone i ona nie wie. Pomijam drobiazg, że nie wie, gdzie wnuczka chodzi do przedszkola, no ale faktycznie zawsze jej ktoś, czyli Szymon, tyłek podwoził. Kierowca zaczął ją wypytywać, a ona, że jedzie na jasełka i my jesteśmy z parafii św. Michała, więc ją zawiózł pod kościół i cześć!

– I co, znalazła drogę? – Joannę szalenie zaintrygowała opowieść.

– Kościół jest może o kilometr od przedszkola, ale było ślisko jak cholera. Zanim poszłabym po nią i wróciła, byłoby po jasełkach. Wściekłam się jak diabli. Kazałam kierowcy – przez dyspozytornię – znaleźć ją i przywieźć. A teściowa w tym czasie chodziła wkoło świątyni

– co jej w ogóle strzeliło z tym kościołem – marzła i płakała, bo nie wiedziała, jak wrócić. Telefonu oczywiście nie wzięła, bo przecież Szymon kupił go jej po to, żeby leżał w domu... – Magdalena westchnęła z goryczą i kontynuowała:

– Zaczepiła jakąś panią z telefonem i dzwoniła do nas, do domu, i wściekała się, że nikt nie odbiera! Ostatecznie facet ją znalazł, przywiózł i spóźniłyśmy się zaledwie dziesięć minut. Wina bezdyskusyjnie leży po stronie kierowcy, ale z Heleną zawsze tak jest, ZAWSZE COŚ. I wkurza mnie, że trzeba się z nią obchodzić jak ze śmierdzącym jajem. A i tak zwykle znajdzie się powód do narzekań, nawet jeśli to nie moja i nie jej wina, po prostu pech.

– Nie lubisz jej – stwierdziła Joanna, której trudno było współczuć koleżance, bo zbyt rozśmieszyła ją ta historia.

– Nie lubię. Cieszę się, że mamy bardzo rzadkie kontakty. Wiecznie smęci, ciągle przez telefon serwuje mi jakieś wyrzuty... Po tym wszystkim obrażona jest, oczywiście, na mnie, wina w tym układzie może być wyłącznie moja. Ale do kierowcy, który nawalił, ani słówka nie pisnęła, jeszcze z uśmiechem wysiadała pod bramą przedszkola!

– Jasełka jej się chociaż podobały?

– Musiały, były naprawdę świetne! Gaba była aniołkiem, więc stała, dumna ze swoich skrzydeł, a potem zaczęła sobie nawijać na palec sukienkę, która podniosła się jej aż do brzucha, pięknie odsłaniając całe rajtuzki.

– À propos aniołków, to może byś, synu, nie zasypiał. Trzeba iść, bo zaraz Kacper będzie wracał ze szkoły. Jak to dobrze mieć szkołę tak blisko, że nie trzeba po niego chodzić. – Joanna poprawiła na sobie ubranie i owinęła synka chustą. – Początkowo prowadziłam go rano, jak Piotr jeszcze był w domu, potem chodziliśmy z Kminkiem po niego, ale któregoś dnia miałam dość, gdy policzyłam, że ubierałam Pawełka dziewięć razy! Wystarczy, że się opluje czy posika, dodatkowe atrakcje z ubieraniem, którego nienawidzi, są zbędne. No więc, skoro Kacper ma do szkoły dwie minuty i nie musi przechodzić przez jezdnię, maszeruje sam. – Zawinęła się razem z synkiem w kurtkę i szal i prawie zapominając o zamku, prawdziwym powodzie przyjscia do pasmanterii, wyszła na zimną ulicę.



Magdalena spojrzała na zegarek – przez trzy kwadranse nie zjawiała się ani jedna klientka. Nie zanosilo się na duży ruch, tym bardziej że z chmur sypnęło śniegiem, który roztańczył się w wietrznym powietrzu. Dobrze, może zaprojektuje jeszcze jakiś ciuszek – chwyciwszy ołówek, wygodnie usadowiła się za ladą.

Luty

– Dzień dobry! – Wysoka kobieta o krótkich, siwych włosach i w grubych okularach witała wygłodniałych konsumentów mocnym głosem. – Co dzisiaj jemy? Ładną cielęcinkę, mamy, może ma pani ochotę?

– O, chętnie. – Magdalena się ucieszyła, myśląc, że Szymon dawno już nie jadł bryzolu z pieczarkami, powinien mu smakować.

Począwszy od dnia, w którym Joanna pierwszy raz spotkała się z nią w Błękitnym Kufunku, Magdalena od czasu do czasu ułatwiała sobie życie, przynosząc jedzenie z baru przy ulicy Kluczborskiej. Mikrus słynął z długich kolejek w porze obiadowej, tak samo jak ze wspaniałych pierogów w różnych smakach, fantastycznych zup i niezłych mięs. Magdalena, wspominając oglądany w dzieciństwie czarno-biały film, powstały tuż po wojnie, postanowiła skorzystać z pomysłu pewnej rezolutnej pani domu, Ireny Majewskiej. Ona wbrew mężowi miała ochotę pracować, zamiast zajmować się wyłącznie gotowaniem i sprzątaniami, i także przynosiła jedzenie z jakiejś garkuchni, tylko je po swojemu przyprawiała. A tymczasem ukończyła kurs dla kierowców i została szoferem.

Magdalena nie miała aż tak dalekosiężnych planów, ale od czasu do czasu wspomagała się kulinarnymi arcydziełami z Mikrusa, dbając o pozory do tego stopnia, że moczyła suche patelnie czy nieużywane garnki i odstawiała je „do wysuszenia”...

Szymon wciąż nie pił, a to, zamiast uspokajać, z tygodnia na tydzień wpędzało Magdalenę w większy niepokój. Nie czekała na pomyślny rozwój sytuacji, ale z napięciem wypatrywała dnia, w którym mąż wreszcie przyjdzie do domu nietrzeźwy albo bez uprzedzenia wcale nie wróci, co będzie dla niej równie czytelne, jak gdyby wtoczył się do mieszkania. Podświadomie oczekiwała jego potknięcia, co rodziło dużą agresję, której nie umiała się pozbyć. To z kolei potęgowało wstyd i poczucie winy – co z niej za człowiek, co za matka, żona, skoro nie potrafi powściągnąć złości i zniechęcenia? Powarkiwała na Gabrysię, nie miała cierpliwości do męża, którego potulność i uległość postrzegala jako maskę, kryjącą głuchy warkot, jaki wydobywa się z gardła psa trzymanego w obroży z kolczatką. Szymon nie dawał jej poznać, że się złości, czy że jest tylko niezadowolony, ale czuła to podskórnice.

Zaczynało też do niej docierać, że kontrolowanie męża nie przynosi jej satysfakcji, nie pomaga, tak jak wcześniej nie pomagały wylewanie zawartości butelek oraz chowanie ich i łagodne prośby lub agresja. Nie wiedziała, skąd się bierze ta pewność, ale gdzieś w środku czuła, że to wszystko wróci.

Odżywała jedynie w pasmanterii, choć z upływem czasu, kiedy z jednej strony przyzwyczajała się do pełnego klimatu i inspiracji Błękitnego Kufierka, coraz bardziej bolesna była myśl, że to tylko na chwilę. Pani Beata czuła się lepiej, ręka goiła się ładnie, niedługo zdejmą gips.

Wówczas Magdalena będzie musiała wrócić do codzienności, która nie wydawała się już tak spokojna i zadowolająca jak przedtem. Kobieta czuła, że traciła za dużo energii na pilnowanie, by mąż się nie napił, nadzieję na koniec kłopotów, jeśli akurat miał dłuższą przerwę, i na złudzenia, że to małżeństwo ma sens. A teraz, kiedy od jakiegoś czasu Szymon rzeczywiście nie pił, zwyczajnie nie była w stanie uwierzyć, że tak już zostanie. Jej umysł, przyzwyczajony do wzlotów i upadków tego układu, nie przyjmował do wiadomości, że wznoszenie się może długo potrwać.

Codzienna obsesja, polegająca na rozmyślaniu o mężu i martwieniu się o niego, przytłaczała ją i toczyła od środka. Dodatkowo jeszcze jedna obawa zatruwała codzienność. Magdalena czuła, że któregoś dnia, kiedy całkowicie się wypali, gdy zostanie z niej jedynie ta pusta skorupka chroniąca serce, może się okazać, że już jej na Szymonie nie zależy. Obawiała się momentu, w którym zda sobie sprawę z tego, iż przestała go kochać. Ta myśl była tak okropna, że potrafiła zepsuć najmiłszą chwilę, najbardziej czarowną godzinę spędzoną na projektowaniu i realizowaniu kolejnych pomysłów dziewiarskich. Bolała, bo była bardziej realna niż to, że Szymon przestanie pić. I wtedy nie zostałyby Magdalenie nic – nic, o co mogłaby walczyć. Tymczasem trudno jej było skupić się na czymkolwiek innym niż oczekiwanie na nowy ciąg męża.

– Nie będę twoją lekarką – mówiła Joanna, widząc, co się dzieje z przyjaciółką. – Nie zamierzam też cię pouczać. Ale sama na terapii dowiedziałam się tylu mądrych i ważnych rzeczy, które do tej pory pomagają mi funkcjonować, że szczerze ci polecam udanie się do

ośrodka. Usłyszałam tam wiele nie tylko na temat alkoholizmu mojego ojca, lecz także o sobie.

– Co ty mówisz? Czego niby istotnego się tam dowiedziałaś? – zapytała grzecznościowo, a zainteresowania tematem było w Magdalenie tak niewiele, że Joanna aż się roześmiała.

– Na przykład tego – dodała po chwili poważnie – że są rzeczy, na które nie mamy wpływu, i pozostaje się z nimi pogodzić. Są też takie, które zmienić można i powinno się to robić. Potrzeba jedynie rozsądku, by odróżnić jedno od drugich.

Błękitny Kuferek stał się chwilowo dla przyjaciółek miejscem spotkań. Kiedy Gaba była w przedszkolu, a Kacper w szkole, Joanna z Kminkiem wpadała tu na herbatę i rozmowę swobodniejszą niż przy nasłuchujących sześciolatkach.

– Kochanie, nie możesz myśleć przez całą dobę wyłącznie o nim, bo zwariujesz – mówiła Joanna. – Zajmij się czymś! Bardzo dobrze się stało, że znalazłaś tę robotę, chociaż na krótko, ale gdy się skończy, nie możesz tylko siedzieć i zastanawiać się, kiedy on wróci narąbany. Bo że w końcu taki wróci, to chyba żadna z nas nie ma wątpliwości...

– Nie przesadzasz? – Magdalena wciąż nie potrafiła przyjmować spokojnie komentarzy koleżanki. Złościły ją, czuła się podszczytywana i czasem miała wielką ochotę zerwać tę znajomość. Z drugiej jednak strony wiedziała, że w słowach Joanny jest wiele prawdy; takiej, do której nie chciała się przyznać nawet przed sobą.

– Robisz coś poza zajmowaniem się dzieckiem i czekaniem na męża? Dokądś chodzisz, jeździsz na rowerze, pływasz? Robisz coś dla siebie?

„Rower – myślała z goryczą Magdalena. – Mam w domu jeden, różowy, Gabrysi”. Z kim miałyby jeździć? Sama wypuszczać się nad Odrę? Kiedy widziała grupy albo pary rowerzystów, trochę im zazdrościła, ale nie potrafiła się zebrać w sobie i zaproponować Szymonowi wspólnych wyjazdów. On zresztą nie miał czasu, przecież pracował nie tylko na bieżące życie, ale i na dom, do którego, jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, będą mogli się wprowadzić już w tym roku, prawdopodobnie przed Bożym Narodzeniem.

– Powiedz, jest coś, co lubisz i chciałabyś robić? – drażyła Joanna.

– Jest.

– No widzisz!

– A właściwie kiedyś chciałam. Teraz nie ma o czym mówić.

– Nie denerwuj mnie – Joanna aż podniosła głos. – Czego niby nie możesz teraz robić? Masz nie najgorsze warunki życiowe, nie mówię o relacjach z mężem, mała w przedszkolu, a ty co?

– Pracuję przecież...

– To teraz! A przedtem? Ile czasu straciłaś, czekając na powrót Szymona i obserwując jego miny, zastanawiając się, czy aby ma dobry humor?!

– Nie masz prawa tak mówić! – Łzy same napływały Magdalenie do oczu.

– Mam! Mam prawo, bo napatrzyłam się na rodziców, pamiętam też siebie z czasów, kiedy jako kilkulatka usiłowałam robić wszystko, by nie zdenerwować tatusia, żeby nie poszedł się napić. Żeby znów nie rozrabiał po uchlaniu się PRZEZE MNIE! Rozumiesz, o czym mówię? Rozumiesz, choć nie chcesz tego przyznać. Ale jak się już trochę ogarniesz, pomyśl. O sobie i o waszym dziecku!

Tego dnia Joanna wyszła z pasmanterii taka wściekła jak rzadko. Czuła, że przesadziła. Magdalena nie zna jej, nie wie, że potrafi zezłościć się i szybko uspokoić. Sama jest z pozoru spokojna, nie podnosi głosu, zupełnie inaczej niż Aśka, włoska mamuśka, rozprawiająca się ze swoimi emocjami nierzadko za pomocą gwałtownych wybuchów. Rodzina już ją zna i toleruje, ale tych wrzasków nie musiała wysłuchiwać kobieta stłamszona przez jakiegoś cholernego idiotę, który wpakował nie tylko siebie, lecz także najbliższe mu osoby w gówno nałogu. Joanna pożałowała wybuchu niemal tuż po wyjściu z Błękitnego Kuferka. Ach, gdyby umieć odwracać czas...

Magdalena czuła się, jakby ktoś wylał na nią wiadro pomyj. Dominowało poczucie krzywdy i żal, że osoba, którą zaczęła już uznawać za przyjaciółkę, potrafi się tak wobec niej zachować. Nie miała prawa tak mówić, nie miała! Bez względu na to, kim był jej ojciec. W ogóle czy można porównywać jakiegoś pijaka do jej męża? Szymon przestał pić, chodził na spotkania AA... No, kilka opuścił, ale to wyłącznie ze względu na pracę. Ostatnio dwa razy nie był, bo źle się

czuł. Chyba zaczynała się u niego jakaś infekcja, gdyż pokasływał i miewał stany podgorączkowe. Nawet starał się nie kontaktować za bardzo z Gabrysią i z nią, żeby ich nie zarazić. Mała w tym roku szkolnym chorowała bardzo niewiele, nie było sensu prowokować losu. A ona, Magdalena, co prawda nie była podatna na infekcje, ale czuła się tej zimy źle. Częste bóle głowy, mięśni, czasem miała wrażenie, że kręgosłup jej eksploduje. Starła się od czasu do czasu wykonywać różne ćwiczenia fizyczne, ale niespecjalnie pomagały – może powinna iść do lekarza? Tymczasem trzeba było raczej zadbać o Szymona i jego gorsze samopoczucie. Dlatego bez mrugnięcia okiem zaakceptowała fakt, że na razie spał w salonie. Przygotowywała mu za to herbatki z miodem i cytryną albo mleko z czosnkiem, by wzmocnić odporność jego organizmu.

Tego popołudnia czuł się tak fatalnie, że nie chciał obiadu. Od razu poszedł do łóżka, pociągając nosem i wycierając czerwone, załzawione oczy. Zaproponowała mu nawet, żeby przez kilka dni został w domu. Położył się i podciągnął kołdrę pod samą szyję. „Biedak” – myślała. Nie pachniał zbyt ładnie, ale pewnie dlatego, że był wprost po pracy. A prysznic przy stanie podgorączkowym – o, nawet doszło do trzydziestu ośmiu! – to nic miłego. Przymknęła drzwi, by mężowi nie przeszkadzały dźwięki dochodzące z reszty mieszkania i poprosiła Gabrysię o ciche zachowanie, po czym wycofała się do kuchni.

Znów bardziej skupiła się na domu i rodzinie, tym, co najważniejsze. Plany, dążenia – Joannie łatwo mówić, skoro dla niej największym spełnieniem, jak dotąd, był synek. Długo nie mogła zająć w ciąży, dwóch nie donosiła, więc teraz Kminek stał się centrum wszechświata i wydawało jej się prawdopodobnie, że sama będąc szczęśliwa i spokojna, ma prawo kogoś pouczyć. Chęci to jedno, a życie – życiem.

Mimo to czasem, nieśmiało i niemal nie przyznając się do tego przed sobą, Magdalena wracała myślami do przeszłości, do tych zarzuconych jeszcze przed wyjściem za mąż marzeń. Niezapomniane chwile spędzane u boku babci zaowocowały zupełnie realnymi pragnieniami studiów na Akademii Sztuk Pięknych w Łodzi, gdzie na Wydziale Tkaniny i Ubioru mogła realizować pomysły rodzące się w jej

głowie, wyplątujące się spomiędzy motków, poowijane w zwoje barwnych dzianin, wyczarowywane na szydełkach babci, wydobywające się z dźwięków drutów dzwoniących o siebie. Niesztampowe swetry. W latach jej wczesnej młodości te zawsze były typowe: ściągacze na dole i na rękawach, regularny wzór lub wrobiony obrazek, często postać z bajki. A w głowie Magdaleny dołem były rozkloszowane, czasem nieregularnie zakończone, pod szyją wykończone wywiniętym na zewnątrz wzorem z lewych oczek albo fantazyjnym kołnierzem. Dzianinowe sukienki nie musiały przypominać namiotów. Mogły mieć wąskie spódniczki pod wygodną, swobodną górą, być piękne, a nawet seksowne, bluzeczki ze śmiałymi dekolami niekoniecznie musiały kojarzyć się z modą z lat sześćdziesiątych czy siedemdziesiątych, co wiele jej koleżanek zniechęcało do noszenia włóczkowych ubrań.

Od czasu do czasu przypominała się jej Aneta, przyjaciółka z podstawówki, która z przymrużeniem oka patrzyła na kłębki i małe szydełka, noszone przez Magdalenę po wszystkich kieszeniach szkolnego plecaka. Aneta była zafascynowana skrzypcami, jednocześnie chodziła do zwykłej szkoły i do muzycznej. Od kilku lat mieszkała poza krajem, słynęła z wirtuozerskich popisów na ukochanym stradivariusie.

A Magdalena wolała wygrywać tęczowe tonacje na strunach włóczek. Chciała przesuwając przez palce miękkie włókna – kosmate, miłe lub szorstkie, jak te z Kowar. Łączyć je w gładkie plamy barw lub malować wypukłe wzory splotów, tak różnie prezentujące się pod różnymi kątami, w różnym świetle. Komponować odcienie od zimnych jak stalowoszare niebo odbijające się w kałuży, przez jaskrawą zieleń łupiny orzecha włoskiego i żółte lato płatków słonecznika, do gorącej czerwieni dzikiej winorośli pnącej się po murze.

Tymczasem życie poniosło ją w zupełnie odległym kierunku – nie mogła wyjechać poza Wrocław, skoro chciała się związać z Szymonem. Po kilku latach sporadycznych spotkań, małe były szanse na utrzymanie ledwie rozkwitłego związku. Uznała, że ważniejszy niż jakiegokolwiek studia jest dla niej ten wysoki mężczyzna o pochmurnym spojrzeniu, którego niełatwo było zadowolić, ale jeśli już się udało, to świat jaśniał i nabierał ostrości.

Koniec lutego sprzyjał temu, by popuścić nieco wodze fantazji.

Magdalena pościągła bożonarodzeniowe ozdoby z wystawy Błękitnego Kuferka, zebrała frywolitkowe śnieżynki, pochowała cekinowe choinki – ich miejsce zaczęły zajmować jajeczka, kurczaki i całe mnóstwo barwnych piór, które klientki chętnie kupowały. Styropianowe jaja różnej wielkości były najlepsze do tworzenia na nich wzorów z błyszczących ozdób i koralików mocowanych krótkimi szpilkami. Najprostsze, regularne kręgi, ale też obrazki i różnego rodzaju motywy ułożone z różnobarwnych cekinów będą królowały tego roku na wielu stołach w czasie świątecznych śniadań. Pani Beata, która od czasu do czasu przyjeżdżała do sklepiku, przywiozła całe mnóstwo usztywnionych krochmalem żonkili, wyszydełkowanych pracowicie z żółtej bawełny przez jej znajomą, i kremowych narcyzów, o trochę krótszych środkach, wykończonych pomarańczowym brzeżkiem. Magdalena układała je w różnych miejscach pasmanterii, ze szczególnym uwzględnieniem wesołej i słonecznej witryny budzącej nadzieję na bliską wiosnę.

Śnieg za oknem stopniał, jego resztki zmył krótkotrwały deszcz, który jednak nie przyniósł nic poza złudnymi nadziejami na wyczekiwaną wiosnę. Wyschnięte chodniki pełne były kryształków soli – dozorca obficie sypali nią w czasie opadów – która skrzyłaby się w słońcu, lecz ono schowało się gdzieś za szarymi, wysokimi chmurami, świadcząc tym wyraźniej o dalszym panowaniu zimy, nie tylko kalendarzowej. Nie pomagał nawet widok przebiśniegów w przydomowych ogródkach – w powietrzu nadal pachniało śniegiem i mrozem.

Magdalena, wykorzystując czas, jakiego miała codziennie pod dostatkiem w Błękitnym Kuferku, dziergała na szydełku białe baranki do nakładania na jajka. Ustawiała je potem na wystawie, między żonkilami i narcyzami. Nie była wielką miłośniczką najczęściej spotykanych ozdób wielkanocnych – pasiastych kurek, żółtych kurczaków, zajęcy w tęczowych sweterkach w najróżniejsze desenie i im podobnych ozdóbek. O wiele bardziej odpowiadał jej czerwono-granatowo-srebrzysty klimat bożonarodzeniowy niż rozkrzyczana barwami Wielkanoc. W domu takie różnobarwne robiła z Gabrysią tylko pisanki i kartki wysyłane później do bliskich – nie



miała nic przeciwko ich kolorystyce. Gdzieś tam utykała także żółte i ciemnozielone piórka.

Ale najbardziej lubiła białe lub écru ażurowe pisanki, które robiła „na powietrzu”. Dawno temu, kiedy jeszcze w Polsce nie było w sprzedaży przezroczystych plastikowych kształtów do obrabiania nitką – przed zimą okrągłych jak bombki, w czasie przedwiośnia owalnych, w kształcie jaj – Magdalena zaczęła robić coś w rodzaju sweterków na jajka. Jeszcze z czasów dzieciństwa miała w domu drewniane jajeczko, czarne w kolorowe kwiatki, które świetnie nadawało się na wzorzec. Obrabiała je cieniutką nitką na małym szydełku, tworząc rzadkie, delikatne wzory – zaczynała od jednego końca i dochodziła do połowy. Później to samo z drugiej strony, a gdy robótka była gotowa, fastrygowała połówki ze sobą, naciągnawszy je na jajeczko, potem moczyła w roztworze soli lub krochmalu i suszyła. Następnie delikatnie wywlekała nitkę fastrygi, wyjmowała jajko, a obie koronkowe połówki łączyła klejem Magic, który nie dość, że świetnie trzymał, to po zaschnięciu robił się przezroczysty, wręcz niewidoczny. Chyba już wszyscy w rodzinie i znajomi mogli się pochwalić posiadaniem misternej pisanki otrzymanej od Magdaleny.

Ale ludzie, zmęczeni już bielą zimy i szarością przedwiośnia, kupowali teraz dużo kolorowych wstążek, koralików, najbarwniejszych kordonków i nici do haftowania – z utęsknieniem czekali na wiosnę!

Magdalena także jej wypatrywała, jednak poza nadzieją na zwykłą temperaturę liczyła na ocieplenie relacji w rodzinie. Szymon wciąż nie domagał, już ponad tydzień spał osobno, co wprawdzie nie robiło różnicy, jeśli chodzi o intymność między nimi, ale trochę niepokoiło ją jako żonę, bo mimo starań oddalała się od męża – teraz dodatkowo fizycznie. Zastanawiała się, jak delikatnie porozmawiać o tym z Szymonem, jednak najważniejsze było jego zdrowie. Z trwogą pomyślała, że on już za długo chodzi z temperaturą, przecież to się może skończyć zapaleniem płuc! Musi go nakłonić na wizytę u lekarza. Powinna zająć się tym jeszcze dziś, przecież jest troskliwą, kochającą męża kobietą.

– Idziemy do parku? Idziemy do parku? Idziemy do parku?!

Gabrysia podrygiwała obok matki, szarpiąc ją za rękę i ciągnąc na

prawo, podczas gdy kobieta usiłowała iść na wprost, do domu.

– Nie, kochanie, nie dzisiaj. Tatuś jest bardzo przeziębiony, musimy iść się nim zaopiekować. Zobaczymy, czy ma gorączkę. Może wezwę lekarza...

– Zmierzymy mu temperaturkę? – ucieszyła się dziewczynka i pełna chęci do opieki o ojca, omal nie wybiegła na jezdnię.

– Gaba! – wrzasnęła przestraszona Magdalena, jeszcze mocniej ściskając małą za rękę. Zatrzymała się na skraju chodnika, wzięła kilka głębokich, wilgotnych od przedwiosennego powietrza oddechów i dopiero wtedy ruszyły dalej.

Na dworze było bardzo nieprzyjemnie, Magdalena wolała albo konkretny mróz, albo miłe ciepło, a nie takie nie wiadomo co jak teraz. Resztki stopniałego śniegu mieszały się z brudną, gołą ziemią, tworząc kałuże błota, w które nietrudno było wdepnąć z odgłosem przypominającym mlaśnięcie. Nic dziwnego, że obudziły się różne paskudne wirusy dręczące ludzi. Dobrze, że Szymon dziś został w domu, w taką pogodę nie powinien wychodzić na dwór.

Brama wejściowa była otwarta, a klatka schodowa zdeptana dziesiątkami błotnistych śladów prowadzących do kolejnych mieszkań. Jedne z nich wiodły na wprost do ich drzwi. „Pewnie był listonosz” – pomyślała i wpuściła Gabę przed sobą do przedpokoju.

Podłogę znaczyły brudne plamy urywające się przy stojących pod wieszakiem butów Szymona. Wychodził?

Zostawiwszy rozbierającą się córkę, pobiegła do dużego pokoju, gdzie ujrzała śpiącego męża. Leżał na plecach, chrapał donośnie, aż echo szło. Rozejrzała się po pokoju, trochę zabałaganionym, bo nie chcąc przeszkadzać mężowi, nie szalała tu ostatnio z porządkami. Na krzesłach malowniczo zwisały ubrania, przy łóżku, leżały, jakby kopnięte albo zdejmowane w pośpiechu, kapcie i skarpetki. Zasłony były zasunięte. Okna nie otwierano od dwóch dni – w pomieszczeniu śmierdziało potem, nieświeżym oddechem i jeszcze czymś, czego Magdalena bardzo nie chciała rozpoznać. „To syrop, to na pewno syrop tak czuć” – myślała. Im jednak dłużej tu przebywała, tym wyraźniej kojarzyła zapach, starannie maskowany eukaliptusowymi tabletkami na gardło leżącymi na stole. Pochyliła się nad dwa czy trzy dni niegolonym

Szymonem i aż się odsunęła, kiedy gwałtownie owionął ją smród alkoholu.

Wiadro pomyj, za jakie miała boleśnie szczere wyrzuty Joanny przed kilkoma dniami, tak naprawdę było wiadrem mydlin, które powinny zmyć, odsłonić to, co pod spodem.

Szymon pił prawie codzienne niemal od dwóch tygodni. Świetnie się maskował, zasłaniając przeziębieniem, kaszlem, tabletkami. W końcu nie był już w stanie chodzić do pracy i choroba okazała się znakomitą wymówką. W firmie o tej porze roku panował lekki przestój, więc wszystko doskonale się składało. Mógł robić to bez przeszkód, nie dźwigając brzemienia odpowiedzialności za sprawy służbowe ani za dom.

Magdalena, początkowo zaskoczona, z każdą godziną pozbywała się złudzeń i nadziei na to, że coś sobie wmawia, źle ocenia męża, szuka dziury w całym. To „całe” rozeszło się nie tylko na szwach, lecz także pruć się z każdym dniem bardziej, a ona nie widziała go wyłącznie dlatego, że nie chciała.

Prawda była brutalna – jej mąż był alkoholikiem. Wyraźniej nie mógł tego okazać, choć dzielnie się krył przez tyle czasu. Łatwiej było w delegacjach, gdy nikt go nie oglądał, nie oceniał, nie liczył wypitych drinków w wieczornym barze, nie sprawdzał, ile małych, płaskich butelek zostawało w pokoju hotelowym po jego wyjeździe. Teraz, kiedy nie miał możliwości się wytłumaczyć kolejnym kłamstwem, tym jaskrawiej dotarło to do jego żony. Gdy Magdalena zrozumiała, że Szymon śpi nie z powodu choroby, lecz upojenia, wyszła z pokoju, cicho zamykając drzwi. Przypominała sobie drobiazgi, które powinny wcześniej naprowadzić ją na trop prawdy. Uniki Szymona przy bliższych kontaktach z nią, nawet nie myślała o chwilach intymnych, ale tak zwyczajnie, na co dzień, nagłe wyjścia z domu pod byle pretekstem i stosunkowo szybkie powroty, jakby wystarczyło mu, że zejdzie na dół – może trzymał coś do picia w samochodzie, a może w piwnicy? Zresztą, czy dookoła nie brakuje długo otwartych sklepów?

Oszukiwał ją. Robił to od dawna i na nic były tłumaczenia, które wymyślała na jego korzyść, na nic wiara, że wszystko jest tylko wytworem jej wyobraźni. Mogła mieć nadzieję, ale nie złudzenia, głupie

mrzonki bez szansy na powodzenie w prawdziwym życiu.

Zdumiona opanowaniem, które na nią spłynęło w miejsce zwyczajowej furii ogarniającej ją na widok pijanego męża, siedziała w kuchni, wpatrzona tępo w lśniący czajnik, z rękami złożonymi na kolanach i stopami na poprzeczce taboretu. Krzywe zwierciadło czajnika odbijało jasną, czyściutką kuchnię, w której każda rzecz miała swoje miejsce.

Ale życia Magdaleny nie dało się tak uporządkować. Rzeczywistość wyzierała z różnych szufladek, zamiast być ułożona wedle życzeń kobiety w odpowiednich przegródkach wystawała z szafek, zahaczając, nierzadko raniąc ją, przechodzącą nawet najostrożniej.

Dobra matka, dobra żona, troskliwa opiekunka ogniska domowego. Jej wysiłki, by mąż czuł się tak zadowolony, żeby nie sięgać po alkohol, na nic się zdawały. Próbowwała zaadaptować się w tym dziwnym, szalenie nerwowym układzie, jednak większość prób polepszenia sytuacji kończyła się porażką. Nie pomogły ani idealny porządek w domu, ani posiłki pięknie i smacznie podawane na czas, spijanie słów z jego ust, czytanie w myślach, zanim zdąży o coś poprosić.

Nie pomogły także przetrząsanie kieszeni, szukanie piersiówek w teczce, wylewanie znalezionej wódki. Nawet bardziej karkołomne próby kontroli, jak ustalanie wyjść w czasie, kiedy spodziewała się, że znów może pójść się napić, bo zbyt długo narastało napięcie wiążące się z czekaniem, aż ten fakt nastąpi. Owo umawianie się na wspólne zakupy czegoś do domu, na odwiezienie jej do lekarza, wszystko, co mogło nawet w najmniejszym stopniu wymagać obecności ich obojga, miało według Magdaleny skłonić Szymona do czynnego uczestniczenia w życiu rodziny, zamiast samotnego picia. Ile razy usiłowała wymóc na nim obietnice, że wszystko się zmieni? Ile razy wyzywała od najgorszych, próbując nim wstrząsnąć, zawstydzić... groziła a to rozwodem, a to zabranieniem dziecka i wyprowadzką. Kiedyś, ledwie trzymając się na nogach, roześmiał się jej prosto w twarz i wybełkotał: „A to wypierdalaj...”. Nawet bez złości, ot tak.

Zapomniała o wszystkim. Dopiero teraz, wpatrując się w pękaty brzuch czajnika, widziała te sytuacje, wyświetlające się jak film, kadr po

kadrze, wyraźne, ostre, mocno bijące po oczach. I teraz – kiedy wykorzystwała już chyba wszystkie możliwości opanowania sytuacji, gdy nie pomogły drobne zwycięstwa, jakimi były dające iluzoryczne poczucie bliskości celu przerwy Szymona w picciu – teraz poczuła, ile ją to wszystko kosztowało. Zmęczona, dźwigająca na bolących plecach ciężar ponad miarę, pełna lęków, poczucia własnej małości i niewielkiego znaczenia, tak nieważna w tym układzie, w którym wszystko kręciło się wokół butelki, pomyślała, że nie chce tak żyć.

– Zwodzi cię. Dlaczego po prostu nie każesz mu określić terminu, kiedy pójdzie się leczyć?

Magdalena aż się uśmiechnęła w duszy – Joanna z tym swoim „nie każesz mu”. Ale dobrze, że jest, że chce jej słuchać, czasem opieprzy, ale nieraz też pogłaszcze. Dla kobiety spragnionej choć słownej pieśczości taka wyrozumiała przyjaciółka była skarbem nie do przecenienia.

– Kazać to możesz ty Piotrowi. Z Szymonem ostatnio w ogóle nie da się rozmawiać.

– To co chcesz zrobić?

Joanna już właściwie nie oczekiwała konstruktywnej odpowiedzi, bo choć w życiu Magdaleny wyraźnie kotłowało się jak w piekielnym garze, ona sama jeszcze nie dojrzała do podejmowania konkretnych decyzji. Liczyła, że mąż się opamięta, a on nie był do tego zdolny. Mogła się łudzić, gdy popijał od czasu do czasu, ale tygodniowe chłanie nie było nieznaczącym wyskokiem.

Boże, Boże, jak do tej dziewczyny przemówić? Jak ją skłonić, by zadbała o siebie, nie wkręcała się jeszcze bardziej? Oczywiście obwiniła się, że nie dopilnowała, nie zauważyła, nie zrobiła, zrobiła źle... Jakie to żałośnie typowe. Klasyczne współuzależnienie, żadne cuda – po prostu przypadek kwalifikujący się na terapię. Choć Magdalena jest przekonana, że jej mąż pije nie dla samego picia, bo jest chory, ale dlatego że ma jakiś ważny powód. A ona, cudowna siostra miłosierdzia, odpowiedzialna ZA NIEGO, a nie WOBEC NIEGO – do cholery, przecież to dorosły mężczyzna, sam wybiera picie zamiast rodziny! – ona uważa, że skoro sobie ślubowali, to tworzą jeden organizm. Jeśli tak, to Szymon funkcjonuje w nim bardziej jako pasożyt wysysający siłę

z całej rodziny, a podlewający całość wódką. To ona wstydzi się, gdy on rozrabia, rzyga, wywraca się, a inni, w tym ich dziecko, patrzą. Jego to nie interesuje, jest ponad takie drobnostki. Nie pamięta albo udaje, że tak jest, kiedy wytrzeźwieje. Magdalena czuje się odpowiedzialna za jego picie, a powinna dopilnować jedynie tego, by nie wsiadł za kółko – tak, może być odpowiedzialna jedynie za kluczyki w ręku nietrzeźwego. O ile akurat w danej sytuacji to od niej zależy.

Och, Joaśka знаła ten problem z domu rodzinnego. Wiedziała też doskonale, że nie przekona Magdaleny, póki ta sama tego nie zechce. Dopóki nie przestanie się zachowywać jak jakiś beznadziejny klawisz usiłujący przechytryć sprytnego więźnia. Póki nie dopuści do siebie myśli o tym, że Szymon jest chory i bez leczenia umrze, ale najpierw wpędzi je – żonę i córkę – w poważne kłopoty. Gdyby zechciała zadbać wreszcie o siebie, a nie o tę mityczną RODZINĘ.

– Pytam poważnie, jaki masz plan rozwiązania tego węzła?

Pogłaskała Kminka i odłożyła go do wózka. Dziś na dworze było przyjemniej, więc wybrała się na zakupy z wózkiem, co mogło potrwać dłużej niż gonitwa z synkiem w chuście. W Błękitnym Kufunku, w którym wreszcie administrator naprawił zapowietrzony kaloryfery – szkoda, że na koniec zimy! – zrobiło się cieplej i jeszcze przytulniej, więc zaglądała tu chętnie, wykorzystując możliwość rozmowy z przyjaciółką.

– Najchętniej wyprowadziłabym się dokądkolwiek.

– Masz dokąd?

Magdalena nie odpowiedziała, tylko się skrzywiła.

– Jesteś w stanie sobie poradzić sama? – Joanna spojrzała z powagą. – A więc nie. Dlaczego nie zwrócisz się do kogoś o pomoc?

– Zwróciłam.

– Byłaś w ośrodku? – Joasia aż podskoczyła.

– Rozmawiałam z teściową. Chciałam znaleźć w niej sojusznika.

– I co?

– Ech. Mogłabym odpowiedzieć jednym wulgarnym słowem...

– Ona w ogóle wie, że jej syn pije?

– Ona w ogóle w to nie wierzy. Nawet mnie do końca nie wysłuchała, zaczęła popłakiwać, że się na Szymonka uwzięłam, wreszcie

rzuciła słuchawką i tyle.

– Szkoda, że rozmawiałaś z nią przez telefon, w cztery oczy to jednak inaczej.

– Wiesz, co mnie najbardziej boli? – rzekła z goryczą Magdalena. – Nawet nie to, że mi nie wierzy, bo jestem według niej złą synową. Ale przechodziła to samo z własnym mężem. Nieraz dostała oklep od swojego starego, nieraz jej wypieszczony synuś był świadkiem awantur. Teraz świętej pamięci mąż siedzi na chmurce z aniołami, a Szymonek jest biedny i skrzywdzony przez żonę sekutnicę.

– Myślisz, że jej nie dotyczą mechanizmy współzależnienia?

– „Mechanizmy współzależnienia”, Jezu...! – prychnęła Magdalena.

– Oj, wiem, jak to brzmi, ale tak się to nazywa, naprawdę. Gdy nie byłam jeszcze osłuchana z tą mową rodem z grupy terapeutycznej, reagowałam tak jak ty albo i gorzej. W każdym razie nie dziw się teściowej, bo skoro przez ileś tam lat żyła pod jednym dachem z alkoholikiem i silnie wypierała ten fakt, nic nie robi i teraz. Pewnie chroniła męża tak samo jak ty swojego – tłumaczyła nieobecności chorobą, wyjazdem w sprawach rodzinnych, zapewniała alibi. Moja matka też to przerabiała, tyle że nie chciała dać się bić, więc po kilku latach rozstała się z ojcem. A twoja teściowa widać mogła więcej wytrzymać...

Joanna zamyśliła się ponuro, zapatrzona w piętrzące się przed nią frędzle do obszywania zasłon i taśmy z cekinami, piórami i różnymi innymi rzeczami oraz ozdobne sznury.

– Kochała go. Świętą przysięgę małżeńską długo traktowała serio, chciała być lojalna. Dopóki tego się trzymała, on pił, nie robiąc sobie nic z rachunków, wszelkich opłat. Nie interesowało go, czy w domu jest coś do jedzenia, czy są żarówki, żebym miała jak odrabiać lekcje zimą... Wiesz, że on przez całe życie pracował uczciwie może z dziesięć lat? Ale był – mąż, ojciec. Trzeba było chronić RODZINĘ...

– Szymon pracuje i zarabia na wszystko – Magdalena poczuła się w obowiązku stanąć jednak w obronie męża.

– Mhm. – Joanna pokiwała głową. – Tym trudniej się od niego oderwać. Gdyby nie pracował i nie dbał o was zupełnie, już dawno

pieprznęłabyś to w diabły, prawda?

Przyjaciółka opuściła głowę. Niezręczną ciszę przerwał dzwonek u drzwi i wraz z powiewem chłodnego powietrza weszła klientka. Na dziś temat był już wyczerpany.

Szymon wytrzeźwiał na tyle, by wyjść z domu i zniknąć. Początkowo Magdalena miała wielką ochotę spakować mu walizki i wysłać do firmy – prawdopodobnie znów tam sypiał. Uznała jednak, że nie ma siły na widowiskowe akcje, tym bardziej że w przypadku jej męża one nie działały. Mogłaby go wyprowadzić, mogłaby szarpać się i denerwować, bo gdyby wrócił z policją, musiałyby go wpuścić – mieszkanie było wspólne, oboje mieli do niego równe prawa. Gdyby miała dokąd się wynieść wraz z Gabrysią, uczyniłaby to bez wahania. Tym razem postanowiła poczekać, aż Szymon wróci – zawsze wracał – skruszony czy zbuntowany, to już było bez różnicy, bo specjalnie za nim nie wyglądała. Liczba kotłujących się myśli ostatnio stanowczo przerastała Magdalенę. Nie miała siły na podejmowanie stanowczych działań, uznała, że może jedynie zastosować metodę drobnych kroków. Najpierw uniezależnić się finansowo, choćby w małym stopniu, potem poszukać czegoś. Może sprzedadzą to mieszkanie i połowa wystarczy jej na kawalerkę, a może rozwiąże to w inny sposób – jeszcze nie wiedziała, ale bunt, który w niej się zatlił, płonął coraz mocniej. Nie zamierzała czekać, ale też nie spieszyła się zbyt – obserwowała siebie i czuła, że ze skorupki w środku zaczyna się coś wykluwać. Jeszcze nie wiedziała co to, ale czuła, że jest dobre.

Nie wierzyła, że Szymon wróci, zmieni się i wszystko będzie wspaniale. Nie – była dziwnie spokojna, że przez jakiś czas będzie się trzymał, a potem znów zapije. Nie wiedziała, dlaczego to robi, on pewnie też nie wiedział. Miała nieodparte wrażenie, że gdyby przyjrzeć się temu, poszukać przyczyny, węzeł dałoby się jakoś w końcu rozsupłać. Ale nie była w stanie tego zrobić. Już wiedziała, że choćby stanęła na głowie, nie pomoże mężowi. On sobie też pomóc nie zamierzał, bo nie widział problemu. Rozmawiali, zanim wyszedł z domu, o ile można to nazwać rozmową. Starła się zachować spokój, choć łzy same płynęły jej po twarzy, a głos się załamywał, ale próbowała ze wszystkich sił zrozumieć i być zrozumianą.



– Szymon, proszę cię, zastanów się. Powiedz, czego ty właściwie chcesz? Co jeszcze mogłabym zrobić, żebyś zaczął zachowywać się jak człowiek?

– Wiesz, co mogłabyś zrobić? – Oczy miał zaczerwienione, twarz zmęczoną. – Mogłabyś dać mi spokój!

– Tak nie sposób dalej żyć.

– Nie sposób. Dręczysz mnie, czepiasz się, co ja ci złego zrobiłem? Że się napiję od czasu do czasu? Do cholery, zarabiam, jestem dorosły, mam prawo!

– Sam się krzywdzisz. I nas.

A więc oczekiwał od małżeństwa z nią tylko świętego spokoju i miejsca do spania. W zasadzie oprócz Gabrysi od dawna nic ich nie łączyło. Nie łóżko, nawet jeśli przypadkiem spali w jednym, ani nic, co mogliby razem robić. Magdalena czuła się jak ze współlokatorem, z obcym człowiekiem przypadkiem mieszkającym z nią. Nie wiedziała, co się z mężem dzieje, co go boli, co cieszy. Nie próbował nawiązać kontaktu – przeciwnie, oddalał się coraz bardziej. Kiedyś był inny. Kiedyś to kiedyś, a teraz to teraz. Już go nie znała.

Czuła, że jako żona poniosła wielką porażkę. I nie miała nadziei, że to się może zmienić – samo na pewno nie, nawet we dwoje chyba nie daliby rady. Jedynie mediator mógłby pomóc albo jakaś terapia małżeńska. Tyle że to akurat nie wchodziło w grę, bo „cóż powie mu jakiś durny psycholog?”. Szymon otwarcie się śmiał, kiedy zaproponowała udanie się do poradni. Dziwiła się, że w grupie Anonimowych Alkoholików nie zachęcają do podjęcia terapii. Ale on tam już nie chodził od jakiegoś czasu...

– Nasz prowadzący zmarł. Ten drugi jest jakiś dziwny, niczego ciekawego się od niego nie dowiedziałem. Irytuje mnie.

Jaki prowadzący, skoro podobno tam nie ma szefa? Magdalena nie znała się na strukturach takich grup, nie miała pojęcia, jak zareagować, czy wierzyć? Ten „nowy” mu nie pasował, ale też nie spróbował znaleźć innej grupy, łatwiej było sobie odpuścić. Tyle sprzecznych informacji, tyle sprzecznych uczuć... Tak bardzo się cieszyła, kiedy rozpoczął te spotkania, właściwie dopiero teraz poczuła, ile z nimi wiązała nadziei.

Czegoś tam jednak się od niego dowiedziała, gdy wypluł z siebie,

że jest zimna jak lód, że czuje nienawiść, jaka od niej płynie, i to go zniechęca. Że jest pamiętliwa i wywleka stare sprawy, jak to kiedyś, tydzień czy dwa tygodnie temu wrócił pijany... A on po prostu chce normalnie żyć, bez czepiania się, rozpamiętywania i dyskusji bez sensu – bo przecież to ONA ma jakiś problem.

Skończyła rozmowę, bo Szymon mówił coraz głośniejszym głosem, pokrzykiwał i machał rękami.

Udała, że nic się nie zmieniło, ale w środku aż zawrzała jak woda w garnku na zbyt dużym ogniu. Garnku żeliwnym, mocnym.

Teraz ona będzie dążyła do osiągnięcia spokoju – swojego. Na to trzeba czasu i cierpliwości, których w zasadzie jej nie brakowało. Zajmie się sobą, ostatecznie dziecko ma jedno, nie musi niańczyć dorosłego mężczyzny, który tak bardzo chce się od niej uwolnić. Pomoże mu w tym. Zacznie od pogodzenia się z faktem, że Szymon jest alkoholikiem, człowiekiem chorym, spróbuje powściągnąć własne emocje i nie reagować agresją, bo to przede wszystkim ją samą niszczy. Zniesie wszystko do czasu, aż będzie mogła zupełnie oderwać się od niego. Wiele kobiet poświęca się „dla dobra dzieci”, trwając w takich chorych związkach przez dziesięciolecia, ona też jeszcze jakiś czas wytrzyma, przynajmniej do granicy bezpieczeństwa jej i córki, bo że mąż wróci, gdy tylko zatęskni za wygodnym łóżkiem i obiadek, tego była pewna. O ile wcześniej nie zachła się na śmierć!

Marzec

Z początkiem marca Szymon wrócił z wielkim bukietem róż – musiał wydać na niego fortunę, jak złośliwie pomyślała Magdalena. Przetrwała ceremonię przeprosin i przyrzeczeń, wysłuchała deklaracji chęci poprawy i powrotu do „dawnego, dobrego życia”, po czym obiecawszy sobie nie dać się wyprowadzić z równowagi i nie rozplakać, oświadczyła, że warunkowo zgadza się na wspólne mieszkanie, ale tylko do pierwszego wyskoku alkoholowego. Ostrzegła go też, że jeśli taki nastąpi, wówczas wezwie policję.

W pierwszej chwili oczekiwała wybuchu złości Szymona. Gdy nie nadszedł, poczuła, że mimo iż podszyta lękiem, jest w stanie cieszyć się z podjętej decyzji i żyć, nawet po wypowiedzeniu tych STRASZNYCH SŁÓW. Zachowawszy się, jakby to wszystko było mało znaczącym epizodem, wróciła do codziennego rytmu, wyznaczanego obowiązkami domowymi i pracą. Nie było to bardzo łatwe, bo oznaczało dla Magdaleny wielką zmianę, szczególnie w postrzeganiu siebie, małżeństwa, rodziny, ale to jak ze skokiem do basenu – w pierwszej chwili woda wydaje się bardzo zimna, a już za moment czuć, że jest coraz miłsza ciału, cieplejsza.

Zmęczenie, które dotąd zaciskało jej mięśnie w kamień, pomaleńku ustępowało i była już zdolna cieszyć się tym, co ma. Bardzo pomagała jej praca w Błękitnym Kufierku, a dodatkowo dzierganie na szydełku drobiazgów wielkanocnych, które tak dalece spodobały się pani Beacie, że zamówiła większą partię i sprzedawano je także w pasmanterii. Za jedno jajeczko Magdalena dostawała dziesięć złotych, i to już na czysto, więc dłużyła z radością, wykorzystując każdą chwilę, w której nie było klientów. Gdy przychodzili, z podziwem przyglądali się jej wyrobom i chętnie kupowali ażurowe jajeczka, jasne baranki i maleńkie, białe koszyczki, takie w sam raz na jedno jajko. Ozdabiała je nieprzesadnie – jedną perłą, kokardką, lśniącym, przezroczystym koralikiem, czasem rafią – białą lub w kolorze naturalnym – albo piórkiem. Bardziej cieszył ją oryginalny splot niż jarmarczne ozdóbki.

Martwiła się jedynie tym, że lada chwila skończy się jej służbowe bywanie w ukochanym sklepiku, do którego będzie mogła wracać jedynie jako klientka. Tymczasem radowała się tym, co miała i tym, że

coraz bardziej czuje się sobą, Magdaleną, człowiekiem, a nie tylko żoną – automatem domowym.

Początkowo marzec nie dawał po sobie poznać, że jest miesiącem przynoszącym wiosnę. Nabrał wszystkich dwoma dniami ze słupkiem rtęci na wysokości ośmiu czy dziewięciu stopni Celsjusza, a potem przyłożył między oczy mrozem, który ściał wodę i przyoblekł szronem każdą gałązkę czy maleńki, ledwie wydostający się z ziemi listek. Szafirki przypadły do ziemi, kryjąc się w przydomowych ogródkach pod niespodziewanie spadłym śniegiem. Fiołkom, chowającym się u stóp krzaczków bukszpanu, marzły płatki, a gołębie, które już zaczęły łączyć się w pary, zostawiały na zaśnieżonych balkonach i dachach ślady nóg i coraz donośniej gruchały od piątej rano.

Magdalena, budzona uporczywym hałasem gołębi, złościła się i usiłowała pozbyć z balkonu niechcianych lokatorów. Psikała różnymi specyfikami, wieszala przedmioty kołyszające się na wietrze i mające odstraszyć ptaki, ale jak dotąd nic nie pomagało. Zaczęły znosić patyczki i budowa gniazda rozpoczęła się na dobre. Nie zrażała ich syzyfowa praca, choć kobieta codziennie rano wyrzucała przyniesione patyki.

Mróz trzymał mocno, więc z trudem można było myśleć o nadchodzącej Wielkanocy – to niełatwe, gdy za oknem biało, a każdy otula się w szal i nasuwa czapkę aż na nos. Jednak czas, choć zimny, płynął nieubłaganie i nadchodziła pora wiosennych porządków oraz przygotowań do świąt.

Magdalena, na co dzień pucująca mieszkanie do połysku, nie planowała spektakularnych akcji porządkowych; postanowiła skupić się jedynie na przyjemnościach związanych z tymi radosnymi świątami. Jedynie okna umyje, gdy się trochę ociepli. Tymczasem chodziła z Gabrysią co tydzień na Drogę Krzyżową, a poza tym cieszyła się ostatnimi chwilami w pasmanterii.

Ręka pani Beaty miała się coraz lepiej, zatem w połowie miesiąca właścicielka wróciła do pracy. Z zadowoleniem przyjęła drobne zmiany dotyczące ułożenia niektórych towarów, których dokonała Magdalena, bo wyszły na dobre sklepikowi, ułatwiając klientkom – bo głównie panie go odwiedzały – dostęp do większej liczby oglądanych włóczek. Także drobne zmiany w szklanych gablotach sprawiły, że można w nich było

eksponować więcej drobiazgów.

W końcu nadszedł ostatni dzień pracy Magdaleny w Błękitnym Kufunku. Od rana czuła się nieswojo, trudno jej było odnaleźć się w przytulnym wnętrzu, w którym odtąd miała stawać po przeciwnej stronie lady. Nie cieszył jej widok palety barw muliny rozwieszanej na kręcącym się stojaku, nie łagodziło dotknięcie miękkiej, pulchnej jak królik angorowej włóczki, nie bawił widok wesołych guzików w kształcie biedronek, misiów i kolorowych literek. Motki akrylu już nie kojarzyły się z kokonami, z których wyfruną czapki, sweterki i bluzeczki. Miała obietnicę możliwości kupowania tu z dużym rabatem, ale to nie to samo co przebywanie wśród tych wszystkich rzeczy tak cieszących oko, tak inspirujących do tworzenia kolejnych rękodzieł, których projekty kłębiły się jej w głowie. Zrazu ukazywały się bardzo niejasno, lecz z czasem stawały się bardziej wyraziste, skonkretyzowane, układające się w obrazy ubrań-dzieł, swetrów z wrabianymi surowymi wzorami w barwach kamienia i ziemi, w kształtach gór i ptaków. Kreski kolorów włóczki w kolejnych rzędach – dobierane najpierw spośród podstawowych, później uzupełniane kolejnymi, do uzyskania światłocienia – musiały mieć szczególnie zróżnicowane tony, by efekt wyszedł zamierzony, by go nie zepsuć nagłą, ostrą zmianą barwy.

Teraz znów będzie tkąła prozę życia, szyła patchwork z kawałków snu, gotowania, spacerów po parku i oczekiwania na zmiany mające uczynić ją wolną i szczęśliwą...

Niewielkie prace, które zaplanowała przed Wielkanocą, zamiast dać czas na inne zajęcia, pogrzyżyły Magdalenę w przygnębieniu. Nie miała siły ani ochoty zajmować się czymś konstruktywnym, czas przelatował jej przez palce. Z trudem skupiała się na lekturze, więc książki odkładała po kilku stronach, z których nic nie pamiętała; łatwiej było przeglądać fora internetowe, bez przymusu skupiania się na fabule i odpowiadania na podnoszone przez internautów tematy. Rytm, w jakim funkcjonowała przez ostatnie sześć tygodni, spowodował, że czas miała określony i zajęty w całości. Teraz nie wiedziała, co zrobić z jego nadmiarem, jak wypełnić powstałą lukę. W ciągu ostatnich kilku lat podejmowała niezliczone próby kontrolowania męża, starała się o zachowanie pozorów, miewała huśtawki nastrojów od euforii,

wynikającej z chwilowych blasków, do czarnej rozpacz w momentach nieradzenia sobie z rzeczywistością u boku męża alkoholika. Ta strata ogromnych pokładów energii na rzecz zyskiwania coraz większego poczucia żalu, wstydu, wściekłości i bezradności przejawiała się ogromnym zmęczeniem, które dawało o sobie znać w postaci bólów ciała i duszy. Miała wrażenie, że żyła dotąd w pułapce, skazana jedynie na realizowanie potrzeb męża, a własne odrzuciwszy na bok, co ostatecznie nie pomagało ani jemu – skoro nadal musiał pić – ani jej.

Szymon starał się nie wchodzić żonie w drogę, sypiał osobno, co teraz i dla niej stało się zbawienne. Nie tęskniła za jego dotykiem, jak bywało wcześniej – zaskorupiała w doznaniach przykrości i zawodu, z rezygnacją oddalała się od męża.

W dalszym ciągu nie funkcjonowała tak swobodnie, jak by chciała. Robótki schowała na dnie skrzyni z pościelą, o niechęci do gotowania na zawołanie nie wspominała, za to bez skrupułów oszukiwała Szymona daniami barowymi. Nie miała jednak odwagi wyznać, że dogadzanie najbliższym nie stanowi już jej celu życiowego.

– Ciężko jest – mówiła Joannie. – Ale da się żyć. Boję się tylko, że zacznę pić, zanim stanę na nogi, zanim będę mogła uwolnić się fizycznie.

– Dasz radę, widzę, że już patrzysz na wszystko trochę inaczej. A przede wszystkim przestań tego wyczekiwać.

– Ciekawe w jaki sposób, skoro dotąd zawsze się to powtarzało?

– Prawdopodobnie powtórzy się znów, ale co ci pomoże zamartwianie się na zapas? Zajmij czymś ręce i głowę, zamiast siedzieć, czekać i spodziewać się najgorszego. O której zwykle wraca z pracy?

– Koło piątej.

– To zacznij się martwić o piątej, zawsze to o godzinę czy dwie krócej, niż gdybyś to robiła od trzeciej czy czwartej. – Joanna aż sama roześmiała się z tej prostej rady. – Jednak nadal zachęcam cię do wizyty w poradni, serio.

– Ale po co? – Magdalena uniosła brwi. – Ja już nie potrzebuję radzić sobie z pijącym mężem. Teraz muszę się nauczyć żyć bez niego.

Przyjaciółka tylko pokiwała głową. Trzeba dokonać wielkiego wysiłku, by zmienić utrwalony przez lata sposób myślenia – gdy

człowiek martwił się o tego, który się spóźnia, zawodzi, nie dotrzymuje terminów i słowa. Żona zamiast przyjąć do wiadomości fakty i nastawić się na powrót nietrzeźwego męża, gdzieś środkiem zaprzeczała takiej możliwości. Bo przecież „on obiecał, że to się nie powtórzy”. Zmienić myślenie można było jedynie poprzez wyjście z kręgu zaprzeczeń, w jakim znajdował się każdy nieleczony alkoholik.

Magdalena była kochana, dobra i mądra, wiele razy pomogła Joannie przy Kminku, rozwiewała obawy, pocieszała, wyjaśniała, dzieliła się tym, co wiedziała na temat rozwoju niemowlęcia, chorób i różnych innych rzeczy. Bez wahania Joasia dzwoniła do niej o każdej porze dnia i nocy, nawet z najdziwniejszymi pytaniami („Polizał mydło, co teraz?!” – „Będzie miał czysty język...”). Ale jeśli idzie o upór w sprawie pomocy sobie samej, Magdalena była jak kamień. Chyba jeszcze nie dojrzała do tego, by naprawdę rozstać się z Szymonem, może nawet nie do końca wierzyła w jego chorobę, traktowała ją jak fanaberie mężczyzny, a nie coś, z czym trzeba się zmierzyć na wielu płaszczyznach. A to nie jest jak pstryknięcie palcami – trzeba włożyć wiele pracy, cierpliwości, ale najpierw zyskać wiedzę. Nie da sobie rady sama. Joanna o tym wiedziała, a jej przyjaciółka jeszcze nie.

Tym bardziej że wbrew deklaracjom słownym, była bardzo zagubiona. Po odejściu z pasmanterii wyglądała jak pęknięty balonik niesiony przez Prosiaczka dla Kłapouchego – zwiędnięta i wiotka. Praca świetnie na nią działała, czuła się potrzebna i ważna, wartościowa. W domu była tylko mamuszką i gosposią, co mogłoby wystarczyć, gdyby takie właśnie miała oczekiwania. A Magdalena najwyraźniej chciała żyć i być kimś – znaczyć coś jako ONA SAMA, a nie tylko matka, żona... Nie mówiła o tym, ale Joanna potrafiła wyczytać między wierszami, że nie jest szczęśliwa jako kobieta. Przyjaciółki wcale to nie dziwiło.

– Przepraszam cię, Joasiu, że tak marudzę, chyba za dużo o sobie gadam, niepotrzebnie cię obarczam swoimi problemami.

– Daj spokój. Wyobrażam sobie... Nie... ja wiem, co czujesz. I jeszcze coś ci powiem – mam nadzieję, że tak jak ja ciebie, także i ty traktujesz mnie jak przyjaciółkę.

To było dziwne uczucie, nieznanie Magdalenie. Może kiedyś, dawno temu, kiedy przyjaźnie miały lżejszy kaliber, bo i problemy

życiowe trafiały się jakby mniejsze, choć wówczas wydawały się końcem świata. Ale to był świat nastolatki skupionej tylko na sobie, która nie odpowiadała za kogoś, dziecko, męża... Aż się wyprostowała po tej myśli, natychmiast przypominając sobie jedną ze złotych rad Joanny. „Masz być odpowiedzialna WOBEC Szymona, a nie ZA NIEGO!”. To trudne po latach zupełnie innego podejścia, jednak w duchu przyznawała jej rację.

– Cieszę się. – Joanna dokładniej okryła Kminka kocykiem, bo choć mróz odrobinę zelżał, w cieniu budynku politechniki, padającym na parkową alejkę, było zimno. – Cieszę się, że cię poznałam i że masz do mnie zaufanie. Czuję się przez to bardziej ważna. – Uśmiechnęła się. – No i gdyby nie to, zwariowałabym ze strachu po tym jedzeniu mydła i innych straszliwych przygodach niemowlęcych...

Z Joanną wszystko było prostsze. Potrafiła wyrażać swoje myśli, mówić o uczuciach. Magdalena zazwyczaj nie dawała sobie prawa do posiadania uczuć. Nie czuła się wystarczająco mądra, dobra, ciekawa i wartościowa, by ktoś chciał jej słuchać, by zasługiwać na uwagę, szacunek, a co dopiero na przyjaźń. Dlatego Ignęła do Joasi, znosząc nawet drobne złośliwości, bo były cenniejsze niż obojętne uprzejmości innych znajomych.

Przy niej zaczynała rozumieć, że ma uczucia, a emocje są nierozdzielnie związane z człowieczeństwem. I że wszystko, co czuje, jest naturalne – złość nie jest zła, może być najwyżej źle wykorzystywana, a gniew to konsekwencja tego, czego doświadczyła. I że te uczucia dotyczą jej – jej samej, że ona jest ich źródłem. I tylko ona, nikt inny, może coś z nimi zrobić, by jej nie wyniszczały. Nie ogarniała tego jeszcze, ale w obecności Joanny czuła się coraz lepiej, pomaleńku nabierała ochoty na cokolwiek poza przepędzaniem chwili za chwilą i trwaniem od rana do wieczora.

Tego dnia, gdy po przedszkolu przyszły z Gabrysią do parku, z radością ujrzała wózek Kminka i drepczącego obok Joanny Kacpra. Chłopiec bardzo zaprzyjaźnił się z Gabą, dla której był najlepszym kompanem zabaw, wołała go bardziej niż różowe koleżanki z grupy.

Na deser, u schyłku dnia, słońce wyjrzało spoza cienkiej warstwy chmur przemierzających się po coraz bardziej wiosennym niebie



i choć trwało to tylko chwilę, uśmiech zajaśniał na twarzach spacerowiczów – dzieci, matek, opiekunek i... Pijawki przebiegającej po alejkach w akompaniamencie hurgotu kół wielkiego wózka.

– Proszę panią, proszę panią! – wołała za skręcającymi nad staw przyjaciółkami. Nie było możliwości schować się za bezlistnymi krzakami. – Najnowszy numer, najnowszy numer! – krzyczała, aż dopadła do nich, zadyszana i ocierająca spocone czoło pod futrzaną papachą.

Jej dziecko spało, wystawiając spod betów i kocyków jedynie kawałek bladej buzi, a Magdalena pomyślała, że to chyba dobry sposób na usypianie, takie biegi przełajowe po parku. Gdy Gaba była malutka, też spała jedynie w ruchu – wystarczyło zatrzymać wózek na chwilę, nawet na światłach przy przejściu i mała od razu zaczynała stękać.

– Zaraz Wielkanoc, warto poczytać o tym, co w naszej parafii piszczy! – Pijawka uśmiechnęła się i wręczyła każdej z kobiet po kilka egzemplarzy „Poza Nawiasem”.

– Wystarczy jeden – zaprotestowała Magdalena.

– A może ktoś z pani sąsiadów akurat nie czytał? Dlaczego nie podzielić się żywą relacją z działalności naszej rady osiedla, he? – Pani redaktor popatrzyła podejrzliwie i nie zauważywszy oznak dalszych protestów, odetchnęła. – Proszę panią, to nie jest kolorowa, droga gazetka drukowana w Chinach, tylko całkowicie polski produkt niskonakładowy utrzymujący się z reklam. O ile ktoś je zamieszcza... Trzeba popierać działalność polskich, niezakłamanych mediów, to nasz patriotyczny, obywatelski obowiązek! – I wykręciwszy z wizgiem opon, aż dziecko w wózku podrzuciło rączki przez sen, pobięła nieść dobrą nowinę innym spacerującym po parku.

– O, Matko, jaka ona jest nachalna. – Magdalena pokręciła głową. – I co ja mam zrobić z tymi śmieciami?

– Nie masz po drodze pojemnika na makulaturę? Zresztą ja to czasem czytam, naprawdę można tam znaleźć świetne kawałki. Pamiętam przed wyborami hasło radnego Dawidka: „Inni tylko obiecują, radny Dawidek obiecuje, że będzie pracował!”. Poza tym był tam taki fajny cykl o muzeach wrocławskich, chyba nie autorstwa naszej pani naczelnej, też lubiłam go czytać. A wiesz, że ona tam pisze pod różnymi

nazwiskami? Myśli, że trudno się zorientować, ale ma swoją manierę, po której, oprócz pouczeń i upierdliwości do entej potęgi, łatwo ją rozpoznać. Pisze jako.... Czekaj... – Przerzucała strony. – O, jako Krystyna Przymyk i jeszcze jako facet. O ten, Dominik Brunowski. A najłatwiej ją poznać po „po prostu” co trzecie zdanie i spacjach przed wykrzyknikami oraz znakami zapytania. Korektę też pewnie robi osobiście...

Magdalena, oderwawszy się na chwilę od szarej codzienności, roześmiała się głośno i odetchnęła z ulgą. Gdyby tak można było częściej! A właściwie... Joanna ma rację. Zamiast rozmyślać o smutkach żywota, powinna wreszcie wziąć się do czegoś. W domu leżą schowane ze trzy rozpoczęte robótki, dobrze byłoby je skończyć, a przy ładnej pogodzie gdzieś pochodzić. Miała ochotę przyjrzeć się zabudowaniom starego browaru Piastowskiego, które intrygowały, obserwowane jedynie z oddali, przez płot zasłaniający szczegóły. Może wybrałaby się tam, przecież to dosłownie kilka kroków stąd.

Napełniona optymizmem płynącym od Joasi, z uśmiechem ruszyła dalej.

Kolejny dzień wysłał wreszcie pierwsze zwiastuny wiosny – złudnie niebieskie w mroźnym powietrzu niebo i słońce, eksponujące smugi na nieumytych jeszcze oknach. Ubrana w płaszcz i owinięta w szeroki, włochaty szal Magdalena wyszła z domu, błogosławiąc ten szal z mięsistej wełny, bo nabrała się na blask słońca, jak chyba każdy tego dnia. Wobec temperatury wyczuwalnie będącej o kilka kresek poniżej zera, zrezygnowała ze spaceru nad Odrą od razu po porannym wyjściu z przedszkola. Może w południe będzie cieplej?

I rzeczywiście – słońce, cudownie topiące śnieg na dachach pochyłonych w stronę południa, ogrzało nieco kryształowe powietrze i dało się już oddychać swobodniej. Wyszła więc po Gabrysię dużo wcześniej niż zwykle i idąc wzdłuż Żeromskiego, minęła wypożyczalnię filmów, nieczynny od dłuższego czasu zakład fryzjerski, bibliotekę dla dzieci, do której chętnie zaglądały z Gabrysią nie tylko wypożyczać książki, też lecz także by uczestniczyć w różnych zajęciach okołoliterackich. Za pocztą nie skręciła w prawo, tylko przeszła na drugą stronę Jedności Narodowej, gdzie na jednej z dwóch jabłonek rosnących

przy punkcie lotto do dziś wisiało jedno zmarznięte i pomarszczone zielone zimowe jabłuszko. Uśmiechnęła się, bo skojarzyło się jej z jabłkami Jej Ekscelencji w *Seksmisji*.

Ta część ulicy nie była zamieszкана, znajdowały się tu jedynie jakieś firmy czy magazyny, mające siedziby w starych ceglanych zabudowaniach. Niektóre budynki były pięknie odrestaurowane, jak ten ze składem mebli, ale już bliżej browaru robiły się coraz bardziej zaniedbane. Sam browar nie był specjalnie widoczny, bo metalowe ogrodzenie z kutych elementów dodatkowo zabezpieczono płytami, uniemożliwiającymi przyglądanie się obiektowi z zewnątrz. Widać zatem było głównie szczyty budynków. Najpierw, idąc od strony centrum, część, w której Magdalena domyślała się dawnej rozlewni piwa, tych wszystkich pomieszczeń produkcyjnych, w których pewnie kiedyś stały ogromne kadzie z chmielem, taśmociągi z butelkami automatycznie napełnianymi i kapslowanymi. Zbliżyła się do płotu i w przerwie między dwoma jego segmentami przyjrzała się dziedzińcowi. Po lewej stronie i na wprost, przy zbudowanym w kształcie litery T budynku, widniała zadaszona rampa. Prawdopodobnie tutaj właśnie odbywał się załadunek skrzynek z piwem, które rozwożono po całej Polsce. Prawy koniec ceglatego budynku zakończony był wysoką kwadratową wieżą z nieczynnym zegarem i białym napisem BROWAR PIASTOWSKI. Całość wieńczył miedziany, teraz zielony od patyny, spadzisty dach. Magdalena wiedziała, że odkąd zaprzestano produkcji piwa, a potem nie korzystano z tego obiektu jako magazynu, miały tu powstać apartamenty mieszkalne. Nie wiedziała, czy to nastąpi, a jeśli, to kiedy. Jednak pomyślała, że gdyby miała tu mieszkać, to właśnie w dawnej rozlewni, bo rozciągał się z niej widok na budynek administracyjny, który bardzo jej się podobał. Niewielki, z czerwonej cegły, wykończony narożną wieżą o okrągłym przekroju, zwieńczoną wspaniałym szpiczastym dachem krytym poczerniałymi dachówkami. „Tu musiały kiedyś mieszkać Muminki!” – pomyślała z uśmiechem. Zawsze, ilekroć tędy przechodziła, ta wieżyczka przywodziła jej na myśl dom zbudowany przez Tatusia Muminka z opowieści Tove Jansson. Wyobrażała sobie kręte schody, wiodące na szczyt, a po drodze wejścia na piętro i strych. Prawdopodobnie właśnie tam zimą sypiały Muminki,

z brzuskami wypełnionymi igliwem, zanim jeszcze ludzie zajęli ten obiekt...

Następny budynek nie miał już takiego uroku – jego wieżyczka miała prostokątny przekrój, była kanciasta i nie taka miła. W zasadzie każdy z widocznych od tej strony obiekt był trochę inny. Eklektyzm jak się patrzy, stwierdziła Magdalena.

Na bocznej ścianie drugiego domku, wyjątkowo tu niepasującej przez otynkowanie i pomalowanie na kolor lokujący się pomiędzy beżowym a brudnoróżowym, widniało logo Piasta. A dalej, na rozległym, niezabudowanym placu, gdzie kiedyś stały setki palet, nie było nic, jedynie zryta, teraz zmarznięta, jakby gliniasta ziemia i widniejący z oddali ogromny komin, górujący nad wszystkim jak wykrzyknik, z kilkoma maszynami budowlanymi u jego stóp.

I koniec, nic więcej nie było tu do oglądania. Przeszła jeszcze kawałek, ciekawa, czy zobaczy cokolwiek od strony kanału Odry. Rzadko tędy chodziła, bo jeśli spacerowały z Gabą wałami, to raczej tymi na prawo od Mostów Warszawskich, w stronę jazu i potem przez działki. Czasem, gdy córka jechała na rowerku, przechodziły na drugą stronę rzeki, bo tam była gładka, wygodna do jazdy ścieżka rowerowa.

Teraz Magdalena minęła kanał i skierowała się na nabrzeże Piastowskie. Jednak obszar między wodą a wałem zarośnięty był krzakami i drzewami, to nic, że nagimi – wystarczyły, by zasłonić widok. Przeszła jeszcze kawałek, uważając, by nie skrócić nogi na zmrożonym błocie wału, minęła dołem most kolejowy i znalazła się niemal w połowie drogi do kolejnego mostu – Trzebnickiego. Ale i w tym miejscu niespecjalnie było co oglądać – za płotem z siatki, ciągnącym się wzdłuż brzegu, widać było z oddali jedynie komin i gruzy wokół niego, kilka nieczynnych spychaczy oraz koparek, a nad wszystkim unosił się zapach zimowej Odry, smutku i opuszczenia.

Z przyjemnością uciekła stamtąd, po czym wskoczyła w tramwaj, który zawiózł ją do przedszkola.

Zmarzła tak, że nie miała ochoty na spacer do parku. Przekonała Gabrysię, że przy takiej temperaturze Joanna z Pawełkiem i tak pewnie nie wyszła na dwór – choć nie była to do końca prawda, bo po południu zrobiło się zupełnie przyjemnie – więc mała bez protestów poszła do

domu. Już dawno Magdalenie tak nie smakowała herbata z rokitnika, którą piła, zagłębiona w przepastny fotel.

Już tylko kilka dni pozostało do świąt. Ludzie, jakby zapominając, że czasy już dawno się zmieniły, a w sklepach wszystkiego na bieżąco jest pod dostatkiem, nie trzeba robić szalonych zapasów i zakupów na długo przed Wielkanocą, rzucali się do sklepów i dźwigali, przynosili, gromadzili.

A może to coraz ładniejsza pogoda sprawiła, że chcieli im się działać? Nawet Magdalena, jeszcze lekko osowiała po mrozach i zawieszona w przedziwnym oczekiwaniu na zmiany w domu, z chęcią przystąpiła do mycia okien – przy dziesięciu stopniach na plusie było to przyjemniejsze niż w okolicach zera. A kiedy szyby lśniły już blaskiem większym nawet niż w oknach Heleny, przyozdobione w wiosenne, jasnozielone zasłony, ciasto na mazurki czekało na strojenie go razem z Gabrysią, a cała reszta miała być przygotowana w ostatniej chwili, by była świeżutka, Magdalena postanowiła znów uciec na wagary.

Sama nie wiedziała, dlaczego nie wyrzuciła akurat tego numeru „Poza Nawiasem” – był zeszłoroczny, jesienny i z pewnością nieaktualny. Leżał w szufladzie z dokumentami, jakby zostawiony specjalnie. Gdy się na niego natknęła, Magdalena otwarła czarno-białą gazetkę na chybił trafił i ukazał się jej artykuł zajmujący całe dwie strony, a jak wynikało z podtytułu, była to zaledwie jego pierwsza część. *Przechadzka po historii* – przeczytała tytuł, ale nie on ją zaintrygował, lecz zdjęcia przedziwnych nagrobków. Na jednym widniał hełm, jakby husarski czy grecki, na innych złamane drzewo, jakaś budowla z mozaiką, reliefy przedstawiające budynek, złączone dłonie czy naczynia z lejącą się wodą. Macewy starego, nieczynnego już cmentarza żydowskiego, gdzie obecnie znajdowało się Muzeum Sztuki Cmentarnej. Ilekroć przejeżdżała przez ulicę Ślężną, Magdalenę intrygował wysoki mur, porośnięty z zewnątrz bluszczem i dzikim winem. Sprawdziła w internecie godziny otwarcia i trochę wbrew wyczekiwanyom świętom Wielkiej Nocy, postanowiła zwiedzić to muzeum właśnie teraz.

Słońce rozlewało swój blask po niebie jak z pocztówki – trudno było uwierzyć, że zaledwie dwa dni temu temperatura była o kilkanaście stopni niższa. Magdalena z radością zrzuciła zimowy, ciężki płaszcz

i wyjęła z szafy wiosenny trencz. Mając jednak na uwadze fakt, że spędzi na dworze dłuższy czas i może zrobić się wietrznie, dobrała do niego długi szalik, zrobiony tej zimy na grubych drutach. Chętnie owijała się w brązy i beże, a ten szal w kolorze cukierków toffi lubiła szczególnie, bo nie dość, że zrobiła go bardzo szybko, najwyżej w trzy przedpołudnia, to była dumna z wzoru, który sama zaprojektowała – nie widziała takiego u nikogo!

Skrzypiąca na zakrętach i zgrzytająca kołami o szyny dziewiątka dowiozła ją do zajezdni tramwajowej położonej naprzeciwko cmentarza. Kobieta przeszła na drugą stronę jezdni i rozejrzała się za wejściem na kirkut. Nie sprawdziła, z której strony jest brama, więc teraz zastanawiała się, czy nie powinna była czasem wysiąść na następnym przystanku – może wchodziło się od Sztabowej? Ale nie, adres w gazetce mówił o Ślężnej. Długi mur ciągnący się wzdłuż tej ulicy był jednolity, bez żadnych furtek. Tuż przed nim, za ogrodzeniem z siatki, stało kilka nowych, chyba niedawno postawionych atrap grobów. Może to gdzieś tam? Ruszyła zabłoconą osiedlową uliczką i wreszcie dotarła do wejścia.

Przed murem cmentarza i główną bramą wyposażoną w furkę wjazdową, zdobną w siedmioramiennie świeczniki wkomponowane w pręty i oryginalne kute lampy oraz furkę dla pieszych, znajdowało się coś w rodzaju patio. Tam ustawiono tablice z planem cmentarza. Plan można było też kupić w sklepiku przy portierni po lewej stronie, ale Magdalena nie oglądała wystawy, szybko kupiła bilet i zbliżyła się do grupy młodzieży przysłuchującej się przewodniczce. Postanowiła skorzystać z okazji – jeśli jej nie wyproszą, też dowie czegoś więcej.

Z samochodu zaparkowanego pod cmentarzem wysiadł wysoki mężczyzna i zobaczywszy przybyłą młodzież, podszedł bliżej. Dziewczyna, wolontariuszka z Domu Edyty Stein, czystym i donośnym głosem przemawiała do grupy gimnazjalistów:

– Wrocław ma tysiąc lat. To miasto jest swoistym tygłem kulturowym, wyznaniowym, narodowościowym. Mieszkali tu, oprócz Słowian, Niemcy, Czesi, Łużycanie, Morawianie. Od bardzo dawna, bo od XIII wieku, zamieszkiwali go Żydzi. Pochodzą z obszaru nazywanego dzisiaj Izraelem. Każdej wiosny obchodzą Paschę i, aby

wszystkie dzieci wiedziały, jakie jest znaczenie tego święta, podczas wieczornej uczty czyta się specjalną księgę – to *Hagada*, pieśń opowiadająca o życiu i wierze narodu żydowskiego. I właśnie pod nazwą Hagada odbywa się dzisiejsze spotkanie.

Mężczyzna zbliżył się i przyjrzał dzieciakom. Niektóre, szczególnie te bliżej prowadzącej, słuchały z zainteresowaniem. Inne rozglądały się, wysyłały SMS-y, ktoś ziewał, stojący obok niego rozmawiali półgłosem. W pewnym oddaleniu, jakby nieśmiało przyklejona do garstki uczniów, Magdalena wsłuchiwała się w słowa dziewczyny. Sprawiała wrażenie, jakby była jedyną osobą, którą naprawdę interesuje to, o czym się tu mówi.

– Za chwilę dostaniecie mapki i zadania, proszę, żeby każda grupa przygotowała coś do pisania, jeśli nie macie, rozdám ołówki. I część z was pójdzie ze mną, a druga z panem Michałem, przewodnikiem z Muzeum Miejskiego, który będzie wam pomagał poruszać się po cmentarzu, ale najpierw jeszcze coś powie.

Dopiero teraz Magdalena zapatrzona w mówiącą spojrzała na niego. Szybko opuściła powieki, by nie odniósł wrażenia, że w jej oczach błysnęło zainteresowanie zgoła inne niż tylko chęć zgłębienia wiedzy o macewach. Muzealnik wszedł w krąg gimnazjalistów, przedstawił się i rozpoczął z uśmiechem:

– Warto zwrócić uwagę na wyjątkowość tego niezwykłego miejsca, bo to jedyna ocalała nekropolia wrocławska z przełomu XIX i XX wieku. Tutaj zobaczycie wyraźnie, jak ważna była grupa Żydów zamieszkująca nasze miasto. Tradycyjne proste macewy, ale i bogate, bardziej rozbudowane, świadczą o majątności i wpływach tej społeczności. Chowano tu i bogatych, i biednych, mężów stanu, osoby wybitne i przeciętne, artystów i robotników. Wędrówka po tej nekropolii, którą za chwilę wspólnie odbędziemy, to okazja do poznania niemałego i ważnego fragmentu historii miasta.

Młodzież dostała mapki i wyznaczone zadania, a niepasująca do wycieczki kobieta, dołączyła do grupy pod jego przewodnictwem.

Temperatura za murem cmentarza była niższa niż na zewnątrz. Przystojny przewodnik, na którego Magdalena zwróciła uwagę, wspominał coś o szczególnym mikroklimacie tego miejsca, mówił też

o wielu gatunkach małych zwierząt i ptaków żyjących tutaj. Ptaki stwarzały duży problem, bo wiele z nich znajdowało się pod ochroną, dokładnie tak samo jak nagrobki, które trudno było oczyścić z ich odchodów. Na szczęście część mogił przykrywała pierzyna bluszczu – tak skutecznie, że niektórych nie dało się zobaczyć. Była to jedyna zielona roślinność o tej porze roku. Przeważały nagie gałęzie, jedynie w kilku miejscach cudem chyba nieopadłe, widniały pojedyncze brązowe i ciemnoczerwone listki winorośli.

– Z tej narodowości i społeczności, pochodzi święta Teresa Benedykta od Krzyża, czyli Edyta Stein, zgładzona w Auschwitz. Nie będę się rozwodził na jej temat, który pewnie doskonale znacie, tak samo jak i Towarzystwo imienia Edyty Stein, propagujące kierowanie się humanizmem i otwartością bez względu na kulturę i wyznanie człowieka. Na tym cmentarzu pochowano jej rodziców.

Magdalena czytała o nich. Augustę Stein postrzegała jako niezwykle silną i dzielną kobietę, matkę jedenaściorga dzieci, z których siedmioro przeżyło i wychowywała je sama, jednocześnie prowadząc interesy po zmarłym mężu. To spory wyczyn jak na tamte czasy. Przyjrzała się nagrobkom rodziców Stein, bardziej nowoczesnym niż te najstarsze, ale niezbyt ozdobnym. Popatrzyła na daty – kobieta ponad czterdzieści lat przeżyła swego męża. Musiało jej być ciężko. I samotnie. Choć może nie, z taką gromadką? Jednak dzieci to dzieci, a mąż... Odrzuciła nachodzące ją myśli i znów wsłuchiwała się w słowa przewodnika o ciepłym głosie.

– Zasadniczo Żydów grzebano tam, gdzie zmarli, więc można tu znaleźć także groby osób spoza Wrocławia, zza granicy nawet. Wynikało to przede wszystkim ze starej talmudycznej zasady, że pogrzeb musi się odbyć jak najszybciej, najpóźniej następnego dnia po śmierci. Przepisy cmentarne jasno sformułowano, a ich przestrzegania bezwzględnie wymagano. Nie wolno tu było jeść, wprowadzać zwierząt, a nawet skracać sobie drogi przez to miejsce. Wrocławskie Muzeum Sztuki Cmentarnej od niedawna dopiero wpisane jest na listę zabytków, a udostępnione do zwiedzania jeszcze krócej, bo od 1988 roku. We wcześniejszych latach wrocławianie, np. w ramach wycieczek szkolnych, oprowadzani byli raczej po cmentarzu żołnierzy radzieckich,



więc nie mamy w zwyczaju bywać w tym niezwykłym miejscu.

Uczniowie – zbyt młodzi i niedokształceni – w żaden sposób nie zareagowali na ten komentarz, więc muzealnik szedł i opowiadał dalej.

– Za najważniejszy nagrobek na cmentarzu uważany jest grób Ferdynanda Lassalle’a, założyciela pierwszej niemieckiej partii robotniczej. Lassalle, wrocławianin z urodzenia, w wieku niespełna czterdziestu lat zginął postrzelony, bynajmniej nie z przyczyn politycznych, lecz w pojedynku z rumuńskim arystokratą o piękną kobietę, Helene von Dönniges. Zmarł w Genewie. Zgodnie z pragnieniem jego przyjaciółki, hrabiny von Hatzfeldt, z którą współpracował wbrew woli matki, miał być pochowany w Berlinie, jednak podczas transportu zwłok ze Szwajcarii policja na skutek działań rodziny zmarłego przejęła trumnę i Ferdynand ostatecznie spoczął we Wrocławiu.

Magdalena przypomniała sobie zdjęcie Helene zamieszczone w „Poza Nawiasem” – rzeczywiście była piękna. Ach, jakie to cudowne – choć słuchać o tych kobietach uwielbianych, docenianych, pożądanych! Westchnęła tak głośno, że zwróciło to uwagę przewodnika, który przyjrzał się jej z większą niż dotąd uwagą. Zganiwszy się w duchu, skuliła ramiona i odsunęła dalej od mężczyzny, bo spojrzenie jego oczu, brązowych, jak u Szymona, ale tak innych, nie wiedzieć czemu ją zatrwożyło. „Co się ze mną dzieje? – pomyślała. – To tylko facet z muzeum”.

Tylko... ostatnio nie widywała mężczyzn, nie spotykała ich w swoim życiu, bo nie postrzegala jak mężczyzn ojców dzieci z przedszkola Gaby czy sprzedawców, nie myślała o nich w ten sposób. A poza tym – skonstatowała ze zdumieniem – obracała się wyłącznie w damskim towarzystwie!

Wzdychając już znacznie ciszej, odwróciła się i przy grobie Lassalle’a zobaczyła specjalną koszerną świeczkę, dokładnie taką, jakie tu należało palić, i charakterystyczne kamyki, które kładzie się na żydowskich mogiłach.

– Do osób pogrzebanych tu ze względu na potrzebę szybkiego pochówku należy także Heinrich Toeplitz. Pochodził z Warszawy, a we Wrocławiu prowadził rozliczne interesy. Dziennikarz, znany chyba także

wam, między innymi jako scenarzysta *Czterdziestolatka*, Krzysztof Teodor Toeplitz... – Przewodnik rozejrzał się, ale nie wyglądało, by ktoś z młodych wiedział, o czym mówi. – No, w każdym razie napisał książkę o swoim rodzie, a jeden z rozdziałów poświęcił właśnie Heinrichowi, niezwykle ciekawej postaci. Ostatecznie zrezygnował z prób zainteresowania historią uczniów, zaledwie dwoje czy troje słuchało go jednym uchem, reszta rozłaziła się, rozglądała i gadała, nawet nie siląc się na szeptanie. Ale ta jasnowłosa zasługiwała na opowieść, chłonęła, co widział wyraźnie, każde jego słowo.

– Fakt pochowania Heinricha we Wrocławiu umknął pamięci potomnych i Krzysztof Teodor w swojej *Rodzinie Toeplitzów* wydanej niespełna dziesięć lat temu, napisał, że miejsce pochówku jest nieznane. I choć sprawa ujrzała światło dzienne, to zbyt późno. Pewnego razu Jerzy Waldorff, zwiedzając ten cmentarz, odkrył tu grób Heinricha Toeplitza. Zadzwoił natychmiast do Krzysztofa, ale jego książka akurat była w druku, nie dało się już nic zmienić.

– Chwileczkę. – Magdalena podniosła dłoń. Opuściła ją szybko, czując się jak nadgorliwa uczennica. Ale głupio jej było zamilknąć, więc kontynuowała:

– Skoro ta książka ukazała się dziesięć lat temu, to Waldorff nie mógł dzwonić do Toeplitza, bo od kilku lat już nie żył. Z tego, co wiem, zmarł w ubiegłym wieku. O ile pamiętam – w 1999 roku. Mężczyzna przez chwilę mrugał, wreszcie ocknął się i rzekł:

– *Rodzina Toeplitzów* ukazała się po 2003 roku. Wiem na pewno, bo wtedy zacząłem pracę w Muzeum Narodowym. W takim razie...

– W takim razie – przerwała mu kobieta – albo to nie był Jerzy Waldorff, albo to jakaś większa pomyłka. O ile w ogóle prawda – dodała, zdumiona własną śmiałością.

Na sto procent znała datę śmierci Waldorffa, bo kiedyś, gdy Gabrysia była małeńka, a ona sporo czytała na temat różnych metod wychowawczych, natknęła się na termin „metoda waldorfska” i początkowo była przekonana, że pochodzi właśnie od nazwiska Jerzego. Bardzo ucieszona, że z nikim nie dzieliła się tymi przemyśleniami – chyba spaliłaby się ze wstydu, gdyby ktoś się o tym dowiedział! – szybko zweryfikowała poglądy. Jednak poczytała

wówczas trochę o rzekomym twórcy tej metody i data jego śmierci jakoś utkwiała jej w głowie. Przewodnik spojrział na nią z uznaniem i uśmiechnął się tak ciepło, że nie wytrzymała i odwzajemniła uśmiech.

– Obiecuję, że to sprawdzę – powiedział, z radością zauważywszy, że wydarzyło się wreszcie coś, co przykuło uwagę uczniów, którzy zaczęli dokładniej przysłuchiwać się temu, co mówił.

Mimo środka dnia i słońca wyglądającego zza chmur zrobiło się trochę zimniej. Kirkut osłonięty był murem, a nawet kilkoma, więc wiatr tu nie hulał, jednak chyba było coś w tym mikroklimacie, co powodowało, że odczuwalna temperatura wydawała się niższa niż w rzeczywistości.

Magdalena mocniej otuliła się szalem i wędrowała przez cmentarz, rozglądając się na boki. Sama nie wiedziała, w którą stronę najpierw patrzeć, tyle tu było ciekawych nagrobków, mogił niezwykłych ludzi, o których w bardzo interesujący sposób opowiadał ten człowiek. Miał coś takiego w głosie i w oczach, że chciało się go słuchać – w każdym razie ona tak to odczuwała. Oglądała nagrobki – dzieła sztuki, pełne symboli życia i śmierci.

– Początkowo macewy nie były zdobione. Potem zaczęły się na nich pojawiać informacje o zmarłych, coraz bardziej rozbudowane i dekoracyjne, bogate w reliefy i symbole, odnoszące się do Starego Testamentu.

Jednym z najpotężniejszych nagrobków, jakie Magdalena ujrzała, był stylizowany na egipską mastabę grobowiec, właściwie mauzoleum, rodziny Schottländer. Miał kształt ściętego ostrosłupa na prostokątnej podstawie

– Julius Schottländer, właściciel ziemski, słynął z dobroczynności i zasług dla miasta, które zawdzięczało mu między innymi zafundowanie krzyckiego Parku Południowego. Wraz z żoną założył fundację, która patronowała Żydowskiemu Domowi Opieki Społecznej, a poza tym brał udział w finansowaniu toru wyścigowego na Partynicach, pierwszych konnych tramwajów i ponad trzydziestu kamienic w centrum Wrocławia.

„Dzięki temu bogactwu – myślała Magdalena – stać go było na prowadzenie działalności dobroczynnej...”. Dreptała za przewodnikiem jak posłuszna owieczka, wysłuchując kolejnych opowieści

o przedsiębiorcach, bankowcach, fabrykantach i wytwórcach wywodzących się ze społeczności żydowskiej. Przewodnik mówił też o rodzinie Haberów, których wielką chlubą, rozślawiającą ich rodzinę na całym świecie, był laureat Nagrody Nobla w dziedzinie chemii z 1918 roku, Fritz Haber.

– Ale gdy się Fritzowi przyjrzeć bliżej, jego blask nieco gaśnie. Był zafascynowany nauką tak dalece, że wiązało się to z bezwzględnością. Wychodził bowiem z założenia, że w czasie pokoju należy poświęcać się nauce i ludzkości, a podczas wojny – narodowi. Ponieważ współpracował z armią, choć zmarł przed II wojną światową, przyczynił się do eksterminacji Żydów, między innymi przez wynalezienie cyklonu B, którego używano początkowo jako środka do odwszawiania ubrań. Kiedy przekonano się, że na ludzi działa szybciej niż na insekty, zaczęto masowo go stosować w obozach zagłady. Wielu Żydów, również krewnych uczonego, zginęło w ten sposób.

Magdalena coraz bardziej odczuwała chłód przenikający przez wiosenny płaszcz, mimo że zawinięta w karmelowy szal, czuła, że nos jej czerwienieje i żałowała, że nie włożyła dziś zimowego okrycia.

Przemierzali kolejne alejki. Czyste, zamiecione lub wygrabione. Groby w większości pokryte były bluszczem, z trudnymi lub niemożliwymi do odczytania napisami. Czas zatarł ślad po ludziach, często informacje o tym, że właśnie tu ich pogrzebano, znajdowano w nekrologach w gazetach z tamtych czasów, w pamiętnikach, literaturze historycznej, listach. Pochowano tu wielu naukowców i lekarzy – do najbardziej zasłużonych należał profesor Uniwersytetu Wrocławskiego Ferdinand Julius Cohn, dyrektor założonego przez siebie Instytutu Fizjologii Roślin

– Znacie to nazwisko? Ktoś wie, z czego zasłynął Ferdinand Cohn?  
– Bez nadziei rozejrzał się wśród uczniów. „Tego pewnie nie będzie wiedziała nawet ta blondynka” – pomyślał.

– Z odkrycia przetrwalników. I z klasyfikacji bakterii pod względem kształtu – powiedział chrapliwym głosem nierzucający się w oczy chłopak w szarej kurtce.

– Tak. – Po raz drugi podczas tej wycieczki spojrzął z uznaniem. – Jako pierwszy uznał, że bakteria nie jest rośliną.

Przechadzka trwała już niemal dwie godziny – robiło się coraz zimniej. Zmierzali w stronę grobowca rodziny Kolkerów.

– I tu ciekawostka. W 1966 roku na murze cmentarza siedzieli chłopcy i zaglądali do środka. Wśród nich był mały Maciek. Czemu się przypatrywali z taką ciekawością? Otóż ekipie filmowej robiącej zdjęcia do serialu *Cztery pancerni i pies*. Jak wspominałem – mówił przewodnik – to miejsce inspirowało i było wykorzystywane do różnych celów. W znanym nam serialu udawało cmentarz polski pod Chełmem czy Lublinem. Kręcono tu scenę, kiedy Gustlik rozbraja Niemców w piwnicy grobowca. W tle widać niemieckie napisy, ale kto zwrócił na to uwagę? Ja nie, mimo że oglądałem ten film już wiele razy...

Magdalena zastanawiała się, kim był chłopiec, o którym, zapewne nie bez przyczyny, wspomniał muzealnik. Użył przecież nawet jego imienia.

– Kim był ten chłopiec obserwujący filmowanie? – Nie powstrzymała ciekawości.

– Wtedy zwykłym ciekawskim chłopakiem. Teraz to dorosły mężczyzna, dyrektor Muzeum Miejskiego Wrocławia, czyli mój szef.

Nawet uczniowie zachichotali.

Zatoczywszy nieregularne koło, zbliżali się do bramy wejściowej. Młodzież z Domu Edyty Stein kończyła swoje zajęcia przed nekropolią, wspólnie oglądali mapki, na których mieli po drodze zaznaczać różne miejsca, ale najpierw podziękowali przewodnikowi od tej chwili będącemu już po pracy. Muzealnik obejrzał się, ale nigdzie nie dojrzał jasnowłosej, która szła z nimi przez cały czas. Na pewno ich nie minęła, zauważyłby ją z pewnością na gołym placu – czyżby została na terenie cmentarza? Niezwykle zaciekawiła go ta kobieta o regularnych rysach i nosie czerwonym z zimna, ale niewielkim i zgrabnym. Kim była? Nie wyglądała na wolontariuszkę z Domu Edyty Stein, zresztą wtedy raczej by mu została przedstawiona. Uczennicą gimnazjum nie była z pewnością od co najmniej piętnastu lat. A więc skąd się tu wzięła? Zawrócił w stronę bramy kirkutu. Szedł pustymi alejkami, niespiesznie, ale uważnie rozglądając się wokół. A może jasnowłosa rzeczywiście wyszła, tylko jej nie zauważył? Nie, to niemożliwe. Musi tu gdzieś być.

Była. Stała pod ostatnim murem przy grobowcu rodziny

Kempnerów, zapatrzona w kolumny i umieszczone między nimi tablice z gotyckimi, niemieckimi napisami. Nie mogła widzieć mężczyzny, bo choć drzewa były bezlistne, lecz tutaj dość gęste i dodatkowo pookręcane splotami bluszczu. Brązowy szal kobiety pięknie komponował się ze złociście połyskującymi włosami. Widać było, że to ich naturalna barwa. Przewodnik zbliżał się, myśląc, jak zagaić. Wreszcie stanął obok bez słowa i przez chwilę trwał zapatrzony przed siebie.

Magdalena zauważyła go w ostatniej chwili, ale nadal patrzyła na grobowiec, choć ciekawa była mężczyzny. Myślała, że już sobie poszedł ze wszystkimi, tymczasem wrócił. Po co? Przecież nie po to, by popatrzeć na groby, oglądał je prawdopodobnie dziesiątki, jeśli nie setki razy. Gdyby coś zgubił, szedłby wpatrzony w ziemię. A on stał i milczał. Dziwny.

– Śląski łabędź – rzekł nagle.

Rozejrzała się dyskretnie, uznała jednak, że nie o ptaka tu chodzi.

– Friederike Kempner, poetka i pisarka. Nazywano ją „śląskim łabędziem” albo „żydowskim słowikiem”. Słyszała pani o niej?

Wreszcie odwrócił się w jej stronę i przyjrzał jasnej twarzy Magdaleny. Zastanowiła się krótko i potrząsnęła głową.

– Jest tu pochowana, podobnie jak jej matka, Żydówka polskiego pochodzenia. Ojciec pochodził ze Śląska. Friederike słynęła z utworów sprzedających się w niezwykle dużych nakładach, choć niektórzy, zgodnie lub niezgodnie z prawdą, za to złośliwie, twierdzili, że to jej rodzina je wykupuje, by te dzieła nie trafiały do innych ludzi. Wstydzili się jej. Głośny krytyk teatralny, Alfred, jej bratanek, do tego stopnia nie pragnął identyfikacji z ciotką, że zmienił nazwisko na Kerr.

– Taka z niej była zła poetka? – zainteresowała się Magdalena.

– Owszem. – Pokiwał głową. – Wyśmiewano ją bardzo. Podobno ukazywały się kalendarze, gdzie na jednej stronie zamieszczano jej wiersze, a na drugiej ich pastisze.

– To okrutne!

– Friederike nie przejmowała się tym. W swoich utworach, które uznawano za naiwnie komiczne, przekazywała wiele treści, na których jej zależało. Mogło ją tylko cieszyć, że docierały do szerokich rzesz

społeczeństwa.

– Cóż to za treści? – Magdalena nie potrafiła się domyślić, co też chciała przekazać ludziom niezbyt dobra poetka.

– Szalenie zainteresowana była problemami socjalnymi. Walczyła o poprawę w opiece społecznej, o prawa więźniów. Stawała po stronie wszystkich, którzy nie mieli dostępu do wykształcenia, opieki lekarskiej, protestowała przeciwko wiwisekcji. Dużo energii włożyła w dążenie do budowy kostnic. Bardzo bała się obudzenia w grobie.

– W czym miała pomóc kostnica?

– Przechowaniu zwłok do czasu absolutnego przekonania się, że człowiek nie żyje. Wymogiem był nie natychmiastowy, tradycyjny pochówek, lecz odczekanie co najmniej dwudziestu czterech godzin od stwierdzenia zgonu. Sama miała zaprojektowany specjalny grobowiec z otworami, by mogła oddychać, gdyby ocknęła się w trumnie. Dodatkowo zażądała przywiązania do jednej z kończyn sznurka zakończony dzwonkiem, biegnącego do budynku obsługi cmentarza.

– I co, spełniono jej życzenia?

– Miała więcej szczęścia. Była jedną z pierwszych osób, które po śmierci poddano kremacji. Gdy okazało się to możliwe, skwapliwie chciała skorzystać z takiej okazji. Magdalena obeszła z sympatycznym przewodnikiem jeszcze spory kawał cmentarza. Okazała się wdzięczną i uważną słuchaczką, niezłą obserwatorką, więc i jemu było przyjemnie spacerować bez zmuszania się do uśmiechów i wzbudzania na siłę zainteresowania. Z uczniami naprawdę nieraz miał kłopot, a tak zwana niegrzeczność sprawdzała się na ogół o wiele lepiej niż mówienie do nich, jakby stali za szklaną ścianą. Z rozmowy wywnioskował, że Magdalena znalazła się tu przypadkiem, jako zwykła zwiedzająca. Chociaż... im dłużej się jej przyglądał, tym mniej zwykła mu się wydawała.

„Chyba oszalałam!”. Magdalena biegła od przystanku tramwajowego w stronę przedszkola – nie pamiętała, czy kiedyś tak późno odbierała córkę. „Zwariowałam, po co podałam mu numer telefonu? Boże, a jeżeli zadzwoni przy Szymonie?”. Jakaż była nieostrożna... Choć w zasadzie przecież nie zrobiła nic złego.

Siostra furtianka dość długo nie otwierała bramki, w końcu zjawiała

się w oknie, na zwykłym stanowisku – pewnie wychodziła do toalety – więc Magdalena zadzwoniła jeszcze raz. Z tego pędu rozgrzała się wreszcie, nawet nos jej odtajał, zresztą w mieście było cieplej niż za murami kirkutu, z którego aż do placu Bema podwiózł ją pan Michał. Nie chciała jechać dalej, by ktoś nie zobaczył jej w samochodzie obcego mężczyzny.

Z drugiej strony – kto niby miałby się temu dziwić? Matek dzieci z przedszkola nie znała na tyle blisko, by mogły komentować, zresztą to mógł być jej kolega albo krewny... Zanim doszła do szatni, usiłowała znaleźć ze sto wytłumaczeń faktu, że nieznajomy człowiek ją podwiózł. Pod salą stwierdziła, że nikomu nic do tego, odetchnęła głęboko i otworzyła drzwi.

Gabrysia, wraz z kilkorgiem dzieci zebranych tu z całego przedszkola, siedziała po turecku na dywanie i oglądała telewizję. O tej porze w innych salach trwały już prace porządkowe, codzienne odkurzanie, mycie stolików, przy których przedszkolaki wykonywały prace plastyczne. Garstkę dzieci przyprowadzano do sali zerówki, oddając je pod opiekę jednej siostry czy świeckiej opiekunki. Magdalena, pełna poczucia winy, patrzyła na córkę, która wcale nie miała do niej żalu.

– Chociaż raz mogłam tak długo oglądać bajki! – cieszyła się.

W drodze do domu serce Magdaleny wróciło wreszcie na swoje miejsce, dzięki czemu łatwiej jej było oddychać i rozmawiać. W mieszkaniu sama dziwiła się własnym obawom – no i co z tego, że wstępnie umówiła się z kimś na kawę? To nie przestępstwo, a poza tym... Pewnie i tak nie zadzwoni!



## Kwiecień

Michał nie zadzwonił. Gdy nadeszły święta, Magdalena już nawet o nim nie pamiętała, pochłonięta przygotowaniami wielkanocnymi, a jeśli nawet na chwilę jej się przypominał, to obraz stawał się coraz bledszy, znikał jak rysunek na osłonecznionej szybie zaparowanej pod wpływem czyjegoś oddechu.

W sobotni poranek, który wreszcie przywitała prawdziwie wiosenna jasność i upragnione ciepło, od samego rana krzątała się po kuchni, szykując i pichcąc. Szymona dwa razy wysyłała do sklepu po zapomniane drobiazgi. Gdy wracał, pociągał nosem, wdychając aromatyczną, czosnkowo-wędzoną woń żurku, i nic nie mówił.

Zrobił się ostatnio jeszcze bardziej milczący. Patrzył z obawą, obserwując miny i spojrzenia żony. A dla niej, co na razie podświadomie wyczuwała gdzieś w głębi swojej skorupki, przestawał być centralną postacią życia. Zapragnęła BYĆ SOBĄ, podporządkowywać się teraz własnym, nie mężowskim, nastrojom, potrzebom, zachciankom. I choć miała lekkie wyrzuty sumienia, powodowane myślą o zbliżającej się samodzielności, to cieszyła się przedsmakiem wolności, jakiej oczekiwała. Zaczęło się jej to podobać. Odkryła w końcu, że Szymon nie jest centrum wszechświata – był nim jedynie dla niej, dla ich rodziny. Nikt więcej się nim nie przejmował, nie tańczył wokół jego butelki i ona także nie musiała. Chciała żyć dla siebie, nie rezygnować z przyjemności i pełni życia tylko ze względu na niego. Jak to mówiła Joanna, serwując jeden z cytatów poradnikowych? „Alkoholizm jest straszną chorobą, ale nie jest zaraźliwy”. Co to musi być za szczęście nie musieć ponosić konsekwencji czyjegoś picia! Właśnie z radością zaczęła to robić.

Obok żurku, z którego wyjęła już szynkę i kielbaski, na małym palniku bulgotały jajka, a Gabrysia, zaśmiewając się do łez, przypominała sobie głośno bajkę o wielkanocnym jajku, które mieszkało w lodówce do czasu, aż jakiś człowiek wyjął je stamtąd i usiłował ugotować. Jajo było łyse i białe, a choć odważne, to wpadać do waru ani myślało – broniło się ze wszystkich sił, jednak człowiek był silniejszy i w końcu wylądowało w ukropie. Mimo wielkiego strachu, we wrzącej wodzie nie tylko nie umarło, ale zmęźniało – zrobił się z niego prawdziwy twardziel.

Magdalena przysłuchiwała się słowom córki, odnajdując w bajce nowy sens.

Wiklinowy koszyk, przystrojony listkami, słonecznie pomarańczowymi wstążkami uformowanymi w kokardy i śnieżną, delikatną, ażurową serwetką, którą Magdalena zrobiła na drutach, co zdawało się jej niewykonalnym wyczynem, bo serwetki kojarzyły się jej zawsze z szydełkiem, stał w przedpokoju. Pachniał wędzonką, chrzanem i kiełbasą, których aromaty mieszały się najpiękniej z wonią świeżutkiej babeczki upieczonej specjalnie do święconki, aromatami chleba i słodyczy, cierpkim zapachem uciętych gałązek bukszpanu.

– Gabunia, myj łapy i się ubieramy! – zawołała Magdalena, gasząc gaz pod żurkiem i znikając w pokoju, z którego po kilku chwilach wyszła przebrana w wyjściową sukienkę.

Na dworze było cudnie, z przyjemnością przejdzie się do kościoła. Sprawdzi, czy na forsycjach w parku widać już pączki – a może nawet kwiaty?

– Córciu, gotowa? Wkładaj buty!

Z sypialni, w której ostatnio spędzał najwięcej czasu, zwykle przed telewizorem albo w łóżku z książką, wyszedł Szymon.

– Wychodzicie?

– Z koszyczkiem – odparła krótko Magdalena.

– Same?

– A co? – zdumiała się.

– Mógłbym... Mógłbym pójść z wami?

Spojrzała z takim zdumieniem, aż zrobiło się mu nieprzyjemnie. No tak, nigdy z własnej woli nie szedł do kościoła, w zasadzie rzadko gdziekolwiek wychodzili razem, we trójkę. Ale samotność, którą odczuwał mimo mieszkania pod jednym dachem z żoną i córką, zaczynała go dusić.

Magdalena wzruszyła ramionami:

– Jak chcesz.

Chciał, choć po takim „zaproszeniu” o wiele mniej.

W kościele świętego Michała Archanioła święcenia odbywały się bez przerwy między dziewiątą a siedemnastą. Ludzie nadciągali z różnych stron parafii, wystrojeni, chociaż zdarzały się też osoby

w brudnych spodniach czy ubrane w sportowym stylu. Minęły czasy, gdy wyjście do kościoła było uroczystością wymagającą odpowiedniej oprawy także w kwestii ubioru. Nie inaczej zresztą wyglądało to w przybytkach kultury.

Przez środek świątyni ciągnął się stół, przykryty białymi obrusami, na którym wierni stawiali koszyki pełne przysmaków i pyszności. Magdalenę szalenie śmieszyło to, że niemal każdy robił znak krzyża, gdy ksiądz błogosławił pokarmy – ludzie robili to bezmyślnie, powodowani owczym pędem, albo uznając, że lepiej za dużo niż za mało. Gabrysia, nauczona tego w domu i w przedszkolu, zęgnęła się tylko wtedy, gdy ksiądz błogosławił wiernych. To samo zresztą dotyczyło klęknięcia przed ołtarzem – większości współwyznawców nie przeszkadzało, że nie świeci się czerwone światełko, bo w tabernakulum nie ma Najświętszego Sakramentu.

Przed konfesjonałami ustawiły się kolejki długie niczym boa – ostatnia możliwość wyspowiadania się przed Wielkanocą. Magdalena była u spowiedzi podczas Drogi Krzyżowej, a Szymon nie zdobył się na to, jak dotąd, wcale. Nie reagowała i była z siebie dumna – to nie jej grzechy, nie jej sumienie, jak dobrze nie czuć się za kogoś odpowiedzialną!

Wrócili przez park – było pięknie i ciepło, ludzi nad stawem niewielu, jedynie Gabrysi było przykro, że nie spotkała Kacpra.

– Zadzwoimy do niego z życzeniami świątecznymi – obiecała jej mama, więc uspokojona dziewczynka tym szybciej zapragnęła znaleźć się w pachnącym i wiosennym domu, pełnym małych doniczek z hiacyntami i miniaturowymi żonkilami, ażurowych jajeczek pozawieszanych i poukładanych, gdzie się dało.

Nieprawdopodobne, jak szybko można zapomnieć o chłodzie i śniegu! Zaledwie dwa tygodnie wcześniej każdy chodził okutany w najgrubsze kurtki i szale, warunkiem wyjścia z domu było wzięcie czapek i rękawiczek, a teraz co odważniejsi wystawiali już ciało do słońca, choć upału jeszcze nie było. Ale drzewa zazieleniły się pierwszym, coraz bardziej śmiałym seledynem, krokusy w pełnym rozkwicie zapełniały całe połacie trawników, a prymulki i szafirki wystawiały świeżutkie listki w przydomowych ogródkach – w bardziej

nasłonecznionych miejscach pokazały już barwne płatki.

Wiosna zapanowała nad Wrocławiem, ciepłymi promieniami osuszając po zimie kamienice, place i parki. Gołębie usiłowały rozpanoszyć się na balkonie Magdaleny, jednak znalazła w końcu na nie sposób – bały się starych płyt CD wiszących na rozciągniętej wzdłuż balustrady żyłce. Ostatecznie nie zbudowały tu gniazda, czego najbardziej się obawiała – nie wyobrażała sobie, że mogłaby wyrzucić jajka, a tym bardziej wyklute pisklęta. Ucieszona, zostawiła kilka kręcących się i połyskujących w słońcu krążków rozsyłających wokół tęczowe refleksy.

Tego dnia, w końcu poświątecznego tygodnia, odprowadziła Gabrysię do przedszkola, a wróciwszy do domu, zamyśliła się głęboko, stojąc przed szafą pełną odzieży, targana odwiecznym dylematem kobiet – nie miała w co się ubrać!

Nie mogła wystroić się wieczorowo, bo umówiona była na środek dnia, z pewnością także niezbyt uroczyste, by człowiek, z którym miała się zobaczyć, nie pomyślał... By sobie czegoś nie pomyślał. Z drugiej strony sama dla siebie chciała strojem nieco podkreślić bądź co bądź wyjątkowość sytuacji. Ostatecznie zdecydowała się na bezpieczną oliwkową zieleń sięgającej za kolana sukienki, ładnie podkreślającej kształtność jej figury i smukłość rąk, a do tego miodowy szyfon na ramiona i krótkie, nieregularnie oszlifowane bursztyny na szyję – sukienka miała dekolt aż proszący się o krótki naszyjnik. Włosy zamierzała spiąć, jednak uznała, że tak dawno już nie nosiła ich rozpuszczonych, iż teraz powinna im pozwolić cieszyć się wiosną i swobodą.

Z okien tramwaju oglądała miasto pełne barwnej młodzieży. Co oni tu robią? Zastanawiała się, czy w południe nie powinni jeszcze być w szkole. Może mają tak krótko lekcje? Co prawda dochodziła już pierwsza... Na chodnikach, trawnikach i ławeczkach pełno było chłopców i dziewczyn, wystawiających blade twarze do wyczekanych po długiej zimie promieni. Zmęczeni już trochę nauką, ale radośni wiosną i ciepłem.

Magdalena dojechała do przejścia Świdnickiego i wysiadła z tramwaju. Wyszła na szeroką Świdnicką i skierowała się w stronę

opery. Ulica tutaj była właściwie deptakiem pełnym ludzi oglądających witryny sklepów i księgarń, rozglądających się za krasnalami, których nie tylko w Rynku, lecz także wokół niego było pełno. Szczerze mówiąc, Magdalenę znużyły już wrocławskie krasnoludki – zrobiło się ich za dużo, co chwila kolejne firmy fundowały sobie następnego. Nie sposób było cieszyć się nimi, poznawać kolejne historie, imiona. Zrobił się z tego „przemysł krasnoludzki”, który nie cieszył już tak jak wtedy, kiedy pierwsze posążki zamieszkały w jej mieście. Tym bardziej że w sprzedaży pojawiły się koszmarki w postaci pamiątek z Wrocławia – brzydkie figurki krasnali, książeczki o fatalnej szacie graficznej oraz okropnym, kiepsko rymowanym tekście, wyprodukowane wyłącznie w celach komercyjnych, nie sprawiały, że Wrocław pięknie się kojarzył – przynosiły zysk jedynie wydawcy. Niezmiennie rozbrajało ją tylko jedno z pięter w domu handlowym Renoma, na którego korytarzu urządzono stoiska z artykułami dla krasnoludków – cała galeria z ubraniami, sprzętami, nawet jatka w rozmiarze mini. Owiewana przez delikatny wiatr, doszła do ulicy Teatralnej, w którą skręciła i doszła do Teatru Lalek. Zanim go obeszła z prawej strony, by zagłębić się w czeluście restauracji, zatrzymała się przy fontannie. Ogarnął ją zwykły lęk, jak zawsze przed nieznanym, i jak zawsze poczuła winę, że zamiast teraz sprzątać, gotować albo po prostu być w domu, gdzie jej miejsce, beztrudno wybrała się na obiad. Z mężczyzną!

Rozejrzała się, jakby szukając ratunku – ale u kogo? U kota czy lisa – trudno to zgadnąć – na owalnej kopule fontanny? U Puszczej stateczki, Wierzbownika albo Ogrodniczki? To były także krasnale, lecz wyjątkowe – Krasnale w Wielkich Kapeluszach, które знаła nie tylko z tego miejsca, ale i z czarno-złotej książeczki o niewielkim formacie stojącej na półce blisko fotela, w którym lubiła zasiadać podczas lektury. Mimo roztaczanej wokół magii, nie były w stanie pomóc Magdalenie w podjęciu decyzji.

„Zrób coś dla siebie” – usłyszała z tyłu głowy głos Joanny.

„Ach, do diabła – zbuntowała się. – Nie robię nic złego, to będzie tylko obiad!”. I ruszyła wzdłuż ściany budynku w stronę restauracji Teatralnej.

Zeszła po oświetlonych słońcem schodkach i otworzyła drzwi... do

bajki.

Na wprost wejścia ujrzała drzwi do kolejnej sali, najpierw jednak zapragnęła rozejrzeć się po tej. Tuż po prawej zobaczyła bar, a właściwie dwa bary z wysokimi stołkami. Jeden był dość zwykły, choć z pewnością estetyczny i dobrze urządzone. Drugi przyprawił ją o zawrót głowy – znajdował się na suficie, umieszczony do góry nogami, odzwierciedlając to, co na dole, tylko pomniejszone, a na wysokich stołkach, sącząc drinki, siedziały koty. Cały sufit wyglądał jak bar i kawałek miasta, wraz z kamieniczkami, drzewami, latarnią i nawet koszem pełnym śmieci, które, na szczęście, nie sypały się na głowy gości restauracji.

Uśmiechnięta, zapatrzona i zachwycona, nie zauważyła, że od jednego ze stolików na jej widok podniósł się wysoki mężczyzna.

Michał. Zadzwoił i przyjechała.

– Dzień dobry – rzekł. – Mam nadzieję, że to miejsce pani nie rozczaruje.

– Rozczaruje? Skądże! – zapewniła gorąco i znów rozejrzała się wokół. – Tu jest niesamowicie! Co za szczęście, że właśnie tutaj mogliśmy się spotkać. Uwielbiam takie wnętrza z klimatem.

– Tak właśnie pomyślałem, patrząc na panią. Zapraszam zatem dalej, tam jest równie niezwykle.

Poprowadził ją do kolejnej sali. Z jej środka wyrastało niebieskopiennie drzewo, którego korę stanowiły błękitnomorskie przepiękne kafle, jakby przeniesione z jakiegoś oryginalnego pieca – widziała kiedyś takie cuda w muzeum w Elblągu – a korona tonęła w liściach. Sztucznych, ale to nie ujmowało im uroku. Spomiędzy gałęzi prześwitywały ptaki i motyle, z jednej zwisała pluszowa małpa.

– Och, muszę tu koniecznie przyjść z Gabrysią, będzie zachwycona! – Popatrzyła na swego towarzysza i wyjaśniła: – To moja córeczka.

– O, tak, to miejsce stworzone dla najmłodszych, proszę spojrzeć!  
– Chwycił ją za ramię i lekko obrócił w drugą stronę, gdzie znajdowała się wnęka z kartonowym czy może drewnianym zamkiem, poduchy do siedzenia i mnóstwo zabawek.

Cała restauracja wyglądała jak scenografia spektaklu dla dzieci.

Oprócz zwykłych stolików z eleganckimi krzesłami pod jedną ze ścian ustawiono kilka niskich stołów, z blatami w formie skrzyń, a raczej gablot, pod których szkłem widać było rekwizyty teatralne. Z pewnością zupełnie inaczej jadło się przy takim niezwykłym stoliku. Na ścianach wisiały obrazki, w każdym kącie coś nowego, interesującego, ładnego czekało na odkrycie. Każda rzecz była inna, ale tutaj tworzyły jedną, zgrabną całość.

– Proponuję przejść dalej, gdzie wnętrza przystosowane są raczej dla dorosłych – zaproponował Michał i, jak to przewodnik, poprowadził Magdalenę.

Weszli na posadzkę z czarno-białych, dużych rombów i minęli niewielkie pomieszczenie, na którego ścianach znajdowały się gabloty z marionetkami. Gdy ktoś nacisnął guzik poruszały się i wydawały różne dźwięki. Nad przejściami do kolejnych sal zawieszono kotary, czerwone i pluszowe niczym kurtyny.

Następne pokoje – trudno było je inaczej nazwać – zachwyciły Magdalenę jeszcze bardziej, choć nie sądziła, że to możliwe. Pierwszy – podłużny o ścianach wyłożonych srebrno-czarną tapetą, urządony był w kolorach czerwonym i czarnym, z wyjątkiem niewielkiego podestu w błękitach, na którym najprawdopodobniej siadali solenizanci, obchodzący w tym lokalu urodziny. Sądząc po rozmiarach, chodziło tu głównie, jeśli nie wyłącznie, o dzieci. Ale meble restauracyjne, kredensy i wieszaki były z pewnością przeznaczone dla dorosłych – masywne, wygodne, obite czerwonym aksamitem, niezwykle eleganckie. Wzdłuż jednej ściany przy każdym stoliku powieszono lustro, druga zaś schowana była za grubymi zasłonami.

Michał poprosił, by wybrała miejsce, w którym będzie się dobrze czuła i zasiedli przy stoliku na samym końcu. Dopiero tam Magdalena zorientowała się, że za czerwoną materią też znajdują się jakieś pomieszczenia. Wyjaśnił jej, że to bardziej kameralne sale z niskimi stolikami, właściwie ławami i miękkimi fotelami oraz sofami. Nie byłoby tam wygodnie jeść obiad. Przez szczelinę w kotarach udało się jej dostrzec jedynie fragment wieszaka z oksydowanego metalu i ramkę obrazu, wewnątrz której znalazły się srebrne sztucce: stare lub stylizowane na takie – łyżka, nóż i widelec zdobione ornamentami.

Początkowo była bardzo spięta, jednak jeszcze zanim przyniesiono pierwsze danie, fantastyczną zupę z borowików zapieczoną w kokilce pod ciastem, zasłuchała się w opowieści przewodnika, który bardzo dobrze znał nie tylko Muzeum Sztuki Cmentarnej, ale wszystkie inne należące do Muzeum Miejskiego Wrocławia. Opowiadał więc o swojej pracy, o mieście i ludziach, a Magdalena chłonęła to, powoli gubiąc sens, a wsłuchując się coraz intensywniej w melodię słów. Ten człowiek podobał się jej coraz bardziej. Zatrwożona tym z jednej strony, z drugiej jednak zuchwale podnosząc głowę, cieszyła się, bo widziała w jego spojrzeniu szczere zainteresowanie. Boże, kiedy Szymon czy ktokolwiek tak na nią patrzył? Bezpieczna za blatem stolika, uśmiechała się, pytała, odpowiadała, radowała chwilą, która, jak wiedziała, prędko minie.

Drugie danie ledwie w siebie wcisnęła. Michał – do którego, choć było to niedorzeczne, miała coraz większą ochotę mówić po imieniu – zaproponował królewską sakwę z jakiegoś pysznego mięsa wypełnioną smaczными warzywami. Było to wspaniałe w smaku, ale tak sycące, że poddała się w końcu. Z przyjemnością za to wypła pachnącą i wyśmienicie smakującą kawę.

Miło było widzieć kogoś, kto odwzajemnia spojrzenie, nie ucieka wzrokiem, wręcz przeciwnie, wyglądało, że spoglądanie jej w oczy sprawiało mu przyjemność. Chwilami sama nie była w stanie patrzeć, bo choć wymieniali uwagi głównie o historii Wrocławia i różnych niezwykłych, na co dzień pomijanych miejscach, to myśli Magdaleny odpływały w zgoła inne rejony. A w pewnej chwili myślała już jedynie o tym, czy skóra na jego skroni jest tak miękka, na jaką wygląda.

Przewodnik głębokim i ciepłym głosem opowiadał jej teraz o ogrodach Scholza, rozciągających się niegdyś na tych terenach, po których został jedynie niewielki park nad fosą, tuż obok Teatru Lalek.

– Jest tam plac zabaw dla dzieci. Była w nim pani kiedyś z córeczką?

– Nie, ale wobec takiej zachęty, muszę to koniecznie nadrobić!

– A może... – Zawahał się. – Nie wiem, czy ma pani jeszcze czas, ale może przeszlibyśmy się tam teraz?

Poszli. Zatrzymali się na chwilę tylko przy fontannie. Była czynna, więc owalną kopułę oblewała woda wypływająca spod parasola jednej



z postaci i z drzewa Wierzbownika.

– Niezwykłe, prawda? – Michał patrzył z taką dumą, jakby sam rzeźbił te krasnale. – To jeden z najpiękniejszych i najbardziej oryginalnych wodotrysków, jaki widziałem. Podoba mi się o wiele bardziej niż ten w Rynku. A tam, za ławeczką, jest jeszcze jeden krasnal, Ogrodnik.

– O, nie! – zaprotestowała Magdalena. – To Ogrodniczka!

Wydawał się zaskoczony, więc podeszli do niskiej, krępej postaci stojącej przy ciemnozielonym krzaczku.

– Proszę spojrzeć, nawet ma z tyłu warkocz. Artysta, który projektował fontannę, podobno tę postać wzorował w pewnej mierze na swojej żonie. Mylnie nazywa się ją Ogrodnikiem, skoro to dziewczyna.

Michał nie pierwszy raz z uznaniem pokiwał głową i ruszyli w stronę parku. Kuta brama była otwarta, więc zagłębili się pomiędzy stare platany i mnóstwo najróżniejszych roślin, które posadzono tu na wzór dawnego parku. Okolona kamiennym kręgiem fontanna z łabędziem nie była czynna, tak samo bażanciarnia – ogromne klatki stały puste, jakby zaniedbane – może jeszcze było za zimno, by trzymać tu delikatne ptaki?

Placyk zabaw dla dzieci rzeczywiście wyglądał na uroczy i ładnie oraz bezpiecznie urządzone, jednak Magdalena wiedziała, że największą atrakcją dla Gabrysi będzie stojąca niemal przy drugim wyjściu karuzela. Wspaniała, pełna koników ciągnących karety, niemal taka w jak w bajce o Mary Poppins, którą chętnie razem czytały. Na górze widniały oprawione w stylizowane ramy, kolorowe obrazki przedstawiające Wrocław w różnych epokach.

Michał podszedł do budki sprzedawcy biletów i wrócił z dwoma.

– Zapraszam.

„Zwariowałam” – pomyślała Magdalena. Mimo to wsiadła do karocy, czując się jak dziecko tuż przed rozpakowaniem prezentu. Mężczyzna usiadł obok niej, nawet jej nie dotknąwszy, lecz natychmiast poczuła ciepło płynące od niego – przez materiał sukienki przenikało aż do jej wnętrza, ogrzewając każdy, zmarznięty mimo pięknej pogody, mięsień. Karuzela ruszyła powoli, rozkręcała się coraz bardziej, a ona miała wrażenie, jakby ulatywała ponad parkiem, choć przecież wciąż

siedziała na miękkim siedzisku wirującej niezbyt szybko zabawki.

Przy wysiadaniu Michał podał jej rękę; dłoń miał suchą i ciepłą – tak ciepłą, że serce Magdaleny znów zadrżało, gdy uścisk trwał dłużej, niż musiał. Czyżby to poczuł? Przestraszyła się, bo mężczyzna nie wypuścił jej dłoni, więc przeszli kilka kroków, trzymając się za ręce. Nie wiedziała, co zrobić, bo z jednej strony czuła się niezręcznie, z drugiej... Wcale nie miała ochoty puszczać jego ręki.

Z trudem powstrzymując głośne westchnięcie, takie z głębi piersi, wysunęła w końcu dłoń z jego dłoni, czego nie powstrzymał, bo podeszli właśnie do stojącego obok kasy urządzenia do robienia waty cukrowej. Już po chwili ciepły wiatr porwał z patyka Magdaleny długie pasmo, które uniosło się niczym babie lato. Roześmiana, nawinęła je z powrotem i usiadła obok Michała na stylowej ławeczce na wprost karuzeli. A ta ruszyła, przy melodii okrzyków dziecięcych dochodzących z placyku zabaw i śpiewu ptaków pośród ledwie zielonych koron drzew. Słońce stało w najwyższym punkcie, oświetlając ludzi z dłońmi klejącymi się do drewniek, na które karuzelarz nawinął puszystą słodkość, i ich uśmiechnięte twarze z ustami lepkiemi od cukrowej waty.

Magdalena nie chciała, by mężczyzna ją odwoził. Nawet do placu Bema, jak poprzednio. Nie pozwoliła także odprowadzić się na przystanek. Ledwie się pożegnała, podając mu ocukrzoną dłoń i mamrocząc coś o godzinie zamknięcia przedszkola, właściwie uciekła z parku. Szybkim krokiem doszła do przystanku przy Wzgórzu Partyzantów i wskoczyła na stopnie jedenastki, która zjawiała się jak na zamówienie. Nie oglądając się za siebie, nie patrząc w stronę parku, w duszy poganiała motorniczego, by szybciej ruszył, zanim zupełnie przewraca się jej w głowie. Zanim wyskoczy z tramwaju i pobiegnie z powrotem w poszukiwaniu samochodu Michała.

– Pięknie wyglądasz, mamusiu!

Gabrysia przyglądała się zarumienionej matce, której wiatr rozwiewał włosy. Szyfonowy szal omal nie odfrunął z ramion Magdaleny, gdy szybko szła, prowadząc córkę za rękę. Nie miała ochoty na spacer, już się dziś nacieszyła słońcem i pogodą, ale i wracać do domu nie chciała, bojąc się reakcji Szymona na widok jej oczu. Musiała koniecznie zrobić coś ze sobą, by się nie zorientował, co się z nią dzieje.

Nie liczyła na to, że specjalnie się jej przygląda – o nie, te czasy dawno minęły – ale czuła, że na twarzy ma wymalowaną winę. Dlatego mimo zmęczenia, żwawo ruszyła do parku z łabędziami, gdzie pierwszą napotkaną osobą była Joanna – z nieodłącznymi Kminkiem i Kacprem.

Kacper złapał Gabę za rękę i pobiegli nad staw, nawet się nie oglądając, a Joanna rzuciła się z uśmiechem do powitań, jednak zatrzymała się o krok przed Magdaleną i przyjrzała jej twarzy. Coś się zmieniło, lecz nie mogła sobie uzmysłwić co.

– Co? – Zdezorientowana Magdalena zamrugła.

– Właśnie nie wiem. Fryzura i makijaż bez zmian. Sukienka piękna, ale to nie to. Co się zmieniło?

– A co się miało zmienić? Nic. – Wzruszyła ramionami, ale na jej policzki wypełził blady, intensywniejący z chwili na chwilę rumieniec.

– Skoro nic, to czemu się czerwienisz? Co jest, kochana? Jesteś w ciąży?

– Daj spokój. – Skrzywiła się tak wiarygodnie, że Joanna natychmiast odrzuciła myśl o ewentualnym rodzeństwie Gabrysi. Jednak promienie w oczach przyjaciółki i ogólny blask bijący od niej, zastanawiały bardzo.

Przez chwilę szły obok, milcząc i popatrując na siebie ostrożnie, wreszcie Joanna roześmiała się głośno.

– Poznałaś kogoś! – I nie zważając na niemrawe protesty koleżanki, wciąż wesoła, wypytywała:

– Kto to? Dawno się poznaliście? Gadaj, kochana, jak na spowiedzi!

Nie było o czym mówić. Przecież na dobrą sprawę Magdalena nawet nie знаła tego człowieka, nie przeszła z nim na ty, nie umówiła się na kolejne spotkanie – ot, zwykły obiad i spacer, nic się nie stało...

Dopiero wieczorem, kiedy pod prysznicem usiłowała zmyć z siebie zmęczenie i emocje całego dnia, powróciło do niej ciepło dłoni Michała. Żar, jaki ją ogarnął, gdy mężczyzna siedział obok, wrócił teraz ze zdwojoną siłą i nie chciał go ugasić nawet coraz chłodniejszy strumień wody, jakim polewała rozgorączkowane ciało, włosy, gładziła pełne piersi, o twardniejących teraz sutkach, i drżący gwałtownymi skurczami brzuch.

Z łazienki wyszła powolna i senna. Ze spokojem spojrzała na drzwi małżeńskiej sypialni, zza których nie dochodził żaden dźwięk, i położyła się w salonie, od kilku miesięcy będącym jej miejscem do spania.

Sny Magdaleny tej nocy związane były z wodą, krążyły pośród zimnych fal Bałtyku, przez który wpław rzuciła się wraz z Joanną. Przyjaciółki postanowiły dotrzeć do Szwecji i u jej wybrzeży, gdy morze zrobiło się zbyt zimne, by swobodnie pływać, dolewały sobie ciepłej wody z prysznicą, który sprytnie zabrały z Polski. Ciepło ogarniało Magdalenę coraz bardziej, jakby z prysznicą lał się ukrop, a przecież rzadko spotyka się na północy gorące prądy. Kręciła się więc w wodzie, usiłując znaleźć jakąś chłodniejszą falę, kiedy poczuła, że coś ciepłego otacza ją coraz bardziej, jakiś gorący kształt otula jej plecy i pośladki, zagarnia i przyciska do siebie gorącą macką... Ośmiornica w Skandynawii?!

Była tak zaskoczona, że z trudem dochodziło do niej, iż to był tylko sen. Prawdziwe było jedynie ciepło bijące od Szymona, który niepostrzeżenie zjawił się przy niej. Zdumiona tym, bardziej niż ośmiornicą w Bałtyku, zerwała się z posłania, dysząc. W półmroku, który rozświetlała jedynie słaba poświata latarni ulicznej, z trudem dostrzegała męża. Widziała jednak, że twarz ma napiętą i pełną oczekiwania. Pomrukując coś niezrozumiałego, usiłował przygarnąć ją do siebie, a kiedy zeszywniała, nie mając pojęcia, jak się zachować, na chwilę zaprzestał prób. Potem przysunął się bliżej, ułożył wygodniej i miękким ruchem znów próbował przytulić ją do siebie.

Teraz, gdy przestała już tego oczekiwać.

– Nie – szepnęła.

– Mam sobie iść? – Wyglądało, że nie mógł uwierzyć, więc zapytał jeszcze raz. – Mam odejść?

Magdalena ostrożnie i bez słowa wysunęła się z jego objęć, oddaliła, na ile to było możliwe, na drugi koniec łóżka i nadal milcząc, nie patrząc nawet w jego stronę, zastygła w bezruchu.

Szymon przez chwilę zastanawiał się, co zrobić, wreszcie gwałtownie, jak na sprężynie, zerwał się z pościeli i stanął obok niej. Przez chwilę oddychał ciężko nad jej głową.

– Wracam do sypialni. – Oświadczenie było ostatnią próbą dania

żonie szansy, by go zatrzymała. Nie zrobiła tego, więc podciągając spodnie od piżamy, powoli wyszedł z salonu.

I każde w swoim pokoju nie usnęło już do rana.

Miał wrażenie, jakby obudził się po długim śnie. Albo jakby wrócił z podróży, podczas której ktoś podmienił jego żonę na kogoś innego, kto wyglądał identycznie, lecz tylko z pozoru. Odwrotność żony ze Stepford.

Nie pamiętał swoich wojaży, tego, co działo się z nim, ale ona – ona była inna, obca. Zimna, jak nigdy wcześniej, kiedy z radością oczekiwała go i przyjmowała, ilekroć wyraził ochotę.

Co się z nią stało? W ostatnim czasie bardzo starał się być uważny, by jej nie denerwować. Miała żal, że wtedy wypił – kurczę, no zdarza się i w najlepszej rodzinie, jak to mówią. Nie rozumiał, dlaczego akurat tak się czepiła, ale naprawdę próbował jej dogodzić. Skupił się na pracy i na tym, by w drodze powrotnej nie skręcić do knajpy albo do sklepu monopolowego. I co? To widać za mało, by pani była zadowolona.

Przewracał się z boku na bok, to odrzucając kołdrę, to znów szczelnie się nią okręcając, raz zlany potem, za chwilę drżący. Nie mógł uwierzyć, że tak po prostu go odrzuciła! Coś musiało się wydarzyć. Skądś wzięły się zmiany, nagły upór Magdaleny, z którym nie potrafił sobie poradzić. Nigdy nie zachowywała się jak żona z dowcipów reglamentująca mężowi seks.

I po co próbował, po co się starał, skoro jej wcale na nim nie zależy? Jasna sprawa, do czego naprawdę go potrzebuje. Ona nie chce męża, mężczyzny, wystarczy jego portfel!

Poirytowany zerwał się z pościeli i podszedł do okna. Niebo, choć jeszcze ciemne, nocne, lekko jaśniało już nadciągającym porankiem. Latarnie świeciły, mdłym blaskiem rozjaśniając ulicę i budynki naprzeciwko, parkan warsztatu samochodowego i ścianę starego kina, z majaczącymi w coraz jaśniejszym powietrzu kozłem i diabłem.

Szymon wyszedł bardzo wcześnie. Krótco przemieszczał się między pokojem, kuchnią i łazienką, wreszcie usłyszała trzaśnięcie drzwi. Pomarańczowe cyfry zegara na dekoderze telewizyjnym świeciły, wskazując piątą trzydzieści. Dopiero teraz trochę się rozluźniła, ułożyła wygodnie i wreszcie Morfeusz utulił ją w swych ramionach, kołyszając lekko i bez snów.

Spała tak mocno, że z trudem usłyszała dzwonek budzika przed siódmą. Nie miała najmniejszej ochoty wychodzić z łóżka, jednak poczucie obowiązku zwyciężyło – Gabrysia musiała zdążyć na śniadanie do przedszkola.

Kwiecień wciąż dopieszczał pogodą, więc wyjścia z domu stały się prawdziwą przyjemnością. Magdalena odprowadziła Gabę do sali i wyszedłszy na zewnątrz, zatrzymała się w ogrodzie siostry Marianny. Krzewy róż posadzone wokół figury świętego Józefa miały już małe listki, inne rośliny przyoblekły się w zieleń – sama nie wiedziała kiedy. Jakby jednego dnia były nagie, a następnego nagle całe w liściach. Czarodziejka wiosna to sprawiła. Magdalena uśmiechała się w duchu i przeszła na drugą część placu zabaw, przeznaczoną dla starszych grup, z trochę wyższymi huśtawkami, zjeżdżalniami i łańcuchową siatką do wspinaczki. Wierzba, zwieszająca swe włosy nad garażem, w którym siostry trzymały samochody – bus i osobowy – również wystroiła się w młodziutkie liście. Jeszcze trochę i siostra dyrektor bez obaw, że zostanie zauważona, przy szeroko otwartym oknie będzie mogła znów wysłuchiwać opowieści spod cisu. Na myśl o tym Magdalena roześmiała się w głos. Dawno już nie widziała paniusi z Bilansikiem – może dziecko z przedszkola odbierał ojciec albo niania? – ale wcale się tym nie martwiła, przeciwnie. Teraz miała ochotę spotykać się wyłącznie z osobami, które nie wyprowadzały jej z równowagi, nie irytowały, takimi, które – jakkolwiek to zabrzmie – mogły służyć, a nie szkodzić jej równowadze.

Podeszła do grotty z Matką Bożą – przed nią woda, wypływająca spośród kamieni, gromadziła się w niewielkim oczku. Wokół rosły wiosenne żółte, fioletowe i białe kwiaty, a kolejne już szykowały się do kwitnięcia. Złożyła ręce i na dłuższy czas zastygła w niemej modlitwie.

Błękitny Kuferek, z witryną wciąż pełną pisanek, żonkili, jajeczek i baranków, przyciągał Magdalенę jak magnes. Było jeszcze wcześniej, właścicielka otwierała go o dziesiątej, czyli za jakieś czterdzieści minut, lecz ona zapragnęła stanąć choćby przed wystawą. Haftowana makatka na drzwiach informowała o godzinach otwarcia, tych co zawsze, a wystawa nęciła włóczkami i różnymi drobiazgami, na widok których Magdalenie błysnęły oczy. Patrząc na nowe włóczki, których tutaj dotąd

nie było, ułożone tuż przy oknie, na widocznym z zewnątrz fragmencie regału, przypomniała sobie dawny, z jakichś przyczyn zarzucony pomysł na patchwork. Zwykle wybierała kolorystykę stonowaną, zgaszoną, prostą. Ten zaś jawił się w jej umyśle jako barwny kocyk, z regularnych kwadratów wykonanych szydełkiem z pistacjowej, granatowej i niebieskiej włóczki. Wesołym szaleństwem wydawało się dodanie do tego mocno pomarańczowych czworokątów, ale na to chyba jeszcze nie była gotowa. Tym bardziej że miałyby powstać nie kocyk, ale rozpinany sweter. Tak, przód i tył z większych kwadratów, a rękawy z mniejszych albo może w poziome szerokie pasy? Jeszcze zobaczy. Jednak decyzja została właśnie podjęta – szkoda tylko, że jeszcze nieczynne, najchętniej siadłaby do robótki natychmiast...

Zanim przebrzmiała ta myśl, drzwi pasmanterii się otworzyły i wyjrzała zza nich właścicielka.

– Pani Magdaleno! Jak dobrze, że panią widzę, właśnie dziś miałam dzwonić!

Zaskoczona kobieta dała się wprowadzić, niemal wciągnąć, do Błękitnego Kuferka i zanim się obejrzała, siedziały między sklepem a zapleczem na wygodnych, wiklinowych krzeselkach, pijąc herbatę i umawiając się na wspólne wyjście.

– Przyszłam dziś wcześniej, żeby przygotować się do jarmarku, chcę wziąć trochę wyrobów, które robiła ta moja znajoma... opowiadałam pani – ta od aniołków i żonkili. W piątek wybieram się na ekójarmark, pomyślałam, że i pani zechce się wybrać.

Magdalena nie miała pojęcia, o czym mówi pani Beata. Jaki ekójarmark i co ona mogła mieć z tym wspólnego?

– To coś w rodzaju jarmarku bożonarodzeniowego, tylko na mniejszą skalę. Wystawiają tam producenci i sprzedawcy różnych ekologicznych wyrobów. Naturalnych. Przyjeżdżają wytwórcy zdrowej żywności, biżuterii, zabawek – wszystkiego, co wykonane z darów natury, bez sztuczności. Kiedyś odbywały się na placu między tym kościołem z mostkiem czarownic a ulicą Wita Stwosza. Teraz kramy rozstawiane są na placu Nowy Targ. Pomyślałam, że mogłaby pani pójść ze mną, bo szukam różnych ciekawych rzeczy, które mogłabym sprzedawać tutaj, a będą wytwórcy ręcznie robionych dzianin

z naturalnych włóczek, może któremuś spodobałyby się pani ciuszki? W zeszłym roku poznałam człowieka, który szukał ciekawych wzorów, może teraz też będzie? Przecież ponczo, które pani zrobiła ostatnio, albo te cudeńka dla córki – koniecznie powinna pani je komuś pokazać! I wszystko z wełny lub bawełny. Tych z mieszanek akrylowych najwyżej pani nie weźmie.

Oszołomiona Magdalena zgodziła się na wspólne wyjście. Pani Beata obiecała podjechać po nią samochodem, żeby nie targała wielkiej torby komunikacją miejską, więc teraz pozostało już tylko wybrać rzeczy, które chciałyby pokazać. Do domu wróciła jak na skrzydłach, z bardzo nieśmiałą, ale z godziny na godzinę rosnącą nadzieją w sercu. To było uczucie, które bez trudu przebijało się przez jej skorupkę!

Niepokój rodzący się w Magdalenie po nocnym spotkaniu z mężem został chwilowo stłumiony przez radość oczekiwania na jarmark – wiązała z tym duże nadzieje, bo gdyby ktoś rzeczywiście zainteresował się jej projektami, mogłaby tym zarabiać, co było prostą drogą do uniezależnienia się od Szymona. Aż tak daleko nie sięgała teraz w marzeniach, ale cieszyła ją sama możliwość spróbowania – to lepsze niż siedzenie w domu i oczekiwanie na cud.

W końcu jednak, gdy popołudnie minęło, Gabrysia wróciła już z przedszkola, a Szymon wciąż nie wracał, Magdalena znowu myślała o nim bez przerwy. Martwiła się, bo czuła, że sprawiła mu przykrość, choć to było głupie, bo on nieraz ją odtrącał i nigdy nawet nie przyszło mu do głowy, by przeprosić czy jakoś załagodzić sprawę. Tymczasem ona po raz pierwszy w życiu nie miała ochoty na seks z mężem, ale czuła teraz ogromne wyrzuty sumienia. Nie wiedziała, jak Szymon zareaguje – z pewnością jest obrażony, w końcu zraniła jego męską dumę (co ciekawe, nie myślała o tym, gdy niejeden raz podczas kłótni, sycząc, wyzywała go od impotentów). Zastanawiała się, czy obraził się do tego stopnia, by nie wrócić do domu, czy raczej wróci. Ale w jakim stanie? Krążyła między kuchnią a pokojem, nie wiedziała, co ze sobą zrobić, czym zająć ręce. A na konstruktywne działanie, wzięcie się chociażby do szydełka, nie miała głowy.

Gdy w zamku zazgrzytał klucz, było już po bajce, więc Gaba leżała w swoim pokoju i wsłuchiwała się w płytę ze słuchowiskiem dla dzieci.



Magdalena, ogarnięta nagłym lękiem, nie miała odwagi pójść do przedpokoju. Siedziała przy stole, przed włączonym telewizorem, ale nic nie widziała ani nie słyszała.

Szymon przez chwilę pohałasował, rozbierając się, odkładając teczkę i klucze, trzasnął niezbyt głośno drzwiami do łazienki i po tym, jak umył ręce, wszedł do salonu. Tak bardzo bała się na niego spojrzeć, że nie była w stanie poruszyć głową. Podszedł z drugiej strony stołu i półgłosem, przeraźliwie spokojnie, powiedział:

– Jestem głodny.

Magdalena ze świstem wciągnęła powietrze i wciąż bojąc się spojrzeć mu w twarz, pobiegła do kuchni. Zapaliła gaz pod kapuśniakiem, po czym wyjęła talerz z szafki. Zamieszała w garnku, położyła dwie kromki na ceracie stołu. Nalała ciepłej już zupy, a obok talerza położyła łyżkę. I ostrożnie weszła do pokoju.

Salon wyglądał jak zwykle, wysprzątanym i schludnym, zasłony wisiały równo, tak samo jak narzuta na wersalce i każdy z obrazków na ścianie. Jedynym elementem niepasującym do całości była stojąca przy piecu suszarka do ubrań. Magdalena, nauczona przykrym doświadczeniem, gdy kilka sztuk markowej, nie najtańszej odzieży znikło jej ze strychu, a jedną z bluzeczek Gabrysi znalazła w kurzu na podłodze wspólnej suszarni, nie wieszła już tam ubrań. Od wiosny do jesieni suszyła je na balkonie, a zimą na rozkładanej suszarce. Piece w mieszkaniu mieli kaflowe, z elektrycznymi grzałkami, więc nie było potrzeby nosić węgla, a miłe ciepło nawet długo po wyłączeniu wydobywało się z kafli.

Szymon siedział przy stole, z przedramionami opartymi o blat i wyprostowanymi plecami.

– Nalałam zupy – powiedziała cicho.

Albo nie dosłyszał, albo udawał, że nie słyszał, bo milczał nieporuszony. Powtórzyła więc głośniejszym głosem, wówczas podniósł się i ze zmrużonymi oczami podszedł do niej. Stał tuż przed żoną z taką miną, że struchlała i cofnęła się gwałtownie, wpadając na suszarkę. Szymon roześmiał się nieprzyjemnie.

– No widzisz, trzeba było to sprzątnąć! – prychnął głośno i ruszył do kuchni.

Magdalena, z obolałym ramieniem, na którym od razu zaczął wykwitać siniec, pozbiierała się, ustawiła suszarkę, odruchowo zebrała suche rzeczy i odłożyła je na krzesło. Nie pamiętała, by kiedyś aż tak bała się Szymona. Co się z nim dzieje?! Był nienaturalnie opanowany, spokojny takim strasznym spokojem.

Masując ramię, podeszła do drzwi kuchni. Szymon siedząc bokiem do drzwi, jadł kapuśniak, który chyba bardzo mu smakował, bo sapał i pomlaskiwał z zapalem. Gdy ją zauważył, skrzywił się, co miało chyba imitować uśmiech i wrócił do jedzenia, jeszcze bardziej ostentacyjnie mlaskając i siorbiąc. Nie znosiła tego, o czym doskonale wiedział.

Wściekłość, która nagle ogarnęła kobietę patrzącą na męża, spowodowała, że przez chwilę nie była w stanie wydusić z siebie słowa. Oddychała ciężko, przyglądając się spokojnemu, głupio uśmiechniętemu Szymonowi i wreszcie docierała do niej świadomość, że nie jest trzeźwy. Dotąd nigdy nie był specjalnie agresywny, tym razem jednak najwyraźniej szukał powodu do sprzeczki, prowokował tym idiotycznym uśmieszkiem, durnymi minami.

Nie myśląc o tym, jak to się może dla niej skończyć, podeszła i zanim zdążył zareagować, zabrała mu talerz z resztką zupy.

– Najedz się tam, gdzie się napiłeś – warknęła i odruchowo się cofnęła, bo zaczął się podnosić. Przez chwilę stał, patrząc na nią z obrzydzeniem, na tyle blisko, że poczuła nikłą woń alkoholu. Odstawiła talerz na szafkę przy kuchence i wysunęła brodę do przodu:

– No! To tak wygląda twoje niepicie, twoje leczenie, tak?!

– Ty... – wymamrotał, lecz nie dokończył.

Jeszcze bardziej zmrużył oczy, zbliżył się do niej z wyrazem takiego obrzydzenia i złości na twarzy, aż się cofnęła, wciąż jednak trzymając podniesioną głowę. Każdy mięsień jej ciała był naprężony jak struna, wystarczyło go potrącić, a pękłby w sekundę. Szymon nie dotknął jej, podszedł tylko bliźutko.

– Wiesz, jaka jesteś? Po-je-ba-na! – wycedził.

I wyszedł, po drodze chwyciwszy płaszcz i teczkę z laptopem. Drzwi o mało nie wyleciały z zawiasów, tak nimi trzasnął.

Magdalena przez chwilę trwała w bezruchu. Ręce jej się trzęsły, broda drżała, a zbyt długo napięte z nerwów mięśnie, rozboleły ją

w jednej chwili. Oparła się tyłem o kuchenkę, przyłożyła trzęsące się dłonie do skroni i stała tak, sama nie wiedząc jak długo. Potem przeszła do łazienki, by umyć twarz. Nie chciała patrzeć w lustro, bo wiedziała, kogo tam ujrzy – kobietę, która podjęła kolejną decyzję.

Następna noc, jak i poprzednie nasycona smutkiem, długa, wlokąca się bez końca, pełna wspomnień krzywd i łez, wreszcie ustąpiła wesołemu porankowi. Wesołemu dla Gaby, która przespała atrakcje z ojcem przed kilkoma dniami, wesołemu pewnie też dla innych ludzi – lecz dla Magdaleny ten ranek był ponury i przykry. Cieszyła się tylko z wiosennego słońca, bo było świetnym pretekstem do ukrycia za ciemnymi okularami zapuchniętych oczu. Nie miała ochoty na robienie makijażu ani żadne specjalne stroje. Było jej niedobrze, czuła dreszcze, a siniejące miejsca na ręce i po lewej stronie na żebrach bolały ją bardziej niż wczoraj.

Zaprowadziła Gabrysię do przedszkola, z którego szybko umknęła i zamiast wracać do domu, poszła do tramwaju jadącego przez plac Jana Pawła II. Zanim z niego wysiadła, dość długo stał przed skrzyżowaniem, więc zza ciemnych szkieł przyjrzała się uważnie odświeżanym kilka, a może już kilkanaście lat temu pomnikom i niezwyklej fontannie między nimi. Latem leciała z niej woda, a zimą spływały kaskady srebrzystych światełek. Alegoria Walki i Zwycięstwa przedstawiała Samsona walczącego, a później siedzącego na pokonanym lwie. Pomniki były ogromne; odkąd pamiętała, zawsze napawały ją wielkim podziwem. Kiedyś, chodziła wówczas do pierwszej klasy szkoły podstawowej, przejeżdżała tędy ze swoją klasą. Jedna z koleżanek, widząc – czarne wówczas – kamienne pomniki, powiedziała, że to jej tatuś rzeźbił. Ależ się wtedy wszyscy uśmiechali! Oczywiście, nikt w to nie uwierzył, ale do dziś, choć minęło już dobrze ponad dwadzieścia lat, ilekroć znalazła się w okolicy, Magdalena zawsze przypominała sobie jasną, uśmiechniętą twarz Kaśki Sobczak.

Tramwaj dotarł wreszcie do przystanku i dopiero teraz, gdy już wysiadła, kobiecie przyszło do głowy, że powinna była najpierw zadzwonić – bo jeśli na przykład dziś czynne jest dopiero od południa? Przez chwilę nie mogła się zdecydować, czy iść, dokąd zmierzała, czy skręcić na przystanek w powrotną stronę, ostatecznie jednak skierowała

się w dół, do przejścia pod placem. Było tam strasznie ponuro, śmierdziało moczem i papierosami, zupełnie jak w jakiejś melinie.

Jak najszybciej skierowała się na odpowiednie schody i wspięła się po nich wyjściem obok wyższej szkoły muzycznej. Z pootwieranych okien dochodziły dźwięki skrzypiec i saksofonu. Ruszyła dalej, minęła wejście do szkoły i idąc wzdłuż ciemnego budynku, dotarła do wysokich drewnianych drzwi, opatrzonych tabliczką z napisem: Poradnia Zdrowia Psychicznego i drugą pod spodem: Poradnia Leczenia Uzależnień i Współuzależnienia.

Powoli, jakby ważyła sto kilogramów, uniosła stopę i postawiła ją na kamiennym progu. Zebrała w sobie jeszcze trochę siły i z wielkim trudem przeniosła ciężar ciała. Druga noga zawisła przez chwilę w powietrzu, więc Magdalena dostawiła ją do pierwszej, zastanawiając się, czy wystarczy jej sił, by nacisnąć klamkę.

Ktoś, kto wychodził z budynku, wyręczył ją w tym – jakiś mężczyzna, widząc stojącą na progu Magdalенę, cofnął się do środka i przytrzymał drzwi, czekając aż wejdzie.

Wspięła się po kilku schodkach i po przekroczeniu szklanych drzwi skierowała się do rejestracji. Tam wyjaśniono jej, że punkt konsultacyjny znajduje się na drugim piętrze w pokoju 310 i tak, dziś jest czynny od rana. Poświęciwszy większość sił na przekraczanie progu, weszła do windy, która zawiozła ją na miętowozielony korytarz. Wysiadła na górze pionowej litery T, jaką tworzył, ominęła krótkie, lewe ramie poprzeczki, nie skręciła też w prawe, lecz poszła prosto, kierując się do otwartych szklanych drzwi na wprost. Na dwóch krzesłach siedziały kobiety, obok wejścia do pokoju 310 stał mężczyzna. Magdalena zapytała, kto jest ostatni, i kiedy rękę uniosła jedna z milczących kobiet, wiedziała, że będzie wchodziła po niej.

Ta część korytarza za szklanym przepierzeniem wydawała się jaśniejsza od poprzedniej, ale Magdalena uzmysłowiła sobie, że to kwestia światła – w dłuższej, pustej części, gdzie znajdowało się kilkoro drzwi, w tym jedne prowadzące na schody, było zgaszone. Tu była włączona górna lampa, która rozlewała na oczekujących żółtawy, ciepły blask.

Zaległa cisza, w której na dźwięk otwieranych drzwi kobiety,

w tym i Magdalena, drgnęły. Chudy, ogorzały człowiek wyszedł, a jego miejsce zajął oczekujący mężczyzna, któremu Magdalena nie zdążyła się nawet dobrze przyjrzeć. Właściwie jej nie obchodził, za to ukradkiem popatrywała na siedzące kobiety. Kim były? Żonami alkoholików, niepotrafiącymi sobie poradzić bez pomocy, czy same borykały się z problemem z piciem? Obie miały poszarzałe twarze i oczy w czerwonych obwódkach o podobnym spojrzeniu. Różniły się jedynie strojem – jedna elegancka, ze świetnie dobranymi dodatkami sztywnego kostiumu i bucikach na obcasie, druga w czarnych dżinsach i błękitnej koszuli z grubego płótna, ze skórzanym plecakiem na kolanach.

Zanim weszła, Magdalena zdążyła nauczyć się na pamięć każdego szczegółu garderoby czekających wraz z nią kobiet, a potem jeszcze kolejnych ludzi, którzy przyszli za nią. Tkwiała pod drzwiami ponad godzinę, a i tak miała szczęście, bo później ogonek czekających urósł znacznie.

Do punktu konsultacyjnego weszła spokojna i zmęczona. Kobieta, która wpuściła ją po pożegnaniu poprzedniej osoby, była niska, raczej drobna i miała ciemnorude, asymetrycznie obcięte włosy. Uważne spojrzenie, jakim obrzuciła Magdalенę, w zwykłych warunkach pewnie wzbudziłoby w niej irytację, tu jednak uspokoiło ją, bo natychmiast nabrała przekonania, że znalazła się pod opieką osoby uważnej i kompetentnej. Kiedy później o tym myślała, dziwiła się natychmiastowemu zaufaniu, jakim obdarzyła panią Jagodę, ale tak się po prostu stało i już.

Usiadła przy biurku, za którym tyłem do okna siedziała konsultantka i zanim cokolwiek powiedziała, rozejrzała się po gabinecie. Był niewielki, wyposażony w szafę z książkami i doniczkowe kwiaty na parapetach. Na stole, raczej pustym, z wyjątkiem pojemnika z długopisami i równo ułożonej, niewielkiej sterty dokumentów, leżało kartonowe opakowanie chusteczek higienicznych, takie z dziurą pośrodku, z której wystawał rożek papierowej chustki. Na jej widok z oczu Magdaleny polał się nagły i niepohamowany potok łez. Siedziała bez słowa, tylko siąkając nosem i pochlipując. Wreszcie sięgnęła do własnej torebki po chusteczkę i usiłując otrzeć łzy nieustannie płynące

z jej oczu, próbowała złapać oddech, co przychodziło z trudem. Wreszcie opanowała się trochę i podniosła zapłakaną twarz.

Kobieta po drugiej stronie biurka, z brodą opartą na palcach dłoni, milczała, patrząc na Magdalенę. Zobaczywszy, że ta wraca do równowagi, wysunęła brodę do przodu i zmarszczyła w zamyśleniu brwi. Uznała, że jej gość będzie już w stanie mówić, więc przedstawiła się jako terapeutka i pomalutku zaczęła od podstawowych pytań, a odpowiedzi zapisywała w kwestionariuszu. Na zaniepokojone spojrzenie Magdaleny wyjaśniła, że to tylko biurokratyczny obowiązek – musi wiedzieć, z kim rozmawia i jak wygląda sytuacja, ale to wszystko. Później pytania zaczęły zmierzać w stronę zasadniczego problemu.

– Uderzył panią?

– Nie. Ale przestraszyłam się i upadłam na suszarkę do ubrań. O, takie mam sińce. – Podciągnęła rękaw. – Nie uderzył mnie nigdy. Nie jest do tego zdolny. On tylko nie potrafi nie pić.

Terapeutka pokiwała głową, ale nie rzekła nic, poza: „Aha”. Potem zaczęła wypytywać o szczegóły, o to, kiedy Magdalena uznała, że picie męża zaczęło jej przeszkadzać.

– Uświadomiłam to sobie zeszłej jesieni, ale... Ale tak naprawdę to chyba trochę wcześniej.

– Trochę wcześniej. Aha... – Jagoda znów pokiwała głową. – Kiedy?

– Jakieś... Jakieś siedem lat temu...

Siedem lat temu. Właśnie wtedy, na samej końcówce ciąży z Gabrysią, w dziewiątym miesiącu. Zmęczona i ociążała, najchętniej nie wychodziłaby wtedy z domu, a do porodu brakowało jeszcze trzech tygodni, według tego, co wyliczył lekarz. Magdalena miała nadzieję, że to będzie wcześniej. Torba z rzeczami do szpitala oraz druga, z ubrankami i pieluszkami dla dzidziusia, dawno stały przygotowane, a ona czuła się już na tyle gotowa – i na tyle zmęczona – że z radością zaczęłaby rodzić w każdej chwili.

Wtedy właśnie Szymon przyjął zaproszenie Tomasza, niewidzianego od długiego czasu przyjaciela z podwórka, który przyjechał akurat po długiej nieobecności z zagranicy.

Wybrali się razem, samochodem, bo skoro poród mógł nastąpić

w każdej chwili, należało się liczyć z koniecznością szybkiego podjechania do domu po torbę i kursu do szpitala. Magdalena z niechęcią przyjęła fakt, że Szymon skorzystał z zaproszenia kolegi na spróbowanie „dosłownie kieliszeczka” jakiejś zagranicznej wódki, którą tamten przywiózł.

Najpierw myślała, że zanim się pożegnają, po tym kieliszeczku w organizmie Szymona nie zostanie nawet ślad i była dość spokojna. Potem zaczęła się niepokoić wyjściami panów z pokoju. Gdy znikali w innym pomieszczeniu, towarzyszyła jej młodzianka brunetka w obcisłych ciuszkach, która, wszystko na to wskazywało, była partnerką Tomasza. Choć w ocenie Magdaleny mogłaby równie dobrze być jego młodszą o dziesięć lat siostrą. Jednak to jej nie obchodziło, w przeciwieństwie do coraz bardziej błyszczących oczu Szymona i szalonego humoru, który go ogarnął. Początkowo zrzucała to na karb radości ze spotkania z dawno niewidzianym kolegą, jednak gdy nie udało mu się trafić na fotel, zrozumiała, że musieli popijać coś ukradkiem, gdy wychodzili.

Szymon upił się wtedy tak straszliwie, że w końcu nie mógł ustać na nogach. Gospodarz i brunetka także nie wylewali za kołnierz, co skończyło się ogromną awanturą między nimi. Magdalena, jedyna trzeźwa w tym towarzystwie, czuła się jak idiotka pośród trojga pijaków, więc kiedy szczupła dziewczyna zaczęła agresywnie pokrzykiwać i na Tomasza, i na Szymona, wezwała taksówkę i z wielkim trudem sprowadziła męża po pięciu schodkach wysokiego parteru, na którym mieszkał kolega. Wepchnęła Szymona do samochodu i modliła się, by jak najszybciej dotarli do domu. Teoretycznie nic nie stało na przeszkodzie – była prawie druga w nocy, ulice puste – jednego tylko nie wzięła pod uwagę. Szymonowi zebrało się na mdłości. Gdy kierowca się zorientował, co za chwilę może się stać z tapicerką, wyprosił ich z taksówki. Wysiadła z trudem, zmęczona i wściekła, wywlokła też męża, który zrobił się miękki i nie współpracował. Aż kierowca poczuł się zmuszony do reakcji – wyciągnął mężczyznę z samochodu i oparł o znak drogowy pod estakadą na placu Powstańców Warszawy. Od Magdaleny zainkasował należność, na odchodnym spytał retorycznie, po co jej taki pijak, i odjechał.

Całą drogę do domu Magdalena błagała Szymona, by spróbował się utrzymać na nogach. Kiedy skończył wymiotować pod znakiem, trochę ciągnęła, trochę popychała, bo wiedziała, że go nie podniesie, jeśli się przewróci. Sama ociężała, z wielkim brzuchem – jak się potem okazało – dokładnie tydzień przed porodem, szła z trudem, walcząc z prawie bezwładnym ciałem męża. Wściekła, bez możliwości sensownego rozwiązania tej sytuacji – bo przecież żaden taksówkarz, po którego by zadzwoniła, nie zgodziłby się, by wsiadła z człowiekiem w takim stanie – zaciskała zęby i kierowała zataczającego się Szymona w stronę domu. Zdołała jeszcze wwlec go po schodach, ale już w przedpokoju, zapłakana, zła i straszliwie wycieńczona, zostawiła go na podłodze, a sama padła na łóżko, najpierw umywszy jedynie ręce.

– Dlaczego prowadziła pani męża do domu, choć mogło to zagrażać pani i dziecku, gdyby na przykład wywrócił się na panią? – spytała terapeutka.

– Nie mogłam go zostawić na ulicy! Przecież to mój mąż.

Potem rozmawiały jeszcze przez jakiś czas. Magdalena opowiedziała o różnych sytuacjach, które miały miejsce, o nieudanej próbie uzyskania sojusznika w Helenie, o swoim wstydzie i strachu, powodujących, że nawet bliskim – mamie i tacie – nigdy nie powiedziała, jak w rzeczywistości wygląda jej życie u boku Szymona, a podczas rodzinnych spotkań tylko uśmiechała się na pokaz.

Jagoda kiwała głową, mrużąc swoje „aha”, i coś pisała w formularzu. Potem zastanowiła się przez chwilę i zadała kolejne pytanie:

– Czego pani od nas oczekuje?

– Nie wiem... – Zająknęła się. – Podpowiedzi, co zrobić z mężem.

– On powinien zgłosić się na terapię, inaczej nie mamy możliwości nic zrobić. Ale PANI już tutaj przyszła. I może pomóc sobie.

– Nie wiem jak. Czasem zastanawiam się, kto tak naprawdę ma problem: on, bo pije i wtedy nie jestem w stanie sobie z tym poradzić, czy ja, bo jednak częściej jest trzeźwy, a wtedy zachowuje się... W sumie dobrze. Przyzwóicie. A ja szukam dziury w całym...

– Tak to już się dzieje, że kiedy jest źle, to źle. A gdy lepiej – od razu ma się ochotę zapomnieć o wszystkich trudnych chwilach i znów



się wierzy, że jest wspaniale. Tym lepiej, że pani tu jest. Zaraz wyznaczę indywidualne spotkanie z terapeutą, a potem, jeśli on uzna, że jest pani gotowa podjąć terapię w grupie, poprowadzi panią dalej.

Dochodziło południe, gdy wyszła z poradni. Słońce wznosiło się wysoko nad fosą, kaskady fontanny szumiały, a atletyczny siłacz zmagił się z lwem, jak zawsze. Magdalena minęła pomniki, lecz zamiast iść na przystanek, ruszyła w stronę Rynku. Przeszła obok Pałacu Ślubów i poszła prosto ulicą Ruską, aż do placu Solnego, chyba największego zgromadzenia kwiaciarzy we Wrocławiu. Było tak, odkąd pamiętała jako małe dziecko i wcześniej, co widziała na starych pocztówkach – ten plac zawsze pełen był kwiatów stojących w cynowych, a potem plastikowych wiadrach ustawionych wokół barwnych parasoli.

Tym razem nie zatrzymywała się przy straganach i kwiaciarniach – poszła wprost do Rynku łączącego się rogiem z placem Solnym. Tak niedawno stała tu wielka choinka i budki jarmarku bożonarodzeniowego, a teraz wszystko tonęło w słońcu, rozjaśniającym wyremontowane kamieniczki, odbijającym się od granitowej kostki, wypolerowanej milionami kroków wrocławian i ich gości. Przystanęła na chwilę przed pomnikiem Aleksandra Fredry, któremu ktoś znów ukradł pióro – wiedziała, że oryginalne jest zabezpieczone, ale i na repliki nie brakowało amatorów. Ludzi nie było zbyt wielu, większość pewnie pracowała albo uczyła się, co cieszyło Magdalenę, bo nie lubiła tłoku. Wolno szła obok ratusza, bez uśmiechu, ale ze spokojem popatrując na wejście do Piwnicy Świdnickiej, wodotrysk z niedźwiadkiem, który tak cieszył Gabrysię – czasem ni stąd, ni zowąd miś tryskał wodą, więc zdarzało się, że przypatrujący mu się turyści zostali oblani. Kiedyś zobaczyły taką sytuację i zaśmiewały się z niej do dziś. Minęła rzeźbiarza wystawiającego swoje prace na rogu niedaleko pręgierza i wtedy ujrzała wychodzącego z ratusza Michała. Odwrócił się i spojrzał wprost na Magdalenę, stojącą kilka metrów od niego. Przez chwilę patrzył zaskoczony, wreszcie z szerokim uśmiechem podszedł do niej i przywitał serdecznie.

– To pani! Co za spotkanie. Tym razem w cieplejszych okolicznościach przyrody – zażartował. – Właśnie skończyłem na dziś, przed momentem dosłownie wyszedłem z pracy. Ma pani chwilkę?

Zapraszam na pyszną kawę!

Nie miała ochoty na spotkania, kawki, rozmowy. Najchętniej poszłaby do domu, zaszyła się pod kołdrą i płakała albo spała, dopóki nie będzie musiała iść po Gabę. Dlaczego jednak nie skorzystać z okazji spotkania z tym uroczym człowiekiem? Pomyślała, że w tak trudnym dniu należy się jej choć pół godziny niemyślenia o problemach. Skinąwszy głową, dała się poprowadzić do mrocznego wnętrza kamieniczki Małgosi; tam na piętrze znajdowała się jakaś galeria, a w piwnicach kawiarenka – w niej człowiek był zupełnie odcięty od świata, bo telefony komórkowe nie miały tu zasięgu.

Los dał jej całą godzinę, którą spędziła na rozmowie z Michałem. Niewiele z niej zapamiętała – opowiadał o samej Małgosi, o muzeum krasnoludków znajdującym się niżej, o rzeźbach zwierząt na pobliskich Jatkach. Usiłował i z niej wyciągnąć choć kilka słów, ale na żadne, poza zdawkowymi, dziś się nie zdobyła. Nawet słuchała go nieuważnie, przez cały czas myśląc o tym, co z takiej rozmowy, co z widoku przystojnego, zainteresowanego nią mężczyzny o ciepłym głosie, skoro potem trzeba wrócić do rzeczywistości? Do domu, w którym mieszka z mężem. Mężem – a to znaczy, że nie ma co się angażować w jakiegokolwiek znajomości, bo nic dobrego z nich nie wyniknie. Już i tak za często myślała o Michale i nie były to grzeczne myśli, o nie... Czuła, że jest zbyt gotowa zaangażować się w tę znajomość.

Kawa w Małgosi istotnie smakowała znakomicie, przewodnik był ujmujący, ale nadszedł czas powrotu do trudnej rzeczywistości, więc z żalem, którego starała się nie okazywać, podniosła się od stolika.

Michał zerwał się także, trochę zaskoczony jej dzisiejszym nastrojem – na cmentarzu, mimo powagi miejsca, miała stanowczo lepszy humor. Przez chwilę przypatrywał się kobiecie. Nawet tu, na tle ceglanych ścian kawiarenki, gdzie nie dochodziło światło dzienne, jedynie blask świecy stojącej na stoliku i żółtawych żarówek kinkietów, widać było jej urodę, dziś chowaną za przyciemnianymi szklami okularów. Może następnym razem będzie się częściej uśmiechała. O ile zechce się z nim spotkać, bo z dzisiejszego zachowania Magdaleny nie umiał wywnioskować, czy kobieta da się na to namówić. Poprzednio nie chciała, by ją odwiózł, teraz także oświadczyła, że ma coś do załatwienia

w pobliżu, i wyszła szybkim krokiem.

Przez chwilę miał ochotę pójść za nią i sprawdzić, dokąd tak się spieszy, uznał jednak, że to niepoważne, i widząc, że obchodzi ratusz z prawej strony, sam poszedł w lewo. Okrążył Rynek i spod pręgierza udał się na Świdnicką, z której skręcił w podwórko z przejściem na Szewską, bo tędy miał bliżej do piętrowego parkingu na rogu Szewskiej i Kazimierza Wielkiego. Ledwie zdążył się cofnąć, bo zobaczył Magdalenę stojącą na przystanku tramwajowym.

A więc nic tu nie załatwiała, poszła zwyczajnie na przystanek. Nie chciała z nim dłużej rozmawiać? Przestraszyła się czegoś? Nie wyglądała na bojaźliwą, zresztą on starał się nie narzucać zbyt nachalnie ze swoim towarzystwem i nie spłoszyć jej. Wspominała o dziecku, a skoro jest, to prawdopodobnie jest też jego ojciec. Pewnie tak, ale przecież są dorosłymi ludźmi, którzy nie muszą się nikomu, nawet małżonkom, tłumaczyć... Zastanowił się przez chwilę, jednak nic nie wymyślił – może po prostu nie miała dziś ochoty na dłuższe rozmowy.

Nadjechała szóstka, do której kobieta wsiadła, i mógł już swobodnie dojść do parkingu.

A ona usiadła na początku wagonu, tak, by nie widzieć pasażerów, i próbowała przełknąć kluchę tkwiącą w gardle. Zapatrzona w okno, rozmyślała o mężczyźnie, który PATRZYŁ na nią i całym sobą wyrażał gotowość wysłuchania tego, co mogła mieć do powiedzenia. I czego mówić mu nie zamierzała.

Magdalena wysiadła na Szańcach i stanąwszy za kioskiem przy przystanku, gdzie zwykle gromadzili się okoliczni pijaczkowie, wyjęła z torebki lusterko. Przyjrzała się niezbyt dobrze wyglądającej, trochę zapuchniętej i zaczerwienionej twarzy, starła z policzka pojedynczą łzę i z powrotem włożyła okulary – w nich wyglądała nawet nieźle.

Nie chciała czekać – szybko odebrała Gabrysię i poleciały do domu, gdzie, jak przypuszczała, nie zastała męża. Ucieszyło ją to i w trochę lepszym nastroju zaczęła przeglądać rzeczy, które zamierzała wziąć na ekojarmark.

Tylko wełna i bawełna, może jakiś jedwabny drobiazg – wydawało się jej, że nie będzie tego wiele, jednak uzbierało się kilkanaście sztuk ubrań, swetrów, chust, nawet wełniana szydełkowa sukienka, o której

zapomniała, bo nie nosiła jej od dwóch lat, i pomniejsze drobiazgi w rodzaju czapek, śmiesznych rękawiczek i getrów dla Gaby. Zgromadziła to wszystko w koszu, w którym zwykle trzymała suche pranie do prasowania. Jej myśli poszybowały w stronę kolejnych pomysłów na robótki; wciąż gdzieś z tyłu głowy przyczajały się i czekały, aż zobaczy włóczkę w odpowiednim kolorze, grubości, fakturze. Ostatnie ponczo, jakie zrobiła, miało kształt „kopniętego kwadratu” – nie mogła sobie przypomnieć nazwy tej figury – coś jak romb, ale o równych kątach – z wycięciem na głowę. Wyglądało to efektownie, kiedy człowiek stał z opuszczonymi ramionami. Jednak każde podniesienie rąk powodowało niezbyt atrakcyjne ściąganie się dzianiny, odsłanianie tego, co pod spodem, wyglądało to niechlujnie. Dobrze byłoby zrobić coś równie efektownego, ale w taki sposób, by dzianina na wyciągniętych na boki rękach układała się równo, wzdłuż linii ramion. Zastanowiła się, czy trójkąt równoramienny nie wyszedłby lepiej.

Usiadła przy stole w salonie i chwyciwszy ołówek, zaczęła projektować nowy krój. A gdyby tak... Zamyśliła się głęboko i oczyma wyobraźni ujrzała splot, jakiego nie widziała chyba w żadnym katalogu, w żadnej galerii internetowej. Jeśli na lewej stronie dżerseju poprowadzi pasy szerokości dwóch oczek, najpierw splatając je, jak kratki z ciasta na mazurku lub serniku, a potem przerobi kilka rzędów i znów... O, może tak!

Szkicowała, zapomniawszy o bożym świecie, dopóki głodna Gabrysia nie upomniała się o kolację. Z uśmiechem spojrzała na zarysowane kartki i z poczuciem dobrze spędzonego czasu odłożyła je do szuflady.

Gdy postawiła przed córką talerzyk z kanapkami, zadzwonił domofon. Drgnęła, zastanawiając się, kogo diabli niosą – o tej porze to już raczej nie listonosz, prędzej domokrażcy z ofertą nowej telewizji, telefonu czy czegoś w tym rodzaju. Tonem, który od razu miał wskazywać, że nie ma nastroju do użerania się z akwizytorem, zapytała:

– Słucham? A gdy w słuchawce usłyszała głos Szymona, zdrętwiała. Nie widziała go od przedwczoraj i nie miała na to ani nadziei, ani ochoty.

– Nie wziąłem kluczy – powiedział.

Tylko tyle. Wiedziała, że prędzej lub później on się zjawi, czy to po rzeczy, czy próbując załagodzić sytuację i pozostać w mieszkaniu, do którego przecież miał prawo wstępu.

Przycisnęła guzik domofonu i drżąc, czekała na męża w przedpokoju. Gdy wszedł z szarą, wymiętą twarzą, od razu zorientowała się, że jest trzeźwy. To nieco ją pokrzepiło i śmieiej spojrzała na niego. Był w tym samym ubraniu, w którym wyszedł dwa dni temu, włosy miał tłustawe i nieuczesane – czyżby nie chodził do pracy? Trzymał tam zwykle koszule na zmianę, ręcznik, był też prysznic dla pracowników magazynu. Sądząc po jego wyglądzie, raczej mało spał, a nie mył się wcale.

– Mam prośbę – powiedział półgłosem. – Chciałbym, żebyś mnie wysłuchała i nie podejmowała pochopnych decyzji.

Skinęła głową i nie wiedząc, czego oczekiwać, stała oparta o futrynę drzwi do pokoju.

– Dzwoniłem dziś do lekarza, jestem umówiony na wszycie esperalu. Jutro o dziesiątej.

– Esperal? – Spojrzała zaskoczona. – O ile wiem, już się go nie wszywa?

– W prywatnym gabinecie tak. A potem, jeżeli się zgodzisz, chciałbym wrócić. – Odetchnął, jakby zrzucił z siebie wielki ciężar. Wyglądało, że sporo go kosztowało wypowiedzenie tych kilku zdań.

Wszystka, myślała Magdalena. To już coś, choć...

– Powinieneś poddać się terapii – powiedziała cicho.

Popatrzył spode łba i sapnąwszy, przestąpił z nogi na nogę. Czuł się idiotycznie, stojąc w przedpokoju własnego mieszkania i nie mając odwagi wejść dalej. Odnosił jednak także wrażenie, że to Magdalena ma teraz prawo decydowania, bo choć mógłby próbować iść na całość w egzekwowaniu swoich praw, nie miał na to siły. Wolał otrzymać jej zgodę, zamiast walczyć.

– Ja... Nie dam rady inaczej. Pójdę na terapię, ale na razie chciałem się zabezpieczyć. Te tabletki działają przez rok, może... Może mi się uda. Może nam się uda?

Magdalena nie wierzyła własnym uszom. W pierwszej chwili

zezłościła się. Sam tego chciał, sam ją odepchnął, pod wieloma względami sam się odsuwał i izolował. A teraz skamle! A niech go szlag! Zacisnęła zęby, by powstrzymać cisnące się na usta gorzkie słowa, twarde i raniące, kotłujące się, coraz bliższe wyrwaniu się z zaciśniętego wściekłością i żalem gardła.

Lecz uchwyciła jego wzrok – Szymon patrzył jak zbity pies, pytał, prosił. Wyglądał, jakby bał się odrzucenia. Dziwnie drobny, rozedrgany.

Przyłożyła końce palców do skroni i gorączkowo zastanawiała się, co zrobić. Nie pomogło AA, nie pomogły obietnice – może esperal zadziała?

– Spróbuj. Spróbujmy.

Słońce oświetlało i ogrzewało drewniane budki jarmarku usytuowanego na Nowym Targu – placu przed urzędem miasta.

Wrocław słynął z kupieckich tradycji i już w XI wieku odbywał się tu słynny Jarmark Świętojański. Z biegiem lat częściej lub rzadziej organizowano inne, zwykle cykliczne, bo choć niektóre nie przetrwały do dziś w jednym ciągu, to powracano do nich, jak choćby do bożonarodzeniowego. Organizowane od 2001 roku jarmarki ekologiczne miały promować lokalne produkty, skupiać rolników, twórców i wszystkich, którym leżało na sercu działanie w zgodzie z ekologią i wykorzystaniem darów natury.

Tej wiosny podczas jarmarku także dzieci mogły nauczyć się czegoś podczas pokazów, warsztatów z wolontariuszami w malowanie wzorów ludowych, konkursów ekologicznych i przeróżnych zabaw.

Magdalena trochę żałowała, że nie było z nią Gabrysi, ostatecznie jednak przyjechała tu w pewnym sensie służbowo, więc i tak nie miałyby czasu na zabawy z córką.

Pani Beata przywiozła ją i wszystkie ubrania, na dodatek pożyczyła jej wygodne, składane wieszaki na stelażach z kółkami, na których, jeśli znajdzie się ktoś chętny do oglądania, będzie mogła powiesić swoje wyroby.

Tymczasem jednak przeszły się pośród straganów pachnących wspaniałym chlebem wypiekanym z mąki orkiszowej i żytniej. Dalej rozłożyli się bartnicy z aromatycznymi, słodkawymi świecami woskowymi, pyłkiem kwiatowym i najróżniejszymi miodami, potem

wytwórcy kosmetyków. Magdalena kupiła sobie mydło z Aleppo – szarozielonkawę, wyglądające bardzo nieatrakcyjnie, ale wiedziała, że fantastycznie wpłynie na jej skórę, czyniąc ją gładką i miękką. Chętnie też myła nim Gabrysię, mającą lekkie skłonności alergiczne, więc rączki i łydki córeczki też staną się mniej szorstkie.

Ominęła stoisko krzyczące plakatami „antyfutra” – sama nie nosiła futer, brzydziła ją sierść w wyrobach odzieżowych i o ile nie miała nic przeciwko skórzanym butom czy kurtkom, o tyle zwierzęce kłaki budziły w niej wstręt.

Z przyjemnością zatrzymała się przy kramie z biżuterią – przepadała za bursztynem bez dodatków, czyli nieoprawionym w metal. W zasadzie pozostawały jej tylko naszyjniki, bo zarówno kolczyków, jak i pierścionków z samego bursztynu jak dotąd nie spotkała. Ale jej uwagę przykuła broszka – piękna, jakby secesyjna róża ze srebra z kwiatem wykonanym z białego bursztynu – cudo! Pomyślała, że jeśli udałoby się jej sprzedać choć jeden wzór dzianiny, to kupi ją sobie.

Pani Beata prowadziła ją między budkami z przyprawami i oliwkami, ozdobami z suszonych pomarańczy i kory cynamonu. Mijały drewniane domki pachnące to kosmetykami, to oscypkami, to znów wędzoną rybą – mieszaniną aromatów jak na odpuszcie.

Doszły na drugi od wejścia koniec jarmarku, gdzie w pobliżu siebie rozłożyło kramy kilku producentów odzieży. Zarówno zwykłych bawełnianych koszulek, barwionych naturalnie, jak i bardziej skomplikowanych strojów z lnu, jedwabiu i oczywiście dzianin, wśród których królowała wełna owcza w postaci góralskich swetrów i długich skarpet. Właściwie poza swetrami Magdalena nie zauważyła innych ubrań – czyżby naprawdę z włóczki wytwarzano tylko opatrzone góralskie wzory? Rozglądała się uważnie, trochę już zawiedziona, lecz jeszcze z nadzieją, że ktoś robi coś innego niż każda babcia na dowolnym targu, czyli tradycyjne swetry i kapcie.

– Dzień dobry, panie Mateuszu! Chciałam panu kogoś przedstawić.

Beata pociągnęła za rękę Magdaleny, która dopiero teraz zauważyła drobnego mężczyznę przycupniętego za ladą budki z lnianymi sukienkami i spódnicami. Nie zwróciła uwagi na to stoisko, bo nie przepadała za lnem – prasowanie marynarki Szymona przez kilka

lat skutecznie wyleczyło ją z uczucia do tej tkaniny, bo mimo wielu godzin nad deską, z żelazkiem w ręce, ubranie po chwili wyglądało jak przedtem. Niemożność doprowadzenia materiału do zadowalającego stanu odczuwała jako osobistą porażkę. Dlatego, choć widywała w sklepach piękne rzeczy lniane, nigdy sobie ich nie kupowała.

Po tych, choć niewątpliwie ciekawych i oryginalnych, także przeleciała tylko wzrokiem i już wybierała się dalej, gdy towarzyszka przedstawiła ją sprzedawcy.

– To jest moja współpracowniczka – dokonała oficjalnej prezentacji. – Mistrzyni dzianin.

Magdalena aż się zachłysnęła, słysząc te słowa. Zdumiona spojrzała na panią Beatę, ale widząc, że ta kontynuuje bez mrugnięcia okiem, milcząco, przysłuchiwała się jej tyradzie.

– Pani Magdalena jest świetną projektantką, a ponieważ zależy jej, by odzież wykonywana była tylko z materiałów naturalnych, zgodziła się pokazać panu kilka wzorów.

Niewysoki mężczyzna z uznaniem spojrzał na lekko zarumienioną kobietę i przedstawivszy się jako producent szalenie ekologiczny, z radością wyraził chęć obejrzenia jej wyrobów.

– Co pani wyprawia?! – mamrotała Magdalena, idąc za Beatą do samochodu.

– To jeden z najprężniejszych wytwórców. Ma niewielką firmę pod Poznaniem, ale niedługo chyba postawi fabrykę, bo sprzedaje sporo w całej Polsce. Ma warsztat z tkaninami. Zajmują się także dzianinami, ale wyłącznie ręcznie robionymi. Ich ubrania kosztują krocie, lecz są oryginalne i wykonywane w małych seriach. To właśnie o nim pani mówiłam. Jeżeli spodobają mu się pani rzeczy, kupi je na wzór i niemało zapłaci!

Magdalena nie zdążyła przetrwać tych wiadomości, kiedy doszły do samochodu zaparkowanego spory kawałek dalej. Dobrze, że nie padało, można było bez przeszkód donieść naręczą ubrań, które już na terenie ekojarmarku zawiesiły na wieszaczkach – dopiero tutaj podłoże nadawało się do przesuwania ich na kółkach.

Podjechały pod kram producenta, który wyszedł zza lady i przez jakiś czas bez słowa przyglądał się sukienkom, sweterkom



i wszystkim, co Magdalena przyniosła. Dotykał, rozkładał i miał, nieoczekiwanie delikatnie, jak na mężczyznę. Widać było, że zna się na rzeczy.

– To jest z czego? – chwycił w palce spódniczkę białej dziewczęcej sukienusi, jednego z najnowszych wyrobów szydełkowo-materiałowych.

– Satyna. Bawełniana. A ten ażur na górze to też bawełna.

Pokiwał głową z aprobatą. Długo milczał, wreszcie jeszcze raz wzrokiem ogarnął całość, a potem zwrócił się do Magdaleny:

– Biorę. Wszystko.

Myślała, że się przesłyszała. Trudno jej było to zrozumieć, nawet gdy powtórzył – chciał kupić wszystkie jej projekty z wyjątkiem czapek i skarpetek. Do nich, być może, wróci bliżej lata. Już schylił się pod ladę, w poszukiwaniu większego worka, by zapakować dzianiny, kiedy Magdalena wreszcie się ocknęła i zaczęła słabo protestować, że to jedyne egzemplarze i w ogóle powinna się zastanowić...

– Nie ma się nad czym zastanawiać – rzekł krótko. – Możemy się umówić na za dwa tygodnie, gdy znów będę we Wrocławiu. Do tego czasu rozpisałaby mi pani te wzory, a ja przywiozę sprzęt i sfotografuję wszystko. Co pani na to? Za każdy wzór daję, no, powiedzmy... – Zawiesił na chwilę głos, po czym napisał coś ołówkiem na kartce wyrwanej z notesu i pokazał kobietom.

Obie wytrzeszczyły oczy, bo suma wydawała się kosmiczna.

– Tyle? – spytała słabym, głosem Magdalena.

– To na wyłączność – wyjaśnił krótko.

– Aaa... to muszę się jeszcze zastanowić – palnęła bezmyślnie, na co mężczyzna sapnął, spojrzawszy na nią z podniesioną jedną brwią, i skreśliwszy kwotę, obok napisał inną, trochę wyższą.

– W zasadzie moglibyśmy się porozumieć – szepnęła kobieta, bojąc się dalej negocjować, bo nie wierzyła w to, co się dzieje.

Porozumieli się. Szczegóły mieli ustalić przez telefon, umowę spisać w drugiej połowie kwietnia, a do tego czasu Magdalena obiecała rozrysować i opisać wzory ze swych projektów. Oboje wyglądali na bardzo zadowolonych, więc pożegnali się roześmiani, a z twarzy Magdaleny uśmiech nie schodził, nawet gdy siedziała już w samochodzie – zwyczajnie nie dawał się odkleić ani zetrzeć.

– Czy mi się to przyśniło? – zapytała zeszywniałymi ustami.

– Zapewniam panią, że nie! – Pani Beata, która uzgodniła z producentem, że będzie sprzedawała dzianiny Magdaleny w pasmanterii i otrzyma od niego duży rabat, także czuła się zwyciężczynią w tym pojedynku.

Zadowolone i ledwie wierzące w to, co się stało, gadały nieustannie przez całą drogę na Żeromskiego. Tam Magdalena wysiadła i pobiegła na górę, nie widząc nic dookoła. Kozioł i diabeł mogli się trykać do końca świata, ale dla niej właśnie świat się zaczął – świat kobiety sukcesu!

Szczęśliwa, wpadła do mieszkania i ledwie umywszy ręce, usiadła za stołem z ołówkiem, linijką i papierem leżącymi obok pierwszego swetra, który chciała przedstawić. Po chwili zatonęła w mierzeniu, liczeniu i opisywaniu.

Kwiecień zachwycał słońcem. Wystrzelił zielenią, pokolorował trawniki barwnymi plamkami kwiatów, sychnął śniegiem płatków na gałęzie krzewów i drzew.

Magdalena myślała, że chyba jej życie rzeczywiście się nie kończy i to nie tylko ze względu na pieniądze, jakie miała otrzymać za swoje pomysły odzieżowe, ale i z powodu nadziei, która obudziła się w jej sercu w związku z Szymonem. Bo wbrew jej obawom naprawdę poszedł na wszyście esperalu. Nie była tym faktem zachwycona, szczególnie po tym, co mówiła jej Joanna i co sama słyszała od terapeutki – że niepicie nie jest tożsame z trzeźwieniem. I że jedyną nadzieją dla Szymona byłoby poddanie się terapii – co najmniej dwuletniej. Ale wierzyła, że przez ten rok, z którego uciekł już tydzień, Szymon dojdzie do wniosku, że potrzebne mu leczenie, w końcu się opamięta i da sobie pomóc.

Tymczasem mąż chodził senny i osłabiony – może ten lek tak na niego działał? Czytała w internecie trochę na ten temat i nie wyglądało to tak różowo, jak przedstawiał Szymon powołujący się na lekarkę – esperal został wycofany z oficjalnego obiegu, bo miał sporo skutków ubocznych.

Ale na to Magdalena i tak nie miała wpływu – stało się, jak się stało, teraz musiała zająć się sobą, a w przyszłości także swoim małżeństwem. Może Szymonowi uda się coś osiągnąć, jakoś popracować

nad stresem i problemami bez alkoholu?

Sama czasem miała ochotę się napić, ale robiła to okazjonalnie. Teraz, jeśli miała ochotę na kawę z amaretto, kieliszek ajerkoniaku czy wina – powstrzymywała się. W domu nie było alkoholu.

Kolejne spotkania z terapeutką uświadamiały jej coraz dobitniej, że każda okazja może zadziałać na osobę uzależnioną jak bodziec. Gdy pytała, jak się to ma do esperalu, ta robiła dziwną minę i sugerowała, że to akurat nie musi niczego zmieniać. Jednak Magdalena nie mogła jej uwierzyć – gdyby Szymon chciał nadal pić, nie robiłby komedii z wszywaniem.

Zresztą ta babka była dziwna i nie bardzo przypadła do gustu Magdalenie – jakaś taka rozkojarzona, co chwilę patrzyła na zegarek, jakby nie mogła się doczekać końca sesji.

Już na początku zapytała, o czym Magdalena chciałaby rozmawiać. Jak to o czym? Chciała się dowiedzieć, jak skłonić męża do leczenia, po cóż innego by tu przychodziła? Czasami znów zadawała pytanie tak dziwnie skonstruowane, że nijak nie można było na nie odpowiedzieć. Proszona o powtórzenie, plątała się i zapętleła, zanim wreszcie wyłuszczała, o co naprawdę chodzi. Minę robiła przy tym, jakby zaraz miała się rozplakać. Tak, wyglądała bardzo łzawo, a pastelowe kolory, w które lubiła się ubierać – blad różowe i niebieskie, bardziej pasujące do pięciolatki – to podkreślały. Magdalena odnosiła wrażenie, jakby ta pani niespecjalnie była zainteresowana swoją pacjentką. Ale wiedziała też, że bez terapii będzie jej trudniej, więc godziła się na osobliwe spotkania indywidualne, odmierzając czas do grupowych, które miały się rozpocząć na przełomie kwietnia i maja – liczba miejsc była ograniczona – wierzyła, że może tam uzyskać konkretną wiedzę na temat postępowania z chorym mężem.

On tymczasem uznał, że niepicie wskutek leku wystarczy i przestał myśleć o terapii – po co, skoro problem przestał istnieć? Wobec tego Magdalena usiłowała odnaleźć się jakoś w zaistniałej sytuacji, ciesząc ze spokoju przynajmniej rocznego, z nadzieją, że prędzej czy później uda jej się namówić Szymona na wizytę w poradni.

Producent z Poznania przyjechał zgodnie z umową, porobił zdjęcia, przejrzał szkice i dał Magdalenie umowę do podpisu. Zanim to nastąpiło,

zdążyła się już zdenerwować, że tak naprawdę podejrzwał tylko wzory, które skopiuje, nie zapłaci i tyle go zobaczy. Jednak pani Beata słusznie była dobrej myśli – ostatecznie trochę go znała, dwa razy do roku spotykali się na ekojarmarkach, na niedużą skalę handlowali ze sobą. Mateusz nie musiał zabiegać o pieniądze, bo miał ich w nadmiarze, jak wyjaśniła. Nie wiedziała dokładnie, na czym zbił majątek, ale stać go było teraz na działalność ekologiczną i taki styl życia wpajał swoim, dorosłym już, dzieciom od małego. Dlatego założył wytwórnię tkanin i dzianin, dał pracę kilkunastu czy kilkudziesięciu osobom – to też miało znaczenie. Wygodniej byłoby mu usiąść i zbierać zniwo z „samogrającej” fortuny, lecz on wolał działać i jeszcze pomagać ludziom, szczególnie teraz, kiedy nie tak łatwo było o pracę. A zatrudniał sporo kobiet, które może nie zarabiały kokosów, lecz mogły dorobić do pensji mężów, a nierzadko same się utrzymać z dziergania dla niego na drutach i szydełku. Sam nie był dziewiarzem, ale miał wyczucie rynku i zwykle dobrze trafiał, wypatrując wzory na różnego rodzaju targach. Magdalenę dodatkowo cieszyło to, że także ona w razie potrzeby będzie mogła dorabiać u niego, wykonując własne projekty, które potem pani Beata wystawi w Błękitnym Kufierku – by skrócić drogę. Ubrania, szale, a przed Bożym Narodzeniem i Wielkanocą – ozdoby świąteczne. I wszystko eko.

Maj

Maj powitał Magdalенę ciepłem i spokojem. Dni mijały na zwykłych, codziennych pracach domowych, spacerach z Gabrysią, spotkaniach z Joanną i jej chłopcami.

Tuż po długim weekendzie, gdy słońce przygrzewało już tak, że smarowały dzieciom buzie i ramiona kremami z filtrem, a cały park buchał soczystą zielenią, wędrowały zwykłą trasą wokół stawu. Tym razem spacer trwał o wiele dłużej, bo Kminek, który nie chciał już siedzieć w wózku, maszerował, trzymając się jedną ręką uchwyty, a drugą dłoni Joasi.

– Gdy teraz pomyślę, że nie mogłam się doczekać, aż on zacznie chodzić, to zastanawiam się, co mi się wówczas na mózg rzuciło. Myślałam, że będzie łatwiej, gdy nie trzeba będzie go już nosić. A teraz nosi go czort – wystarczy moment, by znalazł się na drugim końcu mieszkania i jeśli jest cisza, to tym gorzej! Niedawno dorwał się do szafki spożywczej, którą chyba niedokładnie zamknęłam, i w ciągu sekundy na podłodze znalazło się pół butelki oleju... Wiesz, jak się sprząta olej? – spytała retorycznie i z wielką goryczą. – Wszystko muszę zabezpieczać – wszystko! On, jak już nie ma co wymyślić, to wywraca na siebie krzesła – musiałam je w końcu związać pod stołem!

– To stąd siniak na czole? Uda ci się w końcu zrobić mu to zdjęcie do paszportu? Bo jak widzę, wciąż poturbowany: to guz, to śliwa na czole, to zdarta skóra. Ostatnio wyglądał jak Rudolf Czerwononosy. À propos: nie zapomnij o piekarniku. Gaba kiedyś otwarła na siebie klapę, dzięki Bogu zimną, ale niezłe przyłożyła sobie nią w czubek głowy.

– O, widzisz, dobrze, że mi powiedziałaś, przecież on po całej kuchni łązi. Jednak chodzenie po własnej kuchni okazało się bezpieczniejsze niż spacerowanie po trawniku. Kminek, ledwie trzymający się na nogach, niewprawnych jeszcze w stąpieniu, poślizgnął się na trawie i najpierw przykląkł na kolanko, a potem upadł bokiem na ziemię. A wtedy okazało się, że wcale nie na trawę, tylko na dorodną psią kupę.

Joanna tak się wściekła, że na chwilę zaniemówiła. Magdalena cieszyła się, że nie ma w pobliżu żadnego psa, a może raczej żadnego właściciela, bo koleżanka gotowa była udusić takiego gołymi rękami.

Zdenerwowana w najwyższym stopniu, pozbierała synka i odruchowo chciała włożyć go do wózka. Na szczęście zorientowała się, że wówczas miałyby jeszcze i ten do prania. Rozejrzała się bezradnie, więc Magdalena sięgnęła po pieluszkę tetrową, którą Joanna miała w torbie przy wózku i otarła nią dziecko.

– Idziemy – zarządziła i pchnęła wózek, a Joasia chwyciła za rączkę Pawełka, znowu roześmianego i bardzo śmierdzącego. – Pomogę ci, pilnuj, żeby znów w coś nie wlaź.

To była długa droga. Kminek kilkakrotnie usiłował wspiąć się na matkę, obejmował ją rękami w bluzeczce o ufajdanym rękawie – zmęczył się i nie chciał iść. Jednak wspólnymi siłami, dzięki rozśmieszaniu i odwracaniu uwagi, jakoś udało im się doprowadzić go do domu, gdzie Joanna włożyła synka do brodzika w ubranku, razem z butami.

Po kąpieli i deserku Pawełek zasnął, a Gaba z Kacprem bawili się w pokoju dziecięcym zgodnie i niezbyt głośno. Joanna spojrzała na zegarek:

– Nie spieszysz się? To co, kawka? – Poszła do kuchni ukroić ciasta. Pamiętała rozgoryczenie Gabrysi, która nie została zaproszona na pierwsze urodziny Kminka z tortem i dmuchaniem świeczek – robili małe przyjęcie tylko dla rodziny – dlatego była zadowolona, że teraz może dziewczynkę poczęstować ciastem z kremem. Nawet wzięła świeczkę, pozostałą po uroczystości synka i włożyła ją jak w tort.

Magdalena śmiała się, widząc zachwyty na buzi Gabrysi, której Joanna pozwoliła zdmuchnąć świeczkę „za zdrowie” śpiącego synka. Potem dmuchał Kacper i znów ona, wreszcie zjedli po kawałku ciasta i wrócili do zabawy.

Kobiety siedziały w dużym pokoju, gdzie stało łóżeczko roczniaka.

– Budzi się jeszcze czasem w nocy. Nie chce mi się do niego chodzić do drugiego pokoju, pewnie jeszcze trochę i nastąpi wyprowadzka, ale na razie jeszcze się nocką dopieszczamy. – Odwróciła głowę od śpiącego synka w stronę gościa. – A jak u ciebie? Ostatnio jakoś mało mówisz, co w domu, co z Szymonem.

– Sama nie wiem. Powinam się cieszyć, bo nie pije. Ale ciągle się denerwuję, choć powinam być spokojna. To trwa niedługo, miałam

nadzieję, że sobie trochę odpoczne psychicznie od tych ciągłych obaw, że wróci zalany, a jest, jakbym właśnie na to czekała! Głupio, nie?

– Typowe. – Joanna pokiwała głową.

– Gadasz jak ta moja terapeutka – rzekła Magdalena z taką goryczą, że Joasia nie mogła się nie roześmiać.

– Cóż ona ci takiego opowiada?

– Że mam się zająć sobą i nad sobą pracować. Ale to przecież nie ja kwalifikuję się do leczenia, do jasnej cholery. To nie ja jestem alkoholiczką! O, przepraszam. – Spłoszona spojrzała na Kminka, który poruszył się w łóżeczku, ale nie otworzył oczu, i ściszyła głos. – Prawdę mówiąc czuję się okropnie, jak z odroczonego wyrokiem.

– A on jak to znosi?

Magdalena wzruszyła ramionami.

– Nie wiem sama. Jest ciągle zmęczony, kładzie się bardzo wcześnie, wstaje i od razu jest marudny. Często bywa zły. Wszystko go irytuje. Hamuje się, ale mam wrażenie, że z trudem.

– Nie dziw się. Odciął się od najlepszego pocieszyciela i sposobu na rozwiązanie problemów. A te nadal istnieją i będą istniały, póki nie nauczy się radzić sobie bez butelki.

– To co ja mam zrobić? – spytała z rozpaczą Magdalena.

– Dla niego? Nic. Skup się na sobie. Dopiero zaczęłaś terapię, ucz się siebie i radzenia sobie z tym, z czym się mierzysz.

Łatwo było mówić. Zamiast cieszyć się chociaż chwilowym spokojem, liczyła tygodnie, które zostały do czasu, aż mąż znów będzie mógł się napić. Czuła narastające napięcie, którego nie potrafiła opanować, okiełznać. I uświadamiała sobie coraz wyraźniej, że nie jest w stanie nakłonić Szymona do terapii. Że w rzeczywistości nie ma na niego żadnego wpływu. „Zajmij się sobą” – robiło jej niedobrze, gdy słyszała to zdanie, tak często powtarzane przez uczestniczki terapii grupowej, z którymi spotykała się co tydzień. „On nie pije, ale nadal jest chory i postępuje zgodnie z mechanizmami choroby. Być może zmiany w tobie spowodują reakcję męża”. Wciąż miała nadzieję, że dostanie gotową instrukcję, jak zmienić myślenie męża, tymczasem to ją nakłaniano do zmian! Prychnęła cicho. Zamiast się wyciszać, czuła narastającą agresję, której odłamki trafiały w Gabrysię, w ludzi

w kolejce, w matkę Szymona, w niego samego. Co prawda nie robiła niczego przeciwko nim wprost, raczej miała rogate myśli, a do teściowej mściwie nie dzwoniła od kilku tygodni. Czuła się jednocześnie znużona i zbuntowana.

– Wiesz, kiedyś nie było pomocy dla żon alkoholików. Czy tam mężów, bo przecież pije także sporo kobiet. – Joanna poprawiła się na fotelu i wzięła łyk kawy. – Moja matka, gdy się zorientowała, że ojciec pije, próbowała różnych sztuczek, by mu to uniemożliwić. Chowała wódkę, a kiedyś przecież w każdym barku musiała stać „połówka dla hydraulika” albo i dwie, wylewała znalezione piwo, poutykane pod zlewem czy w jakiejś szafce, przeszukiwała mu kieszenie, zabierała pieniądze, żeby nie miał za co pić. On się, co prawda, do roboty szczególnie nie garnął, ale bywały okresy, że był zatrudniony. Kiedyś razem z babcią zrobiły akcję i w dniu wypłaty zażądały paska, na którym wtedy drukowano wysokość pensji. Specjalnie obie czekały na niego, gdy wracał z pracy. Ojciec najpierw myślał, że żartują, a potem się wkurzył i powiedział: „Albo wypłata, albo pasek!”. I ostatecznie oddał tyle pieniędzy, ile chciał, a nie ile zarobił.

– Nie miała łatwo – zauważyła Magdalena.

– Nie miała. Ale próbowała jakoś to ogarnąć, dopilnować. Zaprowadziła go do poradni dla alkoholików. Dostał tam tabletki, które miał brać codziennie, antykol, czy coś w tym rodzaju. I co? Też nie upilnowała, chociaż łykał przy niej, sprawdzała, czy połknął. Wiesz, co zrobił? Udawał, że tabletkę wkłada do ust, a wrzucał ją sobie do rękawa koszuli. Popijał ostentacyjnie, otwierał usta, żeby sprawdziła, czy nie schował pod językiem, szedł do pracy i wracał nawalony. Nie udało się jej go upilnować, bo on tego nie chciał, nie zamierzał przestać pić. Ona robiła wszystko, by go przyłapać, zapobiec, utrudnić – on działał w dokładnie odwrotnym kierunku.

– Chybabym się wściekła po czymś takim – rzekła zapalczywie Magdalena, odrzucając na plecy finezyjnie spleciony warkocz.

– No i mama się wściekła. Była taka awantura, że pamiętam ją do dziś. Tym bardziej że moi rodzice lubili się pobić. Nieraz budziłam się w nocy, kiedy kotłowali się po podłodze z nożem, matka wkurzona na maksa próbowała ojca zahaczyć, a on się bronił. Nie wiem jak, bo



najczęściej ledwie się trzymał na nogach. Nie był agresywny, ale mendził okropnie po wypiciu. Nie położył się, tylko łaził, zaglądał tu i tam, otwierał i zamykał szafki, kładł się, wstawał, można było oszaleć. Nieraz budził mnie, by przepytac z tabliczki mnożenia – chyba przez to mam uraz do matematyki! A mamie dużo nie brakowało, zaraz rzucała się na niego z wrzaskiem i rękami. Nie wiedziała wtedy, że to niczemu nie służy. Ani jej nie było lepiej po takim wyżyciu się, przeciwnie miała wyrzuty sumienia, że znów doszło do awantury, choć oczywiście za wszystko winiła ojca, ani jemu nie przeszkadzało pić nadal i coraz więcej. A ja w tym wszystkim miałam dosyć i jednego, i drugiego – jego nieprzytomnego spojrzenia i chwiejnego kroku, którego strasznie się bałam, i jej krzyków. Nienawidzę krzyku.

Magdalena rzuciła na nią badawcze spojrzenie, które nie umknęło przyjaciółce.

– Tak, sama też krzyczę – powiedziała cicho. – Na Kacpra, na Piotra, pewnie na Kminka też będę. – Spojrzała z żalem na łóżeczko, w którym leżał jej wyczekany synek o jasnej buzi i rozwichrzonych włoskach, spokojny, ufny, bezpieczny. Bezpieczny? – A może nie będę? Bardzo się staram... To niełatwe do wprowadzenia w życie, ale ja już wiem, że trzeba próbować szukać konstruktywnych rozwiązań, a nie zapiekać się w żalu i złości.

Magdalena pochyliła się w jej stronę i przykryła dłoń przyjaciółki swoją. Potem, kiedy łzy przestały już szczypać pod powiekami, wróciła do poprzedniej pozycji.

– I jak to w końcu twoja mama rozwiązała?

– Rozstała się z nim. Nie miała innego wyboru. Mogła tkwić w układzie, którego nie akceptowała, użerać się z pijakiem, hodować w sobie coraz większą agresję, walczyć, ale przekonała się, że to nie ma sensu. Ważniejszy był spokój dziecka, czyli mój. – Uśmiechnęła się blado. – Po wyprowadzce ojca w ciągu dwóch miesięcy poprawiłam oceny, zaczęłam sypiać regularnie, wyraźnie odczułam spokój. Tęskniłam za nim ogromnie, bywało, że miesiącami się nie pokazywał, ale mama wybrała mniejsze zło.

– Boję się, że Gabrysia nie wybaczyłaby mi rozstania z Szymonem.

– A ty sama jesteś na to gotowa? Byłabyś skłonna naprawdę

rozejść się z nim, wyprowadzić albo zgodzić na jego wyprowadzkę?

– Bo ja wiem... Ale na razie tego nie rozpatruję, przecież on nie pije. Właściwie... Właściwie myślałam nawet o zrezygnowaniu ze swojej terapii.

– Dlaczego?!

– Szymon wziął się za siebie, może ten rok bez alkoholu da mu do myślenia, gdy zobaczy, że daje radę. Będę go wspierać przecież.

– Och, Magdaleno. – Joanna pokręciła głową. – Proszę cię, nie rób tego. Tak jak ty nie możesz być terapeutką dla twojego męża, tak ja nie powinnam być nią dla ciebie. Ale tym bardziej proszę, nie rezygnuj. Powinnaś mieć kogoś, komu ufasz i kto jest ci w stanie pomóc. Ja nie mam odpowiedniej wiedzy, zresztą łączy mnie z tobą prywatna relacja, to co innego niż w ośrodku. Jeszcze nie wiesz, co cię może czekać przez ten rok.

– A co się może zdarzyć? Nie pije, to najważniejsze, więc spróbuję się tym cieszyć i jakoś żyć. Może się jeszcze pouklada...

– „Jakoś” to żyjesz teraz. – Joanna odstawiła filiżankę na stolik. – Żyjesz złudzeniami, nadzieją, że „się ułoży” A jak się nie ułoży, to co będzie z tobą za rok, pięć, dziesięć lat? Nie chciałabyś chyba obudzić się i stwierdzić, że kolejne lata przeciekły ci przez palce i w tym czasie nic nie zrobiłaś. Nie zadbałaś o siebie. O SIEBIE.

– Strasznie egoistycznie brzmi to, co mówisz – Magdalena zaczęła się irytować. – Gdybym myślała tylko o sobie, to wyprowadziłabym się bez chwili wahania. Ale ja mam jeszcze dziecko, jego dziecko. Zresztą... To jest mój mąż! Czuję się za niego odpowiedzialna.

– Kochanie, ale czemu sądzisz, że zadbanie o siebie to egoizm? Nie jesteś jeszcze zmęczona tym ratowaniem wizerunku małżeństwa?

To prawda, czuła się wyczerpana ciągłym łataniem dziur w materii ich rodziny. Przyklepywaniem, zaklejaniem, kładzeniem grubego makijażu na jej zniszczoną, niedożywioną, chorą powierzchnię.

– A przecież – kontynuowała Joanna – zrobienie dla siebie czegoś, co nie zaszkodzi innym, co nie odbędzie się ich kosztem, nie jest złe! Coś ci powiem. – Przynęła się bliżej. – Wiesz, kiedy mi się najbardziej podobałaś? W Błękitnym Kufunku. Tak, właśnie tam. Uśmiech nie schodził ci z twarzy, widać było, że jesteś szczęśliwa, że cię to cieszyło.

Lubiłaś tę pracę, prawda?

Magdalena automatycznie skinęła głową.

– Właśnie! To było coś, co cię cieszyło, dawało radochę, a jednocześnie nikogo tym nie krzywdziłaś. Bo dziecko było zadbane, bezpieczne w przedszkolu, a męża też nie bolało, skoro w domu miał wszystko, jak chciał. Więc byłaś tam, w miejscu, które lubiłaś, szczęśliwa. Czy to nie dowód, że warto zająć się sobą?

– Szymon nie wiedział o mojej pracy w pasmanterii.

Joanna spojrzała z niedowierzaniem i zamilkła na długą chwilę. Zajrzała do pustej filiżanki, obróciła ją w rękach i odstawiła.

– Czytałaś *Błękitny zamek*? Pamiętasz, co pisał John Foster? „Strach to grzech pierwotny”. Przestań się bać, ZACZNIJ ŻYĆ. Wiesz, bardzo kocham mojego syna, męża. Ale czasem mam ochotę wyjść gdzieś bez nich. Żeby nie myśleć o zabawie, karmieniu, pielęgnacji, świeżym powietrzu czy niezbędnych spacerach. Albo żeby pójść na spacer, ale własnym tempem, bez wołania i uważania. Póki Pawełek był wyłącznie na piersi, nosiłam go w zębach, jak to określała moja babcia. Ale kiedy tylko przestałam być niezbędna, zaczęłam szukać miejsca tylko dla siebie.

– I znalazłaś je?

– Tak. Na razie raz w tygodniu przez godzinę, kiedy chodzę na aerobik, od miesiąca! – Uśmiechnęła się szeroko. Nie zauważyłaś, że wyszczuplałam? – zażartowała.

Jak Magdalena mogła cokolwiek zauważyć, skoro tak bardzo skupiona była na Szymonie... Ale rzeczywiście Joanna wyglądała pięknie, co sprawiała nie tylko miłość do synka i wiosna, lecz także prawdopodobnie właśnie możliwość poskakania raz w tygodniu. Może i Magdalena powinna wziąć się za siebie? Ostatnio skapcianała, czuła się jakby mięśnie miała z drewna.

– Śliczna jesteś, to prawda – powiedziała.

– Ty też jesteś śliczna, ale smutna. Oczy masz poważne, widzę to.

– Czarownica – rzekła Magdalena i uśmiechnęła się niemrawo.

Miała nad czym myśleć. Życie płynęło powoli i gnuśnie, nic właściwie się nie działo, ale Magdalena miała poczucie jazdy na karuzeli. Nie uroczej, wesołej, jak ta w parku, na której jeździła

z Michałem, ale na wirującej i rozszalałej, tak że trzeba zaciskać dłonie na łańcuchach. Rozmowy z Joanną i praca w grupie dostarczały jej tyle doznań, tyle kawałków do przepracowania, tematów do przemyślenia i poglądów do zweryfikowania, że zwykle po całym dniu pełnym emocji i myśli powstałych przy lekturze notatek z terapii, padała jak ścięty kwiat.

Kusiło ją, by zapisać się na aerobik, jak Joanna. Ale popołudniami Magdalena nie miała by co robić z Gabrysią. Dziewczynka była za mała, by zostawiać ją w domu samą, a Szymon znów wziął się do pracy. Podobno alkoholik musi nadrobić pustkę powstałą po braku butelki. Kobiety w grupie opowiadały, jak ich mężowie, którzy przestawali pić, rzucali się w wir pracy, majsterkowania albo sportu. Jeden zaczął ćwiczyć tak obsesyjnie, że tygodniami nie było dnia, w którym nie szedłby na basen czy na kort choć na chwilę. Szymon był, jak widać, z tych pierwszych – znów wyjeżdżał, bo szaleństwo zakupowe przed Dniem Dziecka robiło swoje, nastał czas zniw dla firm takich jak jego.

Dużo myślała o Szymonie, o ich związku. Czowała się niezwykle lojalna i mocno związana, choć na terapii dowiedziała się, że nie ma aż takiej potrzeby. Że jej mąż jest dorosły i sam za siebie odpowiada, a ona może być odpowiedzialna WOBEC NIEGO, a nie ZA NIEGO. Nie mieściło się jej to w głowie, choć i Joanna wcześniej o tym wspominała.

– Wystarczy, że mu powiesz, iż jest uzależniony i powinien brać udział w terapii. Nic więcej. Ty go nie wyleczysz, nie tylko z powodu braku odpowiedniego wykształcenia, umiejętności, lecz także dlatego, że żywisz wobec niego uczucia. Jesteście zależni od siebie emocjonalnie. – Krótkowłosa Marlena, prowadząca grupę podstawową dla współuzależnionych kojarzyła się Magdalenie z Demi Moore grającą Molly w *Uwierz w ducha*, tak samo uczesana, o delikatnej, ładnej buzi. – Alkoholik może sam zadbać o siebie i swoje zdrowie, korzystając z terapii. Ty nie musisz i tak naprawdę nie jesteś w stanie nic zrobić. Zajmij się sobą.

Zajmij się sobą.

– Nie wiem, czy zwróciłyście uwagę, co najczęściej odpowiadacie, kiedy pytam: „Co u ciebie słyhać?”. – Marlena rozejrzała się po sali, pod której ścianami, na krzesłach ustawionych w koło, siedziało

kilkanaście kobiet w różnym wieku. – Zwykle odpowiadacie: „Mój mąż wczoraj...”. Tak? – Pokiwała głową. – Mój mąż był trzeźwy. Albo się napił. Miał dobry humor. Albo zły. Albo nie wrócił na noc. A ja pytam: Co u CIEBIE?

Słuchały z zaskoczeniem – i zaczynało coś do nich docierać – blondynki, brunetki, obwieszane biżuterią albo drewnem i rzemykami, niektóre bez żadnych ozdób na szyjach, w uszach, bez pierścionków, zwykle miały tylko obrączkę. To oczywiście, przecież były mężatkami. Jedne w wytartych dżinsach i prostych bluzkach, drugie w eleganckich strojach, na które inne musiały by przeznaczyć całą wypłatę albo nawet dwie. Włosy spięte w koki, rozpuszczone, splecione, lśniące od regularnie nakładanej farby lub straszące szarymi odrostami. Łączyło je jedno – oczy. Najczęściej o czerwonych obwódkach, zmęczone, lepiej lub gorzej utrzymujące łzy pod powiekami.

– Zajęcie się sobą to nie egoizm. Przeciwnie, to zrobienie wszystkiego, co najlepsze dla nas i w efekcie dla naszych bliskich. Dziecko wie, że jest mu zimno, nudno, źle, że się boi, martwi, cieszy, i daje to po sobie poznać. Dorośli tłumią uczucia. W imię jakichś tam norm obowiązujących w środowisku, rodzinie, w imię zasad. W miarę dorastania uczą się, że nie wolno się złościć, bo to brzydko. Że mężczyzna nie płacze. No, wiele jest takich obiegowych opinii. Ale przede wszystkim dorośli odrzucają to, z czym nie potrafią sobie poradzić. Mieszkanie pod jednym dachem z alkoholikiem jest ciągłym stresem, rodzącym wiele trudnych emocji. A nieumiejętność poradzenia sobie z nimi sprawia, że uczucia są tłumione, bo to pomaga. Chroni przed cierpieniem i wstydem. Osoba współuzależniona traci więc kontakt ze swymi uczuciami. Wówczas nie rzeczywistość, lecz alkohol i alkoholik stają się główną przyczyną powstawania szeregu emocji. Pytanie, czy musi tak być? Czy musicie tkwić w czyimś życiu, zamiast rozumieć wasze własne uczucia, to, co się z wami i w was dzieje? Nie! Nie musi tak być. Możecie pomóc sobie.

Magdalena rozglądała się po twarzach współtowarzyszek, zastanawiając się, ile z nich rozumie, o czym się tu mówi. Niektóre słuchały zagapione w podłogę, w czubki własnych butów, inne patrzyły uważnie w twarz Marleny. Jedna z kobiet oparta wygodnie, przytknęła

oczy – spała? Była taka chuda i szara. Przychodziła regularnie, co tydzień, ale Magdalena nie potrafiłaby rozpoznać jej wśród innych. Nie potrafiła sobie przypomnieć rysów jej twarzy bez śladu makijażu, poznaczonej drobną siecią zmarszczek, o podkrążonych oczach obwiedzionych zaczerwienionymi powiekami. Znać było po niej zmęczenie.

Znać je było po nich wszystkich – tłumiących złość i żal, wciąż tkwiących w nieodpowiadających im układach, w których udawały, że nie widzą ponoszonych strat, nie usiłują ich konstruktywnie rekompensować, by zaspokoić własne potrzeby. Większość z nich cierpiała na dolegliwości, jak się okazywało, bardzo typowe – ich codzienność to bóle mięśni, kręgosłupów, brzuchów, podwyższone ciśnienie i niestrawność. To obniżona odporność i bezradność wobec powtarzających się, jak u dzieci debiutujących w żłobku, infekcji, której winna była psyche, nie soma.

– Człowiek dorosły może być odpowiedzialny wobec kogoś, nie za niego – powtórzyła Marlena. – Nie ma potrzeby być nadodpowiedzialną, prowadzić nadkontroli. On odpowiada sam za siebie i nikt inny, tylko on powinien ponosić konsekwencje swoich zachowań. Nie jest sprawą żony robić cokolwiek za alkoholika, który o czymś nie pamiętał, zaniedbał. Przyszedł nietrzeźwy w brudnej kurtce? Niech sam ją włoży do pralki. Zaspał do pracy? Niech sam zadzwoni i się wytłumaczy, zamiast wyręczać się żoną, która oszukuje, że jest chory. Żona leczy mu kaca, pierze zarzygane ubrania, sprząta widoczne efekty burd, zamiast pozwolić mu na ponoszenie konsekwencji. I to też jest mechanizm – w ten sposób osoba współuzależniona radzi sobie z lękiem, z tym, czego się obawia, że mogłoby się stać, gdyby nie zareagowała zrobieniem czegoś za alkoholika. Bo to nawet nie jest pomoc jako taka, tylko próba ulokowania się w tym układzie, tak by ponosić jak najmniejsze straty. Nabrudził – posprzątać. Zgubił – odkupić. Zapomniał – pobiec i zrobić za niego. Byle z wierzchu wyglądało w miarę dobrze. Jaką więc on ma motywację, aby zacząć się leczyć?

– No to co robić? – Nie wytrzymała gruba kobieta, raczej młoda, choć jej tusza maskowała prawdziwy wiek. – Jak go namówić, żeby

poszedł się leczyć? – spytała bezradnie.

– Gdyby alkoholik stracił zaniedbywaną pracę, sam prał swoje brudy albo obudził się kiedyś na murku lub w izbie wytrzeźwień, miałby możliwość doświadczyć strat, jakie ponosi wskutek picia. – Marlena zmierzwiła ciemne włosy. – I to byłoby dobre w procesie jego zdrowienia.

Magdalena z każdą kolejną sesją grupową, w której uczestniczyła, pozyskiwała wiedzę. Na temat mechanizmów sterujących nie tylko alkoholikiem, lecz także i osobą z nim żyjącą. Marlena mówiła, że czasem o wiele trudniej jest wyleczyć współuzależnionego niż alkoholika, co początkowo Magdalenie wydawało się absurdalne, lecz z czasem zaczynała w to coraz bardziej wierzyć. Po wielu ćwiczeniach wykonanych podczas spotkań albo zadanych jako prace domowe zauważała u siebie cechy współuzależnienia.

Czuła się o wiele lepiej, widząc, że nie jest sama z problemem ani jedyna z takim bagażem. Że przeżywały i przeżywają to miliony ludzi, a ktoś to wszystko analizował i teraz, po latach badań, kobiety takie jak ona mają gdzie się zbierać i uczyć.

Nabierała coraz większego przekonania, że jeśli nawet Szymon wytrzyma przez cały rok bez picia, to tak naprawdę on teraz wcale nie zmierza do wyleczenia, tylko do czasowej czy chwilowej abstynencji i powrotu do dawnych nawyków natychmiast po zakończeniu działania esperalu. Kilka kobiet opowiadało o tym, jak ich mężowie poddali się temu zabiegowi i skutek był opłakany albo żaden. Po wszystkim od nowa zaczęli pić, niektórzy nawet przed upływem tego mitycznego roku.

– Ale jak to możliwe?! – Nie posiadała się ze zdumienia. – Przecież powinni mieć jakieś okropne objawy, czytałam trochę o działaniu tych tabletek!

– Działają albo nie działają. – Niska, krępa kobieta, która zwykle siadała dokładnie naprzeciwko Magdaleny, rozwiewała jej złudzenia. – Na mojego nie działały. Zaczął pić trzy miesiące po zaszyciu.

– A może tylko udawał, że to zrobił?

– Nie, widziałam szew. – Pokręciła głową. – Zwyczajnie przepalił to wódką.

– Przepalił? – Magdalena wytrzeszczyła oczy. Skojarzyło się jej to z „przepalaniem pokarmu”, o którym czytała na forum internetowym, czyli o jednym z wielu idiotyzmów, powielanych przez niedoinformowane e-matki – użytkowniczki sieci.

– A tak. Zapił, wytrzymał, że na niego wyszły poty, zbieleł cały, jak ściana był, mówię pani! I potem to już normalnie chlał, jak zawsze.

Jezu. Trzy miesiące. A liczyła chociaż na rok spokoju. Nie, jeśli Szymon nie pójdzie na terapię, to nic z tego nie będzie!

Nie miała zamiaru tracić kolejnych lat, koncentrując się na nałogu męża. Za dużo ją to kosztowało. Wiele emocji, gniewu, frustracji, bezradności. Uczuć trudnych – bo nauczyła się już, że nie ma złych emocji, są tylko te trudne. Ale potrzebne, jak wszystkie. Najgorsze dla niej były własna agresja i lęk. W odróżnieniu od strachu przed czymś konkretnym, obawa przed nieznanym, tym czymś, co mogło ją jeszcze spotkać ze strony męża, a nawet z jej własnej strony, była przytłaczająca.

Lęk towarzyszył Magdalenie od tak dawna, że już go nie zauważała. Bała się wszelkich zmian, bo w myślach projektowała najczarniejsze scenariusze. Jak każdy, bała się śmierci, samotności, braku zdrowia i pieniędzy. Ale obawą najtrudniejszą do pokonania był lęk przed podejmowaniem własnych decyzji, bez oglądania się na „dobro rodziny”, „dobro małżeństwa”, na zdanie innych. Dotąd bała się wszystkiego, co wymagało od niej działania, wiążąc to w myślach z nieumiejętnością poradzenia sobie, chociaż z drugiej strony doskwierało jej też poczucie bezwolności i tego, że jest sterowana. Chwilowo wygodniej było zdawać się na „silnego i mądrego” męża, lecz na dłuższą metę nie uznawała tego za komfortowe.

Bardzo chciała nauczyć się zaufać sobie, radzić z własnymi emocjami, co, jak sądziła, było możliwe, bo nabierała już chyba bardziej realistycznego spojrzenia na swoje życie i małżeństwo. I podobało się jej to uzyskiwanie wiedzy, gdyż napełniało poczuciem bezpieczeństwa. Łatwiej było mierzyć się z czymś, co się znało. I dowiedziała się jeszcze czegoś – lęk nie był zły, niepożądany. To on pomagał szacować niebezpieczeństwo, uświadamiać je sobie i oceniać jego siłę. Pozwalał mobilizować się, akumulować energię, którą da się przekuć na działanie – byle działać, nie czekać! Nawet jeśli działanie miało się sprowadzić



do ucieczki. Czasami tylko ona była rozwiązaniem.

Tego dnia, jak na maj wyjątkowo nieładnego, bo z siwym niebem zawieszonym dość nisko, co niesło niebezpieczeństwo ulewy, Magdalena nie mogła usiedzieć w domu. Uczucia kłębiły się w niej i wywracały na wszystkie strony jak kiedyś Gabryś w brzuchu – miała poczucie takich ciężowych szaleństw wewnątrz siebie. Doszła do perfekcji w „gotowaniu” obiadów z Mikrusa, więc teraz, zamiast siedzieć w wypucowanym domu, zabezpieczona składaną parasolką, ruszyła na dłuższy spacer. Sama, bez Gaby, Joanny, bez obowiązku rozmawiania z kimkolwiek.

Dojechała autobusem do placu Bema, który chyba powinno się przemianować na plac Bankowy – swoje siedziby w biurowcu i okolicznych kamienicach miało kilkanaście banków! Gdy wysiadła na przystanku tuż przed kanałem Odry ze stojącym nad nim młynem Maria, omiółł ją zapach chleba z piekarni, do której zawsze były długaśne kolejki – ludzie zjeżdżali się tu z różnych okolic, by kupić wspaniały chleb, wypiekany bez „polepszaczy”.

Weszła na most Piaskowy i zastanowiła się, czy pójść w lewo, na Ostrów Tumski, czy raczej udać się na Wyspę Słodową i dalej, na Bielarską. Dawno tam nie była, więc minęła hotel Tumski, stojący naprzeciwko młyna, i przeszła na drewniany mostek, kładkę właściwie. Miała ochotę kiedyś bliżej zapoznać się ze wszystkimi nadrzecznymi przejściami, których w mieście było bardzo wiele, nie na darmo Wrocław nazywano miastem stu mostów. A z kładkami było ich jeszcze więcej.

Woda w rzece była burobrazowa, mętna, ale płynęła żywo, kotłując się prawie jak myśli Magdaleny. Wiatr, niezbyt ciepły, za to przyjemnie chłodzący rozgrzane czoło kobiety, rozwiewał jej kosmyki włosów, które wysnuły się z fryzury zaplecionej w dobierany warkocz. Odgarnęła je kilka razy, potem się poddała – fruwały z podmuchami, nie było sensu z tym walczyć.

Motyw walki znów skierował jej myśli na sytuację, w której tkwiła. Już wiedziała, że nie chce tak trwać zawsze. Rozdarta między przyzwyczajeniem do zwykłego układu a chęcią wyrwania się z niego, stała w rozkroku nad zwariowanym, bulgoczącym i rwącym kanałem

swojego życia.

Byłoby dobrze, gdyby uświadomiła sobie, o co jej chodzi w tym życiu. Czego oczekuje od siebie, męża, dziecka. Od rodziny. Zmęczyło ją trwanie w niepewności i liczenie się wyłącznie z humorami i decyzjami kogoś innego, zwłaszcza Szymona – chciała się zabezpieczyć. Poczuć grunt pod nogami, bo dotąd żyła na huśtawce bujanej przez męża.

Skonstatowała, że dotąd było jej dość wygodnie siedzieć i użalać się nad sobą, że mąż zły i pijak, a ona nic nie ma i mieć nie będzie... Dlaczego nie będzie? Czy jest tak bardzo nikim, tak mało znacząca, że naprawdę nie stać jej na własne, prawdziwe i pełne, a nie tylko pozorne życie? Nie знаła wielu kobiet, które zdecydowały się na męczeństwo, były doceniane przed śmiercią. Zwykle nawet później nie. A ona – czy rzeczywiście nie mogłaby zająć się tym, co chciała, projektowaniem, planowaniem, daniem ludziom czegoś, co naprawdę docenia, a nie tylko skwitują wysiłek zdawkowym „dziękuję”. Chciała cieszyć się, że chodzą w jej swetrach, owijają szyję jej szalami, ubierają dzieci w jej czapki, sukienki i skarpetki, a mamom i babciom dają w prezencie dziergane przez nią i według jej wzorów chusty.

Woda pod jej nogami lekko zblękitniała, mimo wciąż przeważającej brunatnej barwy. Magdalena uśmiechnęła się kącikiem ust i ruszyła w stronę wielkiego placu zabaw, by popatrzeć na nie swoje dzieci, którymi nie musiała się opiekować i pilnować, by sobie nie zrobiły krzywdy podczas zabaw – to było wspaniałe przeżycie, powodujące, że uśmiech rozciągnął się do drugiego kącika.

Słońce udawało, że go nie ma, ale szare chmury w jednym miejscu mocno pojaśniały. Magdalena szła wolnym krokiem, mijając wózki dziecięce, prowadzone za rękę maluchy, biegające starszaki. Kawalek za placem zabaw dla najmłodszych zbudowano kilka obiektów – okręty, na których mali chłopcy zmieniali się w groźnych piratów, inne budowle, służące do czego tylko chcieli, co im wyobraźnia podpowiedziała. Ale zabawką, na którą najchętniej wchodziła Gabrysia, gdy tu razem przychodziły, była wielka pajęczyna. Wspinały się tam raczej starsze dzieci, można było wejść po linach, a potem zjechać z wysokiej zjeżdżalni i to było coś, za czym Gaba przepadała. Nie tylko ona –

zwykle panował tu duży ruch, także i teraz.

Jakaś kobieta, trzymając za rękę może trzyletnią dziewczynkę, osłaniała oczy dłonią i patrzyła do góry, gdzie wspinało się jej drugie dziecko, chyba chłopiec, stąd Magdalena nie potrafiła rozróżnić. Dziecko doszło do samej góry, a teraz przemieszczało się w stronę górnego wejścia do zjeżdżalni. Było ostrożne i robiło wszystko pomału, co chyba cieszyło matkę z maluchem, obserwującą je z dołu. Jakiś chłopiec, sprawniejszy i bardziej żwawy, przemknął obok tego na górze. Matka syknęła i puściła dłoń córeczki, która natychmiast wyrwała się do przodu, do lin. Ale nie dobiegła tam, Magdalena odruchowo dała dwa kroki naprzód i złapała ją za kaptur cienkiej kurteczki, zanim zdążyła dobrze się rozpędzić.

– Och, dziękuję bardzo. – Matka małej się uśmiechnęła. – Ona koniecznie chciałaby się wspinać razem z bratem! Ledwie daję radę ją upilnować, wystarczy chwilka, a stoi na parapecie okna czy na takich różnych drabinkach dla dużo starszych dzieci. Tamtej zresztą też niczego nie brakuje – rozgadała się kobieta, odgarniając z twarzy puszyste włosy. Była dość niska, ale zgrabna, choć zbyt zaokrąglona jak na standardy projektantów mody. Jednak Magdalenie przypadła do gustu, chyba przez matczyny wyraz sympatycznej twarzy.

– Jak już plac zabaw, to ekstremalnie! Chyba zapiszę ją na karate...  
– Zwróciła się teraz do córeczki: – Chodź, tam tatuś na dole zjeżdżalni złapie Misię! Bo ona ma na imię Michalina. – Znów spojrzała na Magdalenę. – Po mężu. A młodsza to Milenka.

– Bardzo ładnie. – Magdalena pokiwała głową, czując, że zaczyna mieć ochotę na ucieczkę. Gadatliwa kobieta, choć w pierwszej chwili robiła miłe wrażenie, zdaje się, że nie miała z kim porozmawiać, więc narzucała się przygodnym znajomym.

– A pani dzieci to które? O, już tatuś złapał Misię!

– Moja córka jest teraz w przedszkolu, właśnie muszę po nią iść...

– Magdalena popatrzyła na tatusia Misi i zamarła. Teraz naprawdę wolałaby uciec!

Serce jej podskoczyło, a może to tylko żołądek? Wszystko jedno, nie miała się gdzie schować, by zniknąć z oczu Michałowi, który natychmiast ją rozpoznał i podchodził z miną udającą spokój.

– Dzień dobry. – Spojrzał niepewnie. Mimo dużego zaskoczenia – żona, dzieci! Nie wspomniał o nich ani słowem! – Magdalena rozumiała go. Ona też nie chciałaby spotkać Michała, będąc w towarzystwie Szymona...

– Pani... – kobieta z uśmiechem zwróciła się do męża – uratowała naszą Milenkę przed wspinaczką!

– Bez przesady – bąknęła Magdalena. – Nic wielkiego nie zrobiłam.

Patrzyła to na jedno, to na drugie i zastanawiała się, jak uciec.

Michał wrócił do równowagi i zachowywał się już swobodnie – był dobrym aktorem. Ciekawe, czy grającym tylko przed żoną...

Postanowiła tego nie rozstrzygać. Teraz, po poznaniu jego rodziny, nie miała ochoty na kolejne spotkania. Zawsze będzie miała w pamięci chwile w cudownej restauracji Teatralnej i w parku, ale odtąd także jego żonę i dzieci.

Pożegnała się i ujrawszy, że zacierają w stronę miasta i kierują się na niegdyś ruchomą, a obecnie zupełnie stabilną po przebudowie kładkę, odeszła w przeciwnym kierunku, tą samą drogą, którą przybyła.

Próbowała nie oglądać się za siebie, ale nie wytrzymała i udając, że szuka czegoś w torebce, dyskretnie rzuciła okiem na Michała. Ten, idąc w pewnym oddaleniu od żony, wyjął z kieszeni telefon, wystukał numer i przyłożył słuchawkę do ucha. Po chwili rozległ się sygnał jej komórki. Spojrzała na wyświetlacz – on. Odrzuciła połączenie. Potem drugi raz. Szybko minęła hotel i wyszła na most, na którym przystanąła.

Michał wciąż próbował się dodzwonić, więc choć w pierwszej chwili chciała usunąć jego numer, ostatecznie go zablokowała. Potem wrzuciła telefon do torebki i oderwawszy się od barierki, ruszyła dalej.

Niebo znów pociemniało, chociaż może to tylko kwestia zwarzonego humoru Magdaleny. Doprawdy, trudno połapać się we własnych uczuciach, a w czyichś – to chyba zupełnie niemożliwe. Była niezadowolona z tego spotkania, bo dotąd „miała” Michała dla siebie choćby w myślach. Teraz i to straciła.

Doszła do placu Bema, minęła piekarnię, nie zważając na cudowne aromaty, i choć początkowo zamierzała pojechać tramwajem, postanowiła się trochę zmęczyć i wrócić do domu pieszo. Za wcześnie

było, by iść po Gabę, więc nie zawinęła do przedszkola, tylko udała się prościutko ulicą Świętokrzyską do Żeromskiego.

Zamyślona, minęła Błękitny Kuferek, nawet go nie zauważywszy. Prawie dochodziła do przejścia dla pieszych, gdy zadzwoniła jej komórka. Pani Beata? Odebrała i po kilku słowach zawróciła do pasmanterii.

– Co się stało? Jakież wieści od Mateusza? – Ale przecież on się już kontaktował bezpośrednio z nią, bez pośrednictwa pani Czajki.

– Nie, nie, raczej od mojej siostry. – Uśmiechnęła się. – Urodziła dziecko! Klocuś, prawie pięć kilo, ale zdrowiutki, piękny, no mówię pani. – Świeżo upieczona ciocia cieszyła się. – No i właśnie... Właśnie mam do pani sprawę w związku z tym. Napije się pani kawy?

Zaintrygowana Magdalena zgodziła się i po chwili siedziały na wiklinowych krzeselkach, bardzo wygodnych, choć niemożliwie skrzypiących. O tej porze nie było zbyt dużego ruchu, więc dało się w spokoju porozmawiać.

– Pani Magdaleno, mam do pani zaufanie – zaczęła tajemniczo Beata. – Kiedy pani tu była, gdy złamałam rękę, wszystko chodziło jak w zegarku, klientki były bardzo zadowolone, a co za tym idzie, ja też. I pomyślałam... – Umilkła na chwilę. – Pomyślałam, czy nie zechciałaby pani pracować u mnie normalnie, na umowę o pracę, na pół etatu? Siostra urodziła zdrowego dzidziusia, ale sama nie czuje się najlepiej, chciałabym jej pomóc, chociaż przez jakiś czas jeździć do niej codziennie, pomagać przy maluchu. Ale i potem – zawsze są jakieś sprawy do załatwienia, jak nie w domu, to w urzędzie. Nie ma zmiennika, więc musiałam zamykać wcześniej albo otwierać później, wie pani, jak to nieraz długo trwa w urzędach, nie zdążałam na dziesiątą. A to denerwuje klientów, rozumie pani?

– Oczywiście.

– I właśnie dlatego proponuję pani pracę u siebie. Zna pani tu każdy kąt, wiem, że wszystkie guziki i włączki będą bezpieczne pod pani opieką. – Znowu się uśmiechnęła. – A w chwilach wolnych także tutaj może pani dziergać dla Mateusza. Co pani na to? – Spojrzała z taką nadzieją, że nawet gdyby Magdalena nie miała ochoty tu pracować, spróbowałaby chociaż przemyśleć propozycję.

Do domu już się nie opłacało wracać, więc Magdalena wyszła z pasmanterii i od razu skierowała się w stronę przedszkola. Nie szła – frunęła nad chodnikiem, mając ochotę podskakiwać jak szczęśliwe dziecko. Praca! I to gdzie – w ulubionym, cudownym miejscu! Śmiała się do przechodniów, samochodów, szyb wystawowych, w których z trudem rozpoznawała kobietę zaledwie godzinę temu smutną i przybitą, a teraz z szeroko rozpostartymi skrzydłami. Miała prawdziwą pracę! Zacznie na etat od czerwca, a teraz będzie przychodziła bez umowy, to zaledwie kilka dni maja. Wakacji jeszcze nie planowała, ale bez względu na wszystko postanowiła się dostosować do właścicielki sklepiku planującej dwutygodniowy urlop w sierpniu. Albo więc Magdalena będzie miała swój w innym terminie, albo – gdyby ich wyjazdy się pokrywały – pani Beata zamknie interes na dwa tygodnie i już.

Magdalena wymyśliła też, co zrobi z Gabrysią. W trakcie roku szkolnego nie ma problemu, skoro w sklepie ma być od dziesiątej do czternastej, a w czasie wakacji zapisze ją na dwa tygodnie na półkolonie w oratorium przy parafii, a potem wyśle ją do rodziców, pod Wrocław. Dziewczynka zmieni klimat, środowisko, dziadkowie będą szczęśliwi, bo zawsze tak chcieli, a teraz mają warunki... I niech Szymon nawet nie próbuje oponować! Prawdopodobnie raczej się ucieszy, że nie musi się aktywnie córką opiekować, zresztą odkąd zrobiło się ciepło, coraz częściej jeździł na budowę domu, ale... Ale najpierw trzeba mu będzie powiedzieć o pracy. Jednak teraz, gdy robiła wreszcie coś naprawdę dla siebie, nie zamierzała nikogo pytać o zdanie. Ona go tylko POINFORMUJE!

Zresztą nie wiadomo, jak dalej będzie. Szymon konsekwentnie odmawiał leczenia, zapierając się wszystkimi kończynami przed pójściem do poradni. „Po co mam iść, przecież nie piję?” – pytał. I wzruszał ramionami; tak dalece wierzył, że problem zniknął w czarodziejski sposób, że nie wiedziała, co mu odpowiadać. Ona uczyła się na terapii, że nietrzeźwiejący alkoholik w dalszym ciągu myśli i reaguje jak pijący, bo ta choroba walczy o przetrwanie. Nasłuchiwała się od specjalistów i od kobiet z grupy o wiele więcej, niż sama doświadczyła. Złudzeń już w zasadzie nie miała. Została tylko blada

nadzieja, że i jej mąż kiedyś dojrzeje do podjęcia decyzji o leczeniu. Bo alkoholizm jest chorobą śmiertelną i nieuleczalną bez pomocy z zewnątrz, bez opieki fachowców.

Teraz, po jeszcze niedługiej, za to intensywnej terapii, dziwiła się, jak mogła być tak ślepa. Na początku, jeszcze przed ślubem i tuż po nim, nie dziwiły jej jego zachowania na imprezach, uznała, że „on tak ma”. Śmiali się, bawili, tańczyli, spotykali z ludźmi – wszystko wyglądało naturalnie, mieściło się w granicach ich środowiskowej normy. Ale potem, gdy upijał się do nieprzytomności na ponuro, samotnie, gdy ciągnęła go przez pół miasta, ledwie sama dźwigając ciężowy brzuch?

Na tym zresztą wówczas nie poprzestał, bo zaledwie tydzień później, gdy pojechała do szpitala, przy samym porodzie co prawda był, ale potem zniknął i pił trzy dni. Z radości i dumy – tłumaczyła sobie. Czwartego dnia przyjechał po nią i noworodka. Śmierdział, jakby wyszedł wprost z gorzelni, ubrania nie zmieniał, odkąd widzieli się poprzednio, ręce mu się trzęsły. Dobrze, że wszystko, co potrzebne dla dziecka, miała ze sobą, ale o kurtce dla niej zapomniał – wracała w jego płaszczu, cuchnącym, jakby wisiał w barowej szatni. Wolą nie pytać, gdzie przez ten czas mąż świętował urodzenie pierworodnej. Zorientowała się dopiero w mieszkaniu, którego nie wietrzył, że pił tam w jakiejś, zapewne wesołej, kompanii. Sam nie palił, ale musiał gościć palaczy, więc odór nikotyny rozpląwał się po całym domu.

Rozżalona Magdalena z Gabrysią na rękach rozglądała się po domu, tak wymuskany i wysprzątanym na przyjęcie maleństwa, który teraz przypominał jakąś melinę. W kuchni leżały powyciągane z szafek czyste i brudne naczynia – na stole, w zlewozmywaku. Porozstawiane taborety, na blatach resztki jedzenia, napojów, puszki i butelki. Nie lepiej wyglądało w salonie. Sypialnia prezentowała widok kojarzący się z kawalerką leniwego singla, z draperiami pościeli i ciuchów zwieszających się z łóżka i krzesel. Jedynie pokój dziecięcy zastała takim, jak go zostawiła. Ułożyła małą w łóżeczku i wzięła się do sprzątanania – co za szczęście, że czuła się nieźle. W szpitalu naprawdę wypoczęła po całkiem znośnym porodzie.

Jak łatwo było o tym wszystkim zapomnieć, uwić sobie gniazdko i siedzieć w nim, wpasowując się w system alkoholowy. Starła się nie

przeszkadzać Szymonowi w picciu, nie denerwować, bo mniejszym złem było widzieć go pijanego, gdy stosunkowo szybko szedł spać, niż niedopitego lub niemogącego się napić, bo wtedy zachowywał się strasznie. Zresztą gdy był trzeźwy, też wołała robić różne rzeczy niekoniecznie dlatego, że uznawała je za stosowne, ale dlatego iż uważała, że tak będzie po jego myśli. Ile z tych poczynań na nic się zdało, bo mąż kompletnie nie zwracał na nie uwagi, to już inna kwestia.

Nie była więc sobą, lecz trybikiem maszynki alkoholowej ich rodziny. Chroniła córkę przed widokiem pijanego ojca, tworząc tabu z jego choroby. Chroniła siebie, dogadzając mężowi, zmniejszając siłę przykrych doznań; zamiast zlikwidować źródło swojego cierpienia, usiłowała je tuszować, a nie widzieć. Chroniła butelkę.

Nie chciała tego dalej ciągnąć, tkwić w pozorach „udanego małżeństwa”. Pragnęła skończyć z hipokryzją, z „wagarami” od realnego życia poprzez ucieczki w nierealne marzenia albo poprzez sprawianie sobie ukradkiem drobnych przyjemności, które potem ukrywała przed mężem. Wyrzuty sumienia, że kłamie i oszukuje Szymona w sprawie dorabiania w pasmanterii, niegotowania obiadów, niemówienia mu całej prawdy o planach projektowania dzianin – przepełniały ją coraz bardziej. A poza tym, czy naprawdę musiała żyć ciągle na najwyższych obrotach, nie odpuszczając sobie ani na trochę? W jednej z publikacji przedstawionych na terapii przeczytała, że nawet Superman nie był ideałem przez dwadzieścia cztery godziny na dobę – czasem zmieniał się w Clarka Kenta i żył normalnie...

I już wiedziała, że jedynym rozwiązaniem może być ciężka praca jej i Szymona w terapii. Albo jej praca bez niego... Tym bardziej musiała się uniezależnić i zarabiać pieniądze. Nie chodziło o to, że wstydziła się prosić o nie Szymona, ale po prostu uważała, że tak powinna zrobić. Zwłaszcza jeśli brała pod uwagę rozstanie z mężem, jeśli ten nie zdecyduje się na leczenie.

Chciała i mogła być szczęśliwa – już teraz, po podjęciu decyzji o pracy w Błękitnym Kufierku, to czuła. Jeszcze nieśmiało, ale coraz wyraźniej – zaczynało się w niej tlić szczęście i coś na kształt malutkiej pewności siebie.

Najbardziej wiosenny miesiąc roku kończył się chmurnie



i burzowo. Co jakiś czas nad miastem grzmiało i błyskało, deszcz bębnił o szyby, a wszystko tonęło w szarości. Mimo to Magdalena czuła w sobie światło i radość. Szymon bez mrugnięcia okiem przyjął, że jego żona zaczyna pracę. Nawet nie musiała – i nie chciała! – silić się na tłumaczenia. Sprawnie organizowała sobie dni, z których każdy był wypełniony po brzegi już nie bezsensownymi czynnościami, ale pracą w pasmanterii, zajmowaniem się domem, które wreszcie dawało satysfakcję, i projektowaniem. Znajdowała więcej czasu na czytanie Gabrysi, ich ulubione planszówki i wspólne oglądanie bajek, a robiła to wreszcie chętnie i z sercem.

W tym czasie pan Mateusz przyjechał jeszcze raz z dwiema kobietami, które miały działać według jej wzorów, a także nauczyć tego inne pracownice. Omówiły szczegóły i wróciły pod Poznań – od lata w niektórych punktach Polski oraz przez internet będzie można kupić po zawrotnych cenach rękodzieła zaprojektowane przez Magdaleny.

Gdy w Błękitnym Kufunku nie było akurat klientów, a towary leżały już odpowiednio wyeksponowane, kiedy zamówienia składane w hurtowni przez panią Beatę, a przygotowane przez Magdaleny, czekały, aż właścicielka przyjdzie na drugą zmianę, pracownica zajmowała się dzierganiem letnich sukienek dla dziewczynek. Białe, błękitne, beżowe, ażurowe górą, lekkie i przewiewne dołem, cieszyły się wielką popularnością u kupujących i schodziły na pniu, ledwie nadążała z robotą. Nie było to łatwe, bo wykonywała je wyłącznie w rękach, bez użycia maszyny – górę splatała szydełkiem z cienkiej nitki bawełnianej, a dół, spódniczkę z prostego kawałka satyny w kształcie długiego prostokąta zszytego wzdłuż krótszego boku, marszczyła z jednej strony, którą przyszywała do szydełkowego kawałka. Początkowo chciała robić większe rozmiary wraz z kapelusikami, ale to trwałoby strasznie długo i kosztowało więcej, rozmiary zaś na maluszki robiło się sprawniej i prędzej.

Kończyła pracę i szła na zakupy, potem po Gabę, z którą wracała wprost do domu – pogoda nie zachęcała do spacerów. Popołudniami gotowała obiad na następny dzień lub dwa, a gdy Szymon wyjeżdżał, co zdarzało mu się od czasu do czasu, wcale nie gotowała, żywiła się wtedy kanapkami lub w barze.

Końcówka maja przypominała bardziej jesień niż inną porę roku. Potoki wody płynęły wzdłuż rynsztoków, kałuże nie nadażały wsiąkać w ziemię, chmury, ciężkie od wody, od czasu do czasu zrzucały jej nadmiar na miasto – wymyte, ale poszarzałe i pełne samochodów – każdy wolał postać w korku, będąc suchym, niż moknąć na przystanku.

Gabrysia siedziała w dużym pokoju z nosem przy szybie, po której biegły strumyczki deszczu. Od czasu do czasu szyba drgała, a rama okna buczała, gdy wiatr mocniej zaciął deszczem. Szymon właśnie wrócił z pracy i poszedł wziąć sobie obiad, a Magdalena leniwie przerzucała strony dzisiejszej gazety, którą od lat kupowała tylko w piątki. Mimo nie takiej jeszcze późnej pory w pokoju zrobiło się już ciemno, więc zapaliła lampę stojącą między fotelami i przyjrzała się artykułowi opatrzonemu zdjęciem. Miała wrażenie, że już gdzieś widziała to miejsce, ale nie mogła sobie przypomnieć gdzie. Wyglądało to jak spory akwen, z cumującymi bliżej obiektywu żaglówkami. W oddali widać było porośnięty drzewami brzeg, po prawej kawałek czegoś, co wyglądało jak metalowy pomost, o ile coś takiego mogło istnieć – Magdalena zupełnie nie знаła się ani na żeglarstwie, ani tym bardziej na budowlach wodnych.

Szymon wszedł do pokoju i włączył górne światło.

– Ciemno – rzekł.

Relacje między nimi układały się ostatnio dość poprawnie, choć Magdalena odnosiła wrażenie, że mąż jest trochę przyczajony, ale starała się podchodzić do tego z opanowaniem, a nawet przełamać niechęć, jaką czuła do Szymona. Nie było to proste, lecz zachowywał się spokojnie, dostrzegała, że się stara. Wiedziała też, że nie jest mu łatwo nie pić – ona chodziła na spotkania, wciąż się uczyła, brała coś dla siebie z terapii, a on musiał – z własnego wyboru – radzić sobie sam. Zmieniła ranne sesje na popołudniowe, żeby móc pracować, i tu spotkała ją kolejna niespodzianka – Szymon bez protestów zostawał z Gabą, choć wyznała mu w końcu, że chodzi do ośrodka. Dwa razy się zdarzyło, że akurat w tym dniu musiał wyjechać, ale niezawodna Joanna chętnie brała do siebie Gabrysię, ciesząc się, że ma opiekunkę dla Kacpra, który jej przynajmniej wtedy nie zawraca głowy, całkowicie pochłonięty goszczeniem przyjaciółki i zabawą.

– Szymon, co to jest, tu, na zdjęciu? – Magdalena podsunęła mężowi gazetę.

– Czekaj, znam to miejsce... – Przypatrywał się uważnie ze zmarszczonymi brwiami.

– Wygląda jak fragment jakiegoś jeziora czy zalewu? – Próbowała odgadnąć.

– Nie rozpoznaję. A czemu koniecznie chcesz to wiedzieć? – zainteresował się.

– To konkurs. – Podniosła się z fotela. – Przez jakiś czas zamieszczają różne zdjęcia i jeśli ktoś odgadnie, jakie miejsce Wrocławia jest na nim, ma szansę wygrać udział w rejsie.

– Po morzu? – zdziwił się Szymon.

– Nie, po rzece. – Roześmiała się. – Słoneczny rejs po Odrze, tak się to nazywa. Przeczytaj sobie artykuł.

Podawała mu gazetę i wróciła na fotel. Szymon usiadł przy stole, a Gabrysia zeszła wreszcie z parapetu i przybiegła przytulić się do mamy. Bardzo się cieszyła, bo ostatnio rodzice się nie kłócili, a jeśli nawet mieli różne zdania, to nie krzyczeli jak dawniej. A przede wszystkim byli tu razem, tatuś wyjeżdżał na krótko, co zawsze ją martwiło, ale najczęściej już następnego dnia wracał, więc oddychała z ulgą i biegła rzucać się mu na szyję. Teraz też byli razem, wszyscy w jednym pokoju, bardzo lubiła takie chwile.

– Może to Bajkał? – zastanowiła się Magdalena, przypominając sobie niewielkie, zawsze pełne ludzi jezioro w Kamieńcu Wrocławskim, przy starym korycie Odry, w miejscu po dawnym wyrobisku gliny i żwiru. Woda w nim zawsze była mętna i brązowa, do kąpieli nadawała się średnio, ale cenili ten zalew wędkarze.

– Nie, tam nie było chyba takich pomostów. Nie pamiętam, dawno tam nie byliśmy – zastanawiał się głośno Szymon. – Słuchaj... A to nie jest czasem port tam, za kładką, niedaleko Niskich Łąk? Wiesz, gdzie, pamiętasz? – Uśmiechnął się.

Pamiętała. Często chodzili tam na spacerzy dawno, dawno temu, przed ślubem. Okolica była dość dzika, niby stosunkowo blisko od centrum miasta, gdyby liczyć w kilometrach, lecz po przejściu przez kładkę Zwierzyniecką od zoo na drugą stronę człowiek mógł się czuć jak

na dalekich peryferiach czy wręcz na wsi. Po zejściu w prawo w ciągu dziesięciu minut można było znaleźć się na placu Wróblewskiego. A oni zawsze skręcali z kładki w lewo i szli pośród łąk ciągnących się wzdłuż Odry, między nią a wałem przeciwpowodziowym. Latem schodzili na sam brzeg i oglądali toczącą mętne wody rzekę. Idąc dalej i trzymając się za ręce, docierali aż do stadniny koni, tuż przed rusztowaniem rurociągu rozciągniętym między brzegami. Kiedyś pewien człowiek miał tam gospodarstwo i wypasał owce na tych terenach. Jeszcze z dzieciństwa Magdalena pamiętała ogromne stado brudnych owiec, tak różnych od puszystych jak obłoczki baranków na halach w Tatrach. Potem łąki zaczęły zarastać krzewami, których nikt nie karczował. Nadal jednak po drodze można było minąć ośrodek, w którym pływali harcerze wodniacy. To do ich portu często z Szymonem zaglądali; wystawiali na kamienistej główce, rozglądali się wśród żaglówek cumujących między zasadniczym brzegiem a falochronem. To tam wiosną Szymon zbierał dla niej fiołki rosnące wzdłuż ogrodzenia, między brukowaną kocimi łbami drogą a płotem. To tam zimą przyjeżdżali z łyżwami – nieraz po jesiennych wylewach Odry między wodniakami a wałem tworzyło się rozlewisko, które po zamarznięciu było fantastycznym lodowiskiem, leżącym na ogromnym obszarze między stadniną a kładką Zwierzyniecką. Oprócz tego, że wielkie, było też bezpieczne, bo woda zwykle nie sięgała wyżej niż trochę ponad kolana, więc zamarzała całkowicie, a jeśli nawet lód by się załamał, nie można było się utopić. Za wałem, przy ulicy wiodącej na Opatowice, była przepompownia wody, a kawałek za nią jakiś zrujnowany pałacyk, w którym kiedyś mieszkał portier od tych żeglarzy z portu. Wokół rozciąga się tak zwany Małpi Gaj, zdziczały park, cieszący się jak najgorszą sławą. Tam się nie zapuszczali, pozostając przy spacerach nad wodą, zbieraniu kwiatów i pocałunkach wśród nadrzecznych krzewów.

– Myślisz? – zastanowiła się. – Ale to na zdjęciu jest chyba większe.

– Nie, popatrz, zrobili panoramę, tuż nad wodą. Czekał, może udałoby się odczytać nazwy łódek. Pamiętasz, oni mieli takie muzyczne: Rapsodia, Wariacja, Kantata... Nie ma tego w sieci?

Włączył komputer i na portalu Gazeta.pl odnalazł konkursowe

zdjęcia, w tym to, które ich zaintrygowało. Skopiował je i powiększył maksymalnie.

– Jest! – zawołał uradowany. – Symfonia, to to! Wysyłamy?

– A chcesz? – spytała z nadzieją.

Tylko pokiwał głową.

Na odebranie wygranej, którą szczęśliwie zdobyli, musieli poczekać jeszcze kilka dni. Magdalena nawet cieszyła się, że nie od razu, bo pogoda wciąż była paskudna jak na koniec maja. Może z początkiem przyszłego miesiąca się polepszy? Bardzo na to liczyła, bo na pewno nie marzyła o kilku godzinach na statku w strugach deszczu. Początkowo chciała zabrać Gabrysię, ale potem pomyślała, że to może być dobra okazja do spędzenia czasu z Szymonem, tylko z nim, jak dawniej. Joanna i Kacper ucieszyli się i od razu umówili na lody w tym czasie, kiedy rodzice Gaby będą pływać.

Tymczasem pracowała i próbowała układać swoje życie. Dużo myślała o związku z Szymonem i zachciało się jej ratować małżeństwo. Wiedziała, że to się nie uda natychmiast, ale nabrała otuchy, że może kiedyś... Bardzo jej było żal męża, który wyraźnie nie radził sobie sam, lecz nie pozwalał sobie pomóc. Chwilami czuła wyrzuty sumienia, że tak o nim źle myślała i mówiła na terapii. A przecież to jej ukochany, który celowo przecież nie robiłby żonie krzywdy. Inne kobiety naprawdę czasem były w o wiele gorszych sytuacjach. Ich mężowie nie pracowali, nie czuli się w żaden sposób odpowiedzialni za rodzinę, nierzadko maltretowali swoich bliskich.

Szczególnie utkwiała jej rozmowa z jedną z kobiet podczas jakichś ćwiczeń, gdy opowiadały o swoim losie, relacjach z mężami, czasie dla rodziny i czasie wyłącznie dla siebie, o pieniądzach. Magdalena nie była wylewna, raczej skąpo dawkowała wiadomości o sobie, tylko to, co było niezbędne, by zrealizować program, a jednak została oceniona przez kogoś jako osoba, która „nie wiadomo, po co tam przyszła”.

– Wypłatę przynosi? Macie wspólne konto?! Boże złoty! I pani narzeka? – Farbowana brunetka w swetrze wyszywanym złotą nicią i cekinami nie posiadała się ze zdumienia. – Mój to mnie bił codziennie, o, nos mi dwa razy złamał! – Pokazywała, nie wiadomo, czy z większym żalem, czy z dumą. – Co pani tu robi? – dziwiła się.

– Postanowiłam nie czekać, aż i mnie mąż złamie nos! – zdenerwowała się w końcu Magdalena i zacisnęła usta, postanawiając nie odezwać się do tej baby już nigdy więcej.

Szybko jej przeszło, bo przecież tamta była w tak odmiernej sytuacji ze swoim przemocowcem, że zwyczajnie nie była w stanie zrozumieć, iż inni mogą mieć inny próg cierpliwości, inne wymagania i standardy. Ale czasem myślała, że istotnie nie ma z Szymonem źle – więcej ograniczeń stawiała chyba sobie sama, z góry zakładając, że to czy tamto mu się nie spodoba, że tego czy owego nie zaakceptuje. A przecież to jest dobry ojciec, mąż, dobry człowiek... W ich domu nie było mowy o przemocy fizycznej!

Zresztą – był zabezpieczony wszywką, nie pił już kilka tygodni, a ona, po przeżyciu jakoś fazy oczekiwania kolejnego występu męża, znów zaczęła wierzyć, że jeszcze może im się udać, bo on naprawdę się stara. Widziała, że czuje się dość źle, jest osłabiony, blady, reaguje nerwowo na różne rzeczy, nie wiążąc tego z faktem niepicia, choć z pewnością są jego wynikiem, kiepsko sypia – może to też działanie esperalu? Wciąż spał osobno, ale jeszcze nie chciała wrócić do wspólnego łóżka – nie była na to gotowa.

Z drugiej strony czuła, iż przyzwyczała się do samotnych nocy, było jej wygodnie, nikt nie chrapał i nie zabierał kołdry. To ją zatrważało, bo przekonała się, że od wszystkiego można się odzwyczaić – kiedyś nie wyobrażała sobie snu bez Szymona! Bała się ewentualnego rozstania, bo bała się końca miłości. Czuła chwilami jego przedsmak, jednak wybierała wspólne życie z Szymonem – z trzeźwym Szymonem.

Miała też poczucie winy, że nieświadomie przyczyniła się do jego choroby. Może gdyby była inna, bardziej uważna, gdyby była dla lepsza... Ach, a terapeutyci swoje: „Odrzuć poczucie winy, przewodnikiem alkoholika ma być jego sumienie, a nie twoja kontrola i nadodpowiedzialność”. Teoria teorią, a życie życiem. Magdalena czuła, że nie jest tak do końca w porządku. Już samo knucie na temat niezależnienia się, praca po kryjomu. A Michał...? Jak to dobrze, że nie przekroczyła żadnych granic, bo jak mogłaby teraz spojrzeć w oczy Szymonowi?!

Jemu było z pewnością ciężko. Tłumił w sobie wiele uraz,

problemów, emocji, które powinien uzewnętrznić, lecz nie chciał, nie potrafił. Dotąd picie pomagało mu się zrelaksować, odreagować, a teraz co? Pewnie też miał poczucie winy i czuł wstyd z powodu różnych rzeczy, które robił w stanie wskazującym – o tym też mówiono na terapii. I że niկły jest odsetek osób, które poradziły sobie bez pomocy specjalistów, ale tym – wobec kompletnego braku wpływu na cokolwiek – postanowiła zacząć się martwić bliżej końca darowanego przez los roku.

## Czerwiec

Lato miało się rozpocząć już za dwa tygodnie, więc wiosenne burze powinny się zakończyć. Tak też się stało, co wszyscy przyjęli z radością i ulgą, po długim, deszczowym czasie. Wrocław sechł i jaśniał w promieniach słońca pod niebem lazurowym jak na oleodruku.

Sobotni poranek rozpoczął się gorąco, bo temperatura osiągnęła prawie dwadzieścia stopni i wciąż rosła. Magdalena, szczęśliwa, że pogoda na rejs szykowała się wspaniała, przeglądała zawartość szafy, usiłując wybrać coś odpowiedniego na pokład Driady – wycieczkowego odrzańskiego statku. Ostatecznie zdecydowała się na białe spodnie i koszulkę w biało-granatowe paski. Wzięła coś na wypadek deszczu i wiatru – a jednak! – i poszła do Gaby, by ją wyszykować na prawie całodzienny pobyt u Joanny.

Uznali z Szymonem, że nie ma sensu odpalać samochodu – wyprawa miała ruszyć z przystani przy Bulwarze Xawerego Dunikowskiego, po przeciwnej stronie rzeki niż Ostrów Tumski; pysznił się tam biały wycieczkowy statek, na który goście „Gazety Wyborczej” schodzili po wąskim trapie. Przed zejściem ich obecność została zaznaczona na liście i wraz z niemal osiemdziesięcioma pasażerami, laureatami konkursu, Magdalena i Szymon znaleźli się na pokładzie.

Gdy tylko statek odbił z przystani, dziennikarka z lokalnego dodatku, Aneta Augustyn, również marynistycznie pasiasta, zagaiła:

– Oto nasi goście, którzy w ramach akcji „W stronę Odry” popłyną dziś z nami w Słoneczny Rejs i opowiedzą o różnych odrzańskich i nadodrzańskich sprawach. Pan Juliusz Woźny z ośrodka Pamięć i Przyszłość jest historykiem sztuki. Jest z nami również pan Ryszard Majewicz z Fundacji Otwartego Muzeum Techniki mieszczącego się na zabytkowym Nadborze, holowniku parowym z lat czterdziestych XX wieku, który stoi przycumowany przy Wybrzeżu Wyspiańskiego.

Niższy z panów, którego twarz zdobiła mała bródka i wąsy, ukłonił się pasażerom i przejął od dziennikarki mikrofon.

– Witam państwa. Jesteśmy chyba w najważniejszym miejscu we Wrocławiu, bo tu właśnie rodziło się miasto. Proszę sobie wyobrazić dość płytkie odnogi, liczne wyspy. Tutaj też można było się przeprawić przez bród. Podobno tu właśnie wodami Odry przy płynęła Dąbrówka,



którą przywitał na Ostrowie Tumskim Mieszko I. Być może zatem Mieszko i jego dwór zostali ochrzczeni wodami naszej rzeki, nie jest to wykluczone. Jak więc widać, miejsce jest naprawdę ważne, a potwierdzi to za chwilę pan Ryszard.

– Tak, oczywiście, w tym się zgadzamy, a to rzadkość w naszej publicznej działalności. – Na słowa wysokiego mężczyzny w okularach, poprawiającego od czasu do czasu czapkę z daszkiem chroniącym od coraz mocniej świecącego słońca, wszyscy się roześmiali. – Jestem specjalistą od gospodarki wodnej, konkretnie inżynierem melioracji wodnych z uprawnieniami budowlanymi i w związku z tym będę państwu pokazywał to, co jest ciekawe do obejrzenia, co ja, jako „wodziarz”, wyraźniej widzę. Nie będę mówił o historii, to domena kolegi, lecz o konkretach, powiedzmy rodzynekach wyjmowanych z tego „ciasta historii”. Pan wspomniał o tym nabrzeżu, ale nie wiem, czy państwo wiedzą, że zostało ono obronione dzięki ludziom, którzy wozili i nosili worki z piaskiem podczas słynnej powodzi w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym siódmym...

– Skoro sięgamy do historii – przerwał mu Woźny i wskazał ręką kierunek. – To tamtędy biegł szlak bursztynowy, właśnie tym mostem. Archeolodzy znaleźli w jednym z miejsc w naszym mieście blisko dwie i pół tony bursztynu. Mijamy teraz katedrę pod wezwaniem Jana Chrzciciela, a więc też żywioł wodny.

Magdalena przypomniała sobie, że po drugiej stronie katedry istnieje pamiątka po źródelku, które tutaj było czczone jeszcze w czasach pogańskich. Może i ono wpłynęło na wybór patrona katedry? Wrocław od zarania był mocno związany z wodą, nie ma się co dziwić, że Jan Chrzciciel jest też patronem miasta... Wyrwana z zamyślenia, zaczęła słuchać Majewicza.

– Wiadomo, że miasto, osada czy cokolwiek, najczęściej powstaje tam, gdzie krzyżują się szlaki. Tutaj też krzyżował się szlak bursztynowy ze szlakiem Odry, która wtedy stanowiła „autostradę”, dlatego że przeprawa przez ówczesne puszcze była tym, czym teraz przeprawa przez dżunglę. Konie musiały nieźle się namęczyć, żeby przyciągnąć wiele kilogramów towaru łądem, natomiast spław był najmniej pracochłonny.

Magdalenie stanął przed oczami obrazek z jakiejś starej bajki – co to mogło być? Płynące po rzece kłody drewna. Zabłocki i jego mydlany interes? Nie potrafiła sobie przypomnieć. Odetchnęła głębiej zapachem rzeki, która choć w środku miasta i zasadniczo uregulowana, miała w sobie coś z dzikiej natury. Przysunęła się do Szymona i wciągnęła w nozdrza zapach jego wody kolońskiej, od którego lekko zakręciło się jej w głowie – kiedy ostatni raz wahała go nie po to, by wyczuć, czy pił? Otrząsnęła się z tych myśli, powracając do słuchania.

– Kto z państwa wie, skąd się wzięła nazwa most? – Majewicz rozejrzał się, a ponieważ nikt nie odpowiedział, wyjaśnił: – Od moszczenia brodów. Te brody, żeby przeprowić się końmi i wozami, trzeba było wymościć, by nie ugrzęznąć w łąkach piasku. Ci więc, którzy zarabiali na tym – brali myto czy prowadzili karczmę, gdzie się wszyscy zatrzymywali przed przeprawą lub po niej – oni dbali, żeby bród był przejezdny. Kładziono w poprzek drogi przez rzekę drobne krzaki, belki, słomę, a koła rozkładały ciężar wozu na ułożone krzewy i dzięki temu można było bezpieczniej jechać.

Słońce, operujące coraz silniej, rozgrzewało podróżnych mimo lekkiego wiaterek, wiejącego od wody. Szymon się spocił, więc rozpiął cienką kurtkę, a wreszcie całkiem ją zdjął i przewiązał sobie w pasie. Chyba nie było mu zbyt wygodnie na drewnianej ławeczce, bo kręcił się i wiercił, usiłując znaleźć najlepszą pozycję. Nie było to łatwe, skoro jednocześnie chciał mieć oparcie i widzieć to, co pokazywali dwaj panowie. Akurat jeden z nich wskazywał na most Grunwaldzki, najbardziej wrocławski z mostów tego miasta, można rzec – jego wizytówka, znajdujący się na tysiącach kart pocztowych, pamiątkowych zdjęć, filmów mówiących o stolicy Dolnego Śląska.

– Przepływamy pod kolejnymi mostami. – Mikrofon znów trafił w ręce człowieka z muzeum techniki. – A przed nami Grunwaldzki, most wiszący na stalowych pasach łączonych nitami, do których podwieszono poprzeczne belki podtrzymujące jezdnie i chodniki. Na jego otwarcie przybył sam cesarz Wilhelm II – zresztą most wówczas nazywano Cesarskim.

W tej okolicy Wrocław Magdalenie wydawał się zawsze niebieski. Prawdopodobnie sprawiał to kolor mostu i niebo odbijające się w Odrze

ołowianej lub nabierającej barwy rtęci. Lubiła takie klimaty, podobnie jak lubiła oglądać niebieskie filmy – nie miała pojęcia, z czego wynikała ich kolorystyka. Może to kwestia filtrów na obiektywach kamer? W każdym razie czuła się dobrze zarówno oglądając taki film, jak i przebywając gdzieś w okolicach urzędu wojewódzkiego, którego tył widać było teraz ze statku. Gdyby się nie obawiała, że motywy widoków na swetrach nieprędko wrócą na wybiegi mody, najchętniej wydzierałaby taki stalowy, zimnozielony i niebieskawy pejzaż.

Mikrofon wrócił do szczupłego historyka sztuki.

– Wrocław czasami nazywamy Wenecją Północy. Nie wiem, czy zdarza się odwrotnie, żeby Wenecja była nazywana Wrocławiem Południa, ale w to już może nie wnikajmy... Natomiast, proszę państwa, rzeczywiście, miasto nie jest zwrócone twarzą ku rzece. Cały region chyba się odwrócił od Odry i nie bardzo czujemy, że mieszkamy nad wodą. Chyba że ona zajrzy do naszych mieszkań w czasie powodzi...

– Schowamy się pod daszek? – Szymonowi po skroni płynął strumyczek potu.

Magdalena była trochę zaskoczona, bo ostatecznie słońce nie paliło mocno, szczególnie na wodzie gorąco mniej dokuczało. Z Szymonem coś się działo. Podejrzewała, że nie czuł się najlepiej, ale ukrywał to, prawdopodobnie jak zwykle „nie chcąc jej martwić”.

– Oczywiście. Patrz, tam jest miejsce – odpowiedziała.

Przeszli do tyłu – to znaczy do tyłu względem siedzących, zwróconych w stronę rufy pasażerów i pani Augustyn z jej gośćmi, a w rzeczywistości podeszli bliżej dziobu, by skryć się w cieniu. Usiedli w pobliżu tęgawej pary z dwójką dzieci – smukłą nastolatką o pięknych oczach w czarnej, mocnej oprawie, pod strzechą jasnych włosów, teraz troszkę nadętą, jakby została tu przyprawiona wbrew własnej woli, i kilkuletnim chłopaczkiem, żywym i rozgadany. „Jak Kacper” – pomyślała Magdalena. Jak Joanna swego brata, tak i ta kobieta, cała w bieli, z rozpuszczonymi długimi włosami opadającymi na okrągłe ramiona, próbowała bezskutecznie uciszyć synka, by móc usłyszeć cokolwiek z opowieści o rzece.

– Mijamy ujście Oławy i port – mówił Majewicz. – Mało kto wie, że to jest bardzo ważny historycznie port, którego wyjątkowość polega

na tym, że ma nabrzeża skarpowe – w oparciu o ścianki szczelnie wbite wzdłuż nabrzeża lokowano skarpy i na nich dopiero było główne nabrzeże wyładownicze. W tej chwili jest to port piaskarzy pogłębiających Odrę.

– Świetnie się składa, że pan wspomniał o ludziach wody – wtrącił Woźny – którzy mieszkali we Wrocławiu. Było ich tutaj mnóstwo, poczynając od flisaków, przez robotników portowych, rybaków, obsługę barek. Rzeczywiście to miało znaczenie i znajdowało swój wyraz także w legendach, które dotyczyły Odry. W XVII wieku pojawił się bóg Odry, którego imię pochodzi od najstarszej jej nazwy: *Viadrus* albo *Viadua fluvius*. Jego najpiękniejszy wizerunek znajduje się na klatce schodowej Uniwersytetu Wrocławskiego. Mówi się też, że błogosławiony Czesław przepłynął nurty rzeki na swoim zakonnym płaszczu i wskrzesił dziecko, które utonęło w Odrze. To też patron Śląska, który tu niegdyś mieszkał, więc Odrę niejednokrotnie przekraczał. Może nie zawsze na płaszczu...

Pasażerowie statku znów się zaśmiali, a pan z fundacji wykorzystał okazję i chwycił za mikrofon, by opowiedzieć o mijanej wieży ciśnień.

– Pierwsze wodociągi we Wrocławiu pojawiły się w średniowieczu – podjął znów historyk. – Wodę bieżącą wrocławianie mają od XIV wieku, kiedy zaczęła płynąć drewnianymi rurami. Teraz często archeolodzy odkrywają takie systemy bardzo sprytnie wydrążonych rur wodociągowych. Była też w wieży ciśnień specjalna osoba, która odpowiadała za dostarczanie wody.

Płynęła Driada, płynęły opowieści – o ostatniej wielkiej powodzi przed kilkunastu laty, o mijanych budowlach wodnych, mostach, które pasażerowie oglądali z daleka lub przepływali pod nimi. Pan Majewicz był bardzo dumny z Muzeum Odrzańskiego:

– Nie chcę ryzykować stwierdzenia, że to jedyne takie w Polsce, bo każdy gdzieś tam ma swoją łódkę, którą może udostępnić i też może powiedzieć, że ma prywatne muzeum. – Uśmiechnął się. – Natomiast tutaj to jest załączek prawdziwego muzeum, które żyje, na którym się spotykają się wolontariusze fundacji – nie tylko rada czy zarząd, także „Bractwo Mokrego Pokładu”. Wszyscy pełnią swoje funkcje, jak to się mówi, honorowo, czyli jest to stowarzyszenie totalnych idiotów, którzy

za darmo robią coś dla dobra wspólnego.

Magdalena poczuła, że nie może dłużej siedzieć, koniecznie musiała znaleźć toaletę. Czy w ogóle była na tym statku łazienka?!

– Zaraz wracam – szepnęła do Szymona i wąskimi schodkami zeszła pod pokład. Na wprost ujrzała kontuar baru, a z boku wąziutkie drzwi – miała nadzieję, że do toalety. Na szczęście ubikacja była czysta, a w dodatku niezwykle oryginalna z miedzianą okrągłą muszlą i drewnianą klapą – więc po chwili z ulgą wyszła znów na zewnątrz.

Szymon, oparty o burtę bokiem, a plecami o coś, czego nie potrafiła nazwać, pół siedział, pół leżał na drewnianej ławeczce. Był szary na twarzy i mizerny. Zmartwiona podeszła i usiadła obok, a potem ostrożnie przysunęła się bliżej, aż rękawem dotknęła jego rękawa. Tak dawno nie byli blisko ze sobą, że miała poczucie, jakby przysiadła się do kogoś obcego, kogo nie zna i nie wie, jak zareaguje na próbę zbliżenia. Przysunęła się jeszcze trochę i całą długością ręki przycisnęła do męża. Otworzył przymknięte powieki i uśmiechnął się blado. Poprawił się na siedzisku i porozumiewawczo pokiwał głową. Jak kiedyś. Ale teraz nie wiedziała, o czym on może myśleć – dawno minęły czasy, gdy rozumieli się bez słów. Mimo to wstąpiła w nią otucha. Uznała, że i on pragnie powrotu ich wcześniejszych dobrych relacji.

– Jak się czujesz? – zapytała z troską. – Może chce ci się pić? Na dole jest bar.

– Tak? – Ożywił się. – Szczerze mówiąc, boli mnie głowa i gardło. Nie wiem, czy mnie nie przewiało ze dwa dni temu, jak jeszcze padało... Wziąłbym tabletkę, przyniosę coś do picia. Na co masz ochotę? – Zerwał się z ławeczki i sfrunął pod pokład.

Małżeństwo siedzące w pobliżu Magdaleny podniosło się, pokazując coś synkowi.

– O, konik! – Chłopiec się ucieszył i przylepiony do burty, obserwował brzeg.

Dopływali do kładki Zwierzynieckiej, przed którą na łące jakiś człowiek prowadził zwierzę na lonży. Na koniu siedziała dziewczyna. Nawet z oddali widać było, że jest szczupła i delikatna, a jej włosy mają barwę kasztanów.

– Dopływamy do TEGO miejsca? – Dziennikarka z „Wyborczej”

zjawiała się tuż przy odzianej na biało kobiecie, która uśmiechnęła się na to pytanie. – Będę mogła o tym napisać w relacji z rejsu?

– Oczywiście, to nie tajemnica. Właśnie w Harcerskim Ośrodku Wodnym Rancho poznaliśmy się z mężem dwadzieścia pięć lat temu.

Mężczyzna o wielkim brzuchu, kojarzący się Magdalenie z bohaterem starego serialu *Gliniarz i prokurator*, przysunął się do żony i objął ją ręką. A ona, ważąca dobrze ponad siedemdziesiąt kilo, jak nie lepiej, zrobiła się przy nim drobniejsza, prawie mała, bardziej jak córka niż żona. Na przemian opowiadali jak to się stało, że wzięli udział w Słonecznym Rejsie. Okazało się, że odgadli miejsce na tym samym zdjęciu co Szymon – bez trudu rozpoznali omegi, na których niegdyś sami pływali. Choć, jak zaznaczył mężczyzna, z tamtych zostały już tylko nazwy, teraz wszystkie łodzie były plastikowe. Drewniany został jedynie staruszek bez muzycznej nazwy, niedawno odrestaurowany Ossolińczyk.

Przemknęli pod kładką i dopływali właśnie do portu, o którym była mowa, położonym między dwiema kamiennymi główkami. Małżeństwo opowiadało o wspólnych pływaniach, skrobaniu łódek, obozach żeglarskich. O zimowych wyjazdach w góry albo na Mazury, gdzie uprawiali jazdę na lodzie na bojerach, jeśli jeziora były już zamrożone.

Magdalena uśmiechnęła się do Szymona, który właśnie wrócił i wskazała brodą ośrodek.

– Ci państwo się tu poznali – szepnęła. – W NASZYM porcie.

A on otoczył ją ramieniem i niemal przytulił. Jeszcze nie całkiem tak, jak mógłby, ale prawie. „Dobre i to” – pomyślała i położyła mu głowę na ramieniu. Fajnie, że nie było Gabrysi, bo zaraz wkręcałyby się między nich. Bez niej mogli się czuć swobodnie. Coraz mniej spięta Magdalena przywarła do męża, tak że poczuła zapach miętowej tabletki do ssania – musiało go to gardło akurat teraz rozboleć? Biedak.

Po przerwie, podczas której panowie Woźny i Majewicz i tak niemal przez cały czas mówili, odpowiadając na pytania bardziej zaangażowanych pasażerów Driady, historyk znów wziął do ręki mikrofon.

– Powodzie determinują, ale jak przychodzi okres lat suchych, to następuje zasypywanie rzeki. Czyli z jednej strony jest kopanie kanałów,

żeby powódź odprowadzić od miasta, a później jest zasypywanie rzeki, żeby budować, rozszerzać i tak dalej. I ten proces trwa bez przerwy. Rzeka meandruje, jej poziom obniża się, podnosi. Trzeba o tym wiedzieć, nie lekceważyć tego, co się zdarzało. Bywa, iż ktoś zechce się wybudować na jakimś terenie. Mógł nie słyszeć, że dawno temu poziom wody sięgał dachu danego domu. Powodzie zdarzają się czasem raz na sto lat, ale warto wiedzieć, że w tym miejscu może być tak i tak, może więc warto się stamtąd wynieść? Czyli ważne jest działanie edukacyjne, informacyjne, historyczne, kulturowe. Jest także nieustający apel Fundacji Muzeum Otwartego Techniki do administratorów i właścicieli obiektów, by zamieszczali specjalne tablice informacyjne, podające stan wód w danym czasie.

– Ale my tak mówimy i mówimy, a może państwo mają jakieś pytania? – Juliusz Woźny rozejrzył się po pokładzie.

– Mamo, mogę? – Młodszy brat nastolatki, której powoli wracał humor, bo złapała internet w telefonie, zwrócił się do matki. – Bo chciałbym zapytać, kiedy w końcu dopłyniemy, bo oni gadają i gadają i nic z tego nie rozumiem!

– Ciii... – Rozejrzała się i widząc spojrzenie Magdaleny, uśmiechnęła z lekkim zakłopotaniem. – Mam nadzieję, że niedługo, ale najpierw przepłyniemy przez śluzę, wiesz?

– Taaak? A co to jest śluza?

Do rozmowy włączył się ojciec chłopca i popłynęła opowieść o budowlach wodnych. Wyglądało, że nawet Szymon się zainteresował, bo coraz szerzej uśmiechnięty, przysłuchiwał się wykładowi dla przedszkolaka. Nic dziwnego, widać było, iż mężczyzna się zna na tym, o czym mówi, a dodatkowo tłumaczy tak przejrzyście, że nawet chłopiec rozumie. Mógłby być konkurencją dla tamtych dwóch. Magdalena uśmiechnęła się w duchu i ze zdumieniem spojrzała na męża, którego twarz zaczęła nabierać kolorów i życia. „Chyba mu lepiej po apapie czy co on tam wziął” – ucieszyła się.

Tymczasem Szymon, który znów poszedł pod pokład po coś do picia, zaskoczył ją jeszcze bardziej, bo po powrocie zadał pytanie prowadzącym! Była szczerze zdumiona, bo sądziła, że się nie rozkręci, i cieszyła się, że przynajmniej nie marudził. Tymczasem, zachęcony

przez panią Augustyn, która radziła wykorzystać wiedzę na co dzień niedostępnych panów, poszedł po mikrofon.

– A ja właśnie chciałbym coś wyjaśnić, konkretnie chodzi o zbiorniki.

Dopóki się nie odzywał, Magdalena była spokojna, lecz teraz drgnęła. Coś jej nie pasowało w tonie Szymona. Mówił powoli, wyraźnie, grzecznie, ale jakaś dawno nie słyszana nuta spowodowała, że kobieta lekko zeszywniała.

Ach, zresztą – czy i on nie może się czasem zrelaksować, poczuć swobodnie? Pomyślała z niechęcią do samej siebie. On zawsze tak strasznie się kontroluje, nie wychyla. Bardzo dobrze, że poszedł po ten mikrofon! Nawet poczuła się zawstydzona, że zamiast słuchać, o co mąż pyta i co mu odpowiada Majewicz, myślała nie wiadomo o czym.

Tymczasem panowie wyjaśnili sobie kwestie zbiorników retencyjnych, dlaczego zamiast zrzucić wodę, nie zrzucą się lub odwrotnie w odpowiednich sytuacjach i Szymon wrócił zadowolony na miejsce. Chwila w słońcu wystarczyła, by zalał się potem, który płynął mu po skroniach.

– Nie możesz odłożyć tego telefonu choć na chwilę? – Magdalena usłyszała głos puszystej kobiety. – Posłuchaj, co mówią, przyda ci się ta wiedza bardziej niż co tam słyszeć na fejsie.

– Mamo, nie rozumiesz, że to ważne? – zaprotestowała nastolatka. – Muszę pogadać z Pauliną.

– Tak, musisz. W szkole przez kilka godzin dziennie, a potem w weekend wciąż na nasłuchu. To chyba już jest jakaś choroba z tym telefonem na okrągło, nawet w łazience...

– Mamo! – Dziewczyna przewróciła oczami. – Przecież gdyby to nie było naprawdę ważne, tobym nie rozmawiała. Myślisz, że tylko wy macie prawdziwe problemy, a my już nie?

– Myślę, że wolałabym, byś wyłączyła telefon do końca rejsu.

– Boże, jaka ty jesteś! Nic nie mogę, nawet używać własnego telefonu – zaprotestowała płaczącym tonem. – Wszystko robię źle, tylko wy jesteście idealni, tak?! A może wyjmij belkę ze swego oka i... i... – zaplątała się, usiłując przypomnieć sobie porzekadło.

– I wsadź ją bliźniemu swemu – podpowiedział usłużnie i z



powagą jej ojciec.

Matka parsknęła śmiechem, dziewczyna prychnęła ze złością, obraziła się i przesiadła dwie ławki dalej, po czym zatonęła w SMS-ach czy też na portalu społecznościowym.

Magdalena, która też nie zdołała powstrzymać uśmiechu, spojrzała porozumiewawczo na Szymona – jeszcze kilka lat i ich czeka pewnie to samo.

– Proszę państwa, dopływamy do Śluzy Opatowickiej – mówił człowiek z fundacji. – Na tym stopniu wodnym przed wojną był taki mostek wysięgnikowo-klapowy, który Niemcy nazywali Mostem Wysokich Masztów. Służył temu, by jachty i statki parowe z kominami mogły tędy przepływać. Na środku mostku była klapa podnoszona na korbę. Służba wodna, gdy ktoś potrzebował, podnosiła tę klapę. Widać tu też zachowany kompleks zabudowy przystopniowej. Jak nietrudno zauważyć, takie obiekty położone są zwykle z dala od centrum miasta, no więc ówczesny administrator rzeki musiał zapewnić służbie wodnej warunki do życia – dach nad głową, miejsce dla całej rodziny, jakieś budyneczki gospodarcze.

Wpłynęli do śluzy, której wrota zaczęły się zamykać, gdy na rufie zrobiło się jakieś zamieszanie. Ludzie wstawali z ławek i podchodzili do burt, by zobaczyć coś, co znajdowało się w wodzie.

– Bóbr! – zawołał Majewicz. – Pamiętam, jak nadzorowałem śluzę w Janowicach, jeden z pracowników instalujący szyny, po których jeździły wózki, malując szynę z góry w dół, dotarł wreszcie do dna, nagle szyna się ruszyła i uciekła! On się przeraził, a okazało się, że to był bóbr. I pływał ten bóbr później z pręgą z czerwonej, ochronnej farby na grzbiecie...

– Ale to jest wydra – zauważył jeden z pasażerów i zrobił zdjęcie zwierzątka.

– Może być wydra – zgodził się Majewicz i przeszedł do następnego tematu.

Po opłynięciu Wyspy Opatowickiej statek białej floty zawrócił i po pewnym czasie przybił do brzegu. Załoga położyła trap, po którym można było wyjść na ląd i pasażerowie zostali zaproszeni przez organizatorów na poczęstunek w postaci kiełbasek z grilla i piwa.

Magdalena odetchnęła z ulgą, widząc, że są też napoje mniej wyskokowe w postaci soków, jednak stojąc w kolejce do nich, straciła możliwość zdobycia chleba. Niektórzy z gości Słonecznego Rejsu narzekali, że nie ma nic dla wegetarian – może to oni wybrali całe pieczywo? Piwa za to wystarczyło dla wszystkich chętnych...

Jedli więc kielbaski, popijali sokiem z kartoników i cieszyli się piękną pogodą, a co najdziwniejsze, brakiem komarów między świeżą zielenią drzew i krzewów. Szymon nie miał apetytu, za to pił sporo soku i w ciągu całego postoju dwa razy musiał wrócić na statek, bo na wybrzeżu nie było toalety. Magdalena cieszyła się, bo jego organizm się oczyszczał, choć pewnie lepiej, by była to woda mineralna, ale o tej zapomniała, a mogła przecież wziąć do plecaka!

Jak dobrze było oddychać pełną piersią, nie bać się, że za chwilę może wydarzyć się coś złego, że Szymon znów... A on nawet nie podszedł do miejsca, w którym wydawano piwo! Tak, to było niezwykle i dawno niezaznane uczucie – znów się nie bać.

Nie miała przekonania, że długo to potrwa. Za dużo już wiedziała o tej chorobie, by mieć złudzenia, jednak te kilka miesięcy traktowała jak podarunek od losu, który może zaowocować czymś dobrym – tym, że mąż jednak podda się terapii.

Sama czuła się lepiej, odkąd zgłosiła się do ośrodka, bo wreszcie udawało się jej choćby nazwać różne uczucia, kłębiące się dotąd w środku, rozrywające czaszkę i serce. Dzięki temu pomalutku zaczynała sobie z nimi radzić. Jak na początku powiedziała jej Jagoda: „Mając wiedzę, zyskujesz świadomość i możesz podejmować decyzje”. To prawda, nie błędziła już całkiem po omacku, tu i ówdzie rozpoznawała sygnały, pozwalające jej podeprzeć się przed upadkiem i iść w dobrą stronę. Przyznała, że istnieje problem, którego nie rozwiąże sama, nie ma takiej możliwości. Znalazła sprzymierzeńców i miała na kim polegać, do kogo się zwrócić. Poczuła, że jest, że istnieje jako ona, a nie tylko jako żona i matka. Bardzo jej się ten stan spodobał.

Odnosiła też wrażenie, że Szymon trochę reaguje na zmiany, jakie w niej zaszły, co z kolei jeszcze bardziej przekonało ją do działań. Dotąd wyobrażała sobie, że powinna zmienić jego. Tymczasem miały rację kobiety uczestniczące w spotkaniach grupy dłużej niż ona, miała rację

Marlena, mówiąc: „Zacznij od siebie”. Nie chciała dłużej ustawiać się w roli ofiary, znosić czegoś, na co zupełnie nie miała ochoty, rezygnować z pragnień. Zaczęła żyć. Może i on zacznie.

Spotkania dla współuzależnionych – akurat w ich grupie były same kobiety – stanowiły dla Magdaleny wspaniałą możliwość zdobywania wiedzy. Chętnie czytała polecane książki, przeglądała notatki i kartki ksero rozdawane podczas zajęć, uczestniczyła aktywnie, choć nie lubiła grać pierwszych skrzypiec. Woliała przysłuchiwać się innym paniom, czerpać z ich doświadczeń, niż otwierać się za bardzo. Czasem miała wrażenie, że nie jest zbyt widzialna dla innych uczestniczek, ale odpowiadało jej to – nie miała zadatków na gwiazdę, jak na przykład dziennikarka z lokalnej gazety, która z przyjemnością rozwodziła się na temat swego małżeństwa i sytuacji, niejednokrotnie zabierając czas innym paniom, które miały bieżące problemy do rozwiązania. Tamta rozstała się z mężem i teraz tylko pracowała nad sobą. Większość jednak na co dzień zmagала się z alkoholizującymi się partnerami, więc przydługawe wynurzenia wydawały się Magdalenie czasami zbędne, wręcz nie na miejscu. Dość denerwująca była też kobieta, której mąż poddał się leczeniu, był na terapii od ponad roku i nie pił, za to pani miała wieczny problem z synem, a dokładniej – z synową. Ta wszystko robiła nie tak – dziecko ubierała za chłodno, nie dawała mu dodatkowych skarpetek, gdy było przywożone do babci, „a przecież u babci podłoga zimna, okna nieszczelne”, źle karmiła, wychowywała, źle odnosiła się do męża, czyli syna tej zmartwionej mamusi, a wreszcie namówiła go do wyjazdu za granicę na co najmniej rok, a może i dłużej. Teraz więc mamusia zostanie sama i co ma począć? Będzie taka samotna, Skype to nie to samo, żadne maile i zdjęcia nie zastąpią rzeczywistych kontaktów! Płakała i płakała, niemal tupiąc nogą ze złości na podłą synową. Magdalenie przyszło do głowy, że na miejscu jej męża zabrałaby się razem z synem, byle dalej od niej... Ale jedną z zasad było nieoceniać innych, więc się nie odzywała.

Nie wytrzymała tylko raz. Przez jakiś czas w spotkaniach grupy uczestniczyła Alina, kobieta niepozorna z wyglądu, niska, o krótkich, mysich włosach i twarzy nie do zapamiętania. Magdalena zwróciła uwagę, że zawsze chodziła w spodniach i mówiła bardzo cicho, co

zmuszało do wyęczenia uszu. Alina mieszkała z mężem, który w jej opowieściach jawił się jako brytan – zapalczywy, silny, wielki i szalenie zazdrosny. Kontrolował każdy jej krok, jeździł za nią. Nawet jeśli proponował podwiezienie, to z reguły po to, by sprawdzić, czy żona rzeczywiście udaje się tam, gdzie mówiła. Wydzwaniał do niej często, nawet podczas spotkań, kiedy każdy powinien mieć wyłączony telefon – a nie wiedział, że żona chodzi do ośrodka, bo kluczyła między budynkami, dostając się tu przez podwórka, na które nie mógł wjechać samochodem. Alina odbierała za każdym razem, po czym wychodziła z sali. Magdalena nie mogła się nadziwić, dlaczego kobieta po prostu nie wyłączy albo nie ściszy komórki na te dwie godziny. Jednak nie czuła potrzeby pytania o to, uznając, że to nie jej sprawa. A poza tym być może sama też robiła coś, co irytowało innych? Któregoś dnia ten mąż zadzwonił, a stało się tuż po tym, jak grupa rozmawiała o stawianiu granic. Alina, pod presją spojrzeń towarzyszek, zamiast wyjść, jak zwykle, rzekła cichutko:

– Nie mogę teraz rozmawiać. Zadzwoń później. – I tak kilka razy z rzędu. – Naprawdę, teraz nie mogę rozmawiać, nie, potem zadzwoń, nie, nie przyjeżdżaj po mnie. A gdzie jesteś? – Dłuższa cisza. – Aha! No dobrze, to podjedź na plac Jana Pawła II. Ale nie mogę już rozmawiać...

Trwało to dobrych kilka minut, między uczestniczkami spotkania wytworzył się szum, każda coś szeptem mówiła, komentowała, atmosfera zrobiła się elektryzująca. Magdalena nie zniosła napięcia:

– Rozłącz się!

Prowadząca spojrzała na nią zaskoczona, a Alina rozłączyła się natychmiast.

– Przepraszam – szepnęła Magdalena i zaczerwieniła się aż po korzonki włosów.

Przez chwilę panował gwar, jedna mówiła przez drugą, Marlenie ledwie udało się zapanować nad grupą. Alinę zasypywano komentarzami, informacjami zwrotnymi i radami do czasu, aż znów zadzwonił telefon. I znowu odebrała! Po czym wyszła z sali.

Nie wróciła już tego dnia do grupy, choć minęła zaledwie połowa spotkania, a pozostałe panie rozmawiały na jej przykładzie o zysku, jaki może mieć współuzależniona żona z takiej sytuacji, skoro wciąż na nią

pozwała. O tym, że nie odchodzi od męża, który ją straszy, kontroluje i szantażuje, bo dla niego jest tą jedyną. Jej gratyfikacja to bycie pożądaną, upragnioną, wyjątkową. W swoim dziwacznym układzie znajduje coś, co daje jej radość i poczucie spełnienia, szczęścia – niełatwo zrezygnować z takich doznań, tak po prostu wyłączając telefon.

Powrót na pokład odbył się sprawnie, załoga szybko odbiła od brzegu i już płynięto pod kolejny most. Pasażerowie, rozluźnieni piwem, w mniejszym skupieniu słuchali tego, co płynęło z głośników, łączyli się w grupki i przemieszczali po całym statku.

Magdalena zauważyła, że Szymon, nadal w dobrym humorze, zaczyna być senny – nic dziwnego, słońce przygrzewało jak w środku lata, nawet pod daszkiem było gorąco. Jej samej oczy się kleiły, gdy siedziała oparta o niego plecami i słuchała, jak Juliusz Woźny mówił o działalności ośrodka, którego sztandarowym przedsięwzięciem był „Pociąg do historii”, jeżdżący po wielu miejscowościach Dolnego Śląska.

Koncepcja „Pociągu” polegała na urządzeniu pierwszego wagonu tak jak ten, którym na Dolny Śląsk przyjeżdżali osadnicy w czterdziestym piątym.

– Kolega mówił o Ośrodku „Pamięć i Przyszłość”, ja może powiem też o fundacji. – Majewicz znów przejął mikrofon. – Jest to, proszę państwa, ewenement w skali kraju. W 1992 roku została założona Fundacja Otwartego Muzeum Techniki, która działa na terenie Polski, a siedzibę ma we Wrocławiu, na holowniku Nadbór. Zajmujemy się przede wszystkim wyszukiwaniem i ratowaniem najwybitniejszych dzieł inżynierii europejskiej i polskiej oraz popularyzacją działalności techników, inżynierów polskich, od zawsze do dnia dzisiejszego. Bo na przykład... Stanisław Kierbedź. Był wybitnym inżynierem, popełnił most w Warszawie, wszyscy o tym wiedzą. A że wybudował kilkanaście na Jeniseju czy Obie, to już mało kto wie! Historia techniki jest bardzo ważna, warto poprzeć taką fundację, filtrować to, co ważne, od tego, co mniej ważne, zyskiwać świadomość.

Majewicz zdjął czapkę, spod której i jemu pot już spływał strumieniami, otarł czoło i nałożył ją z powrotem. Nie zdążył się odezwać, gdy brat nadąsanej nastolatki zawołał:

– Stoimy w porcie! – I rozpędził się do wyjścia.

Nic dziwnego, po sześciu godzinach rejsu wszyscy byli już bardzo zmęczeni i syci wrażeń.

– Chciałbym tylko dodać, że z Odrzańską Drogą Wodną, z Wrocławiem, są związane najznamienitsze nazwiska inżynierów, techników, ludzi, którzy tworzyli cały system. I o nich należałoby pamiętać, ich czynić patronami. Na spotkaniu z prezydentem Dutkiewiczem zapytałem, dlaczego port lotniczy został nazwany przez zarząd imieniem Kopernika. Nie mamy nikogo lepszego pod tym względem wiążącego się z regionem? A tu działała na przykład Kunicka!

– *Babcia stała na balkonie* – zanucił Szymon pod nosem.

– Ale nie ta piosenkarka – wyjaśnił jak na zawołanie mówca. – Tylko pierwsza feministka, która opracowała tablice matematyczne trajektorii naszych planet. A nazwać port lotniczy jej imieniem i niech się ludzie zastanawiają, skąd się wzięła!

– Mieszkała we Wrocławiu? – zapytał ktoś.

– Nie, Maria Kunicka, Cunitz, żyła w siedemnastym wieku w Świdnicy – wyjaśniła Aneta Augustyn. – Jeśli będą państwo w Świdnicy, mogą zauważyć na Rynku ławeczkę, na której siedzi Maria Kunicka, a w ręku trzyma sferę.

– Ale chodzi o cały Dolny Śląsk – dodał Majewicz. – Może być, że Kopernik częściej przejeżdżał przez Wrocław niż ona, ale jego związek z tym regionem na pewno jest bardziej luźny. Gdy rozpoczął się kosmiczny wyścig do gwiazd, to Rosjanie i Amerykanie do czego sięgnęli? Do jej tablic, bo dane były wiarygodnie obliczone. Nie ma lepszego nazwiska na lotnisko niż Kunicka! O ile wiem, nawet nazwano jej imieniem krater na jednej z planet.

– Na Wenus – powiedziała dziennikarka i już ostatecznie zabrała mu mikrofon. – Serdecznie dziękuję panom za obecność, a państwu za wspólnie spędzony czas.

Magdalena wyszła na ląd przy Bulwarze Włostowica, czyli w innym miejscu niż to, z którego startowali, pod wielkim wrażeniem całego rejsu i zasłyszanych tu informacji. Nie wiedziała, kim byli ludzie płynący jako pasażerowie. Miała jednak nadzieję, że ktoś z nich, kto ma jakąkolwiek moc sprawczą, weźmie sobie do serca słowa obu panów.

To, co mówili o rzece, o jej zaniedbaniu, złych decyzjach, ale i tych dobrych rzeczach, by je mnożyć. Może zgodnie z sugestią pana Woźnego rzeczywiście powstanie wymarzone przez niego prężne odrzańskie lobby, zrzeszające ludzi, którzy mają możliwość, czas i ochotę na spokojne przekonywanie decydentów, by mądrze wykorzystać to, co mamy.

– Mamo, zdecyduj się wreszcie! Wczoraj kazałaś mi spać, a dzisiaj wstawać!

Gabrysia obudziła się w kiepskim humorze, czemu dawała wyraz, narzekając i jęcząc. Jej mama jednak nie zwracała na to uwagi, skupiając się na sprawnym zorganizowaniu porannego wyjścia. Po odprowadzeniu Gaby miała już nie wracać do domu, tylko od razu iść do pasmanterii, gdzie czekała większa dostawa, z którą chciała się uporać, zanim zjawią się pierwsi klienci.

Po pracy umówiona była z Joanną – Kacper tego dnia pojechał na wycieczkę klasową, więc miałyby dwie godzinki do swobodnego pogadania, bez nasłuchujących kilkulatków, które, gdy się je woła do sprzątnięcia, głuchną, ale dokładnie słyszą każde słowo nieprzeznaczone dla nich.

– Nie marudź, córciu – powiedziała spokojnie, czym szalenie zdumiała Gabrysię, przygotowaną raczej na krzyki i nieprzyjemne popędzanie.

Po powrocie z rejsu w sobotę Szymon położył się z bólem głowy, który znów się nasilił, a ona zdążyła jeszcze upiec ciasto. Kawalek zapakowała teraz – zanieś je do Joasi w ramach podziękowania i do kawy.

Poranny Wrocław był zupełnie inny niż popołudniowy. Powietrze wydawało się wyjątkowo przejrzyste, niezłamane nutą żółci czy różu, co zdarzało się później – miasto wyglądało jakby było prawdziwsze niż o innej porze dnia. Gdy nie padało, wszystko widać było jak w przybliżeniu – płyty chodnikowe, mury pełne chropowatości, szczelin, pęknięć albo gładkie i pokryte świeżą farbą w odrestaurowanych kamienicach. Ludzie zdawali się chodzić bliżej siebie, zapachy dochodziły intensywniejsze.

Magdalena zadzwęczała dzwonkiem nad drzwiami Błękitnego

Kuferka. Pani Beata zostawiła na podłodze zaplecza i części sklepu worki z towarem, a na ladzie fakturę. Kobieta przejrzała dokument, sprawdziła stan, po czym wzięła się do rozkładania na półkach włóczek i wszelkich drobiazgów, które wypełniały pudło stojące tuż przy drewnianej skrzyneczce.

Z nadejściem lata w sklepiku zmienił się wystrój, jednak drewniany kuferek zawsze pełen był niebieskości. Magdalena wymieniała wełnę na bawełnę, w miejsce akrylu wkładała nici do wyszywania, uzupełniała kompozycję srebrnymi nićmi, barwionymi na niebiesko aluminiowymi drutami do robótek albo stalowymi, z błękitnymi kulkami na końcach, modrymi zamkami błyskawicznymi, przejrzystymi wstążkami z szyfonu w kolorze indygo i granatowymi z atlasu. Tak, to był z pewnością bardzo błękitny kuferek.

Dziś cieszyła się, że ma więcej roboty, bo nie miała ochoty myśleć. Nikt nie lubi wracać do spraw przykrych, niepokojących, a takie od jakiegoś czasu błąkały się po głowie Magdaleny. Teoretycznie wiedziała, że nie ma sensu zamiatać problemów pod dywan, lepiej działać i robić coś z nimi. Jednak dzisiaj nie czuła się na siłach radzić sobie z nimi sama.

Po południu przekazała sklep pani Beacie i udała się do Joanny.

– Chodź, chodź. – Przyjaciółka prowadziła ją do pokoju. – Siadaj, nastawię wodę.

Wyszła do kuchni, a Magdalena rozłożyła się w jednym z zielonych foteli i rozejrzała po pokoju. Lubiła bywać u Joanny, czuła się tu swobodnie, nawet gdy przychodził Piotr. On zresztą rzadko siedział z nimi, najczęściej albo zajmował się pracą w pokoju dzieci, gdzie na biurku Kacpra stawiał laptop, albo zabierał Kminka, by żona mogła swobodnie porozmawiać z koleżanką. Nie robił tego ostentacyjnie, nie pokazywał, jakim jest dzielnym mężem, nie robił też z siebie cierpiętника, któremu zlecono opiekę nad maluchem, zachowywał się zwyczajnie i przyjaźnie. Bardzo go polubiła.

Z kuchni dochodziły odgłosy stukania filiżanek o blat stołu i czajnika o kuchenkę, a tuż obok Magdaleny nagle coś zaplumkało raz i drugi. W pierwszej chwili z niczym nie mogła skojarzyć tego odgłosu, dopiero po chwili zorientowała się, że dźwięk dobiegł z komputera.



– Akurat Kminek zasnął – powiedziała Joanna, stawiając na stoliku kawę i pokrojone ciasto. – Weszłam więc na forum. Najbardziej lubię ematkę – sza! Zaglądasz tam czasem?

– Rzadko. Częściej wchodzę do galerii, regularnie odwiedzam kilka fotoblogów robótkowych. A piszą coś ciekawego? – zainteresowała się.

– O, same ciekawe rzeczy! Nie masz pojęcia, z jakiego tematu można zrobić jatkę i obrzucać się błotem, póki admin nie wkroczy! Czekał, coś przyszło. – Podeszła do komputera, który znów zaplumkał. – Dyskusja o kobiecie, która opiekowała się psem koleżanki i trzymała go w dużym holu, zamiast w pokoju na kanapie.

– A powinna była brać go do łóżka?

– Według właścicielki tak. Są dwie frakcje – ematki prodziejące i ematki prozwierzące. Te drugie zwykle nie mają dzieci, więc im czyjś prychówek przeszkadza, za to zawsze murem stoją w obronie kotków i piesków. Tak jak tu – gościa w przedpokoju się nie trzyma. – Roześmiała się. – A tu się dopisała moja ulubienica, ześwirowana na punkcie macierzyństwa, dostaje piany na ustach, jak ktoś kocha swojego zwierzaka, bo przecież do kochania są tylko dzieci:

*18pipcowa: niektórym idiotka myli sie pjes z człowiekiem, to już wiemy. Daja im prezety pod choinke i pozwalaja spac w swoich łuzkach.*

*koszin: te, wyluzuj bo ci się kanały mleczone zapowietrzą z irytacji...*

*moka: Co złego jest w traktowaniu sierściucha jak członka rodziny? I rozpuszczaniu go w swoim własnym domu?*

*koszin: zdajesz sobie sprawę, że próbujesz uzyskać racjonalną odpowiedź od czegoś, czego mentalność jest mieszaniną mentalności prymitywnego wieśniaka i odczuć autystyka, i co nigdy nie będzie w stanie zrozumieć sytuacji innej niż ta, której samo doświadczyło?*

– Zawsze się tak milusio traktują?

– E, to zaraz polecą, jak tylko moderator zobaczy.

Joanna wzięła łyk kawy i wylogowała się z forum. Wyłączyła monitor i usiadła na fotelu naprzeciwko gościa.

– A teraz mów, jak było na rejsie. Bo myśmy sobotę spędzili super, mam nadzieję, że Gabrysia była zadowolona?

– Bardzo! Nie mogła się nacieszyć, że tyle godzin bawiła się z Kacprem. Chyba wcale za nami nie tęskniła?

– Wcale! – Gospodyni się uśmiechnęła. – I muszę ci wyznać, że lepszego zajęcia dla Kacpra, jak zabawa z Gabą, chyba nie ma. Przepadają za sobą. A gdy jeszcze poszliśmy do ogrodu botanicznego, w którym się poznali, radości nie było końca! No, ale mów, jak tam było na tym Słonecznym Rejsie.

– Dobrze.

– Mistrzynie lakoniczności.

– Heh. – Magdalena uśmiechnęła się półgębkiem i zastanowiła dłużej.

– Dobrze, bo wróciliśmy cało i bezszstormowo, bo przez całą drogę płynęły morskie, a raczej śródlądowe opowieści, bo wyglądało na to, że zbliżamy się z Szymonem. Ale mam wątpliwości.

– Jakiego rodzaju?

– Mam wrażenie... To głupie, bo przecież wszął sobie ten esperal. Ale mam wrażenie, jakby on nadal pił. Na statku zachowywał się spokojnie, poprawnie. Lecz... Miał jakiś taki przesadnie dobry humor, a po powrocie położył się z bólem głowy i gardła. Jak poprzednio – też tak chorował, chorował, aż okazało się, że pije. A przecież ma wszystko, ile to minęło, dwa miesiące? Tak, dwa.

– I co?

– Bo ja wiem? Zastanawiam się, co zrobić. Zresztą chodzi nie tylko o ten jeden dzień. Czuję się, jakby wszystko wróciło do poprzedniego stanu, różnica jest tylko taka, że Szymon zachowuje się ostrożniej. Stara się mnie nie irytować, nie czepia się o pracę, o obiady, powiedziałam mu nawet, że chodzę na terapię, i się nie zdenerwował. Może go to nie obeszło? Jest jakiś taki... Jakby się przyczaił. I boję się, że nagle z czymś wyskoczy. Nie umiem się cieszyć z tego, co mam, co udało mi się osiągnąć. Nic nie robię, tylko się boję. – Skrzywiła się.

– Lęk nie jest zły – rzekła Joanna. – Wszystko zależy od tego, jak sobie z nim radzisz.

– Nie radzę sobie wcale.

– Ależ skąd! – zaprzeczyła gorąco. – Wydaje mi się, że właśnie twój lęk należy do tych, które mogą pomóc. Gdyż on cię nie paraliżuje,

tylko ostrzega. Patrz, zrobiłaś tyle w ciągu kilku miesięcy, zapisałaś się do ośrodka, wkładasz dużo pracy w siebie. Świetnie sobie radzisz. A takie obawy tylko dają ci do myślenia, nie pozwalają przymykać oczu. Dlaczego właściwie denerwujesz się przeziębieniem Szymona?

– Bo sędzę, że udaje – szepnęła.

– I teraz, zamiast schować się pod stół, coś zrobisz.

– Co niby?!

Joanna zastanowiła się głęboko, patrząc gdzieś ponad głową przyjaciółki.

– A co MOŻESZ zrobić?

– Nic. Może tylko on: pić dalej albo pójść się leczyć.

– A ty możesz tylko czekać, aż on wybierze? Zaprzeczając wszystkiemu, co do tej pory osiągnęłaś?

– Chyba masz rację – przyznała niezbyt chętnie Magdalena. – Tak.

Miała świadomość, że nie może... nie chce czekać, poddając się biernie biegowi zdarzeń. W głębi duszy czuła, co jest dla niej dobre, a co nie. Nie musiała się bać nieznanego – doskonale wiedziała, czym skończy się takie oczekiwanie. Kolejnym zapiciem Szymona. Nie wystarczy wstrzemięźliwość od alkoholu. Może terapia jej mężowi nie pomoże, nie każdy wychodzi z niej wyleczony. Lecz bez terapii on nie ma żadnych szans. Żadnych.

Ona zresztą też – trwoni czas i siły na obserwowaniu męża, domysłach, obawach, czy na pewno wychodzi w sprawach służbowych, a nie się napić. Przez jakiś czas, kiedy tylko poddał się zabiegowi, czuła się dobrze, udawało się jej nawet nie biec z talerzem, kiedy tylko przekraczał próg domu. Później pomalutku wszystko zaczęło wracać do poprzedniego stanu. Znowu zachowywała się nadodpowiedzialnie, pilnowała, oczekiwała jego potknięcia, sprawdzała, czy załatwił to, co obiecał, zamiast zająć się sobą. Kontrolerka od siedmiu boleści.

– Czasem, wiesz... – Westchnęła, aż zafalowała serweta na stoliku.

– Czasem czuję się taka nic nieznacząca.

– Dla mnie znaczysz bardzo dużo. – Joanna spojrzała ciepło. – Jesteś dla mnie nieoceniona pod pewnymi względami.

– Czyżby?

– Czyżby. Pamiętam, to było jeszcze na początku naszej

znajomości, zaraz po tym, jak dałaś mi swój numer. Akurat moja mama gdzieś polazła, nie wzięwszy komórki, a Kminek zrobił kupę z krwią. Byłaś moją jedyną nadzieją na wyjaśnienie tego fenomenu. A to była sobota czy niedziela i nasza lekarka rodzinna nie odbierała telefonów. Myślałam, że oszaleję ze strachu – dotąd nic takiego się nie wydarzyło, odchodziłam niemal od zmysłów, że coś złego dzieje się z moim synkiem! On miał zaledwie kilka miesięcy.

– W ogóle tego nie pamiętam – przyznała Magdalena. – I jak się skończyło?

– Od razu zapytałaś, co mu dawałam jeść. Na wieść, iż buraczki, uspokoilaś mnie. Mogłam odetchnąć z ulgą, że to nie rak jelit!

– O, matko, to był taki problem dla ciebie? Chyba nie zdawałam sobie sprawy.

– Może nie, ale jesteś moim skarbem, podporą w pielęgnacji i laktacji. I masz na mnie kojący wpływ. Zawsze, kiedy opowiadasz mi o problemach z mężem, moje małżeństwo staje się znienacka cudowną ostoją. – Puściła oko. – Masz doświadczenie z Gabrysią, więc twoje podpowiedzi w temacie Kacpra bardzo, naprawdę bardzo mi pomagają. Z Kminkiem rosnę jako matka, ten biedak zaś został wrzucony na głęboką wodę – a ja z nim. Więc niezwykle doceniam twoją chęć dzielenia się doświadczeniami. A zresztą... Nie widzisz swojego miejsca wśród ludzi? Tego, że znajdujesz się właśnie tam, gdzie sprawdzasz się najlepiej, gdzie jesteś doceniana i potrzebna? I na dodatek to kochasz?

– To znaczy gdzie? – Nie zrozumiała.

– W pracy. W pasmanterii.

Magdalena miała łzy pod samą skórą – była tego pewna, po raz kolejny wypłakując się w rękaw przyjaciółki.

Póki jeszcze czuła się zmotywowana rozmową z Joanną, Magdalena zapragnęła czynnie wyrazić swoją niechęć do pozostawiania w inercji. Po co zwlekać. Nie ma sensu pytać Szymona, czy pije – w każdym przypadku odpowiedź będzie przecząca, a ona będzie wiedziała tyle samo, co przedtem. Zatem bez pytań – jedynie klarownie przedstawione oczekiwania.

Po powrocie z przedszkola zjadła z Gabą obiad – obie przepadały za poniedziałkową pomidorową na niedzielnym rosolu. Starła się nie

denerwować i nie przygotowywać z góry odpowiedzi na pytania, które być może zada mąż; czekała, udając, że czyta. Nic z tego nie wychodziło, litery skakały jej przed oczami, a jeśli nawet udało się je na chwilę uspokoić, łapała się na tym, że przewraca kartkę, nie mając pojęcia, co czytała na poprzedniej.

Niepotrzebnie tak to przeżywała – przyszedł na tyle późno, że zdążyła już ochłonąć i zjeść kolację; pomału szykowała się do snu. Wrócił, już od progu przepaszając, ale był na przedłużającym się spotkaniu, z którego nie mógł wyjść, a telefon zostawił w samochodzie. Wyglądał normalnie, więc odetchnęła, zastanawiała się tylko, czy uda się jej jeszcze dziś zebrać na odwagę, by rozpocząć trudny temat. Uznała, że czas po kolacji, kiedy Gaba była już w łóżku i słuchała bajek z płyty, może być tym właściwym. Usiadła więc na fotelu, bokiem do Szymona i trzęsąc się od środka, wypaliła:

– Musisz iść na terapię, inaczej się nie uda.

– Co się nie uda? – Wyglądał na spokojnego, jakby nie był ani specjalnie zaskoczony, ani poruszony.

– Nasze małżeństwo, rodzina. Jak wiesz, chodzę na terapię dla współuzależnionych i tam uczę się dużo na temat choroby.

– Jesteś chora? – Uśmiechnął się półgębkiem.

– Nie kpij. Dowiaduję się na temat twojej choroby. Alkoholizmu. Trzeba rozwiązać ten problem konstruktywnie.

– Tego was tam uczą, rozmawiać w taki sposób? – Roześmiał się. – Konstruktywnie...

– Szymon, nie rób sobie żartów, bo mówię poważnie. Jesteś chory i powinieneś się leczyć.

– Nie, kochanie. Nie jestem chory, gdyż, jak może zauważyłaś, a może jednak nie? – nie piję od ponad dwóch miesięcy. Skoro skończyłem z pić, nie widzę problemu i sensu żadnego leczenia. Z prostego powodu, z braku przyczyny.

Magdalena zamilkła. Poczula się bezradna. Jak, do jasnej cholery, przekonać tego człowieka, że niepicie to nie to samo co trzeźwienie?! Jej nie wierzy, może cudu dokonałby terapeuta – ale jak doprowadzić do niego Szymona?

Zezłościła się. Do diabła! O czym tu gadać? Ma iść na terapię,

albo...

– Masz się zgłosić do ośrodka albo koniec z nami!

Przez chwilę w ogarniętym ciszą pokoju można było usłyszeć muchę i ledwie dochodzące odgłosy bajki z pokoju Gabrysi. Szymon znieruchomiał, wpatrzony w żonę, której nie poznawał. A więc po to zapisała się do tej sekty, do tej bandy nawiedzonych praczy mózgów, po to ją tam przyjęli, by się dowiedziała, jak pozbyć się męża! O, niedoczekanie!

– Wiesz, co mówisz? – wysyczał.

– Wiem – odwarknęła. – Jesteś chory, potrzebujesz pomocy. Chcę, żebyś się leczył, zdrowiał, żeby nasz związek... Chcę znów być twoją żoną!

– Moją żoną... Moja żona nie robiłaby mi świństw, nie wmawiała choroby.

– Zwariowałeś? Przecież sam wiesz, jak jest. Gdyby było inaczej, po co dałbyś się zaszyć? – Zdezorientowana Magdalena spojrzała tak podejrzliwie, że natychmiast rozpiął pasek i zsunął trochę spodnie, pokazując górną część pośladka z widocznym szwem.

– Jest, widzisz? Jest! Zrobiłem to, żebyś się odczepiła! Wolałem wydać pieniądze, ale zyskać spokój!

– Przestań! – wrzasnęła wysokim głosem. – Ubierz się, bo Gaba zobaczy – dodała ciszej. Na chwilę zamilkła, po czym podjęła temat.

– Szymon, ty nie zdajesz sobie sprawy z powagi sytuacji. Ale w takim razie, trudno, skoro nie rozumiesz, to przyjmij do wiadomości, że warunkiem istnienia naszego małżeństwa i wspólnego życia jest podjęcie przez ciebie terapii.

– A jak nie? – rzucił zaczepnie.

– To się rozstaniemy.

– I co zrobisz? Dokąd pójdziesz? – spytał drwiąco.

– Nigdzie. To ty pójdziesz!

W jednej sekundzie zdecydowała. Ani myśli się wyprowadzać i wywracać życie Gabrysi do góry nogami. To jest ich dom, no Szymona w połowie także, ale ich też, i to on, jego choroba, jest przyczyną tego wszystkiego. I to on musi albo się leczyć, albo wynieść! I w tej chwili w nosie miała, co on zrobi. Sama już dokonała, czego mogła,

w zaistniałej sytuacji. Nie będzie tułała się po ludziach, nawet do rodziców ani myśli jechać – jak mąż chce, niech wyprowadzi się do Heleny. Nie będzie sypiała na zapleczu Kuferka – to Szymon ma w firmie warunki do spania. A poza tym niedługo skończy się budowa domu – niech tam zamieszka. Ma samochód, to będzie dojeżdżał do pracy spod Wrocławia. A ona zostanie tu z Gabą.

– Ja? – Roześmiał się tak serdecznie, jakby usłyszał niezły dowcip.

– Tak – rzekła spokojnie i twardo. – Terapia albo wyprowadzka.

Śmiał się jeszcze dość długo. Wreszcie, widząc, że mina Magdaleny jest mało figlarna, powoli wyciszał śmiech, aż zamilkł.

– Z czego się utrzymasz? – spytał półgłosem.

– Mam pracę. – Podniosła brodę do góry. – I z alimentów! Jeszcze jedno – dodała wojowniczo. – Nie będę czekała w nieskończoność. Masz na to dwa tygodnie. Czternaście dni.

Pokiwał głową, jakby przytakując własnym myślom, i z zaciśniętymi ustami wyszedł z pokoju.

„Dam sobie radę” – pierwsza myśl Magdaleny następnego ranka była równie buntownicza jak ostatnia wieczorem. „Dam sobie radę, mam pracę, trochę oszczędności ze sprzedanych projektów, mam gdzie spać, bo ja się stąd na pewno wyrzucić nie pozwolę, a przede wszystkim mam rację!”. Zyskiwanie niezależności nie jest łatwe, o nie. Ale ileż daje satysfakcji! Ile wiary w siebie i powodzenie podejmowanych przedsięwzięć! Mimo okropnej sytuacji, w której się znalazła, Magdalena czuła się nad wyraz dobrze. I wiedziała, że już nie popuści – nie ma mowy!

Kolejne dni – pełne zapachów ogórków małosolnych, lekkiej różowości malin i dusznego zapachu kwiatów z ogródków przydomowych, które wieczorami rozwijały wachlarz aromatów, dni otulające ciepłem jak ramiona ukochanej osoby – ciągnęły się w nieskończoność.

Magdalena z duszą na ramieniu i z rozchwianymi uczuciami wracała do domu, w którym wciąż zastawała Szymona lub przynajmniej jego rzeczy. Wyglądało, jakby nie podjął żadnej decyzji – ani nie zabrał ciuchów, ani nie poinformował jej o znalezieniu ośrodka. Miała przekonanie o słuszności swojej decyzji – albo leczenie, albo rozstanie.

Ale bardzo, bardzo chciała, żeby jednak zgodził się leczyć. Bo choć wiedziała, że będzie konsekwentna i z czasem nauczy się żyć sama, w głębi duszy nie chciała tak układać sobie życia – kochała przecież, do jasnej cholery, tego idiotę! Tego durnia, który zabijał się na raty i nie chwycił pomocnej dłoni...

Kochała go, ale nie bała się już samodzielności. Dość miała wielomiesięcznych przepychanek, obietnic bez pokrycia. Po latach z Szymonem, na które teraz patrzyła z większą świadomością, nie zamierzała brnąć w chorobę ramię w ramię z nim. Ani stać w zastygłym uścisku, bez ruchu nawet na milimetr, jak postaci z fresku przed domem.

Napięcie w Magdalenie narastało, nawet Gabrysia coś czuła, choć matka nie rozmawiała z córką o ewentualności, jaką była wyprowadzka taty. Do samego końca nie chciała wierzyć, że zdecydowałby się na rozstanie. A czekanie na ten dzień zaczynało być fizycznie bolesne.

Nie musiała czekać do końca. W jedenastym dniu, które przesuwała jak paciorki różańca, Szymon wrócił jak zwykle, lecz zamiast zamknąć się w pokoju, oświadczył:

– Zapisalem się do lekarza. Do... psychiatry. – Skrzywił się nieznacznie.

Nie odpowiedziała. Przełknęła ślinę, co w ciszy pokoju zabrzmiało jak wodospad i spuściła w dół powieki. Nie chciała, by zobaczył w jej oczach ulgę. Żeby teraz się dowiedział, jak bardzo czekała na te słowa. Kamień z jej serca potoczył się z łoskotem po puszystym dywanie – aż dziw, że Szymon tego nie zauważył.

– Żeby zacząć spotkania z terapeutą, najpierw muszę zgłosić się do specjalisty – rzekł jakby wyuczoną formułkę. – W poniedziałek – dodał.

– Dobrze. – Skinęła głową i wyszła do łazienki, by obetrzeć coraz gwałtowniej wzbierające łzy.

Spokojną niedzielę spędzili prawie razem – prawie, bo trudno było mówić nawet o poprawności relacji. To wszystko było dziwne, zagmatwane i według Magdaleny nie do rozsąpania bez jakiegoś mediatora, specjalisty od węzłów małżeńskich. Ale wiedziała, że najpierw Szymon musi podjąć leczenie, które potrwa co najmniej kilka miesięcy, dopiero potem będzie można spróbować terapii małżeńskiej.

Minęła więc senna, ciepła u schyłku czerwca niedziela



i poniedziałkowy poranek powitał Magdalenę szarością chmur, które zawładnęły niebem. Temperatura opadła zaledwie o kilka stopni, ale wszystko wskazywało na to, że obniży się jeszcze bardziej po spodziewanej burzy. Kobieta, wychodząc do pasmanterii, wzięła parasolkę – nie miała daleko, ale po co moknąć? A po pracy może przejdzie się jeszcze na zakupy, co nawet zapowiedziała Szymonowi, który w środku dnia umówiony był w przychodni.

Deszcz lunął, zanim zdążyła włączyć służbowy komputer i kasę. Na ulicach zrobiło się tak ciemno, że jedna za drugą rozpałały się latarnie zmrokowe, a ludzie gwałtownie wyszarpywali z toreb parasole, wkładali kaptury, osłaniali się czymkolwiek, choćby reklamówką.

Magdalena podeszła do drzwi i obserwowała biegających jak mrówki przechodniów. W strugach deszczu ulica wyglądała jak na jakimś nierzeczywistym obrazie. Ormianka sprawnie, choć nie dość szybko, chowała skarpetki, kawę i słodycze; kto mógł, uciekał.

Po dwóch godzinach niebo pojaśniało, a zza granatowych cumulusów zaczął się wydobywać białosrebrzysty blask słońca. Wszystko tego dnia wydawało się dziwne, nawet największa gwiazda naszego układu.

Zanim wyszła z pracy, sytuacja wyglądała już nieźle – mokro było nadal, ale nie padało. Zrobiła więc szybkie zakupy i pobiegła do domu – zdąży jeszcze obrać jarzyny i przygotować coś do obiadu, zanim pójdzie po małą.

Z zaskoczeniem stwierdziła, że drzwi mieszkania są otwarte – czyżby Szymon wrócił? Rzeczywiście. Przyjęła to z dużym zdumieniem, bo pręcej spodziewałaby się, że po wizycie w przychodni – choć nie wiedziała, na którą godzinę był umówiony – pójdzie ukoić nerwy w pracy. Tymczasem siedział w domu.

Magdalena niepewnie kręciła się po mieszkaniu, nie wiedząc, jak się zachować – pytać go o tego lekarza czy lepiej nie? Z jednej strony była bardzo ciekawa, z drugiej wolała nie potrącić jakiejś czulej struny, niechcący dźgnąć w bolesne miejsce. Przyglądała się mu ukradkiem, a przechodząc obok, delikatnie pociągnęła nosem. Doszedł ją zapach mięty – nadal boli go to gardło?

– Słuchaj, a może idź do naszej rodzinnej?

– Po co?

– Skoro wciąż masz problem z gardłem. Dwa tygodnie na tabletkach do ssania i nic – może powinna przepisać ci coś mocniejszego, czy ja wiem – antybiotyk w rozpylaczu?

– E, to minie – odparł beztrąsko i wrócił do przerwanego zajęcia.

Dopiero teraz Magdalena spostrzegła, że Szymon zajął się naprawą szafki kuchennej, której drzwi od kilku tygodni wisiały na jednym zawiasie. Nie mogła się o to doprosić, zastanawiała się nawet nad zatrudnieniem jakiegoś sąsiada albo fachowca. A Szymon właśnie dziś wziął się do tego. Zamiast się ucieszyć, zaczęła węszyć podstęp. Podeszła bliżej i przyjrzała mu się. Powieki miał zaczerwienione, gałki oczne poprzecinane siecią czerwonych żyłek. Infekcja czy coś innego? Ale, kurczę, przecież nie można pić z wszywką! Chodziła wokół niego, sięgając a to po nóż, a to po tarkę do jarzyn lub jakiś garnek.

W pewnej chwili Szymon odłożył narzędzia i zniknął w łazience. Kiedy wyszedł po bardzo długim czasie, wyglądało, że poczuł się gorzej. Na jego czole i skroniach lśniły krople potu. Mężczyzna pobałdł i wyglądało, jakby miał zaraz zemdleć. Wrócił do kuchni i usiłował wziąć się do przerwanej pracy, jednak szło mu to bardzo opornie – narzędzia wypadały mu z drżących rąk, mylił się, chwycił nie te, co trzeba, chwiał się, mimo wygodnej pozycji w kucki.

– Co się z tobą dzieje? – zaniepokoiła się. – Źle się czujesz?

– Nie, dlaczego tak myślisz? – spytał z uśmiechem, który wyglądał jak dziwny grymas na kredowej twarzy. – Czuję się bardzo dobrze, a nawet znakomicie. Bo co?

Nieprzyjemne uczucie, które zakiełkowało w głowie Magdaleny tuż przed wejściem do mieszkania, objęło już jej cały układ nerwowy. Patrzyła na męża, który powinien być trzeźwy, bo miał wszyty esperal, i widziała, że nijak się to ma do rzeczywistości.

– Szymon. – Podeszła bliżej. – Wstań!

Pomalutku odłożył trzymane w ręku narzędzie, uniósł głowę, potem złapał się mebli, jakby nie panował nad ciałem i wreszcie stanął naprzeciwko niej.

– Nnno! Wstałem. I co teraz mam zrobić? – Zachichotał, jakby coś go rozśmieszyło, i prowokacyjnie patrzył na nią, robiąc głupkowate

miny.

– Jesteś pijany? – Sama nie wiedziała, po co pyta, skoro widok męża świadczył o tym najzupełniej.

– Ja? Skąd! – Zagryzł wargi, potem zrobił z ustami coś takiego, jakby zabierał się do gwizdania, wreszcie potarł ręką ucho. – Szafffkę ci naprawiam, bo ssskrzypi. – Wciąż niesamowicie rozbawiony, z trudem utrzymywał powagę. – A ty mnie tak nie obwąchuj, bo, bo, bo... kichniesz!

– Szymon. – Zdumienie Magdaleny jeszcze nie przerodziło się w gniew. – Co się dzieje, gdzie ty byłeś? Miałeś dzisiaj iść do psychiatry.

– Byłem. – Z rozmachem kiwnął głową. – I już wiem, że żadnego alkoholizmu mi nie wmówisz! Nawet pan doktor, a zaaauważ, że to dobry, stary lekarz, stwierdził, że nieee mam objawów, więc daj mi do cholery spokój! Masz, tam leży recepta, wykup ją i sama sobie łykaj!

Ni stąd, ni zowąd irytacja Szymona wzrosła, zdenerwował się i zaczął pokrzykiwać na żonę. Rzucił w nią świstkiem papieru z przepisanyymi przez lekarza tabletkami.

– Przecież to antykol, skoro nie masz problemu, to po co by ci go przepisywał? – spytała naiwnie.

– Po co? Żebyś się tym nazarła i odpierdoliła ode mnie w końcu! – Wściekł się. – Żebyś przestała narzekać i wmawiać, wysyłać mnie do psychiatry, jakbym był jakimś czubkiem! – Bełkotał coraz głośniej i machał ręką uzbrojoną w śrubokręt.

– Wyjdź stąd! – krzyknęła piskliwym głosem. – Wyjdź z tego domu natychmiast!

– Sama wyjdź!

Jednym ruchem zrzucił z blatu stojące tam talerze, które przygotowała do schowania na górnej półce. Z hukiem roztrzaskały się na posadzce, a ona aż podskoczyła ze strachu. Jeszcze takiego męża nie widziała – przekrwione oczy, błędne spojrzenie, z trudem utrzymywał się na nogach, ale wrzeszczał i machał rękami, strącając różne przedmioty z blatów na ziemię. Na wszelki wypadek wycofała się do przedpokoju.

– Wyjdź albo wezwę policję!

– A to se wzywaj, a ode mnie się odpieprz.

Nagle przestał się pieklić, ukucnął przy szafce i znów usiłował naprawić skrzypiący zawias, co w jego stanie było niemożliwe – nie panował nad ruchami rąk.

Magdalena uciekła do łazienki, łapiąc po drodze słuchawkę telefonu i drżącym palcem wystukała numer policji. Dzwoniła kilka razy, zanim doczekała się, aż dyżurny odbierze. Łamiącym się głosem zawiadomiła o zajściu i w wielkim zdenerwowaniu wyszła do przedpokoju.

Szymon się nie poddawał, nadal gmerając w pudełkach ze śrubkami i gwoździami, przekładał z ręki do ręki młotek, kombinerki i inne narzędzia, jakby nie wiedział, co z nimi zrobić, ale czuł przymus robienia czegokolwiek.

Jego żona przez dłuższą chwilę stała w progu kuchni, obserwując te zmagania, wreszcie, zauważywszy ją kątem oka, rzucił:

– I sso? Zazzzwoniłaś?

– Tak.

– To czekamy, ha ha ha!!! – Śmiał się tak serdecznie, że aż upadł na podłogę.

Magdalena wyszła do pokoju. Z nerwów z trudem łapała oddech, jednak w miarę upływu czasu wyciszała się, choć wcale nie uspokajała – żeby tylko szybko przyjechali, przecież musiała iść do przedszkola! Tymczasem siedziała spięta na brzeżku krzesła, nadstawiając ucha, czy Szymon nie wybiera się w jej stronę.

To były najgorsze trzy kwadransy, jakie ostatnio przeżywała. Pod czaszką kłębiły się setki myśli, jedna gorsza od drugiej. Bała się przyjazdu policji, bo co oni zrobią? Czy jest wystarczająco nietrzeźwy, by zabrać go do izby? Może go tylko pouczą i zostawią? A on – wyglądał, jakby nie wierzył, iż zadzwoniła. Jak się przekona, że jednak tak, to znów się na nią wkurzy. Chyba dobrze zrobiła... Och, jak łatwo radzić komuś innemu, co powinien zrobić w takiej sytuacji, jak ciężko samemu działać. Szymon machał tym śrubokrętem przed twarzą żony, przeraziła się okropnie, że jej dosięgnie. Przecież on w ogóle nie zdaje sobie sprawy z tego, co robi!

Pił od dawna, wytrzymał może ze dwa tygodnie i tyle. Nie chciała

tego widzieć, więc nie widziała. Pił podczas wyjazdów, jeździł pod wpływem alkoholu, pił w pracy, w domu. Spali osobno, nie zbliżał się do niej, miał możliwość tak to robić, żeby się nie zorientowała. A ona nie chciała szukać dziury w całym, podejrzewać go specjalnie, doszukiwać się na siłę. Próbowwała być obiektywna i wierzyć. Chciała, bardzo chciała mu wierzyć. Jego choroba wykorzystała to w stu procentach, niemal przez dwa miesiące ją zwodząc. Dopiero tak silne zderzenie z rzeczywistością przywróciło jej wzrok.

– No i dzie ta poliicja?

Nie zauważyła, kiedy stanął w progu i zatrwożona poderwała się od stołu.

– A może tylko żartowałaś i wcale nie dzwoniłaś? Taki dowcip, ha ha ha! – Znów wybuchnął głupkowskim, głośnym rechotem i wrócił do kuchni.

Czuła się jak idiotka, siedząc i czekając na patrol, który prawdopodobnie przyjedzie wieczorem, albo – co bardziej prawdopodobne – kiedy ona wyjdzie z domu. Nie mogła nikogo prosić o odebranie Gabrysi, bo musiałaby wcześniej dać upoważnienie lub przynajmniej rano to zgłosić – dla bezpieczeństwa dzieci nie wolno było robić takich rzeczy przez telefon.

Gdy wreszcie zadzwonił dzwonek u drzwi, drgnęła i zerwała się z miejsca, ale zanim dobiegła do drzwi wejściowych, wyprzedził ją Szymon, mający bliżej z kuchni.

Dwóch policjantów w czarnych mundurach pokazało legitymacje. Szymon wpuścił ich do środka, zachowując się jak gościnny pan domu:

– Proszę, proszę – zachęcał.

– Kto zgłaszał interwencję? – zapytał wyższy, szczuplejszy z funkcjonariuszy.

– Ja... – Magdalenie zaschło w gardle, z trudem przełykała ślinę.

Czuła się głupio – Szymon odzyskał wigor i wyglądał prawie normalnie, z wyjątkiem potu perlącego mu się na skroniach.

– A sprawa dotyczy...? – Policjant zawiesił głos.

– Męża. – Przełknęła wreszcie kłęb strachu tkwiący w jej krtani i wskazała na Szymona. – Jego.

– No, właśnie, właśnie żona tak jakoś... – Zaśmiał się trochę

niepewnie, a trochę porozumiewawczo Szymon, usiłując sprawiać wrażenie, że to wszystko jest pomyłką albo żartem nie najwyższych lotów, zafundowanym mu przez Magdalenę.

Policjanci nie wahali się – jeden wskazał jej mężowi drzwi do kuchni, które za sobą zamknął, drugi przeszedł z kobietą do pokoju.

Usiedli przy stole. Mężczyzna rozejrzał się po czystym pokoju, wyjął notes i zaczął pytać Magdalenę o przebieg zajścia i różne inne rzeczy. W pierwszej chwili, zdenerwowana ponad miarę, rozplakała się, ale ten człowiek miał doświadczenie w postępowaniu z rozstrojonymi żonami alkoholików, więc już po kilku minutach smarkania w chusteczkę i trzęsienia się Magdalena zaczęła odpowiadać przytomnie.

– Nie wiem, co i w jakich ilościach wypił. Do dzisiaj byłam przekonana, że jest na esperalu. Kiedy go zobaczyłam po powrocie do domu, nie mogłam uwierzyć.

– Dam pani numer telefonu do psychologa, gdyby chciała pani...

– Jestem pod opieką poradni na Podwalu. Od kilku miesięcy uczestniczę w terapii dla współuzależnionych. – Chlipnęła.

– To bardzo dobrze, świetnie! – pochwalił policjant. – Proszę teraz chwilę poczekać.

Przeszedł do kuchni i coś tam szeptał z drugim, głosu Szymona nie było słyhać. Funkcjonariusz wrócił po chwili i powiedział:

– Wypił podobno trzy setki wódki. To możliwe. Co robimy – zabrać go do żłobka?

– Słucham? – Nie zrozumiała.

– Jak pani woli: zostawić go w domu, nie boi się pani z nim zostać? Dotąd pani nie uderzył, ale zawsze jest ten pierwszy raz. Czy zabrać go do izby wytrzeźwień? Ale to kosztuje – ostrzegł.

– Nie chodzi o pieniądze... Kiedy by wrócił?

– W tym stanie? Najprawdopodobniej jutro rano. To co robimy?

– Proszę go zabrać.

Nie kojarzyła, jak poprzedniego dnia odebrała Gabrysię. Nie wiedziała, jak wróciły do domu – czuła się tak, jakby stała obok i patrzyła na wszystko bez emocji. Jakby osłonka jej serca była nie tylko twarda i szczelna, lecz także zmrożona.

Gabrysia nie pytała o tatę; uznała, że jest w podróży służbowej.

Wieczorem, gdy mała już była w łóżku, Magdalena włączyła telewizor i do późna w nocy bezmyślnie się w niego gapiła. Nie pamiętała, kiedy zasnęła, a jedynie to, że widać już było pierwsze oznaki świtu.

Między przedszkolem a pracą krzątała się po domu, gdy usłyszała odgłos otwieranego zamka. Zesztywniała. Ostrożnie podeszła do przedpokoju, ale zaraz cofnęła się do kuchni – to nie mógł być nikt inny. Poza nią tylko Szymon miał klucz do mieszkania.

Mąż wszedł do domu, łypnął nieprzychylnie na nią, widoczną już od progu, i przeszedł do sypialni. Po kilkunastu minutach wyszedł stamtąd z wypchaną torbą podróżną.

– Zdajesz sobie sprawę z tego, co zrobiłaś?

– Tak. Zabezpieczyłam siebie i dziecko przed czymś gorszym.

– Chciałaś się mnie pozbyć, zabić.

Patrzył z nienawiścią, ale nie próbował się zbliżyć. Myślała, że gdy wytrzeźwieje, spróbuje, jak zawsze dotąd, przeproszać, tymczasem tłumiona wściekłość wydostawała się z niego wszystkimi porami.

– Zabić?! Co ty bredzisz?

– Wiesz, że tam palą ludzi.

Dopiero teraz przypomniała sobie historię sprzed dłuższego już czasu, wyczytaną w prasie. Nie знаła szczegółów, ale z grubsza chodziło o to, że we wrocławskiej izbie wytrzeźwień wybuchł pożar i spłonęła osoba przywiązana pasami do łóżka. Postanowiła tego nie komentować.

– Nieźle sobie wszystko zaplanowałaś – rzucił zjadliwie, wydymając usta.

– Niczego nie planowałam. – Zezłościła się. – Chcę tylko żyć spokojnie i bezpiecznie, a tak to niemożliwe! Zaczynaj leczenie, to może jeszcze się uda.

– Przestań w kółko coś na mnie wymuszać!

– OK. Nie chcesz, to się nie lecz.

– Ach tak, miałem rację – wtrącił domyślnie. – Chodzi ci tylko o to, żebym się wyprowadził. Wszystko do tego zmierza.

– Z mojej strony zmierza do próby leczenia cię z alkoholizmu.

– Kłamiesz. Sama mówiłaś, że to nieuleczalne. Skoro więc nie da się tego wyleczyć, to muszę się wynieść, tak? Wyrzucasz mnie!

– Nie. Chcę się dowiedzieć, czy zamierzasz podjąć terapię, a jeśli

tak, to kiedy. – Ze wszystkich sił próbowała się opanować i nie zacząć wrzeszczeć, choć najchętniej rzuciłaby w niego czymś ciężkim albo sama wybiegła z mieszkania.

– Robisz to specjalnie. Miałem nadzieję, że jak wrócę, to uda nam się spokojnie porozmawiać. Ale nie, ty zawsze musisz doprowadzać do krzyków!

– Nie chcesz krzyków, to przestań się wydzierać – poradziła spokojnie.

– No jasne. Doprowadzasz mnie do wściekłości, a potem...

– Miałam nadzieję, że poszukasz pomocy – przerwała mu. – To nieuleczalna choroba, ale można być trzeźwym alkoholikiem, to chyba lepsze, niż się dalej wykańczać.

– Nie jestem pewien.

Zamyślił się na dłuższą chwilę, wpatrując w nią ze złością, która jednak chyba już zaczęła się wypalać. Wyglądało, że albo się uspokaja, albo brak mu sił na dalszą walkę słowną.

– Szymon. – Dała krok w jego stronę. – Czy nasze dziecko musi mieć taki dom? Nie żal ci tego wszystkiego? Powiedz, że pójdziesz się leczyć. Powiedz kiedy.

– Nie zmuszaj mnie do podawania terminu, bo mogę go nie dotrzymać – warknął, wypluwając z siebie resztkę wzburzenia.

– Tylko pytam.

– A jak nie odpowiem?

Bez słowa wskazała ręką drzwi.

Szymon łypnął na nią ponuro i znów pokiwał głową, potakując własnym myślom.

– Wyjeżdżam na kilka dni. Po powrocie wrócę po rzeczy.

Skinęła głową, wciąż bez słowa.

Lato nadeszło wraz z zachęcającą wonią truskawek ze śmietaną i gotowanego bobu. Przekwitły wiosenne kwiaty, ustępując pola tym późniejszym, którymi dłużej można się cieszyć. Sklepy warzywne kusiły kolorami i aromatami, na murkach zalegali działkowicze z młodymi jarzynami na sprzedaż, a słońce z trudem chodziło spać – podobało mu się długie wylegiwanie na niebie.

Dni, podczas których Magdalena z trudem dochodziła do



równowagi, były do siebie podobne jak oczka w dżerseju – każdy rozpoczynał się poranną gonitwą do przedszkola, bo ciężko było zwlec się z łóżka po nieprzespanej lub pełnej dusznych majaków nocy. Takie same wędrowki wzdłuż Żeromskiego, z coraz bardziej widoczną brzydotą tej ulicy, gdzie nie tylko mury, lecz także ludzie byli coraz bardziej odrażający; jak stara farba z elewacji, tak od nich odpadały płaty człowieczeństwa, ukazując brud, stęchliznę, paskudne wnętrza.

W tym czasie cieszyła się jeszcze bardziej, że nie nawiązała głębszych relacji z żadną matką z przedszkola – dzięki temu obyło się bez pytań. Słońce było jej sprzymierzeńcem, mogła schronić się za ciemnymi szklami, markując nadwrażliwość na światło, zapalenie spojówek, czy jak tam sobie kto tłumaczył jej ukrycie za okularami. A jak to interpretuje pod cisem mała na koturnach z Bilansikiem w wózku już spacerowym – zupełnie Magdaleny nie obchodziło.

Właściwie nie miała ochoty, czy też siły, rozmawiać nawet z Joanną.

Mijały godziny, każda identyczna jak poprzednia. Przez pasmanterię przewijał się tłum klientek. Rozochoczone słońcem, nabrały chęci na sprawianie sobie szydełkowych bluzeczek, tych projektowanych przez Magdaleny i tych samodzielnie dzierganych, więc ruch w interesie cieszył panią Beatę. Cieszył też i ją, bo inaczej nie udawało się nie myśleć o domu, o Szymonie. Spacer z Gabą, chętniej nad rzekę niż do parku, codzienne obowiązki domowe – i dzień mógłby się kończyć w ciągu jednej sekundy. Ale nie – późnym wieczorem, kiedy wykorzystwała już każdy pretekst do niepamiętania, myśli, nabierające mocy przez cały dzień, atakowały ze zdwojoną siłą.

Czuła się zawiedziona, oszukana. Zimny kamień w sercu nie schładzał gorączki, lecz mroził cały jej układ nerwowy, kłując, sprawiając ból, parząc z zimna. Mimo że zmęczona huśtawką emocjonalną kilku ostatnich miesięcy – bała się swej samotności. Bała się pustego miejsca w łóżku – pustego od dawna, nie tylko fizycznie. Lękała się przyszłości, w której sama miała podejmować decyzje, liczyć tylko na siebie. Kochała Szymona.

Kochała męża, ale bardziej kochała Gabrysię i spokój w domu, będącym choćby namiastką bezpieczeństwa. Dlatego znosiła ból;

wiedziała, że wystarczy go przetrwać, nie walczyć, nie dusić – a zelżeje. Sięgała do notatek z terapii, powtarzała regułki mogące przynieść ukojenie. Starła się stosować zasady – nie komplikować sytuacji, dbać o siebie, o swoją fizyczność. Zmuszała się do jedzenia, lecz gimnastyka na razie nie wchodziła w grę – mięśnie odmawiały posłuszeństwa. Dobrze, że choć pozwalały jej się przemieszczać. Odstawiła kawę. Pozbyła się z domu wszystkich środków uspokajających, nawet tych ziołowych. Piła hektolitry wody. Miała czym płakać. Często drażniły ją cotygodniowe jazdy na Podwale, nieraz zupełnie nie miała ochoty tam bywać, lecz teraz właśnie w tym znajdowała siłę, z tych spotkań czerpała pełnymi garściami.

Lipiec

Majtając workiem z kapciami, Gabryśia podskakiwała na alejce parku przy kościele. Nigdy dotąd nie brała udziału w zajęciach oratorium, więc była niesłychanie podekscytowana. Martwiła się trochę, że nie zna tam nikogo, ale mama zapewniała, że spotka jakichś kolegów – jak nie z przedszkola, to z parku. Półkolonie w Oratorium św. Jana Bosko zapewniały dwutygodniowe atrakcje dzieciom z parafii, więc Magdalena miała nadzieję, że istotnie córka znajdzie tam kogoś znajomego.

Przed wejściem do budynku gimnazjum salezjańskiego, na terenie boiska, kłębił się tłum dzieci i rodziców. Pod okiem postaci ułożonych z mozaiki na murze szkoły, grupa rozgadanych przedszkolaków i uczniów brzęczała jak rój pszczół. Migwały różnobarwne koszulki, chusteczki dziewczynek, czapki chłopców.

– I co, poznajesz kogoś? Rozejrzyj się, Gabuś.

– Nieee, nikogo tu nie znaaam... – Broda dziewczynki już zaczynała się trząść, gdy nagle spostrzegła kogoś. – Jest, jest! Kacpeer! – krzyknęła, aż spacerujący w pobliżu gołąb zerwał się do lotu.

Puściła rękę matki i podbiegła do chłopca.

– Też tu będziesz?

– No!

– Ale fajnie!

Joanna złapała za kołnierz Kminka, który wybierał się lecieć za dziećmi, i skierowała go w stronę Magdaleny.

– Patrz, synku, kto tam? Ciocia Madzia? Chodź, idziemy do cioci! – I z uśmiechem zbliżyła się do koleżanki. – Wszelki duch! Gdzieś ty się podziewała ostatnio? Telefonów nie odbierasz, jeden SMS na dwa tygodnie to trochę za mało, nie sądzisz? Widzę, że też zapisałaś Gabrysię? Mnie się udało wstrzelić na miejsce kogoś, kto zrezygnował – chyba zwariowałabym z tym dzieckiem, nie prowadząc go do szkoły. Wakacje są wspaniałe, ale mają też swoje minusy – ludzie są wtedy skazani na dzieci! No, co tam słyszeć?

Skurcz, który chwycił Magdalenę za gardło, nie pozwolił jej odpowiedzieć, więc machnęła tylko ręką i zagryzła usta.

– Coś niedobrze, jak widzę. Chcesz pogadać? Tylko teraz nie

mogę, lecę z Pawełkiem na badanie, nic takiego, ale mam termin... Spotkałybyśmy się tu, w parku, na godzinkę przed odbiorem dzieci? To chwilę po drugiej, co? Będziesz akurat po pracy.

– Wzięłam dzisiaj wolne. – Magdalenie udało się wreszcie opanować. – Miałam myć okna. – Ostatni raz dmuchnęła w chusteczkę. – Pasuje mi. To do zobaczenia.

Nie miała siły wziąć się do mycia. Trudno, na razie jeszcze przez szyby dużo widać, musi wystarczyć. Zresztą i tak dość miała widoku tkwiących w starciu kozła i diabła. Tynk odpadał, farba łuszczyła się z miesiąca na miesiąc coraz bardziej, a oni trwali irytująco niewzruszenie.

Odwróciła się od okna i powiodła wzrokiem po pokoju. Na pierwszy rzut oka zdawało się, że wszystko wygląda normalnie, jak zawsze. Ale nic już nie miało być tak jak kiedyś.

Na dźwięk domofonu niespiesznie podeszła do drzwi – pewnie akwizytor albo świadkowie Jehowy, którzy ostatnio bardziej się uaktywnili. Usłyszawszy w słuchawce Szymona, na moment zamarła. Potem automatycznie przycisnęła guzik i czekała z ręką na klamce na odgłos jego kroków. Otworzyła drzwi i odsunęła się w przeciwny kraniec przedpokoju.

– Mogę wejść czy będziesz wzywała policję? – Stał w progu.

– Jesteś trzeźwy? To wejdź.

Cofnęła się w głąb mieszkania i stanęła pośrodku pokoju, nie wiedząc, co ze sobą zrobić, czego spodziewać się po mężu. Nie bała się, ale wołała być ostrożna.

– Możemy porozmawiać?

I rozmawiali. Głównie mówił Szymon. Opowiedział jej inną niż poprzednio wersję wizyty u psychiatry, któremu przyznał się do tego, że pije. Wszywka albo się „nie przyjęła”, cokolwiek to znaczyło, albo na niego nie zadziałała. Nie mówił jej o tym, bo miał nadzieję, że poradzi sobie, podobno wszystko i tak miało zależeć głównie od jego woli. Może była zbyt słaba. Ale teraz wie, że nie poradzi sobie bez farmakologicznego wsparcia, więc bierze przepisane tabletki, na które receptę dostał jeszcze raz, bo zgubił poprzednią. Będzie je brał przez miesiąc, pozostając w abstynencji, a potem ma się zgłosić na

indywidualną terapię w ośrodku na ulicy Wszystkich Świętych. To niedaleko jej Podwała, te ośrodki współpracują ze sobą.

– Teraz wiem, że potrzebuję pomocy – mówił. – Byłem głupi, bo chciałem wtedy... No wiesz, poprzednio, napić się ostatni raz. Tak na zakończenie choroby. Wiem, że to idiotyczne. Zrozumiem, jeśli mi nie wybaczysz.

Magdalena patrzyła na niego z uwagą, nie komentując. Nie widziała go prawie dwa tygodnie. Był wymizerowany, ale twarz miał jasną. Zmęczoną, lecz z nieśmiałą nadzieją w oczach. Nie patrzył jak przedtem z miną psa, który łasi się tylko, gdy czegoś chce, albo kuli ze strachu przed razem. Wyglądał na smutnego i samotnego. Pomyślała, że Gaba ucieszyłaby się jego widokiem.

– A gdzie Gabryśia? W przedszkolu? – Czytał jej w myślach.

– Nie, na półkoloniach. W czasie wakacji przedszkole jest nieczynne.

– Słusznie, już wakacje... – Odgarnął z twarzy opadający kosmyk włosów. – A kiedy wraca?

– Po piętnastej.

Magdalena z coraz większą nerwowością uczestniczyła w tej przedziwnej rozmowie. Nie wiedziała, do czego Szymon zmierza. Wpadł tylko zobaczyć się z dzieckiem czy zabrać resztę rzeczy, a może planował powrót?

– Napijesz się herbaty? – Nie wiedziała, co zrobić z nagłą ciszą.

– Może kawy? – poprosił i poszedł za nią do kuchni.

Lśniący czajnik rozsiadł się na płycie, ogrzewając swój wielki brzuch. Wszystkie naczynia pochowane były w szafkach, na wierzchu stało jedynie to, co musiało. Wiedział, że Magdalena nie znosi porostawianych wszędzie drobiazgów, tak przeszkadzających przy codziennych porządkach. Dlatego na stole stała jedynie patera z owocami i dzbanek z wodą mineralną, którą przelewała z kilkilitrowych butli; wszystko inne musiało znaleźć swoje miejsce w szafkach i szufladach.

Tak tu było czysto, pachnąco, przytulnie i spokojnie. Bezpiecznie. On zburzył ten spokój, ale chętnie go odbuduje. Jeśli tylko ona się zgodzi. Gdyby zechciała wesprzeć go w niepiciu, pomóc, przypilnować

– sam dokładnie nie wiedział, czego od niej oczekiwać. Żeby tylko... Chciała być z nim. Zrobi wszystko – za miesiąc zaczyna terapię, potem będzie już tylko łatwiej! Tak tęsknił do tego spokoju, stabilizacji. Do córki i żony.

A Magdalena nie miała już siły walczyć z wiatrakami. Nadzieja w niej umierała, złudzeń dawno już brakło. Kochała Szymona sprzed lat, gdy był dla niej całym światem. Tego, bezwolnego wobec nałogu, zagubionego – nie znała. A przecież ich relacje to nie tylko jego picie lub nie.

Zdecydować się na kolejną próbę? Uwierzyć?

Czy nie tracić energii – jeśli będzie naprawdę chciał przestać pić, zrobi to z nią lub bez niej.

– Magdaleno... Ty... Wychodzisz teraz? – Widząc, że kobieta podnosi się z miejsca, także zerwał się z kuchennego taboretu.

– Muszę iść, jestem umówiona, zanim odbiorę Gabrysię.

– A czy mógłbym...

– Proszę, żebyś w tym czasie zajął się... Gdybyś uporał się z tym, zanim wrócimy, byłoby chyba najlepiej.

Wyszła z kuchni i otworzyła drzwi do sypialni. Stały w niej ustawione równo dwie walizki, trzy torby podróżne i dwa plecaki, w których rzeczy Szymona czekały, aż właściciel zabierze je z domu.

– Klucze oddasz mi przy okazji.

Drzwi zamknęła za sobą tak cicho, jak tylko potrafiła.

Zeszła na dół i zapatrzyła się w ścianę starego kina. Koziół i diabeł trwali w zwykłym starciu, przyciągając się równie mocno jak odpychając. Zależni od siebie, kochający czy nienawidzący, ale nieporuszeni.

Dopiero teraz zorientowała się, że od kilku minut wstrzymuje oddech. Wzięła głęboki haust powietrza i ruszyła w kierunku kościoła. Zanim skręciła w Nowowiejską, zapatrzyła się na dobrze widoczny szyld odstający od ściany budynku przy Żeromskiego – na białym tle wyraźne zawijasy i ładnie stylizowane litery układające się w napis: Błękitny Kuferek.

KONIEC